
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albinia (red. nacz.), Andrzej Anusz, Karol Chylak,
Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski, Marek Michalik,
Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Jerzy Wawrowski,
Kazimierz Wilk*

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja-Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

Adres do korespondencji:

ul. Szajnochy 7/2
01-637 Warszawa

e-mail: opinia.ihoo@gmail.com

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa

INSTYTUT HISTORYCZNY NN IM. ANDRZEJA OSTOJA-OWSIANEGO

jest

organizacją pożytku publicznego

**Nasze działania nie byłyby możliwe
bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców**

Aby przekazać

1 %

wystarczy numer KRS – 0000331920

SZANOWNI PAŃSTWO!

Wśród wielu organizacji społecznych realizujących misję użyteczności publicznej, które zasługują na wsparcie, szczególne miejsce zajmują te, które nie stawiają sobie celów doraźnych, ale inwestują swoją pracę i zaangażowanie wolontariuszy w przyszłość Polski i Polaków. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja-Owsianego, głosząc za Adamem Skwarczyńskim, że „żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębię życia jego organizm...”, upatruje swoją misję w pracy organicznej na rzecz polskiej tożsamości i polskiej wspólnoty narodowej, przywołując i utrwalając pamięć o zdarzeniach, ludziach i miejscach związanych z historią Polski. Jest nas już wielu, którzy uważają, że warto bezinteresownie angażować się na rzecz spraw wspólnych, oddawać swój czas i swoją pracę. Dziś chcemy zaproponować Państwu włączenie się w sukces naszego stowarzyszenia przez udział w akcji 1% dla Instytutu. Choć nie wymaga to wielkiego wysiłku, to ma to dla nas ogromne znaczenie, potwierdzając celowość prowadzonej przez nas działalności.

**Środki, które wpłyną do Instytutu w ramach akcji 1% zostaną w całości
przeznaczone na działalność wydawniczą i edukacyjną!**

REGON – 100794445

NIP – 7252015134

Konto:

PKO Bank Polski

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

SPIS TREŚCI

Nie tylko żołnierz i polityk	4
Wręczenie legitymacji ŚŻŻAK	6
Wojtko wspomina Andrzej Iwański	8
ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK	
Primum non nocere!	13
DR DARIUSZ GRABOWSKI	
O ekonomii i nie tylko... ..	23
DR WOJCIECH BŁASIAK	
Kwestia przywództwa narodowego w Polsce w warunkach narastającego chaosu światowego i europejskiego a zmiana ordynacji wyborczej do Sejmu	35
KRZYSZTOF TURKOWSKI rozmawia z Tadeuszem Żenczykowskim	53
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Gra na dwóch fortepianach	150
KATARZYNA ŚNIADECKA rozmawia z prof. dr hab. Romualdem Szeremietiewem	191
PROF. DR HAB. LESZEK MOCZULSKI	
Czytaliśmy Piłsudskiego	204
DR ANDRZEJ ANUSZ	
Opozycja polityczna jako istotny element drugiego obiegu politycznego w PRL	216
JÓZEF JANIK	
Fragment książki wspomnieniowej Józefa Janika „Chciałem być...”	270
ŁUKASZ PERZYNA	
O „Królu” Szczepana Twardocha. Prawdziwy koniec Dwudziestolecia	305

NIE TYLKO ŻOŁNIERZ I POLITYK

Z okazji 149. rocznicy urodzin Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie noszącej jego imię 5 grudnia 2016 r. odbyło się spotkanie *„Nie tylko żołnierz i polityk...”*. Podczas uroczystości p.o. szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk podkreślił, że 149. rocznica urodzin Józefa Piłsudskiego łączy wiele pokoleń Polaków, dla których Marszałek jest punktem odniesienia, wzorem i postacią, z której siły musimy czerpać współcześnie. *Są dwa fakty związane z życiem Piłsudskiego, w których tkwi klucz do zrozumienia marszałka. Pierwszym z nich był list, jaki Piłsudski skierował w 1908 roku, przed akcją pod Bezdanami, do swojego przyjaciela Feliksa Perla. Piłsudski nie zakładał, że wróci z tej akcji żywy. W przejmującym liście, właściwie testamentie, marszałek - stojący wtedy na czele organizacji bojowej PPS - napisał, że jeżeli zginie, to właśnie dlatego, aby nie żyć w okowach niewoli. Piłsudski chciał z Polaków uczynić naród ludzi wolnych, o mentalności nie-niewolniczej. Tak kształtował pokolenie walczących o niepodległość, aby poczucie wolności było dla nich najważniejsze. Drugim wydarzeniem istotnym dla zrozumienia Piłsudskiego jest spotkanie marszałka ze Stefanem Żeromskim w 1913 roku w Zakopanem. Żeromski, wtedy wielki autorytet dla pokolenia strzeleckiego i irredentystów, pisał w swoich wspomnieniach, że Piłsudski rozmawiał z nim siedząc w kalesonach, ponieważ jedyne spodnie, jakie wówczas posiadał, były w reperacji. Jak przytaczał Żeromski, ich rozmowa dotyczyła wolnej Polski, której w 1913 roku nie było (...) i nic nie zanosilo się, by ta kiedykolwiek miała rację bytu. Piłsudski snuł plany dotyczące przyszłych granic Polski i przyszłego ustroju. Żeromski pytał potem, jaką trzeba mieć niewzruszoną wiarę w niepodległość, żeby siedząc*

w gaciach rozmawiać o Polsce, której nie ma. To właśnie niewzruszona wiara w niepodległość i chęć życia jako człowiek wolny, nie niewolnik, były tym, co determinowało działanie Piłsudskiego i jego obozu politycznego – mówił Jan Józef Kasprzyk.

Na spotkaniu z okazji urodzin Marszałka p.o. Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk wręczył także statusy oraz honorowe odznaki działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej z powodów politycznych, przyznawane za działalność prowadzoną na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości i suwerenności oraz respektowania politycznych praw człowieka w Polsce. Otrzymali je: Anna i Andrzej Anusz, Jerzy Dobrowolski, Łukasz Perzyna, Czesław Jakubowicz, Marek Michalik, Zenon Barejko, Igor Miłoszewski, Mirosław Jankowski, Mariusz Bogdanowicz, Jan Członkowski, Leszek Smykowski oraz Arkadiusz Grunwald.

Odznaczeni są tymi działaczami nurtu niepodległościowego i Konfederacji Polski Niepodległej, którzy w latach PRL starali się kontynuować dzieło Józefa Piłsudskiego, przekładając na język współczesny i współczesne formy walki to, co Piłsudski pozostawił w swoim dziedzictwie – mówił o uhonorowanych Jan Józef Kasprzyk.

Na spotkaniu obecni byli m.in. Wiceminister obrony narodowej Wojciech Fałkowski, prezes Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Leszek Żukowski, a także przedstawiciele Związku Sybiraków, reprezentanci Związku Piłsudczyków i uczniowie klas o profilu policyjnym i wojskowym.



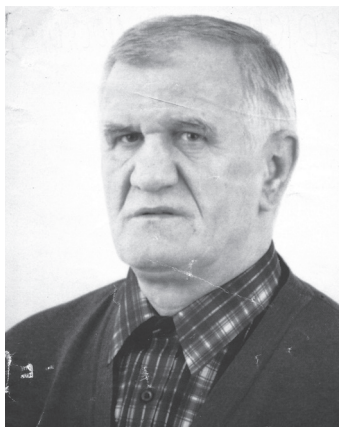
WRĘCZENIE LEGITYMACJI ŚZŻAK

23 listopada 2016 roku w gościnnych progach tradycyjnej PAST-y w Warszawie przy ulicy Zielnej odbyła się uroczystość wręczenia legitymacji nowoprzyjętym członkom Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Spotkanie swoją obecnością zaszczytili między innymi Ksiądz Prałat Józef Maj, Marszałek Senior Kornel Morawiecki i poseł Andrzej Melak. Wśród przyjętych do ŚZŻAK znalazło się 10 członków naszego Instytutu; Czesław Jakubowicz, Krzysztof Łaga, Andrzej Chylek, Krzysztof Lancman, Michał Janiszewski, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz, Bogdan Koźmiński, Kazimierz Wilk i Zenek Barejko. Zachęcamy wszystkich działaczy opozycji antykomunistycznej zainteresowanych kultywowaniem tradycji Armii Krajowej do wstępowania w szeregi Związku. Chętnych prosimy o kontakt z Krzysztofem Lancmanem – koniecznie SMS-m, bądźzie oddzwaniał) na telefon 505 654 183. Zapraszamy!





WOJTKA WSPOMINA ANDRZEJ IWAŃSKI



Wojciech Paciorkowski (1941–2011)

Wojtek zmarł w sierpniu 2011 roku w Domu Kombatanta w Legionowie. Jest pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. O jego śmierci dowiedziałem się w Wigilię, bo każdego roku jego pobytu w Domu Kombatanta odwiedzałem go, by podzielić się z nim opłatkiem. Od pewnego czasu telefon w jego pokoju był „głuchy”, więc zatelefonowałem do pielęgniarki z pytaniem, co się z Wojtkiem dzieje, że go nigdy nie ma w pokoju. Tak dowiedziałem się o tej smutnej wiadomości. Osoba która zajmowała się pochówkiem nie raczyła powiadomić mnie ani innych przyjaciół Wojtki o terminie pogrzebu, pomimo, że w pokoju był jego notes z numerami telefonów.

Wojtek nie miał nikogo ani z bliskiej ani dalszej rodziny, z wyjątkiem 98-letniej cici która przebywała również w tym samym domu kombatanta. Ja byłem jego przyjacielem od 40 lat, kiedy to poznaliśmy się na obozie treningowym w Spale. On był bokserem warszawskiej Gwardii a ja trenowałem lekkoatletykę. Drogi nasze rozeszły się by ponownie w latach siedemdziesiątych zejść się w działalności antykomunistycznej ówczesnego PRL. Byliśmy członkami powstałej 1 września 1979 roku Konfederacji Polski Niepodległej – partii która organizowała demonstracje polityczne i protesty przeciwko zniewoleniu narodu oraz stacjonowaniu wojsk sowieckich na polskiej ziemi. Byliśmy inwi-

gilowani przez Służbę Bezpieczeństwa i często przebywaliśmy w aresztach za działalność opozycyjną.

Wojtek aktywnie współpracował z śp. Księdzem Niedzielakiem, proboszczem kościoła Karola Boremeuszem na Powązkach oraz śp. Wojciechem Ziembińskim przy wmurowywaniu na terenie kościelnym tablic ku czci pomordowanych polskich oficerów w Katyniu.

Był współzałożycielem Krajowego Porozumienia Emerytów i Rencistów. Wiceprezesem Światowego Związku Kombatanów kierowanego przez śp. Generała Antoniego Hedę „Szarego” – tego który w 1945 roku uwolnił z więzienia w Kielcach 120 żołnierzy Armii Krajowej.

Wojtek Paciorkowski za działalność opozycyjną i niepodległościową był uhonorowany dyplomem uznania podpisanym przez Prezydenta Rzeczypospolitej na uchodźstwie Kazimierza Sabata oraz Złotą Odznaką za zasługi dla Konfederacji Polski Niepodległej.

Ostatnie lata nie były dla Wojtka wesołe. Miał wszczepioną endoprotezę stawu biodrowego co uniemożliwiło mu poruszanie się, chodził z dwoma laskami.

Zmarła mu mama. Emeryturę miał niewielką, nie wystarczała na życie, lekarstwa i opłatę czynszu. W tej sytuacji był zmuszony oddać rodzinne mieszkanie w Warszawie na skarb państwa i ostatnie dwa lata spędził w domu kombatanta.

Pomimo dobrych warunków lokalowych (mieszkał w jednoosobowym pokoju z łazienką i telefonem), zdrowotnych (na miejscu lekarz, pielęgniarka i rehabilitant) i tego, że miał dostęp do kaplicy i księdza, nie mógł się zaadaptować do panujących tam warunków.

Niech wspomnienie o Wojtku będzie moim pożegnaniem z Nim i przybliży jego osobę kolegom i przyjaciółom którzy nie wiedzą, że odszedł na wieczną wachtę. Cześć jego pamięci!

POLSKA WSPÓŁCZESNA

PRIMUM NON NOCERE!



Po pierwsze nie szkodzić...

Tę jedną z naczelnych zasad etycznych w medycynie tradycyjnie przypisuje się Hipokratesowi, są jednak badacze którzy twierdzą, że jej autorem był Imhotep.

Mniejsza z tym. Ważne, żeby jej

przestrzegać w procesach diagnostycznych i terapeutycznych. Ale przede wszystkim ważne jest to, aby jej przestrzegali nie tylko lekarze, ale także pozostały personel medyczny i pomocniczy w jednostkach ochrony zdrowia. Nie mogą jej także pomijać politycy, samorządowcy i wszyscy inni odpowiedzialni za funkcjonowanie szpitali, przychodni i poradni. Szczególnie ci wymienieni na końcu poprzedniego zdania.

Bo przecież to oni tworzą prawa i przepisy, oni mianują dyrektorów instytutów, oni mianują rektorów uczelni medycznych, oni odpowiadają za system kształcenia przyszłych lekarzy i innych pracowników ochrony zdrowia, oni tworzą listy leków, oni sprawują nadzór nad poszczególnymi szpitalami, placówkami lecznictwa otwartego, oni planują środki finansowe zabezpieczające potrzeby zdrowotne pacjentów.

To właśnie oni mają zadbać o bezpieczeństwo zdrowotne społeczeństwa! Czy to robią? Czy ponoszą odpowiedzialność za swoją indolencję, opieszałość i brak niezbędnych reform?

Trudno jest naprawić błędy medyczne. Często jest to niemożliwe. Występowały, występują i będą występować zawsze, bez względu na poziom kształcenia medycznego, organizacji pracy, indywidualnego poczucia odpowiedzialności zawodowej i etycznej.

Trzeba zrobić wszystko, aby było ich jak najmniej, a poszkodowani otrzymywali godziwe odszkodowania rekompensujące poniesione straty zdrowotne.

Nie mogłem dotrzeć do wiarygodnych danych, ale w przybliżeniu można ocenić, że rocznie około dwóch tysięcy pacjentów domaga się przed sądami zadośćuczynienia za błędy medyczne w procesie leczenia. Użytkują je nieliczni.

Należy jednak zadać sobie pytanie: czy tylko personel medyczny jest odpowiedzialny za błędy medyczne?

Twierdzę, że nie.

Wielu z nich by nie było, gdyby cały system ochrony zdrowia działał

prawidłowo oraz był finansowany i zarządzany na odpowiednim poziomie, a odpowiedzialni zaś politycy tworząc prawo wiedzieli co czynią.

Nie ma kraju, w którym system ochrony działa idealnie i w pełni zaspokaja oczekiwania i potrzeby pacjentów.

Ale chyba nie ma też kraju, który tak nieporadnie jak Polska, zajmuje się reformami w ochronie zdrowia!

Od dziesiątków lat mówi i pisze się o ich potrzebie. Wielu zbiło na tym polityczny kapitał, dochrapało się intratnych stanowisk najczęściej mając wyborców daleko w tyle już następnego dnia po ogłoszeniu wyników wyborów.

Żadnego z tych „reformatorów” nie rozliczono i nie osądzono za nieudolność i błędy, w wyniku których osoby potrzebujące pomocy medycznej zapłaciły nawet najwyższą cenę. Zdrowiem lub życiem.

Lekarz, pielęgniarka lub inny pracownik medyczny mogą być za swoje błędy rozliczeni przez kierownictwo placówki, mogą odpowiadać przed sądami, mogą też podlegać ocenie przez samorząd zawodowy.

A polityk ?

Trybunał Stanu? Dyrzymały!

Przecież do Trybunału Stanu politycy wybierają polityków. Dbają o to, aby ten układ trwał.

Nie znam ani jednego przypadku, żeby ten organ skutecznie zadziałał.

Polityków co cztery lata rzekomo rozliczają wyborcy. Bzdura!

Obecna ordynacja wyborcza powoduje, że wpływ wyborcy jest bardzo ograniczony i iluzoryczny. Liczy się głównie nazwa partii, pozycja na liście wyborczej, często manipulowane sondaże i przychylna media.

Podział mandatów według metody D'Hondta często pozwala skompromitowanym nieudacznikom zasiadać ponownie w ławach poselskich kolejnych kadencji Sejmu. Niska frekwencja wyborcza na poziomie 40-50% zniekształca rzeczywiste preferencje społeczeństwa i im w tym pomaga.

Wystarczy zajrzeć na strony internetowe Państwowej Komisji Wyborczej, aby się przekonać ile głosów może wystarczyć do uzyskania mandatu za pomocą silnej „lokomotywy wyborczej” i pozycji wewnątrz partii.

Dzięki temu w kolejnych kadencjach parlamentu zasiadało i nadal zasiada mnóstwo pasożytów politycznych, którzy uważają, a może tylko

udają, że **PRIMUM NON NOCE-RE** ich nie dotyczy.

Pasożytów, dla których sprawowanie mandatu posła lub senatora jest sposobem na dostatnie i spokojne życie. Oni mają komfortowy dostęp do pomocy medycznej, ich rodziny i znajomi także.

Nie sprawdzałem, ale zaryzykuję stwierdzenie, że ponad połowa posłów jest w trakcie drugiej lub trzeciej kadencji, a kilkudziesięciu ma ich za sobą więcej. Większość z nich to posłowie zawodowi, co oznacza że zrezygnowali z dotychczasowych źródeł utrzymania i sama dieta poselska nie wyrówna ewentualnych strat finansowych. Tylko garstka z nich jest oblegana przez dziennikarzy i zapraszana przed kamery.

Ci partyjni wybrańcy chętnie biegają do TV, radia, udzielają wywiadów prasowych, ale mniej chętnie zaglądają do szpitali, żeby zobaczyć co chorzy zjedli na obiad i czy jest gdzie zaparkować przed budynkiem, nie są zorientowani czy można się dodzwonić do rejestracji, jakie są terminy wizyt, nie spotykają się z personelem szpitali i poradni, nie interesują się absurdami wynikającymi z fatalnej ustawy o NFZ.

Tumiwizizm polityków ma się dobrze od wielu lat.

Jaskrawym tego przykładem są rządy SLD-PSL i PO-PSL od początku roku 2001 trwające (z niespełna dwuletnią przerwą na rząd PiS) do jesieni 2015.

Piętnaście lat zmarnowanych i szkodliwych dla polskiej ochrony zdrowia, a przede wszystkim pacjentów!

Rząd Leszka Millera z ministrem Mariuszem Łapińskim rozwaliał rąkując zaledwie trzy lata system oparty na powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym (tzw. Kasy Chorych) wprowadzając w to miejsce znienawidzony chyba przez wszystkich i obarczony wieloma wadami Narodowy Fundusz Zdrowia (NFZ).

Rządy Donalda Tuska i Ewy Kopacz w demontażu systemu odważyły się zrobić coś znacznie więcej.

Czyli NIC ! Przez osiem lat !!!

SLD zniknął z parlamentu, natomiast PO, w tym Ewa Kopacz i desantowiec z SLD Bartosz Arłukowicz tkwią w nim nadal. Bez żadnych, nawet politycznych konsekwencji, a ich „promotor” były premier i szef PO Donald Tusk bryluje w Brukseli.

W tych 15-u latach był krótki czas nadziei na rzeczywiste reformy. Tę nadzieję dawał minister prof. Zbigniew

Religa w rządach PiS (Marcinkiewicz, Kaczyński 2005–2007), który podjął się tego zadania na osobistą prośbę prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Zrobił wiele. Niespełna dwa lata sprawowania funkcji zaowocowały znaczącymi podwyżkami płac dla pracowników ochrony zdrowia, wprowadzeniem kilku programów szybkiej interwencji, w tym kardiologicznej, który do dzisiaj może być wzorem dla wielu państw europejskich.

Lotnicze Pogotowie Ratunkowe wymieniło archaiczne śmigłowce MI-2 na zdecydowanie bardziej nowoczesne i zapewniające niezbędne dla szybkiego transportu chorych w odpowiednich warunkach. Zwiększono ich liczbę. Przy okazji „wystartowało” Ratownictwo Medyczne.

Medialną i polityczną śmietankę w tym zakresie spijała z rozkoszą Jego następczyni, super nieudolna minister Ewa Kopacz, która wcześniej była zagorzałą krytykantką prac ministerstwa zdrowia.

Prof. Zbigniew Religa nie był rasowym politykiem, może dlatego czuł i wiedział jakich zmian oczekuje pacjent i system. Jego charyzma i autoritet stwarzały szansę na rzeczywiste reformy. Ufali mu bowiem pacjenci i rządzący.

Poza tym umiał słuchać i wyciągać wnioski. Był partnerem dla wszystkich podmiotów. Opinie związków zawodowych skupiających pracowników ochrony zdrowia, samorządów medycznych i lokalnych, oraz organizacji społecznych nigdy nie były lekceważone. Miałem zaszczyt współpracować z Nim z nim przez wiele lat na płaszczyźnie zawodowej, samorządowej i związkowej, więc wiem o czym i co piszę.

Jestem pewien, że gdyby Pan Profesor miał polityczną i zdrowotną szansę popracować jeszcze chociaż przez kilka lat to ochrona zdrowia w Polsce nie byłaby na tak niskim, wręcz kompromitującym poziomie a dostępność chorych do świadczeń medycznych nieporównywalnie lepsza. Był daleko od wielkiej polityki, ale politykę z powodzeniem wykorzystywał w realizacji swoich celów. Dużo zrobił w krótkim czasie..

Lekarze już zarabiają przyzwoite pieniądze. W publicznej ochronie zdrowia średnio na etatach jest to około 7000 tysięcy złotych miesięcznie. W szpitalnych oddziałach specjalistycznych znacznie więcej, Do tego niezłe dochody przynoszą im wynagrodzenia za dyżury, a kolejki do świadczeń w publicznych placówkach

ułatwiają dodatkowe zatrudnienie w sektorze niepublicznym.

Wielu kontraktuje swoje świadczenia nawet w odległych miastach. Ponoć sumaryczne miesięczne zarobki tej grupy zawodowej w granicach 100 000 zł nie są obecnie rzadkością.

Zdecydowanie gorzej na tym tle wypada pozostały fachowy personel ochrony zdrowia.

Pielęgniarki i położne mogą zarobić znacznie mniej. Około 82% z nich ma dochody znacznie poniżej 3900 brutto, a tylko 17% nieco wyższe. Nie każda pielęgniarka może być oddziałową, naczelną, koordynatorką itd. Należy wspomnieć, że obecnie dyplomy pielęgniarskie uzyskują absolwentki studiów wyższych.

Przeciętna pielęgniarka i położna w toku rozwoju zawodowego może obecnie liczyć tylko na kilkaset złotych podwyżek zaczynając pracę od pierwszej płacy na poziomie około 2500 zł brutto.

Personel ochrony zdrowia to nie tylko lekarze, pielęgniarki i położne. W procesie diagnostyki i leczenia jest wiele zawodów, nie mniej ważnych bez których te procesy byłyby niemożliwe.

Elektrodiagnostyka, radioterapia, fizykoterapia, rehabilitacja, ratownic-

two medyczne, analityka medyczna, fizycy w medycynie nuklearnej itd. ciągle są ciągle poza zasięgiem wzroku politycznych i samorządowych decydentów zarabiając przysłowiowe marne grosze.

A przecież bez tych grup zawodowych lekarze i pielęgniarki przy obecnym poziomie medycyny pozostałoby bez pracy!

Bez nich nie może istnieć rzetelna diagnostyka i terapia!

Wejście Polski do Unii Europejskiej skutkowało między innym podaniem się wielu międzynarodowym i instytucjonalnym ocenom.

W zakresie ochrony zdrowia są one dla Polski zawstydzające.

Między innymi według Europejskiego Konsumpcyjnego Indeksu Zdrowia (EHCL) Polska jest na 31 z 37 ocenianych krajów. Oceniano między innymi dostęp do świadczeń medycznych i efekty leczenia.

EHCL dziwi brak skupienia polskiej polityki na opiece zdrowotnej i bezradność w naprawieniu tej fatalnej sytuacji. Tym bardziej, że od lat mamy odpowiedni ku temu wystarczający potencjał gospodarczy.

Trudno będzie w najbliższych latach dogonić takie kraje, jak: Norwegia, Finlandia, Islandia, Niemcy, Holandia czy Belgia. One są w czołówce rankingu.

Średniacy to Francja, Wielka Brytania, Portugalia, Austria i Szwajcaria.

Polska jest zakwalifikowana w grupie Macedonii i Rumunii. Wyżej oceniano nawet Albanię.

Także według **Fundacji Watch Health Care** dostęp do świadczeń medycznych finansowanych ze środków publicznych jest zdecydowanie gorszy niż w krajach o porównywalnym PKB na głowę mieszkańca.

Gdzie zatem tkwi przyczyna tej kiepskiej sytuacji?

Za niskie nakłady? Chyba nie, ponieważ np. w Szwecji wydającej gigantyczne pieniądze na ochronę zdrowia przeciętny czas oczekiwania na świadczenia medyczne przy znacznie mniejszej populacji jest jeszcze dłuższy niż w Polsce.

Według **EHCL** problem tkwi w złej organizacji pracy w placówkach medycznych i w mentalności nadzorującej ją administracji!

Podzielałam tę opinię i po raz kolejny zwracam uwagę na szkodliwe działanie polityków. To przecież oni



tycy od kilkunastu lat nic nie robią aby uzdrowić ciężko chorą ochronę zdrowia. Długo można by wymieniać nazwiska tych, którzy zamiast odpowiadać za zaniechania, po raz kolejny grzeją sejmowe ławy pasożytując na polskich podatnikach.

Pomimo trwającego od roku 2008 kryzysu gospodarczego, większość krajów UE utrzymało poziom nakładów na ochronę zdrowia. Nie udało się to tylko Polsce, Rumunii i Litwie.

Ale Rumunia i Litwa nie były przecież Zielonymi Wyspami.

powołują dyrektorów szpitali i kierowników poradni wszystkich szczebli referencyjnych. Od polityków zależą posady płatnika za świadczenia medyczne (NFZ) i Rzecznika Praw Pacjenta.

To politycy w zaciszu ministerialnych gabinetów decydują o listach leków refundowanych, koszykach świadczeń i kształceniu pracowników medycznych różnych zawodów.

Zadaniem polityków jest systematyczna poprawa warunków dla udzielania świadczeń medycznych i zapewnienie wystarczającego finansowania dla realizacji tych celów.

Tymczasem nadwiślańscy poli-

Najwyższa Izba Kontroli od lat alarmuje o fatalnej sytuacji w ochronie zdrowia i złym wykorzystaniu środków.

W swoich raportach podkreśla, że zwiększenie nakładów na tę dziedzinę nie przynosi oczekiwanych efektów, a realizacja zadań nałożonych na NFZ jest niewystarczająca.

Wyraźnie wskazuje na braki w zatrudnieniu lekarzy specjalistów, wydłużające się kolejki do świadczeń medycznych przy jednoczesnym niewykorzystaniu środków.

W roku 2014 było to prawie **1 miliard 200 mln zł !!!**

To przecież w sumie roczny budżet kilku dużych szpitali. Koszt budowy i wyposażenia nowego szpitala na warszawskim Ursynowie jest oceniany na ok. 400 mln zł. a gigantyczna inwestycja, jaką jest przekopanie kanału przez Zalew Wiślany na 800 mln. Czy politycy tego nie widzą?

NIK wielokrotnie zwracała uwagę na dysproporcje w dostępie do świadczeń medycznych w poszczególnych województwach.

NFZ a politycy nie reagują. Nie ponoszą też odpowiedzialności za olbrzymie koszty (346 mln) leczenia osób nieuprawnionych.

NIK ma określone procedury, więc „nie widzi” wielu patologii.

Szkoda na przykład, że nie bada i nie ocenia wielu idiotyzmów obowiązujących w NFZ, które występują w wielu miejscach Polski.

Czy można inaczej określić nieemożność np. zbadania poziomu cukru we krwi lub morfologii w innej placówce niż tej wydającej skierowanie?

Do tego działającej w ramach kontraktu w tym samym oddziale NFZ. Świadczenia finansowanego przez tego samego płatnika!

Gdzie wolność wyboru? Jakże uzasadnienie dla tej durnoty?

W wielu poradniach jest tak, że pacjent może odebrać wynik np. badania RTG wyłącznie w gabinecie lekarza kierującego. Żeby to zrobić musi się do niego ponownie zapisać. Za tę niepotrzebną wizytę oczywiście musi zapłacić NFZ, a kolejka chorych się wydłuża.

Jest to dotkliwie szczególnie dla ludzi w podeszłym wieku i niepełnosprawnych zmuszonych do korzystania z wielu poradni w różnych lokalizacjach. Tych paradoksów politycy też nie widzą.

Ostatnie zapowiedzi rządu PiS przedstawiane przez ministra Radziwiłła nie napawają mnie optymizmem. Mgliście zapowiada powrót do tego, do czego nigdy bym nie chciał wrócić.

Minister obiecuje – NFZ zniknie do końca 2017 roku, a kosztowna biurokracja funduszu pójdzie w niepamięć.

Według jego planu zniknie też pojęcie ubezpieczenia zdrowotnego. Wrócimy do finansowania ochrony zdrowia przez budżet państwa.

Będzie to zatem powrót do czasów, kiedy to sejm, senat, minister, wojewoda i im podległe służby stanowiły jak i w jakim zakresie będzie fi-

nansowana ta jedna z najważniejszych dziedzin życia społecznego, jaką jest ochrona zdrowia. Powrót do PRL.

Dyrektor szpitala lub kierownik przychodni dostanie z urzędu wojewódzkiego tabelkę i przelew na konto, a dialog będzie wyglądał mniej więcej tak:

Macie towarzyszu na płace tyle, na inwestycje tyle, na szkolenia tyle, na leczenie tyle, a tyle na strzyżenie trawników...

Rządźta się i w terminie nadsyłajta sprawozdania i raporty!

To już było Panie Ministrze. Doprowadziło do olbrzymiej fali protestów niewydolności systemu!

Warto w tym miejscu wspomnieć, że w latach 1993–1995 działała Społeczna Komisja Zdrowia, która wypracowała konkretny projekt ustawy O Powszechnym Ubezpieczeniu Zdrowotnym. Zespół działał z upoważnienia KK NSZZ Solidarność, a w jego skład weszli przedstawiciele wielu partii politycznych, samorządy i związki zawodowe.

W tym zespole pracowali reprezentanci KPN, ZCHN, UD, PC, PCHD, NSZZ "S", byli obecni przedstawiciele samorządu lekarskiego, pielęgniarek i środowiska farmaceu-

tycznego. Wszyscy zgadzali się z tezą, że trzeba jak najszybciej wprowadzić system ubezpieczeń zdrowotnych blokujący kaprysy polityków w zakresie nakładów na ochronę zdrowia i skończyć wreszcie z peerelowską przeszłością.

Liczne manifestacje i szeroka fala protestów pracowników ochrony zdrowia, które wówczas przelewały się przez kraj zmusiły rządzących (SLD-PSL) do reakcji. Minister Jacek Żochowski (SLD) wraz z marszałkiem senatu Adamem Struzikiem (PSL) podjęli rozmowy z Zespołem. Obaj przybyli do Jachranki na konferencję zorganizowaną w celu ustalenia planów realizacji wprowadzenia ustawy do parlamentu. Obaj publicznie, w obecności kamer zadeklarowali wsparcie i udział swoich partii w dalszej dyskusji nad ostatecznym kształtem ustawy.

Musieli to zrobić, gdyż zapasć w funkcjonowaniu ochrony zdrowia była już tak głęboka i dramatyczna, że z wprowadzaniem reform nie można było dłużej zwlekać.

Media systematycznie przekazywały informacje z prac tej Komisji.

W efekcie w dniu 6 lutego 1997 r. sejm uchwalił ustawę O Powszechnym Ubezpieczeniu Zdrowotnym,

która była rozwiązaniem kompromisowym dla wielu środowisk politycznych. Weszła w życie z dniem 1 stycznia 1999 r. (Pisałem o tym szerzej w numerze 2. Opinii i tam odsyłałem zainteresowanych bliżej tym tematem)

Wspomniałem o powyższym przezuwając nadchodzącą awanturę polityczną i środowiskową, która zapewne wyniknie jeżeli plany PiS dotyczące wprowadzenia skompromitowanego finansowania ochrony zdrowia z budżetu państwa za pośrednictwem urzędów wojewódzkich będą zrealizowane. Nie wierzę, że wszystkie podmioty, które będą brały udział w nadchodzącej dyskusji zmienią zdanie i zaakceptują te kierunki reformy. Bez porozumienia wielu środowisk medycznych żadna zmiana systemu się nie uda!

Owszem, dzisiaj PiS ma większość parlamentarną i może bezwzględnie z tego skorzystać.

Jednak, czy z korzyścią dla pacjentów?

Trudno mi dzisiaj oceniać projekt pełnej reformy PiS w zakresie ochrony, gdyż taki jeszcze się oficjalnie nie pojawił. Mgliste i wyrywkowe zapowiedzi medialne ministra nie są materiałem dającym taką możliwość.

Boję się jednak, że w wyniku dotychczasowych zapowiedzi za kilka lat możemy w mediach znowu zobaczyć pacjenta zgłaszającego się do szpitalnej izby przyjęć z łóżkiem polowym pod pachą i torbą leków lub prężny zespół pogotowia uruchamiający karetkę „na pych” przed nagłym wyjazdem, a ulice miast będą świadkami licznych demonstracji.

Polityka i politycy mieli, mają i nadal będą mieli istotny wpływ na nasze życie i zdrowie. Muszą zatem zapamiętać:

PRIMUM NON NOCERE

Zbigniew Andrzej Adamczyk
Listopad 2016

BROŃMY NASZYCH MIESZKAŃ I DOMÓW

„Równość, wolność, własność – to prawa najpotrzebniejsze człowiekowi”
Stanisław Staszic.

Czytam w jednej z gazet listę bez mała 2000 adresów kamienic i nieruchomości w Warszawie, które są uznane za udokumentowany przedmiot roszczeń reprivatyzacyjnych. Czytam o 8000 spraw, które toczą się w sądach a dotyczą zwrotu mienia w Warszawie. Czytam o około 14000 spraw, które mogą być przedmiotem roszczeń w Warszawie.

Reprivatyzacja, zwrot własności – temat, który wraca.

Dla obecnych lokatorów, a mogą ich być dziesiątki, a może i więcej tysięcy sądowe wyroki oznaczają z reguły konieczność opuszczenia zajmowanych mieszkań i nieruchomości. Nowi – starzy z mocy prawa kamienicznicy są z reguły bezwzględni, w myśl reguły „wynocha na bruk”.

Kto zdecydował o tym, że taką ma treść i takie są fakty dotyczące większości zwracanych nieruchomości w Warszawie? Odpowiedź brzmi „nikt”. A nikt to „święte prawo własności”. Na jego straży stanął najpoważniejszy spadkobierca komuny Aleksander Kwaśniewski, który w 2001 roku zawetował ustawę reprivatyzacyjną. Dołączył do niego Bronisław Komorowski, którego formacja PO rządząca przez osiem lat nie potrafiła przygotować uczciwej ustawy, a pośpiesznie napisanej, uproszczonej wersji i tak na odchodne Pan Prezydent nie podpisał.

Moja teza brzmi: zaniechanie prawdziwej prywatyzacji – z czym mamy do czynienia od lat to dobitny dowód korupcyjnej zмовы rządzących od lewa do

prawa w imię obcych interesów, z krzywdą dla Polaków i to najczęściej tych najuboższych.

Kim są z reguły „spadkobiercy” – pożał się Boże, występujący z roszczeniami? Przypominają postacie z felietonów Wiecha:

„Urzędnik pyta Uszera Rotenberga

- Skąd Pan ma świadectwo uniwersytetu w Dijon?

- Kupiłem za 500 złotych od Nuchima Sierszczyka – odpowiada szczerze pan Uszer, absolwent szkoły chederowej.

Krótkie śledztwo wykazało, że Nuchim Sierszczyk miał wytwórnę świadectw uniwersytetu w Dijon, które dostarczał młodym pacyfistom w wieku poborowym z północnej Warszawy celem wyreklamowania z wojska.”

Skala roszczeń poraża. Przykład – dom w Warszawie Marszałkowska 138–142 róg Świętokrzyskiej, przy skrzyżowaniu metra, zbudowany w 1955 roku, wart z działką dziesiątki, a może ponad 100 milionów złotych. Podobnych nieruchomości mamy tysiące. Wszak przedwojenna Warszawa swym obszarem ograniczała się do dzisiejszych centralnych dzielnic. A jeśli tak, to choćby ze względu na położenie wartość i cena nieruchomości na tym obszarze idzie w dziesiątki milionów złotych.

Ponieważ nie ma ustawy o reprowaryzacji w Polsce – choć wszystkie kraje postkomunistyczne dawno ten problem rozwiązały – toteż mieszkań i kamienic nie wolno wykupować. Miasto ich nie remontuje, lokatorzy też o nie nie dbają, bo to nie ich. Jest wiele pustostanów, na których miasto nie zarabia, a które niszczej. Mogę dodać mój wniosek – pewnie właśnie o to chodzi. Bo opuszczoną bądź zdewastowaną nieruchomość łatwiej przejąć za „psi grosz”, bądź przekazać cwaniakom mocą wyroku sądowego. I tak oto władze miasta głosząc, że stoją na straży prawa sprzyjają bezprawiu.

Jednocześnie te same władze miasta, które nie podejmują żadnych decyzji w większości spornych spraw szybko i zdecydowanie potrafiły odmówić prawa zwrotu spadkobiercom działki położonej w sąsiedztwie Stadionu Narodowego. Bo groził skandal, że na mistrzostwa Europy stadion nie będzie otwarty. Jak widać, gdy się chce to można.

O problemie zwrotu własności wielokrotnie pisali eksperci Klubu Inteligencji Polskiej i część mediów. Wskazywali, że w umowach z państwami Europy

Zachodniej i USA władze komunistycznej Polski zobowiązały się i sumiennie spłaciły wszystkie powojenne roszczenia. A jednocześnie Polska nigdy nie otrzymała zadośćuczynienia ani od Niemiec ani od spadkobierców Związku Radzieckiego dotyczącego zniszczeń wojennych, które tak jak w przypadku Warszawy nie zostały w większości spowodowane działaniami wojennymi, a były efektem systematycznego niszczenia substancji materialnej przez okupantów.

Moim zdaniem o problemie reprivatyzacji należy dziś mówić ze zwielokrotnioną mocą. Czemu? Bo objawia się on w zupełnie nowym kontekście. Nowy rząd deklaruje strategię ponownej industrializacji, odzyskiwania przez Polaków własności w przemyśle, bankach, handlu. Pozostawienie nie rozwiązany problem reprivatyzacji będzie jednocześnie oznaczać wywłaszczenie setek tysięcy Polaków z mieszkań, domów, nieruchomości, ziemi. Ten majątek, co gorsza, ma z mocy prawa, a ja powiem z wszechmocy bezprawia przejść za bezcen w ręce cwaniaków i kombinatorów.

Wybijanie się Polaków na własność – hasło, które na swych sztandarach wypisał nowy rząd nie może rozpocząć się od wyrzucenia ich z mieszkań i domów. Postawmy jasną tezę – sprawdzianem wiarygodności rządzących powinna być bezzwłocznie zgłoszona i przegłosowana ustawa reprivatyzacyjna dająca godne zadośćuczynienie prawowitym, powtarzam i podkreślam – prawowitym spadkobiercom właścicieli, a jednocześnie uznająca prawa i zabezpieczająca los obecnych użytkowników mieszkań i nieruchomości. Jeśli mówimy o obronie polskiej ziemi to tym bardziej i głośno mówmy o obronie polskich nieruchomości. W myśl zasady „nasze ulice, nasze kamienice”.

Problem znalezienia funduszy na godziwe zadośćuczynienie prawowitym spadkobiercom uważam za pozorny. Wielu obecnych lokatorów zgodzi się wykupić przy częściowej spłacie zajmowane mieszkania, co stworzyłoby fundusz reprivatyzacyjny, równocześnie uruchomiło rynek wtórny a w konsekwencji umożliwiło remonty i odbudowę kamienic, dając miastu wpływy podatkowe. Możemy tu dodać, że władze Warszawy swą beczynnością potrafią zadziwiać a fakt, że w roku 2015 nie umiały wydać około dwóch miliardów złotych dowodzi, ile pieniędzy marnuje się, gdy chociażby niewielka ich część powinna posłużyć do wykupu roszczeń, wystawienia wolnych lokali na licytację i uzyskanie tą drogą kolejnych środków rozwiązujących problem reprivatyzacji.

Dlatego po raz kolejny wracam do tezy, że w sprawie zwrotu własności mamy w Polsce znowę urzędników, polityków, finansowych malwersantów. Trwa żerowisko bezprawia, korupcji.

Pytam więc, czy nie jest to czas byśmy nie oglądając się na władzę, ale chcąc jej pomóc i z nią współdziałać w imię wspólnego dobra podjęli walkę o obronę polskiej własności w stolicy i wielu miastach Polski. Zorganizujmy się, pilnie przygotujmy jasny projekt ustawy repriwatyzyacyjnej – niech to będzie nasza społeczna inicjatywa. Pod hasłem – „Warszawo ty moja, Warszawo”, „Krakowie ty mój, Krakowie”, „Wrocławiu ty mój, Wrocławiu” zbierzmy podpisy i złożmy ja w Sejmie. Głęboko wierzę, że będzie nas wielu, a wątpiący dziś, dołączą do nas jutro.

DEFLACJA – CIESZYĆ SIĘ CZY BAĆ?

Deflacja – nowy termin, nowe słowo odmieniane w mediach, zapoznajemy się z nim od kilkunastu miesięcy. Deflacja to w ekonomii zjawisko spadku cen nominalnych towarów i usług, a przede wszystkim indeksów statystycznych, które syntetycznie odwzorowują poziom i zmiany cen.

Konsument mający do czynienia z deflacją – powie: jest dobrze, kupię taniej, mogę kupić więcej, albo zaoszczędzić.

Producent, wytwórca taniejącego dobra – powie: jest niedobrze, zarobię mniej, mniej zaoszczędzę, mniej zainwestuję.

Producent, nabywający tańszy surowiec bądź półprodukt – powie: jest świetnie, zarabiam więcej, mogę więcej skonsumować, zaoszczędzić, zainwestować.

Ci spośród konsumentów, którzy mają stałe dochody – płace, renty, dodatki, np. 500 złotych na dziecko zdecydowanie uznają deflację za zjawisko korzystne. Z kolei ci, których dochody są zmienne i z reguły podążają za ruchem cen będą odmiennego zdania.

A co o deflacji sądzą pożyczkobiorcy, zadłużeni w bankach bądź instytucjach kredytowych? Oni z reguły z niepokojem obserwować będą rozwój wypadków, gdyż ewentualny spadek ich dochodów utrudni, a być może nawet uniemożliwi spłatę niezmiennych przecież rat kapitałowych.

Skoro tak różne są reakcje na deflację spróbujmy odpowiedzieć na pytanie dla ekonomisty podstawowe – jakie są przyczyny tego zjawiska? Zacznijmy od najważniejszych, najstarszych i ogólnościowych.

Deflacja to zjawisko nie nowe. Wiek XIX w gospodarce europejskiej, w okresie tzw. rewolucji przemysłowej charakteryzował spadek cen czyli deflacja. Jej główną przyczyną, która ze wzmożoną mocą dała o sobie znać na przełomie XX i XXI wieku jest bardzo szybki wzrost wydajności pracy wynikający z postępu technicznego: automatyzacji, komputeryzacji, nowoczesnych systemów informatycznych i komunikowania się. Wzrost wydajności pracy skutkuje spadkiem kosztów produkcji oraz zwielokrotnieniem jej skali, co prowadzi właśnie do spadku cen.

Drugą przyczyną deflacji, nazwijmy ją od kraju pochodzenia „na wzór japoński” jest dyscyplina społeczna, model kulturowy polegający na bardzo silnej tendencji do oszczędzania i nie wydawania znacznej części dochodów z pracy. Ta postawa większości społeczeństwa japońskiego na długie lata zahamowała dynamikę gospodarczą.

Kolejnym przykładem przyczyny deflacji jest zjawisko ekspansji kredytowej, która miała miejsce w Stanach Zjednoczonych pod rządami Billa Clintona, gdy bez trudu uzyskiwano w bankach środki na zakup domów i nieruchomości, których ceny w związku z tym rosły w przyspieszonym tempie, by po osiągnięciu apogeum, czyli wypłacalności klientów skutkować gwałtownym załamaniem cen i obrotu właśnie domami i nieruchomościami.

Przykład Stanów Zjednoczonych ukazał jednocześnie, że deflacja może być efektem nowego ukształtowania się relacji między realną, towarowo-pieniężną sferą gospodarki a niezależniającą się od niej sferą finansowo-spekulacyjną. Obserwujemy ogromny, sztucznie wykreowany kapitał finansowy, który krąży, możemy powiedzieć „w obiegu zamkniętym”, nie obsługując sfery wymiany towarowej, który jednocześnie przyciąga pieniądź funkcjonujący na realnym rynku czym przyczynia się do niedoboru tego pieniądza i spadku cen.

Kiedyś inflacja, a dziś deflacja zaczyna pełnić także rolę mechanizmu podziału, alokacji i realokacji wytworzonej nadwyżki między grupami społecznymi, narodami i państwami. To zjawisko nowe i mające często podteksty polityczne, czego przykładem jest obserwowany obecnie spadek cen surowców na świecie.

Jakie są przyczyny deflacji w Polsce i które z nich uznamy za korzystne, a które przeciwnie?

Z pewnością spadek cen importowanych przez nas surowców energetycznych to zjawisko pozytywne, ale już spadek cen żywności wywołany embargiem rosyjskim i ukraińskim, choć cieszy konsumentów, to mocno niepokoi rolników i przemysł rolno-spożywczy.

Są także przyczyny deflacji w Polsce, które należy, jeśli nie zlikwidować, to radykalnie ograniczyć.

Za pierwszą i najważniejszą uznaję legalny i nielegalny wywóz kapitału z Polski, głównie przez firmy i banki zagraniczne, którego to rozmiary szacuje się na 80-100 miliardów złotych rocznie. To są realnie wywiezione z Polski pieniądze, które powinny być tu inwestowane, bądź oszczędzane służąc jako kredyt, trafiając na rynek.

Drugim zjawiskiem, które sprzyja deflacji jest szybki rozrost szarej i czarnej strefy, która posługując się i obracając legalnym pieniądzem, sama będąc nielegalna, wywołuje efekt „wypłukiwania” pieniędzy z rynku.

Trzecim czynnikiem sprzyjającym deflacji jest wywóz dewiz przez liczoną już w setkach tysięcy populację Ukraińców, którzy przyjechali do Polski „za chlebem”. Dochody z pracy w złotówkach starają się oni nie wydać na rynku, a maksymalnie zaoszczędzić, zamienić w kantorach na dolary i wywieźć. To jest właśnie zjawisko „odsysania” pieniądza z klasycznej cyrkulacji: pieniądź – towar – pieniądź, co skutkuje odkładaniem się wytworzonych produktów w magazynach i wymusza spadek cen.

Wymienione powyżej zjawiska powinny być wnikliwie analizowane przez rząd i Narodowy Bank Polski i należy im z całą stanowczością przeciwdziałać. Tak niestety się nie dzieje, co dowodzi, że ani rząd, ani tym bardziej Narodowy Bank Polski nie działają w imię naszych podstawowych interesów. Co gorsza, Narodowy Bank Polski swą polityką emisji pieniądza, a mówiąc dokładniej polityką ograniczającą emisję pieniądza wyłącznie do wymiany dewiz na złotówki powoduje rosnący niedobór gotówki i kredytu, a w efekcie deflację i nadmierne bogacenie nielicznych, ubożenie wielu.

Sumując: powinniśmy przestrzec polskich przedsiębiorców, że o ile nie zmieni się i to radykalnie polityka Narodowego Banku Polskiego i rządu, zja-

wisko deflacji może okazać się trwałe. A wtedy skorzystają na nim tylko ci przedsiębiorcy, którzy przetrwają i znajdą w sobie pomysł na obniżenie kosztów i inwestycje. W myśl zasady – „co cię nie zniszczy, to cię wzmocni”.

Dla budżetu państwa jednakże długookresowa deflacja to ogromne zagrożenie nie wykonania dochodów budżetu, ze wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami. A przypomnę, że w projekcie budżetu na ten rok rząd zakłada poziom inflacji 1,7%. Spadek cen towarów i usług oznacza spadek dochodów podatkowych zarówno z podatków bezpośrednich, jak i pośrednich, gdy jednocześnie przedstawiony został program ogromnego wzrostu wydatków socjalnych.

Sądzę, że już pora odpowiedzialnie i z całą powagą przemyśleć jak rozwiązać problem deflacji w Polsce.

WYBIERAJ – EMIGRACJA ALBO BEZROBOTNY ZAWODOWY

Zacznijmy od faktów.

W poszukiwaniu pracy wyemigrowały 2-3 miliony Polaków, głównie młodych, zdolnych, aktywnych, energicznych. By uchwycić skalę zjawiska powiem, że wielkość ta odpowiada dziesięcioletniemu przyrostowi naturalnemu w Polsce. To tak, jakby w ciągu dekady Polacy nie rodzili się, a wyłącznie wymierali.

Według ostatnio przeprowadzonych badań około półtora miliona dorosłych Polaków jest zdecydowanych wyemigrować w poszukiwaniu pracy. Co gorsza, w sumie około cztery miliony naszych rodaków poważnie rozważa emigrację za pracę. Główne powody i motywy ich decyzji to zarobki i lepszy standard życia. Najliczniejszą grupę potencjalnych emigrantów stanowią ludzie młodzi do 35 roku życia (ponad 60%), mieszkańcy województw wschodnich i południowych ze wsi i małych miasteczek. Co ciekawe, za próg wynagrodzenia powyżej którego gotowi byłiby zostać i pracować w Polsce uznają kwotę około 2,5 tysiąca złotych netto. Dodajmy, że według oficjalnych statystyk zarejestrowanych bezrobotnych w Polsce jest około półtora miliona.

Zjawiskiem nowym, o wysokiej dynamice, którego lekceważyć nie należy jest imigracja zarobkowa do Polski około jednego miliona Ukraińców. Gdzie znajdują zatrudnienie? Przede wszystkim w rolnictwie, budownictwie, usługach

gach, handlu. Wykonują prace ciężkie, niskopłatne, bez przestrzegania kodeksu pracy, respektowania norm zdrowotnych i ekologicznych.

Pora wyciągnąć wnioski.

Pierwszy z nich: błędna polityka wysokiego opodatkowania niskich płac doprowadziła do wyrugowania części Polaków z wykonywania zawodów przejętych następnie przez Ukraińców. Gdyby jednocześnie Polacy znajdowali zatrudnienie w zawodach wyżej płatnych, ciesząc się większym szacunkiem bądź prestiżem moglibyśmy powiedzieć, że nic złego się nie dzieje. Ale tak nie jest, czego dowodem właśnie chęć emigracji około półtora miliona Polaków o niskim wykształceniu. A zatem polityka kolejnych rządów polega na kreowaniu mechanizmów ekonomicznych, rugowania Polaków z rynku pracy i rozszerzania tego rynku dla Ukraińców. W konsekwencji polityka ta wymusza na młodych Polakach emigrację zarobkową. To jest prawda, której nikt głośno nie ma odwagi powiedzieć.

Wniosek drugi: wysokie opodatkowanie niskich dochodów stoi w całkowitej sprzeczności z próbą wprowadzenia polityki prokreacyjnej poprzez ustawę 500+. Tam, gdzie zmusza się do emigracji, utrudnia zakładanie i samowystarczalność materialną rodzin nie należy liczyć na wysoki przyrost naturalny.

Wniosek trzeci: znaczna część Ukraińców pracuje na szaro bądź czarno czyli nie płaci w Polsce podatków. Ile z tego tytułu wynoszą straty budżetu? Warto spytać ministra finansów. Co więcej, Ukraińcy starają się zarobione pieniądze zaoszczędzić, czyli ograniczają własną konsumpcję, zmniejszają popyt ku utraپieniu producentów i handlowców w Polsce. Ci ostatni przecież nie sprzedawczy i nie zarobiwszy zapłacą mniejsze podatki. Ukraińcy zaoszczędzone złotówki wymieniają na dolary i wywożą z Polski, czym pogarszają bilans płatniczy, ograniczają obieg pieniądza a w sumie rozmiary inwestycji i wynikającego stąd przyrostu zatrudnienia w Polsce. Według moich szacunków skala wywozu dewiz z Polski przez Ukraińców wynosi od trzech do pięciu miliardów dolarów.

Wniosek czwarty: pod znakiem zapytania postawić należy działalność urzędów pracy i całego systemu „kojarzenia” pracodawców z pracownikami. Jaki sens mają szkolenia, przekwalifikowania, kursy i tym podobne przedsięwzięcia dla młodych ludzi bez kwalifikacji, jeśli pracy dla nich nie będzie, bo Ukraińcy podejmą ją za niższą płacę. Mamy do czynienia z grą pozorów, gdzie urzędy

pracy udają, że troszczą się o bezrobotnych a bezrobotni udają, że szukają pracy. Wychowaliśmy dzięki złemu prawu pracy i prawu podatkowemu zastępy, o których bard Warszawy Stanisław Grzesiuk śpiewał, że każdy z nich „jest chłop morowy i bezrobotny jest zawodowy”.

Zastanówmy się nad przewidywanym rozwojem wypadków. Należy obawiać się pogarszania sytuacji ekonomicznej i politycznej na Ukrainie. Destabilizacja w tym kraju, która może nastąpić niebawem, wywoła zwiększony napływ imigrantów zarobkowych do Polski. Rozszerzy to strefę pracy na szaro i czarno, ale co ważniejsze może wzmoc presję na spadek realnych wynagrodzeń tam, gdzie Ukraińcy znajdują zatrudnienie. W konsekwencji pogorszy się pozycja polskich pracowników, zmniejszą możliwości znalezienia pracy, wzmocnią motywacje do emigracji z Polski. O konsekwencjach powyższych zjawisk dla budżetu państwa pisałem powyżej.

Co zatem należy zrobić?

Za najważniejsze uważam szybkie i radykalne uporządkowanie systemu wynagradzania i opodatkowania najniższych wynagrodzeń poprzez zwiększenie kwoty wolnej od podatku do poziomu właśnie 2–2,5 tysiąca złotych miesięcznie, czyli poziomu postulowanego przez potencjalnych emigrantów. Porównajmy – środki przeznaczone na ustawę 500+ pozwoliłyby zatrudnić dwa miliony bezrobotnych i powiększyć ich wynagrodzenie o około tysiąc złotych z obecnego minimum wynoszącego 1355 złotych netto. A to przecież oznacza, że potencjalni emigranci zdecydowaliby się na pozostanie w Polsce, tu konsumowali i płacili podatki, tu zakładali rodziny i mieli dzieci. Należy także obniżyć narzuty na płace (ZUS) dla najniżej płatnych zawodów. Przedsiębiorców zaś należy premiować ulgami inwestycyjnymi, przyspieszonym i zwiększonym odpisem amortyzacyjnym.

Naiwnością jest mniemać, że napływ Ukraińców do Polski uda się ograniczyć bądź zlikwidować metodami administracyjnymi. Jest już za późno. Są firmy, branże, które całą kalkulację oparły na tanim robotniku ukraińskim. Byłoby głupotą je niszczyć. Należy zatem zalegalizować pracę Ukraińców w Polsce w taki sposób, by przestało się opłacać zatrudniać ich nielegalnie, a ich samych zniechęcić do takiej pracy. Służyć do tego może podatek ryczałtowy.

Należy także przeciwdziałać aprecjacji złotówki względem dolara, dążyć do

osłabienia jej kursu, a zatem nie naśladować bezwolnie polityki Europejskiego Banku Centralnego kierowanego pod dyktando i w interesie Niemiec. Polityka mocnego złotego ma swoje konsekwencje na rynku zatrudnienia w Polsce, szczególnie w zawodach niskopłatnych. Zwiększa napływ imigrantów zarobkowych z Ukrainy, a Polaków „wypycha” na emigrację. I jednym i drugim się to opłaca, ale Polska traci pod każdym względem.

Należy także odebrać Ukraińcom prawo do ubiegania się o 500 złotych na dziecko, co zostało wpisane w tak rozreklamowaną przez rząd ustawę. Szacować można, że około 100 tysięcy Ukraińców skorzysta z takiej dopłaty. Pytam o co chodzi rządowi? Czy o tworzenie dodatkowych zachęt dla imigrantów zarobkowych z Ukrainy? Przecież to rząd deklarował, że zależy mu na przyroście naturalnym Polaków, a nic nie wspominał o Ukraińcach.

Uważam, że program zmian w polityce społecznej i socjalnej obiecany wyborcom przez rządzących, nie zweryfikowany i nie podporządkowany mądrym programowi ekonomicznemu, w którym na czołowym miejscu postawiony zostanie los i interes małego i średniego polskiego przedsiębiorcy może zakończyć się porażką polityczną. Realne koszty poniosą pracownicy i polskie rodziny.

KIEDY KOLEJNE RZĄDY MÓWIĄ – „NIC TO...”

Rok temu wybuchła afera Volkswagena. Na czym polegała? Wielki koncern walczący o prymat w produkcji samochodów na świecie, nie potrafiąc wyprodukować katalizatora spalin spełniającego wyśrubowane normy ochrony środowiska tak zaprogramował komputery w samochodach, że gdy wjeżdżały na przegląd na stację diagnostyczną przez niezbędny do badania czas 1370 sekund katalizator działał na poziomie przestrzegania norm, by później emisja spalin rosła nawet 40-krotnie.

Wybuchł skandal, koncern chciał bowiem podbić amerykański rynek samochodów z silnikiem diesla, reklamując się jako dowód „niemieckiej solidności”. Klienci, dilerzy, urzędy stanowe, Amerykański Urząd ds. Konkurencji wnieśli pozwy do sądu – o fałszerstwo, o naprawy, o odszkodowania, o wymiany podzespołów, o zadośćuczynienie za zanieczyszczenie środowiska. Koszt

pozwów i napraw tylko w USA szacuje się na od 45 do 90 miliardów dolarów. Tyle będzie musiał zapłacić Volkswagen.

W obronę niemieckich koncernów samochodowych zaangażowali się czołowi politycy, z panią kanclerz Angelą Merkel na czele. To oni zabiegają i dopilnowują korzystnych dla firm samochodowych norm zużycia spalin oraz metod ich sprawdzania uchwalanych przez instytucje europejskie i publikowanych w dyrektywach. Właśnie z tego powodu do dziś normy emisji spalin są w Europie dwukrotnie łagodniejsze niż w Stanach Zjednoczonych. Postawę niemieckich polityków zdecydowanie broniących własnego przemysłu można zrozumieć i zaakceptować.

Ale przejdźmy na rodzime podwórko. Skoro Niemcy bronią swego przemysłu, co robimy my w Polsce?

Po drogach polskich jeździ szacunkowo ponad 170 tysięcy samochodów z fałszującymi dane komputerami trujących nas i nasze środowisko naturalne. Od bez mała roku apeluję o reakcję do:

- Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który przecież powinien walczyć z oszustwami, tym bardziej na wielką skalę
- Ministerstwa Środowiska, któremu podległe instytucje odpowiadają za przeciwdziałanie naruszaniu norm zanieczyszczenia powietrza
- Inspekcji Transportu Drogowego

Mówiąc krótko, pytam urzędy, instytucje, ministerstwa specjalnie powołane i opłacane z naszych podatków do interweniowania w sprawach dotyczących ochrony środowiska. Zatrudniają one przecież tysiące pracowników, jako cel mają wyznaczoną obronę polskiego konsumenta, polskiego państwa, naszej przyrody. Dla przykładu podam, że UOKiK zatrudnia około 500 osób i ma budżet przekraczający 66 milionów złotych.

Otóż od bez mała roku wszystkie wyżej wymienione instytucje milczą i nie podjęły żadnych skutecznych działań w sprawie afery VW. Oto fakt mówiący jednoznacznie, jak rozumieją one obronę polskiego interesu na wszystkich płaszczyznach. Czego to dowodzi? Po pierwsze skali infiltracji najważniejszych urzędów, instytucji, ministerstw przez lobby firm zagranicznych. Dodajmy – zmieniają się rządy, ale nie polityka wobec kapitału zagranicznego. Po drugie dowodzi to strachu urzędników przed podjęciem działań naruszających interesy „możnych” oraz

ich poczucia bezsilności. A na koniec potwierdza to, że przeświadczenie o bezkarności i dominacji zagranicznych firm, instytucji, lobby w Polsce, które uznają, że „tu mogą wszystko” jest słuszne. Można nas traktować jako sługę i podnózek.

Potwierdzeniem tej tezy niech będą fakty związane z działalnością Volkswagena w Polsce. Firma za poprzednich rządów zawarła bardzo korzystną umowę na budowę zakładu we Wrześni koło Poznania. Otrzymała wieloletnie zwolnienie podatkowe (czy ktoś z polskich przedsiębiorców może o czymś takim marzyć?). Dodatkowym „smaczkiem” jest fakt, o którym ani poprzedni, ani obecny rząd wolą milczeć, że państwo polskie zobowiązało się wydatkować dodatkową kwotę, wielu milionów złotych (nikt nie chce ujawnić ile) na edukację miejscowej ludności w zakresie kultury niemieckiej, naukę języka, poznanie osobowości i tożsamości niemieckiej. Mnie pozostaje tylko dodać, że wszystko to dzieje się we Wrześni, która w historii Polski zapisała się jako miasto, gdzie dzieci polskie odmówiły nauki religii z niemieckiego katechizmu i zażądały polskiego. Oto jak my potrafimy wykipić bohaterów własnej historii, sami mając gębę pełną bogoojczyźnianych frazesów.

Ale to nie koniec zawirowań wokół koncernu VW w Polsce. Dowodem, że czuje się on u nas jak u siebie, a ja śmiem twierdzić, że nawet lepiej, bo całkowicie bezkarnie, jest fakt zamiaru budowy koło Wrześni hotelu. Zgadnijcie Państwo dla kogo? Otóż dla sprowadzanych według zamierzeń do Polski robotników-immigrantów. Mają być oni tańsi od Polaków, których i tak koncern nie zatrudnia a zlecił to firmie pośredniczącej, bo nie chce mieć kłopotów z personelem i związkami zawodowymi.

Jak widać, tu gdzie konkrety, pieniądze, interesy nasi urzędnicy i politycy z bożej łaski, tchórzem i korupcją podszyli nawet „walecznego słowa” nie potrafią wypowiedzieć, a co dopiero konsekwentnie bronić naszego interesu.

I dlatego cieszę się, że w Poznaniu organizuje się środowisko właścicieli samochodów z wadliwym katalizatorem firmy VW. Niech wystąpią z roszczeniami prywatnymi przeciw VW, bo ich skala może sięgnąć 10 miliardów złotych. Dlatego proszę rządzących – jeśli nie potraficie pomóc, to chociaż nie przeszkadzajcie. Inicjatorom zaś życzę – zorganizujcie się po poznańsku, uczciwie i sprawnie, nie dajcie się rozbić „od środka” przez „życzliwych”, bo takie próby Was spotkają. A ja ściskam Wam prawicę i trzymam za Was kciuki.

DR WOJCIECH BŁASIAK

KWESTIA PRZYWÓDZTWA NARODOWEGO
W POLSCE W WARUNKACH NARASTAJĄCEGO CHAOSU
ŚWIATOWEGO I EUROPEJSKIEGO
A ZMIANA ORDYNACJI WYBORCZEJ DO SEJMU

(Referat wygłoszony na warsztatach naukowych „Szkola demokracji” Ruchu Obywatelskiego na rzecz Jednomandatowych Okręgów Wyborczych)

Sucha Beskidzka, 9–11 września 2016

Europa jest to nie pojęcie geograficzne, jest to pewien poziom życia. Kto nie zdoła na nim żyć, zrośnie się z niższymi formami życia, stanie się dziejowym materiałem, nie twórcą.

Stanisław Brzozowski

Dwie Rzeczypospolite

Zaledwie 20 lat istnienia niepodległej II Rzeczypospolitej w latach 1918–1939, przyniosło zdobycie w krwawych powstaniach i wojnach granic państwa, odrodzonego po 123 latach niebytu. Przyniosło stworzenie względnie sprawnego organizmu państwowego, nowoczesne rozwiązania prawne, nowoczesną edukację, europejski i światowy poziom nauki i literatury. Przyniosło magistralę węglową Górny Śląsk – Wybrzeże, Gdynię, Centralny Okręg Przemysłowy. Przyniosło niezły poziom przemysłu metalowego, elektrotechnicznego i zbrojeniowego, światowy poziom przemysłu lotniczego. I to mimo cywilizacyjnego zapóźnienia i biedy oraz wielkich, a często krwawych napięć i konfliktów społecznych, narodowych i politycznych.

Jak więc w tym kontekście ocenić okres 26 już lat istnienia III Rzeczypospolitej, w którym mieliśmy podarowane przez historię blisko trzy dekady lat spokoju międzynarodowego i niespotykane korzystnie historycznie zewnętrzne warunki kształtowania swej państwowości?

Zbudowane i funkcjonujące w ciągu ostatnich 26 lat państwo III RP okazało się być tzw. „miękkim państwem” (pojęcie Gunnara Myrdala). Okazało się być europejską wersją państwa o cechach zbliżonych, choć nie tożsamy, do cech państw tzw. III Świata. Mówiąc bardziej precyzyjnie jest to zoligarchizowane państwo semiperyferyjnego kapitalizmu zależnego. To państwo okazało się być silnie skorumpowane, istotnie nieudolne i nieskuteczne oraz wysoce niepraworządne, aż po samowolę i anarchię w poszczególnych korpusach cywilnych swego aparatu.

Wyrazem tego była trwała niezdolność do stopniowej nawet poprawy, w tak fundamentalnych sprawach jak stale wysoce niesprawna służba zdrowia, przy kolejnych nieudanych jej reformach czy upadający poziom edukacji dzieci i młodzieży, dzięki kolejnym reformom oraz kompromitujący jak na środkowo-europejskie państwo, poziom nauki i szkolnictwa wyższego. Skumulowanym tego efektem był faktyczny rozbiór gospodarczy w formule prywatyzacyjnej wyprzedaży w ręce obcego kapitału około 50% sektora przemysłowego i około 75% sektora bankowego, za około 4,5 do 5% wartości odtworzeniowej (zmodyfikowana teza Kazimierza Poznańskiego) oraz utrata 5 mln miejsc pracy (teza Mirosława Kabaja).

Powstaje więc zasadnicze pytanie o główną przyczynę takiej drastycznej różnicy jakości państwowości dwóch Rzeczpospolitych.

Za tą przyczynę uważam jakość przywództwa narodowego, której rdzeniem jest jakość politycznej elity przywódczej.

Suwerenne państwa z niepodległymi narodami jako warunek istnienia światowego systemu kapitalistycznego

Historycznym efektem powstania światowego systemu kapitalistycznego było tworzenie suwerennych państw i niepodległych narodów, a w konsekwencji powstanie międzynarodowego systemu państwowego, jako podsystemu w systemie światowym.

Suwerenność i niepodległość były i są przy tym historycznie względne i stopniowalne. Współczesne niepodległe narody, podobnie jak i suwerenne państwa, są tworem kapitalistycznego systemu światowego. Podstawowym prawem funkcjonowania systemu światowego jest nieustanna akumulacja kapita-

łu, w rozwarstwiającym stale świat osiowym podziale pracy, w relacji centra – peryferie (teza Immanuela Wallersteina). System ten nie może istnieć zarówno bez suwerennych państw (teza I. Wallersteina), jak i niepodległych narodów. Suwerenność państw zabezpiecza bowiem prawa własności nieustannie akumulowanego kapitału, będąc politycznym warunkiem istnienia systemu światowego. Niepodległość narodów zabezpiecza społeczną organizację i kulturową motywację procesu produkcji umożliwiającego tę akumulację i jest kulturowym warunkiem istnienia systemu. Warunkiem zaś pełnej niepodległości jest posiadanie własnego narodowego państwa.

Rozwój światowego systemu kapitalistycznego wymagał stworzenia nowej jakości i spójności grup społecznych – narodów. Narodów, jako grup społecznych zdolnych globalną produkcję kapitalistyczną historycznie organizować i kulturowo motywować w obszarze ich terytorialnych ojczyzn. Powstanie i rozwój kapitalistycznego systemu światowego wymusiło ustalenie nowych spójności społecznych, gospodarczych i politycznych oraz nowych tożsamości społecznych i kulturowych dotychczasowych zbiorowości i grup społecznych integrowanych tylko państwowo, wyznaniowo i obyczajowo.

Naród stał się nowym historycznie sposobem istnienia społecznego w gospodarczym, politycznym i kulturowym systemie globalnym, jaki stworzył kapitalistyczny system światowy. Jest sposobem społecznego umiejscowienia jednostek, grup i zbiorowości w strukturze globalnego świata społecznego; w jego gospodarce, polityce i kulturze, a w równocześnie w jego historii. Ten historycznie nowy rodzaj grupy społecznej, który można by określić jako nowoczesny naród społeczny, stworzył nowe możliwości dynamiki kapitalistycznego rozwoju społecznego i gospodarczego.

Interpretując i reinterpreterując dorobek Stanisława Brzozowskiego twierdząc, iż powstanie odrębnych narodów i odrębnych kultur narodowych było wymogiem zachowania samodzielnych procesów produkcji kapitalistycznej w ramach terytorialnych ojczyzn. Narody zdaniem S. Brzozowskiego są jedyną grupą społeczną, które same z siebie, samoistnie, utrzymują się o własnych siłach w historycznie zmieniającym się świecie. Jak to ujęła polska filozof Ewa Sowa, ta samoistność w koncepcji S. Brzozowskiego oznacza, dzięki szeroko rozumianej kulturze narodowej, historyczną zdolność do samoorientacji i samomotywacji

w świecie. Owa historyczna samomotywacja i samoorientacja jest tworzona zdaniem S. Brzozowskiego dzięki szeroko rozumianej kulturze narodowej.

Narodowa samoorientacja i samomotywacja historyczna

Narodowa samoorientacja i samomotywacja do historycznego istnienia w systemie świata kapitalistycznego wymaga czegoś, co nazywa się niepodległością. Niepodległością, czyli brakiem zewnętrznego określania motywacji do historycznego istnienia i zewnętrznego narzucania orientacji w tym historycznym istnieniu. Dlatego właśnie niepodległość narodów jest takim samym niezbędnym warunkiem procesu światowej akumulacji kapitalistycznej, jak suwerenność państw.

W krajach zachodnioeuropejskich to suwerenność państwowa była pierwotna i na jej bazie zachodziły procesy narodowe, a w krajach Europy Środkowo-Wschodniej to dążenie do niepodległości narodowej było pierwotne i na jego bazie tworzyły się suwerenne państwa narodowe. Suwerenne państwa niepodległych narodów są w ostateczności zwieńczeniem kilkusetletniego rozwoju światowego systemu kapitalistycznego.

Podobnie jak w przypadku suwerenności państwowej, również w przypadku niepodległości narodowej możemy mówić o niepodległości zewnętrznej i wewnętrznej.

Niepodległość zewnętrzna to sytuacja, w której żaden inny naród czy inna zewnętrzna siła nie może określać celów i motywów istnienia danego narodu. Niepodległość zewnętrzna oznaczać musi ostatecznie posiadanie własnego suwerennego państwa narodowego.

Niepodległość wewnętrzna natomiast to sytuacja, w której żadna z grup i zbiorowości czy instytucji tworząca społeczność narodową nie może większości społeczeństwa narodowego narzucać i egzekwować celów istnienia oraz motywów egzystencji narodowej. W szczególności o tej niepodległości wewnętrznej w sytuacji istnienia suwerennych państw narodowych, decydują relacje między podstawowymi zbiorowościami społecznymi, a grupami tworzącymi i obsługującymi aparat państwowy. Tym samym o niepodległości wewnętrznej narodu przesądza współcześnie istnienie podstawowych procedur demokratycznych, z demokracją polityczną w roli głównej.

Naród jako historyczna grupa kulturowa istnieje poprzez narodowy dyskurs symboliczny czyli nieustanny proces narodowej komunikacji symbolicznej w toku codziennej jego aktywności. Wytworem tego historycznie trwającego dyskursu jest zjawisko społeczne, które za socjologią fenomenologiczną można by nazwać narodowym uniwersum symbolicznym, a które nazywam narodową wyobraźnią symboliczną. Ta intersubiektywnie istniejąca narodowa wyobraźnia symboliczna ma przy tym dwie ogniskujące idee – suwerenności państwowej i niepodległości narodowej. Ta narodowa wyobraźnia symboliczna jest internalizowana osobniczo w procesach narodowego wychowania i socjalizacji, stale tworząc i odtwarzając narodowe tożsamości społeczne i narodową świadomość potoczną oraz teoretyczną.

Narodowa wyobraźnia symboliczna, tak jak każdy znak w społecznej komunikacji, miała i ma trzy wymiary wewnętrzne. Intersubiektywna wyobraźnia symboliczna miała i ma swój wymiar ikonograficzny w postaci wyrażanej słowami, obrazami i muzyką. Ta grupowa wyobraźnia miała i ma swój wymiar znaczeniowy, w postaci merytorycznych i ideowych treści przekazywanej za pośrednictwem wymiaru ikonograficznego. I wreszcie intersubiektywna wyobraźnia symboliczna miała i ma swój wymiar wartościujący, w postaci przeżywanych emocji niesionych poprzez dwa pierwsze wymiary. Ten wymiar wartościujący tworzył i tworzy etos narodowy w postaci wartościujących emocji patriotyzmu, nadziei, godności, honoru, odwagi i solidarności narodowej.

Ale ta narodowa wyobraźnia symboliczna jest zmienna i zależy od treści i wartości dyskursu narodowego. Można ją więc spłaszczać, redukować i niszczyć.

Narodowa wyobraźnia symboliczna obejmuje treści i wartości umożliwiające historyczną samoorientację i historyczną samomotywację. Kluczowymi obszarami dla tej samoorientacji i samomotywacji są treści i wartości polityki, kultury i nauki społecznej oraz humanistycznej, od dorobku myśli politycznej, po literaturę i sztukę. Są one tworzone przez narodowe elity przywódcze zarówno polityczne, jak i kulturalne oraz naukowe. Takie szeroko rozumiane przywództwo narodowe jest więc kluczowe dla samoorientacji historycznej i samomotywacji historycznego istnienia w systemie światowym. W warun-

kach wolności społecznej można bowiem sprawować przywództwo narodowe wyłącznie za pośrednictwem narodowej wyobraźni symbolicznej.

Powstanie nowoczesnego narodu polskiego i jego komunistyczna deformacja

Nowoczesny naród polski powstał w okresie między II połową XIX i I połową XX wieku, konstytuując się ostatecznie w nową historyczną grupę kulturową w okresie trwania II Rzeczypospolitej. Wojna polsko-niemiecka w 1939 roku domknęła ten narodowotwórczy proces (teza Leszka Moczulskiego). Podjęta przez hitlerowskie Niemcy próba biologicznej likwidacji nowej polskiej grupy narodowej, okazała się ze względu na klęski wojenne nieudana. Wojenne straty biologiczne wśród polskich elit przywódczych były wszakże ogromne.

Okres istnienia Polski Ludowej w latach 1944-1989, jako niesuwerennego państwa podległego w ramach zewnętrznego imperium Związku Radzieckiego, w sposób istotny zdeformował polską tożsamość narodową, a także narodową wyobraźnię symboliczną. Nad dyskursem narodowym panowała rodzima biurokracja komunistyczna, która była stricte kompradorską i lojalistyczną klasą podległą radzieckiemu imperium. Dla tej klasy niepodległość polskiego narodu i suwerenność polskiego państwa, była zagrożeniem, a wręcz końcem jej istnienia.

Dlatego z dyskursu symbolicznego eliminowano, redukowano i banalizowano idee oraz wartości niepodległości narodowej i suwerenności państwowej. Prowadziło to do narodowej indoktrynacji polskiego społeczeństwa, a w konsekwencji do eliminowania i redukowania ideowego patriotyzmu i ideowej tożsamości narodowej. Dla podległej zewnętrznie biurokracji komunistycznej, o kompradorskiej i lojalistycznej imperialnie tożsamości społecznej, ideowy patriotyzm polski, oparty na wartościach niepodległości i suwerenności, był określany jako nacjonalizm, jak w przypadku odwołań do postaci Józefa Piłsudskiego i jego przedwojennego obozu politycznego. Natomiast polityczny nacjonalizm był nazywany faszyzmem, jak w przypadku postaci Romana Dmowskiego i jego przedwojennego obozu politycznego Narodowej Demokracji.

Stworzyło to w całym okresie istnienia Polski Ludowej dwubiegunowość

tożsamości narodowej ze zmiennymi formami przejściowymi i pośrednimi (teza Tadeusza Łepkowskiego).

Pierwszym biegunem stale istniejącym i reprodukowanym był biegun ideowej tożsamości narodowej i niepodległościowego patriotyzmu, w ramach pozapaństwowego dyskursu symbolicznego i pozapaństwowej narodowej wyobraźni symbolicznej.

Drugim biegunem był tworzony i reprodukowany biegun polskiej tożsamości obyczajowo-państwowej, z ideą lojalizmu wobec radzieckiego imperium i akceptacją podległości polskiego państwa, tworzony i reprodukowany w ramach państwowego dyskursu symbolicznego i państwowej wyobraźni symbolicznej. „Patriotyzm” zaś był w tym biegunie przedstawiany jako bezwzględna obywatelska lojalność wobec komunistycznego państwa Polski Ludowej i jego aparatu władzy. „Antypolskie” zaś było wszystko to, co było przeciwko komunizmowi tego państwa i jego imperialnej podległości skierowane.

Zdaniem T. Łepkowskiego w okresie stabilizacji społecznej Polski Ludowej w latach 1957-1960 i 1972-1975, forma przejściowa obejmowała 85-90% Polaków. W okresie chwiejnej stabilizacji w latach 1968, 1978 i 1979, forma przejściowa kurczyła się do ponad 50%, przy wzroście znaczącym bieguna ideowej tożsamości narodowej. Natomiast w okresie antybiurokratycznej rewolucji robotniczej „Solidarności” w latach 1980-1981, forma przejściowa stanowiła już mniejszość, przy zdecydowanej większości bieguna patriotycznego, nazywanego przez T. Łepkowskiego „narodem-ludem”.

Negatywne przywództwo narodowe w III Rzeczypospolitej i jego reprodukcja

Rozpad imperium Związku Radzieckiego w latach 1989 -1991 umożliwił odzyskanie przez Polskę zewnętrznej suwerenności państwowej i zewnętrznej niepodległości narodowej. Kluczowe znaczenie dla całego okresu dotychczasowego istnienia państwa III Rzeczypospolitej miała szokowa transformacja państwa komunistycznego, przeprowadzana pod nadzorem i kierunkiem komunistycznej policji wojskowej generałów Wojciecha Jaruzelskiego i Czesława Kiszczaka. Był to wielki socjotechniczny montaż, oparty na społecznej mistyfikacji i socjotechnicznej manipulacji, umożliwiający komunistycznej biurokracji totalitarnej samotransformację, z zachowaniem jej klasowej przewagi

ekonomicznej i politycznej. W tym dokonywanym na makroskalę społeczną wielkim mistyfikacyjnym montażu zamiany szyldu PRL-u na III RP, szczególnie ważny był celowo dokonywany realny demontaż solidarności społecznej, a nade wszystko solidarności narodowej.

Szczególnie istotnym elementem tego montażu było wykorzystanie dla legitymizacji tej mistyfikacji i manipulacji ikonograficznej warstwy solidarnościowej wyobraźni symbolicznej, pod którą ukryto zasadniczo sprzeczne z nią treści i antywartości.

Decydującym dla przeprowadzenia tego zabiegu było utworzenie z końcem lat 80. przez grupę Lecha Wałęsy, jako przewodniczącego rozwiązanej „Solidarności” oraz grupę Jacka Kuronia, jako lidera politycznego tzw. lewicy laickiej skupionej wokół działaczy byłego KSS „KOR”, nowej postsolidarnościowej formacji politycznej i nowego postsolidarnościowego związku zawodowego. W latach 1987–1991 dokonał się zasadniczy proces pierwotnej selekcji pozakomunistycznych elit politycznych III RP.

L. Wałęsa i jego grupa, przy wsparciu medialnym, politycznym, ale i politycznym komunistów, zablokował w latach 1987–1989 możliwość reaktywacji działalności władz NSZZ „Solidarności” wybranych na I Zjeździe w 1981 roku, a nade wszystko Komisji Krajowej i jej Prezydium. Grupa L. Wałęsy poprzez powołanie samowładnej Krajowej Komisji Wykonawczej, a następnie Regionalnych Komisjach Wykonawczych, wyeliminowała działaczy i przywódców „Solidarności” sprzeciwiających się porozumieniu z komunistami na ich warunkach. Byli to z reguły działacze i przywódcy o silnym etosie narodowym i ideowym patriotyzmie, zbliżeni lub identyfikujący się z pierwszym biegunem polskiej tożsamości narodowej.

Następnie zaś rejestrując nowy związek zawodowy pod starą nazwą „Solidarność”, zalegalizowano te samowładne władze nowego już związku. L. Wałęsa i jego grupa podszyła się de facto pod „Solidarność” lat 80., zawłaszczając politycznie jej szyld i stając za nim zaufanie polskiego społeczeństwa. Doszło nawet do tego, iż aby całkowicie zdezorientować polskie społeczeństwo, pierwszy zjazd nowego związku w kwietniu 1990 roku nazwano „II Zjazdem NSZZ <<Solidarność>>”.

Całkowicie samowładnym tworem był też Krajowy Komitet Obywatelski

przy Przewodniczącym „Solidarności” Lechu Wałęsie. Ten liczący około stu osób komitet, został skooptowany ostatecznie w grudniu 1988 roku na niejawnych i niejawnych zasadach towarzysko-politycznych w środowisku zasadniczo warszawskim, przy niewątpliwym istotnym udziale komunistycznej policji politycznej. Został faktycznie skooptowany przez grupę J. Kuronia, wywodzącą się głównie z anarodowego skrzydła byłego KOR, uformowanego w KSS „KOR”. Grupa ta wypowiadała się pierwotnie w latach 70. za tzw. finlandyzacją Polski Ludowej, z utrzymanie jej zasadniczej podległości wobec Związku Radzieckiego. Była to jedyna grupa politycznej opozycji, która implicite wypowiadała się przeciwko niepodległości Polski.

KKO, z kluczową rolą grupy lewicy laickiej J. Kuronia, stał się trzonem tzw. „strony opozycyjno-solidarnościowej” przy Okrągłym Stole, a następnie decydował o wystawieniu kandydatów w zakontraktowanych wyborach do Sejmu i Senatu w czerwcu 1989. Zadecydował o pierwotnym składzie polityczno-personalnym pozakomunistycznych elit władzy.

I ta nowa formacja i ten nowy związek składał się w zdecydowanej większości z polityków i działaczy o odległym od bieguna ideowego i niepodległościowego patriotyzmu tożsamości i świadomości. Na scenę polityczną zostali wyniesieni de facto przez władze komunistyczne oraz jej cywilne i wojskowe policje polityczne, ugodowi postsolidarnościowi politycy i działacze, o polskiej tożsamości społecznej głównie li tylko obyczajowej, silnie wypreparowanej z idei niepodległości narodowej i suwerenności państwowej.

Formacja komunistyczna, a następnie postkomunistyczna, z właściwą jej anarodową, aż po antynarodową i kompradorską tożsamością społeczną, była drugim skrzydłem elit władzy politycznej od 1989 roku.

Wtórna selekcja tych samozwańczych elit władzy rozpoczęła się wyborami parlamentarnymi w 1991 roku i trwa do dziś. Ich podstawą jest proporcjonalna ordynacja wyborcza uchwalona w czerwcu 1991 roku przez uzurpatorski Sejm kontraktowy. Dzięki tej ordynacji wyłonione pierwotnie w latach 1987–1991 samozwańcze elity polityczne uzyskały możliwość samoreprodukcji. To one bowiem ustalają partyjne listy kandydatów do Sejmu i kolejność miejsc tych kandydatów. Najistotniejszą bowiem cechą ordynacji proporcjonalnej jest niemożność istotnej wymiany już zastanych składów partyjno-personalnych.

Wraz z postkomunistyczną formacją polityczną o podległej i lojalistycznej, a w konsekwencji postkolonialnej tożsamości i mentalności, stworzone zostało polityczne przywództwo państwa III Rzeczypospolitej o silnie anarodowej ideowo tożsamości społecznej. Ze względu na gabinetowo-parlamentarny ustrój polskiego państwa, kluczem do politycznego przywództwa był i jest skład osobowo-środowiskowy Sejmu. Jego anarodowy rdzeń skooptowany w latach 1989–1991 w ramach Sejmu kontraktowego, podlegał stale jakościowej samoreprodukcji w oparciu o wprowadzenie w 1991 roku proporcjonalnej ordynacji wyborczej.

W latach 1989–1991 w wyniku rozpadu imperium radzieckiego Polska odzyskała pełną suwerenność państwową i niepodległość zewnętrzną. Natomiast polskie społeczeństwo narodowe nie odzyskało niepodległości wewnętrznej. Dlatego Polakom narzucane były i są sprzeczne z ich interesami narodowymi cele i motywy istnienia oraz dezorientujące narodowo interpretacje współczesnego świata. Tak właśnie została Polakom narzucona szokowa transformacja w wersji tzw. planu Balcerowicza, który doprowadził do rozbioru gospodarczego polskiego przemysłu i bankowości. Tak narzucana jest marginalizacja i destrukcja polskiego patriotyzmu.

Efektem tej anarodowej ideowo tożsamości przywództwa politycznego była konsekwentnie kompradorska, choć zróżnicowana skalą w zależności od rządzących partii politycznych, polityka gospodarcza i zagraniczna. Polityczne elity przywódcze pełniły, w większym lub mniejszym stopniu, rolę przedstawicieli na Polskę obcych centrów politycznych i kapitałowych. Własne zaś społeczeństwo narodowe traktowane było i jest z poczuciem większej wyższości, aż po ukrywaną pogardę.

Niewyartykułowanym, acz decydującym narodowym podziałem politycznym w III Rzeczypospolitej, nie był i nie jest podział na tzw. prawicę i tzw. lewicę, czy też na tzw. nurt neoliberalny i tzw. nurt neokonserwatywny, lecz podział na dominującą dotychczas anarodową intersubiektywnie, a antynarodową obiektywnie, orientację kompradorską i zmarginalizowaną dotychczas ideową orientację patriotyczną.

W konsekwencji zdominowanej orientacją anarodową politycznego przywództwa, również oficjalny dyskurs publiczny za pośrednictwem systemu

medialnego został zdominowany anarodowymi i apatriotycznymi treściami, a w skrajnych wypadkach aż po antypolonistyczne. Paradoksalnie anarodowa europejskość, aż po antypolonizm, jest tu konsekwencją postkolonialnej mentalności, z poczuciem wyższości i wielkości własnej grup władzy w stosunku do ogółu polskiego społeczeństwa, aż po poczucie pogardy dla jego niższych klas i warstw społecznych. Stale też są obecne komunistyczne relikty ideologiczne, w postaci definiowania ideowego patriotyzmu jako nacjonalizmu, a politycznego nacjonalizmu jako faszyzmu.

To anarodowa europejskość, z częstymi akcentami antypolonistycznymi, dotyczy wszakże również grup władzy kulturowej i naukowej, konstytuowanej przez grupę władzy politycznej. A te dwie grupy mają decydujący wpływ na jakość tworzonej i dystrybuowanej kultury i nauki. Decyduje to o jakości narodowego dyskursu symbolicznego i regułach przywództwa kulturowego i naukowego. A więc również o jakości narodowej wyobraźni symbolicznej, która określa zdolność do samoorientacji historycznej i samomotywacji istnienia i rozwoju.

Współtworzona w ten sposób polska wyobraźnia symboliczna w zakresie dyskursu tak politycznego, jak i kulturowego i naukowego, jest znacząco aideowa narodowo, a merytorycznie niskiej jakości. Ogranicza to istotnie możliwości samoorientacji i samomotywacji podstawowych grup i zbiorowości polskiego społeczeństwa. Dzięki masowym procesom socjalizacji i wychowania, ta zredukowana narodowa wyobraźnia symboliczna jest również internalizowana wśród znaczących odłamów polskiego społeczeństwa. Tak narzucana jest polskiemu społeczeństwu demotywująca go w istnieniu historycznym choćby kultura śmierci, jak ją nazwał Jan Paweł II. Kultura śmierci, która wręcz uderza w biologiczne korzenie życia zwalczając wartości promujące i umacniające rodzinę, od solidarności międzypokoleniowej w rodzinie, aż po jej seksualność i płciowość. I stąd też wynika celowe i zorganizowane promowanie homoseksualizmu, jako równoprawnej formy dla heteroseksualności czy banalizacja płciowości i seksu. Dezorientowanie zaś to stałe produkowanie medialnych obrazów nieistniejącego realnie świata, nieistniejących realnie zagrożeń i problemów, po to aby ukryć świat realny z jego rzeczywistymi zagrożeniami i problemami.

Jeśli przez skuteczne przywództwo rozumieć za Peterem Druckerem takie, które jest misyjne, odpowiedzialne i prawe, to w przypadku przywództwa narodowego III Rzeczypospolitej należy mówić o przywództwie negatywnym, tak politycznym, jak kulturowym i naukowym. Jest ono bowiem narodowo antymisyjne, narodowo nieodpowiedzialne i pozbawione etycznej prawości.

Groźba rozpadu światowego systemu kapitalistycznego i upadku Unii Europejskiej

Przez 26 lat swego istnienia państwo III Rzeczypospolitej, z jego negatywnym przywództwem politycznym, ale kulturowym i naukowym, funkcjonowało w stabilnym i przewidywalnym, zarówno gospodarczo, politycznie i kulturowo, otoczeniu międzynarodowym. Ale jak wiele wskazuje od co najmniej 2008 roku, czas stabilności i braku istotnych zagrożeń międzynarodowych dobiegł końca.

W 1999 roku twórca teorii systemu światowego, amerykański socjolog i historyk, Immanuel Wallerstein, sformułował rozwijaną w następnym latach hipotezę o „końcu świata jaki znamy”, czyli końcu, po 500 latach istnienia, światowego systemu kapitalistycznego. Jego zdaniem system światowy, jak każdy system we Wszechświecie, kończy swoje „życie”, wchodząc w strukturalny kryzys, prowadzący do stanu chaosu i sytuacji bifurkacji w postaci poszukiwania jednego z dwóch nowych ścieżek przekształceń. Autor swych analizach dowodzi, że powstały w Europie w „długim wieku XVI-tym” światowy system kapitalistyczny, którego systemową prawidłowością jest nieustanna globalna akumulacja kapitału, utraciła możliwości dalszej globalizacji gospodarczej, a okres porządkującej system hegemonii geopolitycznej Stanów Zjednoczonych, dobiega końca. I wreszcie, że po okresie wznoszącym w latach 1945–1970 podstawowego cyklu gospodarczego kapitalizmu, jakim jest cykl Kondratiewa, system wszedł w fazę stagnacyjną, z której nie może znaleźć wyjścia. I dlatego rozpoczęła się finansjeryzacja globalnej akumulacji kapitału i globalne spekulacja finansowa. Jego zdaniem globalna implozja finansów światowych w 2008 roku i światowa depresja gospodarcza potwierdza sytuację istnienia kryzysu strukturalnego systemu.

Jego najbardziej charakterystyczną cechą jest chaos, który nie jest sytuacją

przypadkowych zdarzeń, lecz sytuacją gwałtownych i stałych fluktuacji we wszystkich parametrach systemu światowego od gospodarki światowej, przez system międzypaństwowy i prądy kulturowo-ideologiczne, jak również dostępność zasobów niezbędnych do życia. Ten globalny chaos w postaci niespodziewanych, dziwacznych i gwałtownych przesunięć w wymiarach gospodarczych, politycznych i kulturowo-ideologicznych, czyni z jednej strony wszelkie przewidywania wysoce problematycznymi, a z drugiej skłania do kreatywnych poszukiwań nowych rozwiązań poza rozpadającym się systemem.

Patrząc z perspektywy blisko 20 już lat na hipotezę I. Wallersteina o końcu obecnego systemu światowego, coraz bardziej wydaje się ona mocna. Narastający chaos światowy jest coraz bardziej widoczny i coraz bardziej zagrażający również Polsce. Minimalizacja nieuchronnych strat, kosztów i zagrożeń, a co jeszcze trudniejsze, poszukiwanie alternatyw, wymaga wszakże kreatywnego przywództwa, nie tylko politycznego, ale i kulturowego i naukowego. Wymaga nowych treści i nowych wartości w narodowej wyobraźni symbolicznej. Bez spełnienia tego warunku będziemy jako państwo i społeczeństwo narodowe w sytuacji wyjątkowo niebezpiecznej.

Równolegle światowy krach finansowy w 2008 roku i rozpoczęta nim II wielka depresja gospodarcza, odsłoniły i spotęgowały katastrofalne gospodarczo skutki ograniczania suwerenności państw, a pośrednio niepodległości narodów Unii Europejskiej. Wprowadzenie w latach 1999–2000 wspólnej waluty euro, którą przyjęło 17 krajów, tworząc tzw. strefę euro, było zrzeczeniem się przez nie zewnętrznej suwerenności walutowej. Głównym beneficjentem powstania tej strefy okazali się właściciele prywatnych kapitałów finansowych, a szczególnie bankowych, czyli europejska oligarchia finansowa. Wspólna waluta euro wyzwoliła falę akumulacji, w tym spekulacyjnej, kapitałów finansowych, doprowadzając do sytuacji, gdy aktywa unijnego sektora bankowego były w 2011 roku trzy i pół razy większe od unijnego PKB (za Jędrzejem Krakowskim). Kolejnym zaś wielkim beneficjentem wprowadzenia wspólnej waluty stały się Niemcy, które dzięki swej przewadze ekonomicznej, przeszły z deficytu w handlu zagranicznym w 2000 roku, do olbrzymich nadwyżek rzędu 245,3 mld w 2008 roku.

Zrzeczenie się zewnętrznej suwerenności walutowej okazało się być groźną

pułapką ekonomiczną dla słabiej rozwiniętych krajów południowoeuropejskich, od Grecji, Hiszpanii i Portugalii poczynając, a na Włoszech, a niebawem również Francji kończąc. W warunkach wspólnego rynku towarów i usług bez własnej waluty nie są w stanie bronić się przed importem nie tylko Niemiec, lecz również krajów spoza Unii Europejskiej, gdyż to siłą gospodarki Niemiec określa siłę waluty euro. Wszystkie one osiągnęły w 2008 roku olbrzymie lub tylko znaczne deficyty w handlu zagranicznym, co ostatecznie przekładało się na narastające zadłużenie sektora nade wszystko publicznego.

Równolegle Traktat Lizboński, podpisany również przez Polskę, odebrał wszystkim państwom Unii Europejskiej wewnętrzną suwerenność walutową. Artykuł 123 tego Traktatu, zakazuje rządów zaciągania kredytów w swoich własnych bankach centralnych, co zmusza je do zaciągania kredytów w bankach prywatnych. Prywatny sektor bankowy, a szerzej finansowy, czyli europejska oligarchia finansowa jest jedynym beneficjentem tego zapisu, wymuszając zadłużanie się państw w prywatnym sektorze bankowym.

W konsekwencji Unii Europejska znalazła się w pułapce, z której nie ma wyjścia. Coraz szybciej narastające zadłużenie słabszych państw, tworzy konieczność coraz większych kredytów z prywatnego sektora bankowego, zwykle krajów silniejszych gospodarczo. A niewypłacalność tych państw, oznaczałaby masowe bankructwa w sektorze bankowym. Będzie to główną przyczyną narastanie coraz większego chaosu w Unii Europejskiej, która w obecnej postaci również politycznej, jest nie do utrzymania.

Olbrzym o glinianej głowie w światowym i europejskim huraganie

Ta sytuacja również dotyczy bezpośrednio już Polski, która staje wobec zagrożeń zupełnie nieznanych, którym przeciwdziałanie wymaga nie tylko silnie pozytywnego przywództwa narodowego, ale przywództwa kreatywnego. Wymaga to więc nade wszystko trwałego wyeliminowania obecnego negatywnego przywództwa narodowego, którego rdzeniem są polityczne oligarchie partyjne, zarówno rządzące, jak i opozycyjne Sejmu. Wymaga to równoległe stworzenia możliwości pozytywnej selekcji politycznych elit narodowych, które są kluczowe dla rozpoczęcia pozytywnego rozstrzygnięcia kwestii politycznego przy-

wództwa narodowego w Polsce, które umożliwi stworzenie również kreatywnego przywództwa kulturowego i naukowego.

A to wymaga wprowadzenia ordynacji większościowej w wyborach do Sejmu opartej o 460 jednomandatowych okręgów wyborczych, z pełną swobodą kandydowania wszystkich uprawnionych obywateli. Jest to minimalny warunek pozbycia się negatywnego przywództwa politycznego. Jest to równocześnie minimalny warunek odblokowania kanałów socjopolitycznej selekcji nowych elit politycznych, a wtórnie również kulturowych i naukowych. I jakiegokolwiek ustępstwo wobec obecnej oligarchii partyjnej idące w kierunku ordynacji mieszanej, będzie oznaczać zaprzepaszczenie możliwości pozbycia się negatywnego przywództwa politycznego. Zachowanie proporcjonalności w jakiegokolwiek postaci, oznacza bowiem zachowanie negatywnego przywództwa, a w konsekwencji niemożność uruchomienia pozytywnej selekcji przywództwa narodowego. Polska będzie wtedy nie tylko „olbrzymem o glinianej głowie” lecz będzie „olbrzymem o glinianej głowie w światowym i europejskim huraganie gospodarczym, politycznym i ideologiczno-kulturowym”. Polityczna walka o wprowadzenie ordynacji większościowej opartej na 460 jednomandatowych okręgach wyborczych, jest już dzisiaj walką polityczną o zachowanie narodowej samorientacji i samomotywacji w warunkach historycznego zagrożenia.

HISTORIA NN

KRZYSZTOF TURKOWSKI ROZMAWIA Z TADEUSZEM ŻENCZYKOWSKIM

Krzysztof Turkowski: Urodził się Pan w 1907 roku, a więc na kilka lat przed I wojną światową. Czy w pańskiej pamięci zachowały się wspomnienia z tego odległego okresu?

Tadeusz Żenczykowski¹: Jestem warszawiakiem z urodzenia, przyzwyczajenia i sympatii do tego miasta, które mnie nigdy nie opuściło i nie opuści.

Urodziłem się w czasie, kiedy Moskale byli jeszcze w Królestwie. Pamiętam, mieszkaliśmy przy ulicy Trębackiej, na tyłach gmachów teatralnych i tamtędy przechodziły zawsze, co mnie bardzo cieszyło, rosyjskie pogrzeby wojskowe. Prawdziwą atrakcją była dla mnie orkiestra wojskowa grająca marsze żałobne.

¹ Tadeusz Żenczykowski, ps. Kania, Kowalik, Zawadzki (ur. 2 stycznia 1907 w Warszawie, zm. 30 marca 1997 w Londynie) – polski prawnik, działacz polityczny i publicysta. Kawaler Orderu Orła Białego.

Potem przyszła I wojna światowa. Myśmy wtedy mieszkali w Górze Kalwarii pod Warszawą, ojciec mój był tam rejentem, a często bywaliśmy w Warszawie u moich wujków. Zapamiętałem taki moment. Nad Warszawą pojawił się zeppelin, o którym się mówiło. Byłem tym faktem zachwycony. Nagle usłyszałem jakby sypanie grochu o blachę. Były to próby ostrzeliwania zeppelinu przez, jak to się wtedy mówiło, „pulomioty”. Zapamiętałem widok tego wielkiego cygara, które tak spokojnie krążyło nad miastem.

Kolejny obraz, który utkwił mi w pamięci z Warszawy w czasie I wojny, to przemarsz rosyjskich oddziałów przez most 3 maja i Alejami Jerozolimskimi na front, który był już dość blisko. Słży olbrzymie, nieprawdopodobne masy piechoty, artylerii, jazdy na małych konikach. Cała Warszawa się wówczas temu przyglądała. Jest

jeszcze jedna ciekawostka, która dobrze utkwiała mi w pamięci to moda na pikielhauby. Gdy tylko ktoś zdobył pikielhaubę, które napływały z frontu, miał natychmiast wielki powód do dumy. Rozpowszechniła się moda na przerabianie na lampy czy świeczniki szrapnele.

W związku z ofensywą niemiecką zorganizowano ewakuację. Myśmy pojechali początkowo do Wilna, a potem na Mińsk, a następnie znaleźliśmy się na Ukrainie, w guberni czerlichowskiej. Pamiętam, że było tam bardzo przyjemnie. Panował spokój, wojny się tam jeszcze nie odczuwało. Pamiętam, że wtedy za kopiejkę /a kopiejka wtedy to dla szczeniaka były wielkie pieniądze/ można było kupić kilka dużych słoneczników. Właśnie tam zacząłem czytać „Trylogię”. Książki sprowadzaliśmy z Kijowa, gdzie była stała, przedwojenna polska księgarnia.

W 1916 roku rodzice postanowili, że muszę pójść do polskiej szkoły. Stała szkoła była w Kijowie, ale były także ‘wojenne’ szkoły polskie dla uchodźców w Moskwie i Orle. Ja znalazłem się w polskiej szkole w Orle. Była to duża koedukacyjna szkoła. Lekcje mieliśmy po południu, gdyż z braku gmachów nasze

zajęcia odbywały się w żeńskiej rosyjskiej szkole. Nasza klasa miała bardzo dobre dla nas położenie, gdyż okna wychodziły na słynną Okę, na którą można się było gapić. Mieliśmy uciechę gdy przychodziła wiosna i rzeka wylewała, kiedy płynęły kry. Widok był wspaniały. W Orle wstąpiłem do harcerstwa, jeszcze wtedy nazwanego skautingiem. Był już rok 1917, kończyłem II klasę, gdy zjawiał się wśród nas imponujący nam facet. Jak się okazało – legionista. Po prostu jak wybuchła rewolucja to niektórych legionistów, którzy byli w niewoli zaczęto zwalniać, a oni przechodzili do pracy konspiracyjnej w Polskiej Organizacji Wojskowej. Został naszym drużynowym. Nauczył nas całej masy rzeczy. Nazywał się Józef Skwarnicki. To jego syn jest od lat redaktorem „Tygodnika Powszechnego”. Skwarnicki wywarł w Orle wielki wpływ na polską młodzież. Tam właśnie przeżywałem pierwszą rewolucję rosyjską. Nie bardzo rozumiałem o co chodzi, ale nagle pojawili się na samochodach marynarze, którzy jeździli ulicami i strzelali. Zapamiętałem scenę zrzucania cesarskich orłów znajdujących się na cerkwi widocznej z naszej szkoły.

Wiosną 1917 roku, po przyzna-

niu Polsce prawa do niepodległości przez rząd rewolucyjny, po nabożeństwie w polskim kościele, my jako harcerze szliśmy w pochodzie /byłem niesłyszanie szczęśliwy, gdyż mój zastępowy zachorował i ja mogłem nieść kijek, na którym była chorągiewka z flagą zastępu/ przed siedzibę Rady Miejskiej. Tam przemawiali do nas różni działacze. Gorąco witali nas robotnicy.

W więzieniu w Orle, w twierdzy o ciężkim rygorze znajdowali się polscy „bojownicy” – socjaliści z 1905 roku. Siedział tam Aleksander Prystor, którego żona była moją nauczycielką w szkole, oraz słynny później Jan Kwapiński. Prystor szybko wyjechał, a Kwapiński przychodził na nasze zebrania. Cieszył się wśród nas dużą popularnością. Ja co prawda byłem zbyt młody, by wszystko rozumieć, ale polegałem na opiniach moich starszych kolegów, dla których Kwapiński był wielkim autorytetem.

W 1918 roku ojciec, który był wtedy w Mińsku w tzw. „Naczpolu”, zdobył dla nas jakieś przepustki, które umożliwiały nam przejazd do Warszawy. Po drodze przejeżdżaliśmy przez Bobrujsk i tam na stacji zobaczyłem żołnierzy z Korpusu Dowbora-Muśnickiego. Po raz pierwszy widziałem

wtedy hełmy z namalowanym Białym Orłem. Było to zdaje się 8 maja, gdy takim rosyjskim wagonem towarowym, taką „ciepłuszką” dojechaliśmy do Warszawy. Po paru miesiącach zobaczyłem tam akcję rozbijania Niemców.

K.T.: Jak po przybyciu do Warszawy potoczyły się dalej losy Pańskiej rodziny?

T.Ż.: Ojciec powrócił do pracy w Górze Kalwarii, gdzie był rejentem. W Górze Kalwarii były duże koszary rosyjskie, lecz w tym czasie znajdowała się tam tylko nieliczna straż niemiecka pilnująca składów. 11 listopada przed niemiecką komendą ustawiła się nasza ochotnicza straż pożarna, w hełmach na głowach. A z budynku mój ojciec wraz z kierownikiem szkoły powszechnej /o nazwisku Adamiec/ wynosili z budynku karabiny i wręczali je strażakom.

W 1920 roku w „naszych koszarach” stacjonował bodajże I Dywizjon Artylerii Konnej. W tej jednostce służył jako ochotnik mój starszy brat cioteczny, Janek Kamiński wraz ze swoimi kolegami. Oni byli już wtedy po maturze. Pamiętam, że do tego dywizjonu przyjechali z własnymi końmi.

K.T.: Pan był wówczas uczniem gimnazjum?

T.Ż.: w gimnazjum zjawiłem się w 1919 roku. Rodzice chcieli, żebym chodził do jakiejś dobrej szkoły w Warszawie; mówiło się wtedy o szkole Kujawskiego, tzw. mazowieckiej. Pojechaliśmy tam z matką, ale dyrektor powiedział, że muszę zdawać egzamin. Mnie się to specjalnie nie podobało, miałem przecież promocję, zaczęliśmy więc szukać. I tak trafiliśmy na słynną wtedy szkołę Kulwiecia. Była to jedna z polskich szkół, które w czasie wojny prowadzone były w Moskwie przez znanego przed wojną geografa, Kazimierza Kulwiecia. Przyjął mnie do swojej szkoły bez żadnych problemów. Wielką jego zasługą było to, że wszystkich przyjeżdżających z Rosji przyjmował bardzo chętnie. Polubiłem tę szkołę. Śpiewaliśmy tam „my Kulwiecia granda z placu Aleksandra”.

K.T.: I przyszły wakacje 1920 roku...

T.Ż.: Zaczęły się bardzo emocjonalnie. Przyjechała nasza rodzina z Wilna uciekająca przed bolszewikami. Potem do Kalwarii zaczęła napływać młodzież studencka i gimnazjalna zgłaszająca się do I Dywizjonu Artylerii Konnej. W mieście zorganizowana została Straż Obywatelska.

Pewnego dnia ojciec zabrał mnie

do Grójca, gdzie mieliśmy odebrać karabiny i przywieść je do Góry Kalwarii. Miasteczko na szczęście nie było przez bolszewików mocno ostrzeliwane. Spadły tam chyba ze dwa pociski, a jedyna strata to trafiona świnia, która była wtedy na ulicy. I to po tych gorących wakacjach powróciłem do szkoły. W klasie zastałem około pięćdziesięciu młodych ludzi. Straszna to była mieszanina, gdyż obok nas pęta-ków, byli ochotnicy z wojska, nadrabiający zaległości szkolne.

Ale muszę się cofnąć do wiosny 1920 roku. Mieszkalem na stacji na Wilczej, zaś nasza szkoła mieściła się nieopodal placu Aleksandra, na którym miało nastąpić powitanie powracającego z Kijowa Piłsudskiego. Kolumny kościoła były bardzo ładnie udekorowane girlandami z kwiatów. Z daleka zobaczyłem jak między kolumnami, po stopniach wchodzi do kościoła Piłsudski. Kiedy już wyszedł i wszedł do otwartego landa, studenci wyprzęgli konie i wieźli go Alejami do Belwederu. Ten obrazek zapamiętałem na całe życie.

Ale wrócę do szkoły. Moja szkoła miała opinię szkoły endeckiej. Taki był nasz dyrektor i wielu naszych nauczycieli. Taki był profesor Tadeusz Uhma, pani Jędkiewiczowa – radna

miasta stołecznego Warszawy z ramienia endecji. Zoologii uczył nas lewicowy profesor Jan Dembowski, późniejszy wybitny uczony i znany komunista, był świetnym nauczycielem. Na 1 maja przychodził zawsze do szkoły z czerwonym goździkiem w butonierce. Historii uczył mnie w ostatnich klasach profesor Włodzimierz Topoliński, człowiek o bardzo demokratycznych przekonaniach. W czasie II wojny światowej był w mojej Akcji „N”, w Biurze Studiów. Jak już wspominałem, moja szkoła była określana jako endecka, choć były wyjątki. Oczywiście żyliśmy wtedy tym wszystkim, co pasjonowało Warszawę.

Pamiętam, gdy w grudniu 1922 roku, po drugiej lekcji, niespodziewanie zadzwonił dzwonek na przerwę. Do klas wpadają uczniowie najstarszych klas i wołają „Wychodzimy na ulicę”. Okazało się, że na Placu Trzech Krzyży zbiera się nasza szkoła i inne oraz korporanci, aby iść w Aleje Ujazdowskie przeciwko prezydentowi Narutowiczowi, by nie dopuścić go do Sejmu. Ja miałem już wtedy dość lewicowe przekonania. Akurat spotykam kolegę o podobnych poglądach, Bohdana Żołądkowskiego /późniejszego komunistę/ i mówię:

„Słuchaj, musimy coś zrobić przeciwko temu, co się szykuje”. Poszliśmy w Aleje Jerozolimskie 6, gdzie OKP PPS-u, ale tam nikogo nie było. Poszliśmy wobec tego na Warecką 7, do redakcji „Robotnika”. A tam też pusto, nikogo nie ma. W gmachu zaś wszystko normalnie. W takiej sytuacji postanowiliśmy wrócić na plac. I tam zobaczyłem, że do Sejmu idą posłowie Rajmund Jaworowski z Limanowskim, a przeciwko nim rzuca się cała ta banda z placu. Jaworski z Limanowskim szybko weszli do bramy domu, w którym była apteka mgra Klawe, słynna w Warszawie. Następnie Jaworski starał się przemówić do ludzi. Wyszedł przed bramę sam, ale zaczęli w niego rzucać, chyba kartoflami. On machnął ręką i wrócił do bramy. Tymczasem myśmy czekali, co będzie dalej. Po jakimś czasie przyszła bojówka pepesowska, młodzi chłopcy, którzy wbili się w tłum, doszli do bramy i wyprowadzili posłów. To imponujące jak te szczeniaki endeckie zlekły się robotników.

Miałem wtedy przyjaciela, który mieszkał we Włochach – Janka Żebrowskiego, z którym umówiłem się, że następnego dnia pojedziemy zorientować się co się dzieje w mieście. Zobaczyliśmy duży pochód, w któ-

rym dominowali korporanci /od tych czasów bardzo ich nie lubię/, idący na Sejm z protestem przeciwko Narutowiczowi. Bramy Sejmu były zamknięte, więc przed budynkiem pokrzyzcili i udali się w Aleje Ujazdowskie przed Pałacik, gdzie wyszedł do nich Haller i przemawiał. A nas szlak trafiał, że Haller jeszcze ich podzega.

K.T.: A zamordowanie Prezydenta?

T.Ż.: Proszę Pana, nie było w tamtych latach bardziej wstrząsającego wydarzenia jak pogrzeb Narutowicza. Sceneria była jak na zamówienie. Wysokie gazowe latarnie były spowite kirem od Belwederu aż do katedry. Stałem wtedy na Nowym Świecie przy Alejach Jerozolimskich. To było coś wstrząsającego – dzień pochmurny, proszący lekki śnieg. A od Belwederu idzie milczący pochód. Na nim ogromna ilość zielonych i czerwonych sztandarów. Socjaliści i ludowcy szli w takim napiętym, groźnym milczeniu. To była potęga. Widać było robotnicze i chłopskie sylwetki. I absolutna cisza. Ciągle widzę ten obraz jak żywy. Tego nie da się zapomnieć. Tej trumny wysoko na karawanie.

K.T.: A czy fakt zamordowania Prezydenta, świadomość popełnienia zbrodni zrobiła wrażenie na tej młodzieży, którą Pan znał.

T.Ż.: Nie, to po nich spłynęło. Szkoła była przecież endecka. Ukazał się wtedy obrzydliwy artykuł Strońskiego, którego nie mogę zapomnieć, „Ciszej nad tą trumną”. Przecież później ciągnęły się te historie z Niewiadomskim, to było oburzające.

K.T.: A wracając do okresu szkolnego. Pan wtedy wstąpił do „Strzelca”...

T.Ż.: Tak, w 1923 roku, byłem wtedy w VII klasie, wstąpiłem do „Strzelca, tj. Związku Strzeleckiego i byłem w nim aż do wojny. Jeszcze na początku II wojny światowej coś tam działałem. W 1924 roku zdałem maturę i dostałem się na prawo. Przeniosłem się wtedy do Pruszkowa. Był tam kiedyś oddział „Strzelca” i dostałem pełnomocnictwa by go odbudować.

Zacząłem od tego, że kupiłem stary bęben i bijąc w ten bęben zawiadamiałem ludzi, by przychodzili na zbiórki, zaś młodzi chłopcy rozlepiali ulotki agitujące. Z czasem powstał dobry oddział. Było to o tyle sympatyczne, że dominowała młodzież robotnicza. Bardzo chciałem by ci młodzi ludzie jakos się zgrali, zżyli. Udało mi się znaleźć stary, opuszczony budynek w parku i tam zrobiliśmy „Strzelca”. Znalazłem w miejscowej Fabryce Stowarzyszenia Mechaników

jakiegoś legionistę i starszych robotników. Do pomocy włączyli się miejscowi nauczyciele i tak udało się w Pruszkowie zorganizować grupę młodzieży. Młodzież ze „Strzelca” miała w miejscowym środowisku bardzo dobrą opinię. Starałem się nie dopuszczać moich strzelców do uczestniczenia w czysto politycznych akcjach. Bardziej koncentrowaliśmy się na działalności sportowej. Chodziło o to, by młodzież wyrobiła się i kształciła. I taka działalność podobała się zarówno władzom miasta jak i środowisku politycznemu. Najlepiej współpracowało nam się wtedy z socjalistami.

W 1925 roku zorganizowałem w Pruszkowie obchody imienin Marszałka Piłsudskiego. Wynajęliśmy salę, a TUR dał mi orkiestrę taką jaką mieli – mandolinistów. Zainteresowanie było tak wielkie, że sala nie mogła pomieścić ludzi. Na uroczystości przyjechał z Warszawy Tytus Czaki, a wiersze deklamował późniejszy wybitny komunista – Roman Zawistowski.

Skoro już jestem przy imieninach Marszałka to warto przypomnieć, że w tamtych latach 19 marca jeździło się do Sulejówka. Po pruszkowskich obchodach pojechaliśmy także do Sulejówka. Z okazji imienin X hektografię jednoaktówkę poświęconą

Marszałkowi. Było to fantastyczne. Maszyniści zwykle zatrzymywali pociąg przed stacją, wtedy się zeskakiwało i było bardzo blisko do dworku Piłsudskiego. Stał tam honorowy posterunek – dwóch ułanów na koniach i strzelcy. Przyjechało dużo ludzi i każdy oczywiście wchodził do dworku z życzeniami. Następnie z hallu szło się na górę, ale przy drzwiach stał adiutant, który prosił, aby nie ścisnąć mocno Marszałka. Wszedłem i ja i zameldowałem się z życzeniami. Marszałek podziękował i uściśnął mi rękę.

W następnym roku 1926, manifestacja była olbrzymia. Przyjechaliśmy z Pruszkowa grupą do Warszawy, tam w Cytadeli mieliśmy nocować, by następnie z innymi oddziałami strzelców pojechać do Sulejówka. Dnia poprzedniego zorganizowano wieczór dla Piłsudskiego w Teatrze Wielkim, gdzie i ja przemaszerowałem z moimi „Strzelcami”. Zobaczyłem, że łoża w której siedzi Marszałek jest niepilnowana, więc wziąłem swoich żołnierzy i idę z nimi, żeby przynajmniej na razie ich tam postawić. Wychodzi naprzeciw nam generał Rozeń, taki wysoki, chudy i ruga mnie, że to nasza wina i zaniedbanie. I moi chłopcy w ten sposób trzymali straż przy Komendancie. Potem byliśmy w salach

redutowych, łączących się z Teatrem. Tam przybył Marszałek. My nadal byliśmy jego eskortą. To było wspaniałe. Marszałek siedział, a przed nim Ordonka zaczęła śpiewać „Jedzie, jedzie na Kasztance”. To robiło duże wrażenie. Były także inne występy i przemówienia. Rano, gdy pojechaliśmy do Sulejówka to już tam się zebrał cały batalion strzelców, którymi dowodziłem i miałem prowadzić defiladę strzelców przed Marszałkiem. W tym roku była to już oczywiście jawna demonstracja. Widać było, że to nie tylko garstka przyjeżdża.

Wcześniej odbywał się zjazd „Strzelca” w Sali Rady Miejskiej. Przybył do nas Marszałek. Na takich imprezach zwykle sekretarzowałem jako student – strzelec. Siedziałem więc przy stole blisko Marszałka. To pojawienie się Marszałka w Warszawie było specjalnie zaaranżowane. Nastroje robiły się coraz bardziej gorące. Któregoś dnia – chyba pod koniec kwietnia lub na początku maja – dostałem wiadomość bym trzymał „Strzelców” przez cały dzień w Pruszkowie i żebym przysłał łącznika do Warszawy łącznik wrócił wieczorem z wiadomością, że zbiórkę można już rozwiązać. Pojechałem więc na drugi dzień do Warszawy, by dowiedzieć się

czy będę potrzebny, gdyż muszę zacząć się uczyć do egzaminów. Powiedziano mi, że mogę śmiało wyjechać. Wobec tego pojechałem do mojej rodziny pod Kalisz. Miałem tam idealne warunki do nauki.

K.T.: I tak dowiedział się Pan, że w Warszawie wybuchły walki...

T.Ż.: Tak, i tam nagle dowiedziałem się, że w Warszawie mają miejsce walki. Postanowiłem natychmiast wracać. Ale był powszechny strajk. Dojechałem więc do Opatówka, do stacji kolejowej, a ubrany byłem w mundur strzelecki. Poradzono mi bym wyszedł na szosę i szukał samochodu. W końcu zatrzymałem takiego małego fordzika – autobus – gdzie ludzie poupychani byli jak sardynki. Dojechałem do Łodzi. Tam poszedłem do komendy „Strzelca”. Byli tam znani mi komendanci – Piątkowski i Graczyk. Chciałem dostać się do Warszawy. Oni do mnie, że muszę zostać na miejscu jako dowódca uzbrojonej kompanii, gdyż w Łodzi coś szykują monarchiści. I tak zostałem dowódcą kompanii na kilkanaście godzin. I rzeczywiście wtedy w Łodzi monarchiści chcieli zrobić jakiś zamach. Poszliśmy o świcie do Dowództwa Okręgu Korpusu. Tam słyszę rozmowę miejscowego dowódcy

z generałem Galicą: „Panie generale, Marszałek jest zdziwiony, że pan tak postępuje”. Chodziło oto, że Galica początkowo szedł z pomocą rządowi.

Na rozkaz pojechaliśmy wysadzić tory kolejowe od strony Poznania, skąd szły oddziały przeciw Marszałkowi. W trójkę, z jakimś oficerem i jednym „Strzelcem”, dostaliśmy samochód i udaliśmy się do Łaska. Wysadziliśmy szyny, a w wyrwę dla pewności wepchnęliśmy wagon towarowy. Skończyliśmy a tu leci do nas zawiadowca stacji i macha rękoma. Dobiega i mówi: „W Warszawie wszystko skończone”. To był już koniec wypadków majowych. Postanowiłem wrócić po skrypty i pojechać do Pruszkowa. Jedziemy autobusem, obok siedzi jakiś żołnierz, a tu nagle auto zatrzymują poznaniacy. Jakiś sierżant zagłąda do autobusu, gdzie siedzi żołnierz i ja w mundurze strzeleckim, a więc poznaniakom nieznanym. Myślę sobie – teraz będzie ładny bal. Sierżant nie bardzo wiedział jak zareagować na strzelecki mundur, więc wyciągam z kieszeni legitymację studencką i on machnął ręką. Powróciłem nazajutrz szczęśliwie do Warszawy. Tam okazało się, że moimi strzelcami dowodził kto inny i oni brali udział w zamachu majowym na Pradze.

Przez moją działalność społeczną nie miałem już czasu na studia i to się troszkę mściło. Przez trzy lata byłem na trzecim roku prawa. Po prostu zupełnie nie miałem czasu na naukę. Wreszcie jednak dostałem dyplom. W dwa lata po zamachu majowym zainteresowałem się Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, z tym, że przez cały czas pozostawałem działaczem „Strzelca”. Sam jeszcze zaliczyłem dwa obozy strzeleckie p.w. jeden w Zagórzanach w olbrzymim, opuszczonym pałacu hrabiego Skrzyńskiego. Drugi pod Uściługiem.

K.T.: Kto był wówczas we władzach ZPMD.

T.Ż.: Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej wywodził się z trzech organizacji – OMN-u, Akademickiego POW i Związku Młodzieży Postępowej. Pierwszym przewodniczącym był Janusz Rakowski, a następnie po paru latach ja go zastąpiłem na tym stanowisku. Przemek Szczekowski był przede mną przewodniczącym Wydziału Wykonawczego.

K.T.: ZPMD była organizacją darzoną sympatią przez ówczesne władze?

T.Ż.: Trudno powiedzieć, by w okresie moich studiów akademickich ZPMD cieszyła się nadmiarem

sympatii ówczesnych władz państwowych. W latach „przedmajowych” i bezpośrednio po tych wydarzeniach ZPMD było jedyną organizacją młodzieży piłsudczykowskiej, która samotnie prowadziła walkę na wyższych uczelniach z endecką prawicą, wspieraną przez korporantów. Słowo „walka” jest właściwe, gdyż staraliśmy się o wykazanie, że endecja nie ma monopolu i nie może totalnie dysponować życiem akademickim. ZPMD nie było wówczas zbyt liczne, ale działało we wszystkich miastach akademickich. Oczywiście darzyliśmy sympatią pomajowe władze państwowe z Marszałkiem Piłsudskim na czele, lecz ceniliśmy przede wszystkim własną niezależność ideową. Nie zawsze wszystko nam się podobało i zawsze broniliśmy się przed próbami narzucenia linii postępowania w życiu akademickim i ogólnopolitycznym. Władze majowe * przynajmniej niektóre ich agendy – uważały, że muszą mieć własną, w pełni dyspozycyjną młodzież studencką. Z tych względów nasza niezależność nie zawsze im się podobała. Doprowadziło to do niezbyt fortunnej w skutkach inspirowanej akcji rozłamowej, w wyniku której powstał „Legion Młodych”, bardzo bezceremonialnie forowany

przez czynniki państwowe, „Legion” rozwijał się w warunkach cieplarnianych. Z czasem zarysowały się w nim wewnętrzne fermenty, które doprowadziły do rozłamu w 1936 r.

K.T.: Jacy ludzie dominowali w związku?

T.Ż.: Dominowała w naszych szeregach młodzież niezamożna; sporo mieliśmy kolegów ze wsi i ze świata robotniczego, byli także wśród nas koledzy pochodzenia żydowskiego. W sumie stanowiliśmy dość zwarty i ideowo jednolity zespół. Spośród najbliższych moich kolegów z ZPMD wielu poległo w walkach wrześnieowych. Najboleśniej przeżyłem śmierć mego najserdeczniejszego przyjaciela, Jerzego Szpera, który poległ w obronie Warszawy. W walkach wrześnieowych zginął też Jan Grzywaczewski, jeden z czołowych działaczy ZPMD. W latach konspiracji śmierć ponieśli w szeregach AK: Celina Zalewska, Józef Marszałek, Bronisław Budkiewicz, Władysław Zakrzewski.

K.T.: Jak wyglądała działalność Związku? Pana wkład był chyba duży?

T.Ż.: Gdy wstępowałem do ZPMD wydawało mi się, że działalność organizacji jest zbyt statyczna, zbyt ślamazarna. Wkrótce jednak udało mi się ożywić nasze środowi-

ska. Przede wszystkim pod względem propagandowym. Nie mieliśmy żadnego pisma studenckiego, toteż powołaliśmy do życia „Głos Akademika”. W okresie rozłamu „Legion Młodych” przywłaszczył sobie to pismo. Wówczas założyłem „Życie Akademickie” i redagowałem je aż do pójścia do podchorążówki.

K.T.: Jakie nakłady osiągały ówczesne gazety?

T.Ż.: Nie pamiętam dokładnie jaki był nakład, ale na pewno ok. 500 egzemplarzy. Pismo rozsyłaliśmy do wszystkich okręgów ZPMD w miastach uniwersyteckich. Była to ważna akcja zewnętrzna, propagująca ZPMD i nasze poglądy w rozmaitych sprawach. Jak na ówczesne warunki był to niemały nakład, zważywszy w dodatku, że pism akademickich było bardzo mało. Brakowało nam zawsze funduszy, gdyż kieszenie studenckie były zwykle puste. Pomagali nam w tych kłopotach „seniorzy”, tzn. starsi koledzy, dopingowani do tego przez Tomasza Piskorskiego, a nawet i ludzie związani z OMN-em przed wielu laty. W sumie w polskim życiu akademickim ZPMD zajmowało poważną i powszechnie liczącą się pozycję. Jak już wspominałem głównymi naszymi

agresywnymi przeciwnikami byli endecy i korporanci. Ci ostatni często zamiast argumentów posługiwali się laskami. Za moich czasów w ZPMD podejmowaliśmy na wszystkich zebraniach akademickich prezentowanie naszego stanowiska. Trzeba było również pomyśleć o samoobronie, gdyż przeciwnicy dotychczas napastowali nas fizycznie. Zebraliśmy w Warszawie kilkunastu kolegów, podzieliliśmy na piątki, które pouczał o środkach samoobrony nasz znajomy kapitan z czynnej służby. Poczuliśmy się pewniejsi, a przeciwnicy przekonali się wkrótce, że potrafimy bronić się skutecznie przed napasciami fizycznymi.

Utrzymywaliśmy kontakty z kolegami socjalistami z ZNMS /Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej/ i niezbyt licznymi ludowcami. Kontakty z konserwatywną „Myślą Mocarstwową” i z dywersyjnym wobec nas „Legionem Młodych” miały charakter raczej dyplomatyczny niż przyjacielski.

Stworzyliśmy również własną agencję prasową pod nazwą „Akademicka Centrala Informacyjna” /ACI/, która przynajmniej raz na dwa tygodnie wydawała biuletyny, rozsyłane do wszystkich naszych okręgów

i wielu pism codziennych lub tygodniowych.

W 1930 r. postanowiliśmy pojawić się na terenie zagranicznym. Istniała od szeregu lat Międzynarodowa Konferencja Studentów /Confederation Internationale des Etudiants/, w której uczestniczyli wyłącznie endecy. Pojechalśmy więc po raz pierwszy do Brukseli na zjazd tej konferencji i nawiązaliśmy trochę bezpośrednich kontaktów zagranicznych. Dla ułatwienia tej akcji przygotowaliśmy w języku francuskim specjalny numer „Głosu Akademika” /który był jeszcze wówczas w naszych rękach/. Rok później pojechalśmy na bardzo podobny zjazd do Bukaresztu. Bogatsi w pierwsze doświadczenia byliśmy już lepiej przygotowani. Zrobiliśmy tam pierwszą wystawę prasy akademickiej wydawanej w Polsce.

Ostatnią moją akcją wydawniczą przed pójściem do podchorążówki było opracowanie krótkiego przewodnika akademickiego dla nowego rocznika studentów. Dawaliśmy w nim ogólny obraz organizacyjnego życia studenckiego i oczywiście obszernie omawialiśmy działalność ZPMD na wszystkich wyższych uczelniach w Polsce. Ta nasza inicjatywa bardzo się nie podobała młodzieży endec-

kiej, która reagowała na to w swój normalny sposób: parokrotnie pobito naszych kolegów, a nawet koleżanki, które ten przewodnik rozdawały. Należy tu dodać, że mieliśmy bardzo dobre i bliskie stosunki z Akademickimi Kołami Prowincjonalnymi, które zrzeszały studentów przybyłych na studia z różnych mniejszych miast w Polsce.

Głównym terenem batalii były w tamtych latach walne zebrania „Bratników” /Bratnia Pomoc/, trwające zwykle przez cały dzień i część nocy. Choć nie mieliśmy przewagi to jednak narzuciliśmy pewien styl tym zebraniom przez rzeczowe przygotowanie materiałów do dyskusji i zaskakiwanie przeciwników krytyką opartą na argumentach. Na Uniwersytecie Warszawskim doprowadziliśmy do tego, że postanowiono wybrać tzw. Radę Konstytucyjną, która miała opracować nowy statut i program działalności Bratniaka. Wybory do tej Rady były rzetelne, gdyż w komisjach byli przedstawiciele opozycji. W ten sposób do rady weszło 3-4 naszych przedstawicieli i 2 z ZNMS. Byliśmy wprowadzicie w mniejszości, ale nasza obecność w tym zespole miała swoje znaczenie.

Wobec dużego rozproszenia się

akademickich grup pilsudczykowski Adam Skwarczyński – znany ideolog tego kierunku – podjął próbę utworzenia jakiegoś wspólnego porozumienia. Przedstawiciele tych organizacji zaprosił na wspólną rozmowę do Pałacyku pod Blachą, w którym mieszkał. Zjawili się tam przedstawiciele Legionu Młodych ze Zbigniewem Zapasiewiczem na czele, Henryk Dembiński z wileńskiego „Odrodzenia”, przedstawiciele myśli Mocarstwowej /nazwisk nie pamiętam/ i ja wraz z kilkoma kolegami z ZPMD. Apele Skwarczyńskiego były bardzo gorące, wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem. Ale na tym jednym zebraniu cała akcja się skończyła.

K.T.: W ZPMD działał wówczas późniejszy minister w rządach komunistycznych, Feliks Widy-Wirski...

T.Ż.: Był wówczas studentem medycyny w Poznaniu i tam działał w naszym środowisku. Był bardzo energiczny i ruchliwy, ale politycznie dość nieopanowany. Przyjechał kiedyś do Warszawy i powiedział nam, że przy ZPMD organizuje grupę roboczą, nazywaną „młodzieżą syndykalistyczną”. Przyjechał by przedstawić nam swój pomysł nadania rozgłosu krajowego tej grupie młodzieżowej. Miał to nastąpić przez wysadzenie

w powietrze pomnika Chrystusa Króla w Poznaniu. Musieliśmy mu to skutecznie wybić z głowy. Przypuszczam, że już wtedy rozpoczął współpracę z komunistami. Później wstąpił do „Strzelca”, gdzie był lekarzem Okręgu Poznańskiego. W jakiś czas potem znalazł się w Stronnictwie Pracy, a później w Związku Syndykalistów. Dalsza jego działalność potwierdziła jego udział w ruch komunistycznym.

K.T.: Rok 1930-31 to lata w najnowszej historii Polski bardzo ważne. To proces brzeski, który wstrząsnął opinią publiczną.

T.Ż.: U nas w ZPMD toczyły się na ten temat bardzo gorące dyskusje. Trzeba pamiętać, że Centrolew był wtedy już bardzo dobrze zorganizowany i że mógł zmierzać do przewrotu, jego wystąpienia mogły wyraźnie na to wskazywać. Przypominam sobie takie wydarzenia. W Dolinie Szwajcarskiej zorganizowany był wiec. Poszliśmy z moją obecną żoną, a wtedy jeszcze narzeczoną, zobaczyć co się tam dzieje. Zanim doszliśmy, ujrzelismy wychodzący pochód zmierzający przez Aleje Ujazdowskie w kierunku Nowego Światu. Wiem, że przy rozpraszaniu go padły jakieś strzały, ale myśmy byli już daleko. Wysłucha-

łem natomiast – jeszcze w Dolinie – jednego przemówienia. Było bardzo ostre, niemal prowokacyjne. To robiło wrażenie wezwań do obalenia władz i ustroju państwa.

Ja, po zastanowieniu, opowiedziałem się wówczas za Piłsudskim. Oczywiście nie wiedzieliśmy co naprawdę robi Kostek-Biernacki, co tam się w Brześciu dzieje. Zadecydowaliśmy wówczas większością głosów, że nie występujemy przeciwko Brześciowi. I teraz tego nie żałuję, chociaż potępiam metody. W moim pojęciu Piłsudski nie był za zastosowane metody odpowiedzialny. On nie był człowiekiem brutalnym i mściwym. Przecież opozycja miała stosunkowo dużą swobodę, zwłaszcza w wypowiedziach. Uspokojenie sytuacji w Polsce było przeprowadzone brutalnie, ale nie doszło do rzeczy, na które się zanosilo. Przecież mogło dojść do próby przewrotu.

K.T.: W tym samym okresie przeprowadzono pacyfikację Małopolski Wschodniej.

T.Ż.: Byłem temu przeciwny. Co prawda ja się specjalnie nie zajmowałem sprawami ukraińskimi, ale to czego się dowiedziałem było oburzające. Podobnie jak późniejsze burzenie cerkwi. Druga strona także była brutalna, wystarczy przypomnieć śmierć

Hołówki czy Pierackiego, a więc rzeczników porozumienia z Ukraińcami.

K.T.: Ale powróćmy do Pana dalszych losów. Skończył Pan studia...

T.Ż.: Po studiach miałem szczęście, gdyż udało mi się dostać na aplikację sądową w Ministerstwie Sprawiedliwości. Była to dobra sytuacja, gdyż w ministerstwie dostawałem jakieś pieniądze, podczas gdy aplikanci byli bezpłatni.

Do wojska poszedłem na jesieni 1931-go roku. Służbę mogłem mieć skróconą, gdyż miałem za sobą dwa stopnie PW, były to te dwa obozy letnie, o których wspominałem. Poszedłem do podchorążówki piechoty w Śremie. Odbywali tam różni ludzie – tacy jak ja po studiach, świeżo upieczeni maturzyści, a nawet tacy, w 20 roku coś mieli zaliczone, a teraz musieli to uzupełnić. Była to podchorążówka z typowo poznańskim drylem. Udałem się tam z pewną myślą. Doszedłem do wniosku, że co roku przechodzi przez takie szkoły rezerwy i zawodowe ładnie parę tysięcy młodych ludzi. I nikt ich nie wychowuje w duchu ogólnopolitycznym. Wobec tego przed pójściem do szkoły podchorążych zacząłem czynić starania poprzez pułkownika Adama Borkiewicza / to późniejszy autor monografii o Po-

wstaniu Warszawskim/,a także Wacława Lipińskiego, aby stworzyć jakieś pismo dla podchorążych. Celem takiego pisma byłoby udzielanie tym ludziom informacji, wychowywanie ich. Ale ciągle brakowało miarodajnych decyzji. Pojechałem do Śremu razem z moim przyjacielem, który wraz ze mną miał to pismo robić – Stefanem Sikorskim, też z ZPMD. Przyjechalśmy, a sierżant do nas, że pójdziemy do paki, bo się spóźniliśmy. Do paki jednak nie poszliśmy, bo przyszła depesza z Warszawy, że możemy się spóźnić.

K.T.: Jak się robiło pismo w ówczesnym Wojsku Polskim?

T.Ż.: W końcu zaczęliśmy robić to pismo. W Śremie znalazłem świetnych współpracowników i późniejszych przyjaciół – rysownika Adama Siemaszkę i Bohdana Korzeniowskiego, później wybitnego teatrologa, oraz Stefana Putowskiego. I tak zaczęliśmy wydawać gazetkę, na razie na powielaczu. Drukowaliśmy to na powielaczu w miejscowej Fabryce Kawy Zbożowej. Dowódca kompanii był zadowolony, że to się u niego dzieje. Na święta Bożego Narodzenia pojechałem do Warszawy i udało mi się wówczas przeforsować pomysł. Dostaliśmy zezwolenie z Minister-

stwa Spraw Wojskowych i trochę pieniędzy.

Po ostatecznej aprobacie skierowano mnie w tej sprawie do ówczesnego wiceministra – generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego. Nauczony w Śremie stanąłem w jego gabinecie z czapką w rękę, a że głos mam dość mocny, pełnym głosem zameldowałem się. Od tego momentu można było wszystko szybciej załatwiać.

Mogliśmy w związku z otrzymaniem pieniędzy zacząć drukować „Podchorążego” w drukarni. Było to od numeru piątego, który ukazał się z datą 19 marca 1932 roku. Drukowaliśmy gazetę w Poznaniu, w drukarni Stowarzyszenia Kupców. Nie byliśmy frajerami, więc zawsze wyjeżdżało nas dwóch, trzech, zwłaszcza że było dużo roboty. Mieliśmy zresztą taki przywilej, że nie zawsze musieliśmy chodzić na ćwiczenia. Mogliśmy też siedzieć po capstrzyku na górze, w naszej redakcji. I tam sobie w ciszy odpoczywaliśmy, rozmawialiśmy i planowaliśmy. Zawsze jednak na stole leżał rozłożony karabin maszynowy.

Po szkole chcieliśmy być całą naszą czwórką w Warszawie. Tymczasem pewnego razu nasz dowódca podchorążówki kompletnie się załat i zaczął

grozić, że nas porozrzuca po całej Polsce, co uniemożliwiłoby redagowanie pisma. Wróciłem z Poznania i dowiaduje się o awanturze. A było to na ćwiczeniach w Biedrusku. Zdenerwowany natychmiast zadzwoniłem z miejscowej poczty do ministerstwa i poskarżyłem się, gdyż dalszy los pisma zależał od tego, czy nadal pozostaniemy razem. I rzeczywiście telefon pomógł.

Tymczasem pismo chwyciło, gdyż niczego podobnego nie było. Może też dlatego, że nie uprawialiśmy żadnej dydaktyki, to było takie „pogodne” pismo. Później mieliśmy korespondentów za granicą. Pisał do nas m.in. Fajana, który przysyłał swoje reportaże ze świata. Siemaszko świetnie się sprawdził jako rysownik, a Korzeniowski prowadził dział literacki.

Stopniowo rozszerzaliśmy swój zasięg, ponieważ początkowo pismo skierowane było tylko do podchorążych rezerwy, ale z czasem skierowano je do szkół dla podchorążych zawodowych. Chciałem zmobilizować pracowników i dwa razy do roku organizowałem konferencje redakcyjne w Warszawie. Mówiłem wtedy: Spotkanie trwa do południa, a potem macie czas wolny. Postanowiłem upowszechnić 29 listopada, gdyż do tego czasu podchorążowie z jednej tylko

szkoły trzymali wartę przed Belwederem. Zaproponowałem zorganizowanie w dniu 29 listopada ogólnego „Dnia Podchorążego”, który byłby centralnie obchodzony w Warszawie. Chciałem to połączyć z występami i popisami wojskowych zespołów artystycznych. Okazało się, że pomysł bardzo się spodobał. Doszło do tego, że zjeżdżały się zespoły i delegacje z całej Polski. Na Placu Piłsudskiego zorganizowana była zawsze defilada. Delegacje przyjmował na Zamku Prezydent. W przeddzień odbywały się występy artystyczne wojskowych zespołów, z początku w Magistracie, a z czasem w Teatrze Polskim.

K.T.: A kto kontrolował tę działalność z ministerstwa?

T.Ż.: Nikt. Za całość odpowiadałem sam i ja decydowałem o programie wystąpień. Kiedyś miałem zabawną historię. Wzywa mnie któryś z pułkowników z Wojskowego Instytutu Naukowo – Oświatowego i mówi, że nasz wywiad skarży się, iż ujawniłem na okładce „Podchorążego” tajemnicę: „nowe dzieło i maski gazowe”. Ubawiło mnie to, gdyż było to zdjęcie z agencji fotograficznej zagranicznej, pokazujące angielskie dzieło. I od tego czasu miałem święty spokój.

Chciałem to pismo doprowadzić

do dziesiątego roku, bo prowadziłem je przez osiem lat. W ostatnim naszym numerze przed wojną, wydanym 25-go sierpnia, taki młody oficer, chyba Rosen Zawadzki napisał świetny tekst o broni pancernej, omawiając m.in. jakie będą skutki jej zastosowania. Jednocześnie znalazłem artykuł gen. Sikorskiego w „Kurierze Warszawskim”, który stwierdzał, by nie przesadzać z wyobrażeniami, o przyszłej wojnie, o wojskach pancernych, bo Niemcy nie mają paliwa. Mam ten artykuł zachowany do dziś! „Podchorąży” miał rację! Nakład chyba wynosił ponad półtora tysiąca.

K.T.: Równocześnie prowadził pan jeszcze inną działalność.

T.Ż.: Tak, ale musiałem pilnować swojego zawodu. Byłem aplikantem sądowym i tam zorientowałem się, że związki istniejące w tym prawniczym zawodzie są zdominowane przez endeków. W tej sytuacji trzeba było po prostu zrobić co innego. I tam założyłem Związek Młodych Prawników. Jego członkami byli asesory i aplikanci sądowi oraz adwokacy. Oddziały terenowe działały wszędzie tam, gdzie były sądy apelacyjne – Wilno, Lwów, Kraków, Lublin, Katowice, Poznań i Warszawa. Zacząłem wydawać pismo. Miało tytuł „Współczesna myśl

prawnicza”. Już nawet dokładnie nie pamiętam, raz w miesiącu albo raz na kwartał. Pisali tam młodzi bardzo ciekawi autorzy. Zaczęliśmy walkę o prawa aplikantów. Trzeba pamiętać, że aplikanci byli w zasadzie bezpłatni, gdyż było bardzo mało etatów. Prowadziliśmy całą kampanię o prawa tej grupy zawodowej. Jeszcze później, gdy już byłem posłem wygłosiłem w Sejmie przemówienie w sprawie aplikantów.

Jednocześnie zacząłem szukać kontaktów zagranicznych. Wysłaliśmy listy do różnych organizacji prawniczych w Europie. Dostaliśmy dwie pozytywne odpowiedzi, z Budapesztu i Berlina, a mętne z Francji. Zaprośiliśmy więc delegacje z obu krajów. Pierwsi przyjechali do nas hitlerowcy. Rzeczywiście byli dobrze zorganizowani. Jeden z nich przyjechał w mundurze. Zdenerwowało mnie to, jak można przyjeżdżać w mundurze kiedy jest zaplanowane spotkanie z ministrem sprawiedliwości. Doszło w końcu do tego, że ten hitlerowiec musiał przeproszać naszego ministra.

Później miały miejsce rewizyty. W Berlinie zaprosił nas minister sprawiedliwości na lunch, na którym był m.in. prezes Niemieckiej Akademii Prawa – Hans Frank. Powiedziałem

wtedy, że uważam, iż nasze sąsiedzkie narody powinny porozumiewać się swoimi językami i mówiłem po polsku w części oficjalnej. Oczywiście w czasie posiłku mówiliśmy też po niemiecku. Chodziło tu o podkreślenie naszej niezależności. Wtedy też mogłem zobaczyć doroczny zjazd hitlerowców w Norymberdze. To był rok 1935.

K.T.: Jakie to robiło wrażenie?

T.Ż.: Bardzo groźne. Już wtedy było widać jaka siła została przygotowana. Poza miastem urządzono pierwsze wojskowe pokazy. Wówczas Werhmacht pierwszy raz defilował przed Hitlerem. O tych pokazach mówiłem z pułkownikiem Szymańskim, attache naszej ambasady w Berlinie mówiłem, że bardzo duże niebezpieczeństwo tkwi w podporządkowaniu się Werhmachtu. Szymański bardzo inteligentnie oceniał dalszy rozwój sytuacji i grożące niebezpieczeństwo.

K.T.: Jak dalej układała się Pańska kariera zawodowa?

T.Ż.: W tym czasie działały trzy organizacje prawnicze w Polsce. Nasza, endecka, a trzecią zrobił Leon Chajn dla żydowskich prawników. Ja tymczasem awansowałem na asesora, a zaczem na podprokuratora z przydziałem do ministerstwa, gdzie zaj-

mowałem się problemami młodzieży prawniczej. Mogłem wtedy mieć wpływ na poprawę ich warunków bytu.

Prowadziłem wojnę z moim nowym ministrem – Grabowskim / następcą Michałowskiego, także wypłynął po Brześciu/. Przydzielony byłem wtedy do Biura Personalnego, gdzie przyszedł nowy szef – Siewierski /po wojnie był w Sądzie Najwyższym PRL/, był zresztą moim belfrem u Kulwiecia, gdzie wykładał „naukę o Polsce i świecie współczesnym”. Zgłosiłem się do Siewierskiego i mówiłem, że jestem politycznie związany z „Naprawą” i jeśli to się ministrowi z jakiś względów nie podoba, to mogę odejść. Na co usłyszałem, że minister nie widzi żadnych przeszkód w mojej dalszej pracy. Wkrótce potem nagle dowiaduję się, że muszę odejść. A byłem wtedy podprokuratorem w Piotrkowie z przydziałem do Warszawy. Uzyskałem tylko przeniesienie do Warszawy. Wracam z urlopu i dowiaduję się, że zostałem przeniesiony do Zamościa. Był to po prostu kopniak. Absolutnie nie miałem zamiaru się na to zgodzić, byłem zbyt mocno związany z Warszawą. Zacząłem robić wszystko co można, by ministrowi utrzyć nosa i utrzymać się w Warsza-

wie. Dzięki pomocy przyjaciół udało mi się dostać stanowisko w Ministerstwie Skarbu, jako zastępca rzecznika dyscyplinarnego. W ten sposób doszedłem do radcostwa. Ministrem był wtedy Kwiatkowski, a ja pracowałem u byłego prezydenta Lwowa, dyrektora personalnego, pana Drojanowskiego. Był to bardzo sympatyczny i dzielny człowiek.

K.T.: Jak przyjął Pan śmierć Piłsudskiego, co ona dla Pana oznaczała?

T.Ż.: Mimo młodego wieku byłem „starym piłsudczykiem”. Po prostu moja świadomość zawsze wiązała się z okresem Piłsudskiego. Jego śmierć była dla mnie dużym wstrząsem. Zastanawiałem się co będzie dalej i kto może sprawy Polski dalej poprowadzić. Obawiałem się „sejmowładztwa”, nie chciałem by powrócił okres lat 1923–1926, gdyż mogło by to oznaczać zmarnowanie całego dorobku Polski osiągniętego za czasów Piłsudskiego.

Byłem wówczas przekonany, że obóz piłsudczyków wyłoni jakieś przywództwo, przygotuje jakąś deklarację. Kiedy jednak Koc ogłosił swą deklarację, to nie byłem nią zachwycony, gdyż pisana była bez zrozumienia społeczeństwa. Zbyt wiele tam

było elementów wojskowych, nawet w stosowanym słownictwie.

K.T.: Więc dlaczego jednak OZN...

T.Ż.: Uznałem jednak, że nie ma innego wyjścia, gdyż OZN jest spadkobiercą polityki Piłsudskiego i dlatego należy zainteresować się OZN-em. Wówczas kuzyn Koca, który zaczął organizować Obóz Zjednoczenia Narodowego, Adam Siemaszko, mój przyjaciel zaproponował mi pracę w propagandzie OZN-u. W OZN-ie diabli mnie brali, gdy Koc zaczął dogadywać się z Piaseckim. Jako działacz ZPMD nie mogłem pogodzić się z tym, że on porozumiewa się z gorszymi od endeków, bo z oenerowcami, i to z tymi „z pod ciemnej gwiazdy”. Był tam też taki major Kruk-Strzelecki, a ja miałem mu coś pomagać. Zobaczyłem wtedy, że jego propaganda to rzecz niepoważna. Nie było żadnej propagandy tylko codziennie ogłaszano kto przystąpił do obozu. Wobec tego wycofałem się z tego stanowiska. Powróciłem kiedy nowym szefem sztabu OZN-u został pułkownik Jan Kowalewski, którego dobrze znałem. To był bardzo inteligentny jegomość. Znałem go gdy poprzednio był attache Wojskowym w Bukareszcie, gdzie

nieraz bywałem. I tak zostałem szefem propagandy OZN-u.

K.T.: Jakimi środkami pan wówczas dysponował?

T.Ż.: Żadnymi. Właściwie miałem takich dwóch facetów, którzy zupełnie się do tej roboty nie nadawali. Musiałem stworzyć nowy zespół. Później powiedziałem, panie pułkowniku ja muszę pojechać i przedstawić się w redakcji. Byłem w „Robotniku” u Niedziałkowskiego, w prasie endeckiej, pojechałem do „Kuriera Warszawskiego”, do wieczorówek. Uważałem, że niezależnie od poglądów politycznych prasa powinna znać się wzajemnie.

Postanowiłem tworzyć propagandę skuteczną. Dbając o to, by w jak najmniejszym stopniu była totalna, aby nie można było jej o totalizm posądzić. Chciałem docierać do środowisk robotniczych, ale także i ich opinie reprezentować. Gorzej było dotrzeć do wsi, gdzie silne były „Wici”, choć działał i „Siew”. W samym OZN-ie widoczne było, że reprezentowana jest tam nie tylko prawica. Byli tam również „naprawiacze” z Wilna, Lubelszczyzny i Poznania, a więc lewica piłsudczykowska.

Muszę przyznać, że w mojej pracy jako szefa propagandy miałem abso-

lutnie wolną rękę. Tylko ode mnie zależało co zrobić. Dość szybko powstał kryzys. Wycofano Kowalewskiego i przyszedł Wenda.

K.T.: Z II Oddziału.

T.Ż.: Równocześnie z otoczenia Śmigłego. Zrobiłem wtedy pewnego rodzaju manifestację. Miałem już 23 pracowników, z tym że większość to byli „dochodzący”. Złożyłem dymisję swoją swoich pracowników na ręce pułkownika Wendy. Nie było to przeciwko Wendzie, tylko w obronie Kowalewskiego. Oczywiście zrobiłem to tak, by zaraz dwie wieczorówki o tym napisały. Wenda natychmiast zaczął mnie przekonywać bym został. I ja się zgodziłem.

K.T.: Z jakiego powodu musiał odejść Kowalewski?

T.Ż.: Kryzys, który powstał wówczas w OZN-ie był zmianą pewnej linii. Płk. Kowalewski miał bardzo demokratyczne poglądy, chciał by do OZN-u wprowadzić rozmaite organizacje młodzieżowe, m.in. „Siew” – pro piłsudczykowski, ale wyraźnie demokratyczny, a nawet lewicowy. Znałem tę organizację, bo wielu członków jej kierownictwa było w ZPMD. Kowalewskiemu chodziło o to, by nie zamykać się we własnym gronie. Nie wiedziałem wtedy tego, ale na tym

tle doszło do różnic zdań między nim a Kocem. Niespodziewanie dowiedziałem się, że Kowalewski odchodzi. Byłem tym zaniepokojony, gdyż ukazywało to jak Koc się zmienił. To nie był już ten legionowy Koc, o demokratycznych przekonaniach. Zgłaszając dymisję po odejściu Kowalewskiego chciałem przeciw jego dymisji zaprotestować, ponieważ uważałem jego linię za słuszną. Chciałem by to rozeszło się po Warszawie, by następcą Kowalewskiego, a już wiedziałem, że to będzie Wenda, prowadził prace OZN-u inaczej niż chciałby Koc. Więc, jak mówiłem, powiedziałem wszystkim moim kolegom, że podaję się do dymisji, gdyż przychodzi nowy szef. Koledzy dołączyli się do mnie. Informacja ukazała się w kilku popołudniówkach, także sprawa odejścia Kowalewskiego stała się głośna. Muszę dodać, że później z Wendą pracowało mi się bardzo dobrze, nabraliśmy do siebie wzajemnego zaufania. Był inteligentny i rzetelny. Dawał mi swobodę inicjatywy i pomagał w jej realizowaniu.

K.T.: O pułkowniku Zygmuncie Wendzie mówiło się jako o szarej eminencji Polski, o jego wpływie na marszałka Śmigłego.

T.Ż.: W dużym stopniu to było

prawdziwe. Ja spotkałem w życiu trzech pułkowników – nie licząc Grotta – których uważałem za wyjątkowo inteligentnych i z którymi można było dobrze pracować. Kowalewski, Wenda, Rzepecki. Wenda był bardzo inteligentny, przyzwoity w postępowaniu z ludźmi, bardzo oddany Piłsudskiemu, ale i Rydzowi. Poza Wendą największy wpływ na Rydza miał Miedziński, który sam mi o tym mówił. Z Wendą dobrze mi się pracowało. Dawał mi zupełną swobodę. A przecież nie zawsze wiedział co ja zrobię. Wiedział natomiast, że ja jestem związany z „Naprawą”. Ja byłem oczywiście lojalny. Zawsze mówiłem gdy chciałem zrobić coś ważniejszego.

K.T.: Wróćmy może do pańskiej działalności. Jak Pan tworzył tę nową propagandę.

T.Ż.: Tak, tworzyłem wtedy nową propagandę. A to dlatego, że mnie to zafascynowało. Interesowało mnie to od czasów studenckich. Widziałem jak u nas partolą robotę, jak nie umieją do ludzi podejść i ich przekonać. A zarazem wiedziałem jakim propaganda jest ważnym instrumentem, pod warunkiem, że prowadzi się uczciwą propagandę. Nie wolno w niej oszukiwać. Nie wolno kłamać. To jest zasadniczy warunek dobrej

propagandy. I to każdej. Chyba, że jest dywersyjna.

Zgromadziłem młodych ludzi, paru z ZPMD, jednego czy dwóch z "Siewu" i jednego harcerza /nie nadawali się do tego ludzie z Myśli Mocarstwowej/. Budowałem aparat do działania. Mieli pracować tak jak chciałem. Jak ktoś był słaby to go spławiałem. Dostałem nieograniczone możliwości i zupełnie wolną rękę, aby ustawić propagandę. Dotychczasowa propaganda robiła wrażenie, że oddziałują ale tak naprawdę była bezskuteczna. Na początek postanowiłem stworzyć dobre pisma tygodniowe związane z OZON-em. Wobec tego zlikwidowałem cztery pisma ludowe finansowane przez nasze ośrodki, ale nie prenumerowane. Utworzyłem jedno pismo, tygodnik o tytule „Wieś Polska”. Nie było również żadnego dobrego pisma robotniczego. A ponieważ istniały prorzadowe związki zawodowe – Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, które było przy OZON-ie, trzeba było coś zrobić dla nich. Podobnie jak z pismami chłopskimi postąpiłem z pismem dla robotników. Redaktorem został Józef Sosnowski, profesor z gimnazjum im. Władysława IV na Pradze.

Uważałem, że pisma nie mogą rozchodzić się za darmo, gdyż będą lekceważone i poniewierane. Zdobyć prenumeratorów nie było łatwe. Ludzie byli zdemoralizowani tym, że dotychczas dostawali gazety za darmo. W związku z tym „Wieś Polska” zacząłem robić tak, by dawać prerogatywy prenumeratorom. Ci, którzy płacili prenumeratę za kwartał mogli uczestniczyć w losowaniu sprzętu rolniczego – pługów, bron, młockarni. Nic mnie to nie kosztowało, gdyż znalazłem firmy, które się u nas ogłaszały i mogły płacić gotówką lub sprzętem. Po losowaniu sprowadzałem zwycięzców do Warszawy, tam otrzymywali wygrany sprzęt a następnie prezentowaliśmy to w gazetach, itd. Dzięki takim sposobom ilość prenumeratorów zwiększyła się do trzydziestu paru tysięcy, co na ówczesne czasy było bardzo dużą liczbą.

Z robotnikami zrobiłem inaczej. Mieliśmy Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, które było szczególnie silne na Śląsku. Zawarliśmy tam następującą umowę. W składkę związkową wliczona była prenumerata /obniżona zresztą/ za numer „Robotnika Polskiego”. Osiągnęliśmy w ten sposób 103 tysiące płatnych prenumeratorów. Dzięki

temu mieliśmy już realnych odbiorców.

Udało mi się również załatwić z Wojskowym Instytutem Naukowo-Wydawniczym następującą transakcję. Oni posiadali ścienną gazetkę to się nazywało „Nowiny”. Jedno wydanie było dla żołnierzy, drugie dla ludności cywilnej było na rozpaczliwie niskim poziomie. Zaproponowałem, żeby oddali mi te cywilne „Nowiny”, że my to będziemy redagować. Rozwieszaliśmy ją w rozmaitych urzędach, starostwach, tam gdzie gromadzili się ludzie. Kiedy ruszyłem z gazetą ścienną, to bardzo dbałem o dobry materiał ilustracyjny. Olbrzymi nacisk kładłem, by w każdym wydawnictwie były zdjęcia. Miałem jeszcze zaplanowane nowe pismo wzorowane na niemieckich tygodnikach, składających się prawie z samych obrazków. Takie rzeczy częściowo ukazywały się u nas w dawnym zaborze pruskim, ale to było jeszcze za mało. Miało to być tylko przyjemnością do czytania i obejrzenia. Tego jednak już nie zdążyłem zrobić.

K.T.: Jak wyglądały Pańskie stosunki z Polskim radiem?

T.Ż.: Stałych audycji nie miałem, natomiast w każdej chwili miałem dostęp do radia. Przeważnie dwa razy

w miesiącu robiłem wieczorek takie krótkie pięciominutowki. Po prostu dzwoniłem, że mam coś interesującego i umawiałem się na odpowiednią godzinę. Często poprawki tekstu robiłem jeszcze w taksówce jadąc do radia.

Ale zatrzymajmy się jeszcze przy propagandzie. Zwróciłem uwagę na plakat. Prosiłem różnych moich znajomych. Korespondentów, ludzi jeżdżących w świat, aby przysyłali mi plakaty z różnych stron świata. Chodziło mi o zgromadzenie jak największej ilości plakatów, by służyły jako wzór tego jak nowoczesnie robić nasze. Wydałem parę takich plakatów.

K.T.: Pańskie doświadczenie zostało spożytkowane w wyborach 1938 roku ...

T.Ż.: To była ważna politycznie sprawa. Uważałem, że wydawanie i rozrzucanie ulotek po ulicach jest szkodliwe. Postanowiłem wydać broszurę w nakładzie miliona egzemplarzy i rozesłać je imiennie przez pocztę. Kiedy to powiedziałem Wendzie, to spojrzał na mnie jak na wariata. „A co pan z tym zrobi?”, spytał mnie Wenda. „Roześlę na adresy domowe”, odparłem. Treść tej broszury była spokojna. Zawierała omówienie sytuacji w kraju, zadania OZON-u, odpo-

wieść na pytanie dlaczego potrzebne są wybory. Teraz trzeba było zdobyć adres. Zakładałem, że ktoś kto otrzymuje do domu broszurę adresowaną do niego, to ją przeważnie przeczyta – 16 stron drukowanego słowa za darmo, to warto przeczytać. Zaczęliśmy szukać adresów. Książki telefoniczne częściowo tylko rozwiązały problem. Zacząłem szukać po rozmaitych instytucjach, np. w Banku Rolnym, który posiadał adresy pożyczkobiorców, PKO, Bank Gospodarstwa Krajowego. Dość, że broszurek poszło drogą pocztową ponad 900 tysięcy. Była to olbrzymia praca organizacyjna. Pracowało przy tym kilkadziesiąt osób. Robili to młodzi chłopcy, których wynajmowaliśmy.

Propaganda ta zdała egzamin czego dowodem była frekwencja wyborcza, wyraźnie większa niż w poprzednich wyborach. Oczywiście był to wynik także ogólnej sytuacji politycznej. Wazne były także przemówienia, np. Kwiatkowskiego, Wendy, Miedzińskiego, Skwarczyńskiego, które szły na całą Polskę przez radio.

K.T.: To były wybory, w których startował także Pan, wtedy całkiem młody człowiek, który na dodatek dysponuje najpotężniejszym w ówczesnej Polsce aparatem propagandy.

T.Ż.: Przyszedł do mnie kierownik organizacyjny w OZN-ie i zapytał czy chciałbym startować w wyborach do Sejmu. Zgodziłem się. Powiedział mi wtedy, że mamy do wyboru Nowogródek albo powiat warszawski. Nie zgodziłem się w żadnym wypadku na Nowogródek, z powodu opinii na temat tego jak się głosuje na kresach wschodnich. Wybrałem powiat warszawski, w którym przed dziesięciu laty pracowałem i działałem. Tam był przecież mój Pruszków, gdzie tworzyłem „Strzelca”.

Miałem wówczas masę roboty z ogólną propagandą i dlatego mogłem wyjeżdżać tylko wieczorami na spotkania w terenie. Udało mi się być we wszystkich ważniejszych punktach wyborczych. W czasie swych spotkań przedwyborczych nigdy nie mówiłem o sobie. Mówiłem o konieczności głosowania, dlaczego powinniśmy to robić. Tłumaczyłem, że nie muszą głosować na mnie, ale wysoka frekwencja jest potrzebna by wykazać siłę Polski.

Kiedyś w czasie spotkania miałem taką przygodę. Zebranie odbywało się na przedmieściu Bródna, tam gdzie jest wielki cmentarz, a było to w okolicach 1 listopada. Po spotkaniu jeden z organizatorów wręcza mi doniczki z chryzantemami i prosi bym zabrał je

dla małżonki. Takie właśnie doniczki stawiano na grobach.

Moi znajomi z Pruszkowa przygotowali ulotkę apelującą o poparcie dla mnie i rozesłali na różne adresy.

Z całej pracowej kampanii przedwyborczej miałem bardzo dobre wrażenia. W wyborach zwyciężyłem wyprzedzając o 20 tysięcy głosów następnego na liście /było 5 kandydatów/. Dostałem 70 tysięcy głosów. I tak zostałem posłem na Sejm.

K.T.: Najmłodszym posłem Rzeczypospolitej i czekało Pana ślubowanie.

T.Ż. Zaraz opowiem jak to było. Wcześniej wiedzieliśmy, że marszałkiem Sejmu będzie wybrany Makowski, profesor prawa. Wicemarszałkami byli Wysł Mudryj /Ukrainiec, Wenda, Surzyński Jedynek i Długosz. Ten ostatni był z „Naprawy” z Poznania, no Wenda z OZN-u ponadto było ośmiu sekretarzy. Ja jako najmłodszy byłem także sekretarzem. Zawsze na każdym posiedzeniu siedziało nas dwóch. Po złożeniu przysięgi wyczytywałem kolejnych posłów, którzy mieli składać przysięgi. Sala miała dobrą akustykę, ja zaś dysponowałem niezłym głosem, więc wszystko to dobrze wyszło. Zostałem też członkiem Sądu Marszałkowskiego i czterech ko-

misji sejmowych, starałem się być we wszystkich czynny.

T.K.: Pan często występował w komisjach sejmowych?

T.Ż.: Obowiązek poselski traktowałem poważnie i chciałem korzystać z okazji do poruszania rozmaitych spraw. Zawsze bardzo starannie przygotowywałem się do wystąpień, zwłaszcza w Komisji Budżetowej, gdzie należało być bardzo ścisłym w stawianiu spraw. Miałem absolutnie wolność słowa, gdyż w kierownictwie OZN nikt nie wtrącał się do mojej działalności sejmowej, a parokrotnie nawet zlecono mi wystąpienie w imieniu OZN.

W Komisji Budżetowej miałem kilka przemówień, które zmusiły ministrów do uznania mej krytyki za słuszną. Swe wystąpienia zacząłem w styczniu 1939 r. przy rozpatrywaniu budżetu prezydium Rady Ministrów, do którego włączone były sprawy Polskiej Akademii Telegraficznej /PAT/. Szczególnie obrazowo i dotkliwie skrytykowałem niewłaściwy poziom filmowego „Tygodnika Aktualności” tej agencji. Uważam, że nie jest na właściwym poziomie tematycznym, gdyż niezwykle mało mówi o wydarzeniach w całym kraju, a koncentruje się na tzw. galówkach.

Opowiadałem m.in. jak przedstawia się społeczeństwu takie wydarzenia, jak np. budowa nowego mostu. Na ekranie pokazują nam ministrów i dygnitarzy w uroczystych melonikach, a nie wiemy nic na temat kto planował ten most, jak robotnicy pracowali przy jego budowie, czy inżynierowie. To wystąpienie nazwano ogólnie „filmowaniem meloników”. Odpowiadał mi na tę krytykę premier Sławoj-Składkowski. Przyznał mi rację i zapowiedział, że w przyszłości będzie już mniej meloników, a więcej robotników i zdjęć z ich pracy.

Przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przedstawiłem ministrowi, czyli Sławojowi, rozmaite potrzeby regionu podstołecznego, mojego okręgu wyborczego. Zabierałem również głos przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Oświaty, wzywając by w programach wyższych uczelni uwzględniono także najważniejsze podstawy wiedzy wojskowej. Podkreślając, że zajścia antyżydowskie na uniwersytetach są „plamą na honorze polskiego akademika”, wyraziłem nadzieję, że minister znajdzie właściwe metody, by zapobiec temu i zapewnić spokój na uczelniach.

Również w styczniu zgłosiłem na

plenum Sejmu interpelację poselską z powodu długotrwałych opóźnień i nieregularności w węźle warszawskim, na co przez parę tygodni narzekali wszyscy dojeżdżający do Warszawy. Domagałem się od ministra / płk Ulrycha/ wyjaśnień w tej sprawie. Była to pierwsza i chyba jedyna interpelacja posła do ministra świadcząca, że posłowie OZN mają absolutną wolność krytykowania swych ministrów.

W lutym z ramienia OZN przemawiałem na plenum sejmowym w dyskusji nad budżetem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Te zagadnienia od dawna bardzo mnie interesowały i miałem okazję, by w imieniu OZN przedstawić pewne wytyczne programowe w stosunku do polityki społecznej Rządu. Jej ogólne założenia miałem przemysłane wcześniej i teraz rozwijałem je obszernie z głębokim przekonaniem, że przyjęcie przez Sejm i Rząd moich propozycji wpłynie istotnie na poprawę sytuacji świata pracy, jak również będzie miało korzystny wpływ na popularność OZN-u. prasowe sprawozdanie z mego wystąpienia były bardzo obszerne. Przed kilkoma laty w Paryżu znalazłem numery „Gazety Polskiej” z tego okresu.

W jednym z numerów była mowa o tym moim wystąpieniu sejmowym z 16 lutego. Przytaczam z niego kilka fragmentów, utrwalonych w tym numerze „Gazety”.

„Robotnik musi mieć świadomość, że swoją pracą przyczynia się do wzmożenia siły gospodarczej Polski i potencjału jej obronności... Pracodawca musi nauczyć się zasiadać z robotnikami przy wspólnym stole narad. Wyzysk powinien być tępiiony nie tylko przez ustawy, ale piętnowany w opinii publicznej.

Na czoło zagadnień ustawodawczych wysuwa się konieczność powołania Izby Pracy. Dojrzała również do załatwienia sprawa ustawy o instytucji rad zakładowych. Na ustawodawstwo oczekuje również sprawa przymusowego rozjemstwa i obowiązkowego zawierania umów zbiorowych. Państwo musi uregulować politykę władz tak, aby normy zarobkowe zapewniały stałe podnoszenie poziomu życia robotników.

Należy usprawnić i rozszerzyć uprawnienia Inspekcji Pracy. W instytucjach ubezpieczeniowych /w Kasach Chorych/ powinien obowiązywać samorząd”.

Przemówienie moje zostało dobrze przyjęte przez Sejm. Ówczesny

minister pracy i opieki społecznej Marian Zyndram-Kościałkowski, człowiek o postępowych przekonaaniach, podszedł do mnie, by wyrazić całkowitą aprobatę dla moich postulatów. Zapytał mnie jednak czy zdaję sobie sprawę. Że jeśli przeprowadzimy wybory do władz w Kasach Chorych, to opozycja może uzyskać większość. Odpowiedziałem mu, że liczę się z tym, ale powinny odbyć się wolne wybory, a rzeczą OZN będzie zabiegać o zwycięstwo w nim. Wybory jednak są koniecznością.

K.T.: Zgłaszał Pan wówczas problem robotników dniówkowych

T.Ż.: W związku z moimi zainteresowaniami sprawami robotniczymi zwróciłem uwagę na problem robotników dniówkowych, których w Polsce było bardzo wielu. Chodziło o to, że robotnik dniówkowy jest płacony tylko za te dni, które przepracuje. Jest więc społecznie pokrzywdzony w porównaniu z robotnikami stałymi. Poprzez ambasady polskie w innych państwach zbadałem jak wygląda sprawa takich robotników i zgłosiłem projekt specjalnej ustawy w tej sprawie. Zaproponowałem na początek wprowadzenia przymusu wypłacania dniówkowym wynagrodzenia za drugie dni Bożego Narodzenia i Wielka-

nocy za dzień Święta Niepodległości. Komisja Sejmowa uchwaliła mój projekt i wpłynął on pod obrady plenum Sejmu. Jak się jednak okazało wice minister komunikacji, Julian Piasiecki, po niewczasie przeraził się, że jego ministerstwa zatrudniające wielu pracowników dniówkowych będzie miało kłopoty, gdyż przekroczy swój budżet. Zwrócił się więc do premiera Składkowskiego, by prosił mnie o zgodę na odroczenie głosowania dla ponownego przedyskutowania ustawy w komisji. Zgodziłem się na to, ale niechętnie, wzywając do szybkiego rozważenia mego projektu. Nadchodził jednak gorący okres przedwojenny i moja ustawa nie zdążyła ujrzeć światła dziennego.

Muszę stwierdzić, że dobrze czułem się w Sejmie. Miałem bezpośredni wgląd w szeroki zakres rozmaitych zagadnień państwowych, przekonałem się, że mam pełną swobodę nie tylko krytykowania różnych spraw, ale i projektowania ich rozwiązań, a przede wszystkim nabrałem pewności jak wiele ważnych zagadnień można rzeczywiście w Sejmie załatwić. Oczywiście pochłaniało to dodatkową ilość mego czasu, ale dawało mi wiele satysfakcji.

K.T.: Miał Pan również kierować

propagandą wojskową na parę miesięcy przed wybuchem wojny?

T.Ż.: W marcu 1939 roku przyszedł do mnie Wenda i powiedziała: „Panie Tadeuszu, jedziemy do Ministerstwa Spraw Wojskowych, bo prosi o to minister Kasprzycki”. Na miejscu Kasprzycki poprosił mnie bym pokierował propagandą wojskową. Proponowaliśmy to Wańkowiczowi – mówił Kasprzycki – ale on odpowiedział, że dopóki nie będzie miał na to miliona złotych, to się za propagandę wojskową nie weźmie. Powiedziałem wówczas, że miliona nie potrzebuję, lecz nie mogę jednocześnie prowadzić dwóch propagand. Albo OZN, albo wojsko. Dodałem jednocześnie, że w propagandzie OZN-u już siedzę, a wojskową trzeba budować od początku. Niech więc pułkownik Wenda decyduje. Wenda nie wyraził zgody. Teraz, z perspektywy lat, uważam, że dobrze się stało, bo tamtej propagandy nie udało by się tak szybko uruchomić. Wtedy nie było żadnej propagandy wojskowej. Tam trzeba było ludzi dopiero uczyć. W OZN-ie zgranie i wyszkolenie ludzi trwało około dwóch lat.

Skoro już jestem przy propagandzie wobec zbliżającej się wojny, to w 1939 roku sporo jeździłem jako

taki „pyskacz” na rozmaite zebrania. Na jeden z takich wieców pojechałem do Gdyni. Tam dowiedziałem się, że Hitler w Reichstagu zerwał pakt o nieagresji z Polską. Dla mnie jako mówcy był to istny raj na ziemi. Frekwencja była bardzo duża. Mogłem sobie poużywać na Hitlerze i całą salą dosłownie huczała. Bardzo mnie pochwalił wtedy Kazimierz Rusinek, późniejszy komunista, a wówczas pesowiec.

K.T.: Ale działał Pan nadal w Związku Strzeleckim...

T.Ż.: Tak. W 1933 roku objąłem redakcję tygodnika „Strzelec”, który był organem Związku Strzeleckiego. Czasopismo przejąłem po Wojciechu Stpiczyńskim. On nie miał czasu na prowadzenie tej gazety i dlatego mnie to powierzono. Tygodnik ten miał zasięg ogólnopolski. Trzeba było temu pismu nadać jakiś charakter, ożywić je. Chodziło o kształtowanie typu żołnierza – obywatela. Była to bardzo przyjemna robota. Pokusiło mnie jednak, aby zrobić jakieś ciekawsze, specjalne numery. W 1934 r. przypadała 20 rocznica wymarszu „kadrówki”, więc z tej okazji zdecydowałem się zrobić numer specjalny. Chciałem zdobyć ciekawe materiały ilustracyjne, wypowiedzi żyjących członków

kadrówki i to mi się udało. Bardzo ciekawe relacje historyczne napisali Englert i Pomarański. Była to pierwsza pełna historia kompanii kadrowej.

Potem robiłem specjalny numer poświęcony Strzeleckiej Oficerskiej Szkole w Stróży, koło Limanowej, którą utworzono w 1913 roku. Prowadził ją sam Piłsudski, był tam Sosnkowski. Udało mi się odtworzyć historię tej szkoły, programy wykładów, itd. Teraz chyba nigdzie nie ma pełniejszego obrazu tej szkoły.

Zrobiłem jeszcze kilka takich specjalnych numerów m.in. o POW.

Praca w „Strzelcu” sprawiała mi dużo przyjemności, ale kiedy zająłem się propagandą ozonową, to musiałem się ze „Strzelcem” pożegnać.

K.T.: W czyje ręce przekazał Pan „Strzelca”?

T.Ż.: Przyszedł wtedy Roman Goldman, który później był w AK i WIN-e. Był to bardzo solidny i ideowy człowiek.

K.T.: Wracając do działalności w OZN-ie, Pan zajmował się problemami środowiska wiejskiego i robotników.

T.Ż.: Do robotników miałem szczególny sentyment, gdyż zetknąłem się z nimi w Pruszkowie. Bardzo

chciałem te środowiska postawić wyżej w hierarchii społecznej, aby sami poczuli, że są równorzędnymi partnerami inteligencji.

Włosi wtedy zaczęli organizować akcje spędzania wolnego czasu przez robotników. Wysłałem jednego ze współpracowników by przyjrzał się temu co robią Włosi. Niemcy mieli „Kraft durh Freude”. Denerwowało mnie, że kiedy organizowano rejsy „Batorym” czy „Piłsudskim”, to jada tylko tzw. burżuje. A robotnik czy chłop, któremu mówiło się, że ma polskie morze nie mógł o tym nawet zamarzyć.

Pod koniec 1938 roku, tj. w parę tygodni po tym, jak wszedłem do Sejmu, marszałek Makowski zrobił takie zebranie w swoich apartamentach dla prezydium Sejmu, do którego ja wchodziłem jako sekretarz oraz dla ministrów. Powiedziałem sobie teraz albo nigdy – trzeba ich „pogolić”. Chciałem po prostu zdobyć pieniądze na zorganizowanie po Bałtyku dla robotników i chłopów. Przecież trzeba takie rejsy dofinansować, by taki robotnik mógł w ogóle pojechać. I tak zacząłem szturmować różnych ministrów o pieniądze na taką akcję. Dopadłem jeszcze dyrektorów PKO i Banku Gospodarstwa Krajowego.

W ciągu paru tygodni wiedziałem, że będę miał na to pieniądze. Zebrałem ok. trzydziestu paru tysięcy. Na ówczesne czasy była to niemała kwota. Kiedy już miałem pieniądze trzeba było zastanowić się jak to wszystko zorganizować.

Chciałem zawieść moich robotników do Szwecji, więc wysłałem jednego z moich [podwładnych, by tam pojechał i zobaczył jak wygląda sytuacja /domy robotnicze itd./, potem zaś wysłałem go do Kopenhagi, aby zorientował się jak tam z kolei wygląda sytuacja chłopów. Mówiło się wtedy dużo o rolnictwie duńskim. Chciałbym, aby ludzie nie tylko płynęli po morzu, ale także zobaczyli jak żyją ich koledzy za granicami Polski.

Ostatecznie ustaliliśmy, że robotniczy rejs odbędzie się do Szwecji, a rolnicy popłyną do Danii.

K.T.: Jak liczne były to grupy?

T.Ż.: Statek miał chyba ok. 300 ludzi. Wynająłem „Pułaskiego”. Polegało to na tym, że ja tym statkiem władam, tzn. robię imprezy, lokuję ludzi, a kapitan zajmuje się żegluga. Przygotowaliśmy specjalne wyposażenie statku, by każdy z przybyłych ludzi mógł czuć się dobrze.

Pozostała kwestia werbunku na

rejs. Jeśli chodzi o robotników sprawa była o tyle prosta, że na wyjazd kierowały związki zawodowe, gdyby była ich za dużo zdecydowaliśmy się na losowanie. Rozdzielaliśmy ich w ten sposób, by z każdego większego ośrodka robotniczego byli jacyś ludzie. Wszyscy płacili, ale niewiele. Chodziło o to, żeby to nie była „darmocha”. Z chłopami zrobiłem w ten sposób, że pierwszeństwo mieli prenumerujący naszej prasy, a gdy chętnych było zbyt wielu, to robiło się losowanie.

K.T.: Czy było dużo chętnych?

T.Ż.: Nadmiar. Mnie jeszcze chodziło oto, żeby ten robotnik czy chłop czuł się pełnoprawnym uczestnikiem wycieczki, więc musi korzystać ze wszystkich udogodnień, z których normalnie nie korzysta. Wobec tego, że na statku były trzy pokłady, postanowiłem, że nie może być takiej sytuacji, by gorsze miejsca zajmowali tylko robotnicy czy chłopci, lecz muszą być przemieszani z zabranymi na rejs notablami. Notabli zabrałem dlatego, żeby robotnicy wiedzieli, że ministrowie jadą z nimi, siedzą przy stole, kontaktują się z robotnikami. Byli tam ministrowie, marszałkowie Sejmu, jak np. Wenda, Tadeusz Lechicki – wiceminister. Nie musiałem

ich zresztą do tej idei specjalnie przekonywać.

Pozbierałem artystów, aktorów, organizowaliśmy kabaret. Oczywiście jechały orkiestry – na wyjazd robotniczy ze Śląska i dwie wiejskie. W Sztokholmie i kopenhaskim rejsie organizowaliśmy występy naszych zespołów.

Wyjazdy cechowała duża dyscyplina. W Sztokholmie spóźniła się jedna grupa na statek, postanowiłem więc odpłynąć bez nich. Dogonili nas motorówką. Mocno ich obrugano, gdyż kompromitowali nie nas, lecz Polskę wobec Szwedów.

Kiedy natomiast z chłopami dopłynęliśmy do Kopenhagi, czekał na nas ktoś z ambasady i grupka ludzi. Gdy zszedłem po trapie, by się przywitać z czekającymi ludźmi okazało się, że są to dziennikarze pragnący zadać mi pytania. Było to w czerwcu więc pytano mnie o sprawę Gdańska. Moje odpowiedzi polecały w wieczorówkach na pierwszych stronach. Potem polski ambasador dziękował mi, gdyż od miesięcy starał się zdobyć prasę – bezskutecznie.

Ciekawe jak zmieniły się oceny ludzkie. Początkowo mało kto wierzył w sukces tego pomysłu, ale gdy wróciliśmy Wenda zaczął mnie namawiać bym zrobił kolejny wyjazd. Ale

powiedziałem, że w 1939 roku już nie zdążę. No i później też nie zdążyłem.

K.T.: Chciałem wrócić do wydarczenia, o którym już Pan wspominał. Do śmierci Komendanta.

T.Ż.: To było w niedzielę wieczorem. Wracaliśmy od przyjaciół Nowym Światem. W niedzielę zawsze był mały ruch i nagle zobaczyłem, że pędzą jakieś dwa czy trzy samochody w kierunku Belwederu. Bardzo się tym zaniepokoiłem. Wiedziałem, że Marszałek jest chory, ale nie wiedziałem w jakim jest stanie. Wróciliśmy do domu i koło dziesiątej wieczorem przysłała wiadomość o śmierci.

Później dwukrotnie byłem jeszcze w Belwederze. Raz z Komendą Główną Związku Strzeleckiego i jeszcze raz z Ministerstwem Sprawiedliwości, by złożyć hołd leżącemu tam na wzniesieniu Marszałkowi. Byłem śmiercią Marszałka bardzo głęboko poruszony i zaniepokojony. Nie wiedziałem co będzie dalej. Nie było nikogo kto mógłby go zastąpić. Potem krytycznie patrzyłem na nominację Śmigłego na Marszałka. Uważałem, że jest to za szybko. U mnie w pokoju w OZN wisiał tylko portret Marszałka Piłsudskiego.

K.T.: Pan spotykał osobiście Rydza?

T.Ż.: Tak, parokrotnie. To nie był tej miary człowiek. Był bardzo uczciwy i spokojny. Był dobrym dowódcą armii, ale bez dorobku intelektualnego.

T.K.: A ostatni premier Rzeczypospolitej, Sławoj-Składkowski?

T.Ż.: Spotykałem się z nim. Był to człowiek bardzo energiczny i bardzo dobry jako gospodarz. Przesadzał co prawda z tymi 5 minutami, że nie można się było spóźnić do biura. Ale zrobił sporo porządków. Te jego „sławojki” czy wyasfaltowanie wszystkich podwórek w Warszawie, to były bardzo rozsądne zarządzenia. Żaden magistrat by tego nie wprowadził. To był dobry administrator, ale nie polityk.

K.T.: Innym wybitnym człowiekiem, z którym Pan się stykał był Adam Skwarczyński.

T.Ż.: To był teoretyk a nie polityk, kiedy przypominam sobie spotkania z nim to pamiętam, że on widział wszystko jakby „przez mgłę”. Może miało wpływ na to jego kalectwo, bo nie miał swobody ruchu. To był bardzo inteligentny człowiek, szlachetny. Gdy go widziałem był już bardzo chory.

K.T.: A kogo z polityków ostatnich lat Polski Niepodległej ceni Pan najwyżej?

T.Ż.: Na pewno Kwiatkowski. Drugi Beck. Świetne były koncepcje gospodarcze Kwiatkowskiego. Widać było jak COP rośnie. Jeździłem tam ze dwa razy do roku. To był fenomen gospodarczy. Podobnie Beck. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną i to z dobrą lokatą. Rozumiał dobrze jak wielkie są nasze braki w wyposażeniu wojennym z powodu braku funduszy i zdawał sobie sprawę, że z olbrzymim wysiłkiem finansowym następuje szybko wzrost naszego potencjału wojennego. Stąd wywodziły się te wszystkie jego pozorne ustępstwa, niezrozumiałe właściwie przez znaczną część naszego społeczeństwa.

Jakżeż niesłusznie oskarżono Becka i potępiono za Zaolzie. Zapomniało, że to Czesi po raz pierwszy złamali umowę z Polską o podział ziem cieszyńskiej z 5 listopada 1918 r. złamali ją zbrojnie w styczniu 1919 r., a nową linię demarkacyjną próbowali naruszyć w miesiąc później. Wbrew umowie z Polską, podpisaną przy udziale Francji, w krytycznym okresie sierpnia 1920 r. odmówili transportu z bronią i amunicją idącym do nas z Francji i skorzystali z krytycznej sytuacji pod Warszawą, by wymusić na Polsce krzywdzącą nas nową linię graniczną. Nie pamięta

się, że Benesz w 1938 r. kapitulował przed Hitlerem. Odzyskując Zaolzie podtrzymywaliśmy – przynajmniej na pewien czas – zagrożenie ze strony niemieckiej.

Widziałem Becka z bliska w dniu 5 maja 1939 r. gdy wygłaszał swe pamiętne, historyczne przemówienie w Sejmie, mocne i godne, zakończone słowami o polskim honorze. Ilekroć slysze bezpodstawne zarzuty stawiane Beckowi tylekroć mam poczucie krzywdy, jaka pośmiertnie go spotyka. Wszyscy na nim wieszają psy. A nikt nie chce pomyśleć jakby wyglądała sytuacja wojenna gdyby on nie odwlekał początku wojny. To co on zrobił, było dla nas konieczne. Mam dla niego wielkie uznanie. On przecież poniżał się /a był człowiekiem bardzo dumnym/ byle tylko dać Polsce czas na przygotowanie do obrony. Gdybyśmy mieli jeszcze rok czy dwa...

K.T.: Jaka panowała atmosfera w tych ostatnich dniach przed wybuchem wojny, co Pan wtedy robił?

T.Ż.: W lipcu 1939 roku zwrócił się do mnie minister komunikacji płk Ulrych z prośbą żeby mu pomóc w propagandowej części Zjazdu Legionistów w Krakowie. Zjazd miał być duży, atmosfera i stosunki polsko

– niemieckie były napięte. Pachniało już trochę prochem. Zwrócił się do mnie, gdyż uznał, że moja propaganda w OZN-ie zdaje egzamin, jest na dobrym poziomie.

Przygotowaliśmy afisze, plakaty, szybkoą obsługę radiową. Wyszło to zupełnie dobrze. Gdy patrzyłem na uczestników Zjazdu, na mieszkańców Krakowa, to widziało się, że są to ludzie świadomi odpowiedzialności za losy kraju. Powiedzenie Rydza o guziku którego nie oddamy przyjmowano na serio. Czuło się tam tradycje i poczucie obowiązku.

W sierpniu byliśmy już po tajnej mobilizacji kartkowej. Byłem wtedy pod Ciechocinkiem u znajomych. W związku ze zbliżaniem się 15 sierpnia zasugerowałem im zorganizowanie Święta Żołnierza. Z okazji tego święta musiałem obsłużyć parę takich zebrań. Po powrocie do domu musiałem podobne spotkania odbyć w swoim okręgu poselskim we Włochach pod Warszawą. Pamiętam, że mówiłem wtedy – Kiedy zabraknie broni to będziemy się bronić choćby kamieniami z bruku.

Jeden moment bardzo utkwił mi w pamięci. Byłem wtedy na Matejki, w naszej siedzibie OZN. Poszedłem do pokoju Wendy. A on zmartwio-

ny mówi do mnie: „Panie Tadeuszu / to był akurat 23 sierpnia 39/ to nie dobrze. To jest najgorsza wiadomość, jaka mogła przyjść”. Były to już ostatnie dni przed wojną. Trwały przygotowania do mobilizacji.

K.T.: Gdzie się Pan znajdował gdy zaczęła się wojna?

T.Ż.: Mieszkaliśmy nad Wisłą, w pobliżu kolejowego mostu Poniatowskiego. Rano ok. 5 obudziłem się, gdy usłyszałem strzelaninę karabinową. Była to obsada karabinów maszynowych ochrony mostów i gdy na niebie pojawiły się niemieckie samoloty to polska obrona otworzyła do nich ogień.

Włączyłem radio i właśnie powtarzano przemówienie prezydenta Mościckiego o wybuchu wojny.

Ale muszę cofnąć się jeszcze do okresu poprzedzającego wybuch wojny. Zastanawialiśmy się co będziemy robić w momencie wybuchu wojny. Powiedziałem Wendzie, że chcę iść do wojska. Zanim jednak do tego doszło, dostałem kartę do mego 21-go Warszawskiego Pułku Piechoty, stacjonującego w Cytadeli. Natychmiast tam się zjawiłem. Pełno tam już było moich kolegów, znanych i nieznanych. Idę do oficera mobilizacyjnego chorążego Dudzika. A on na mój widok

mówi: „Proszę pana, pan nie może iść do wojska, bo pan jest posłem”. Staralem się jeszcze go przekonać, ale bezskutecznie. Wobec tego wróciłem do domu. Pojechałem na Matejki i powiedziałem co się dzieje. Tam przygotowaliśmy się na wypadek, co będziemy dalej robić. Trzeba przyznać, że OZN nie był przygotowany politycznie i organizacyjnie.

Ale raz jeszcze muszę się cofnąć. Na wypadek wojny miałem przygotowany w tajemnicy duży plakat Ozonu. To był żołnierz z karabinem w ręku i z okrzykiem „Do broni”. Autorem był mój przyjaciel Adam Siemaszko. Miałem umowę z dużą drukarnią „czerwonaków”, gdzie była przygotowana klisza plakatu, który na mój rozkaz mieli drukować. Około 6-tej zatelefonowałem. O godzinie 12 plakaty już wisiały na mieście.

Pojawił się problem nagłego zwołania Sejmu. Posiedzenie miało miejsce 2 września, w sobotę po południu. Miałem tam osobistą przyjemność, gdyż zostałem wyznaczony przez OZN jako referent ustawy, a właściwie poprawki do ustawy o „Powszechnym obowiązku służby wojskowej”. Normalnie posłowie i senatorowie byli zwolnieni od służby wojskowej, gdyż mieli być w każdej chwili do

dyspozycji Sejmu. W związku z tym, abyśmy mogli pójść do wojska, został przygotowany projekt ustawy pozwalający posłom i senatorom na służbę wojskową w czasie wojny. A jednocześnie powoływało się zmniejszone zespoły Sejmu i Senatu. Szedłem na to posiedzenie mocno zmęczone. Zjechali się prawie wszyscy posłowie. Posiedzenie odbywało się po południu. Kopuła Sejmowa była cała oszklona. Siedzieliśmy na sali aż w pewnym momencie dało się słyszeć warkot samolotów. Pomyślałem sobie wtedy, jak by to wyglądało gdyby rąbnęła tutaj taka bombka.

Projekt referowałem krótko i z ogniem. Po moim wystąpieniu deklarowały swoje stanowiska poszczególne kluby poselskie. Bardzo bojowe było wystąpienie posła żydowskiego. Wszystko to było w podniosłym nastroju.

Następnego dnia – 3 września – musiałem być w sztabie OZN-u, aby przygotować moje odejście do wojska. I w poniedziałek rano pojechałem do Cytadeli. Pojechałem wiedząc, że teraz będę przyjęty do wojska.

K.T.: Komu przekazał Pan Wydział Propagandy?

T.Ż.: Przejmować mieli Staś Smoleński i Ciechomski.

Przyjechałem do swojego pułku w Cytadeli. Podchodzę do Dudzika i mówię „Widzi pan, mogę już iść do wojska”. A on na to, że nie ma żadnej ustawy. Ja nie mam żadnego papierka urzędowego. „Słyszałem pana przemówienie, ale to nie ustawa”. Próbuje dzwonić z pułku do gen. Kasprzyckiego, ale nie mogę się dodzwonić. Na co Dudzik zaproponował mi bym pojechał do swojego RKU. Więc udałem się na Pragę. Tam był wtedy jakiś inteligentny pułkownik, co się pułkownikom też wtedy zdarzało i starałem się przekonać go, że ja muszę być w wojsku. Dobrze mnie zrozumiał. Dałem mu telefon do mojego chorążego, no zadzwonił i mogłem pojechać do mojego pułku. Tak zaczęła się moja wojna z bronią w ręku.

Pojechałem wieczorem do pułku. Ale natychmiast pojawił się problem, gdyż chciałem od razu iść na front. Tymczasem moja jednostka była gdzieś pod Ciechanowem. Dowiedziałem się, że wychodzi z pułku batalion marszowy, taki który uzupełnia pułk w polu. Major Duch, kierujący batalionem początkowo mi odmówił gdyż miał już pełną obsadę. W końcu z pomocą majora Ducha zostałem jako dowódca plutonu i czekałem na ranny wymarsz.

Mieliśmy maszerować w kierunku Ciechanowa. Nad ranem sytuacja się zmieniła. Dostałem wiadomość, że idziemy na obronę Warszawy. Pod Tomaszowem nastąpiło przerwanie frontu i trzeba robić improwizację obrony. W związku z tym cały nasz batalion ruszył na obronę Warszawy. Kierowano nas na Mokotów.

Weszliśmy raniutko z plutonem gdy miasto jeszcze spało. Zmęczeni dochodzimy do Placu Trzech Krzyży i nagle jeden z żołnierzy proponuje: „Panie poruczniku może pojedziemy tramwajem”. Zatrzymałem nadjeżdżający tramwaj i tak dojechalśmy na ulicę Puławską do parku Dreszera.

Mój odcinek obrony obejmował Aleje Niepodległości od parku Dreszera do Rakowieckiej. Na razie miałem obserwować i alarmować na wypadek zbliżającego się niebezpieczeństwa. Byliśmy niezbyt dobrze wyposażeni, nie pamiętam już czy mieliśmy nawet granaty, amunicji było mało. Porozstawiałem drużyny i zacząłem szukać miejsca dowodzenia dla siebie. Na rogu Alei Szustera i Niepodległości zobaczyłem ładny dom z ogrodem, który postanowiłem zająć jako punkt dowodzenia. Siedziałem w zajęтым przez siebie ogrodzie, gdzie składano mi meldunki. Kiedy tak siedziałem

czekając na dalsze meldunki, słyszę, że skrzypi furtka i widzę, że wchodzi jakiś major. Podrywam się i zaczynam składać meldunek i nagle zaczynam się śmiać, To był Stefan Starzyński. Myśmy się dobrze znali i ze „Strzelca” i Ozon-u: „Chciałem iść do wojska, ale się nie zgodzili i kazali mi pozostać w mieście. Oddaję do pana dyspozycji cały mój dom”. I wten sposób zaczęła się moja kwatera bojowa w wili Starzyńskiego na ulicy Szustera.

Bardzo byłem wtedy zainteresowany co się dalej dzieje z OZN-em. Więcej już nigdy ludzi z OZN-u nie widziałem. Skwarczyńskiemu dano początkowo dowództwo grupy wypadowej, która miała iść na Gdańsk, ale potem to cofnięto. Wenda był bez przerwy przy Śmigłym. Sztab OZN-u wywakuował się dość wcześnie w kierunku na Lublin, że gdy przyjechałem na Matejki to już tam nikogo z kierownictwa nie było. Ani szefa Wydziału Politycznego, Delingera, ani Matrasia, szefa Wydziału Organizacyjnego. Byli tylko urzędnicy. Któregoś dnia pojechałem jeszcze raz do OZN-u, ponieważ do mnie zadzwonili. Nie wiedzieli co zrobić z pieniędzmi, które zostały w kasie. Pojechałem na Matejki, zorientowałem się, że jest tego kilka tysięcy

złotych. Podjąłem decyzję, by oddać pieniądze w imieniu OZN-u na tworzące się Bataliony Robotnicze. I tak się stało. Nawet Zaremba o tym kiedyś pisał, że bardzo się zdziwił, że OZN dał pieniądze. Widać było wtedy w OZN-ie niedorozwój politycznego myślenia. Skoro jesteśmy dużym obozem politycznym to musimy w okresie wojny działać. Trzeba wspomagać wojsko, występować w Sejmie, robić propagandę. A tu nagle nie ma nic, wszystko to się rozwiało. Właściwie nie ma OZN-u. szef Wydziału Politycznego – Delinger – nie nadał się w ogóle na to stanowisko, Matraś też nie. To był olbrzymi błąd. Albo było przekonanie, że się przegra, albo brak politycznego myślenia. Pierwsza ewentualność chyba nie była wtedy tak silna. Ale skoro zakładano, że będzie ciężka walka, to trzeba się było do tego przygotować. Do pracy w podziemiu tej części kraju. Która będzie zajęta, a w tej która będzie się broniła, trzeba jawnie działać.

K.T.: Czy można postawić tezę, że OZN był nieprzygotowany na wypadek wojny?

T.Ż.: OZN nie przewidywał przebiegu wojny.

K.T.: Kto ponosi za to odpowiedzialność?

T.Ż.: Szef przede wszystkim. Szef obozu. W dużym stopniu także Śmigły, który powinien był zwrócić uwagę, że trzeba mieć jakieś zaplecze polityczne.

K.T.: Jeśli patrzeć na OZN z perspektywy czasu to był to twór sztuczny?

T.Ż.: Nie, proszę pana. W terenie się to ostało. Sporo tam później działa się, już nie pod firmą OZN-u. Ludzie w terenie pozostali i pracowali dalej w czasie okupacji. Nie było jednak planu na wypadek klęski.

K.T.: Często stawiany jest zarzut, że OZN prowadził przed 1 września „propagandę sukcesu”.

T.Ż.: Nie, myśmy nie robili żadnej propagandy zwycięstwa. Była to tylko propaganda walki. Obrony i walki. Propagowaliśmy obronę. Zresztą nastroje były w społeczeństwie wspiane. Widziałem cały czas te nastroje w Warszawie. I jak mówiłem po raz ostatni pojawiłem się w gmachu na Matejki, żeby dać pieniądze na Bataliony Robotnicze. I to była ostatnia moja czynność o Ozonie.

K.T.: A Pana dalsze losy?

T.Ż.: Musieliśmy się przygotować do obrony przed czołgami niemieckimi. Kiedy Starzyński spytał mnie czy może mi w czymś pomóc, to powie-

działem, że trzeba powstrzymać czołgi, budując przeszkody. Albo rowy przeciwczołgowe, albo przeszkody z osadzonych w ziemi szyn. Poprosiłem Starzyńskiego o odpowiednich ludzi, którzy mieli te szynowe przeszkody wykonać. Także Szustera posiadała odpowiednią obronę przeciwczołgową. Ale miałem wielką pustą przestrzeń od Szustera do Raławickiej, gdzie było wolne pole. Zaradzałem więc, by przysłano mi ludzi do kopania rowów. Przyprowadzili ich policjanci, jedni byli ochotnikami, inni złapani na ulicy, ale wykopali nam bardzo prawidłowy rów zatrzymujący czołgi.

Potem trochę się zagęściło, gdyż przyszły inne plutony. Zaszliśmy się dozbrając, gdyż brakowało mi uzbrojenia. Zarekwirowałem będące na moim terenie samochody i motocykle i zacząłem jeździć do pułku w Cytaдели, by dozbroić mój pluton. Koszary naszego pułku były już puste. Ale znalazłem u jakiegoś sierżanta trochę broni. W jednym z magazynów znalazłem dwa wielkie karabiny przeciwpancerne. To był wtedy wielki cymes.

Ale muszę się cofnąć. Kiedy wybuchła panika pod Tomaszowem, to myśmy dozbrajali się od żołnierzy, którzy napływali do Warszawy. Za-

bieraliśmy im karabiny, granaty, amunicje. Na jednym z wozów żołnierze znaleźli skrzynkę z dziwnymi, wielkimi nabojami. Oni nie wiedzieli co to jest. Ja też nie wiedziałem do czego jest ta dziwna amunicja. Ale na wszelki wypadek zatrzymałem.

Wracam więc do Cytadeli. Sierżant mi mówi: „Panie poruczniku, tu mamy takie dwa karabiny przeciwpancerne, ale nie mamy do nich amunicji”. Ucieszyłem się, bo pomyślałem, że to jest ta amunicja. Zabrałem więc karabiny przeciwpancerne, dobroiłem się w inne karabiny. Kiedyś zgłosiłem Starzyńskiemu, że brakuje mi ręcznych karabinów maszynowych. Zaprosił mnie wtedy do magistratu, gdzie przechodzące przez Warszawę oddziały zostawiły broń. Poszedłem do Pałacu Blanka, gdzie oddziały z Pomorza zostawiły rkmy. Skorzystałem z nich i dzięki temu w każdej drużynie były po dwa – trzy rkmy. Byliśmy więc wyjątkowo dobrze uzbrojeni.

Linia frontu była wtedy na Alei Niepodległości. Mnie jako radiowca niepokoiło, że przed nami jest Fort Mokotowski, na którym są anteny radiowe Warszawy II. Pomyślałem, że trzeba by spróbować to zająć i zabezpieczyć. Poszedłem więc do mojego

dowódcy batalionu, majora Ducha i mówię, że chcę zrobić nocny wypad, aby zająć Fort, gdyż inaczej stracimy możliwość nadawania z Warszawy przez radio. Była to wtedy jedyna stacja która nadawała.

Nie wiedziałem jak zrobić rozpoznanie. Gdybym w dzień wysłał żołnierzy to Niemcy by ich ukatrupili i nie będą miał wiadomości. Wobec tego wpadłem na następujący pomysł. Sprowadziłem jakieś dwie dzielne babiny, które mieszkaly w pobliżu i paru chłopaków, wyrostków, takich gazeciarzy. Powiedziałem im, żeby wzięli motyki i worki i poszli na Pole Fortu pozorując kopanie kartofli. I dzięki temu miałem dobre relacje gdzie byli Niemcy. Jak daleko. Dowiedziałem się, że Fort jest niezajęty, a Niemcy są na zachód od Fortu.

Wobec tego zrobiłem wypad w nocy. Trzeba trafu, że gdy przeprowadzałem rozpoznanie zauważyłem jakiegoś majora, który kręcił się w okolicy mojej pozycji. Podchodzę do niego, a tu się okazuje, że to jest major Wacław Lipiński, którego dobrze znałem. On pomagał mi założyć „Podchorążego”. Okazało się, że major jest zaniepokojony losem stacji nadawczej. Trzeba tam było coś naprawić. Przysłał mi dwóch inżynierów

rów, którzy z nami poszli na Fort Mokotowski. Był to stary Fort rosyjski, gdzie do głębokich podziemi sprowadzili się mieszkańcy pobliskich domów. Pomyślałem, że jest tu za mało wojska gdyż miałem tylko 20 ochotników. Zaalarmowałem dowództwo i przysłali w końcu całą kompanię, a myśmy wrócili na swoje pozycje. Antena nadawcza działała do końca obrony Warszawy.

Starzyński co jakiś czas przyjeżdżał do swojej wille, ale stopniowo coraz rzadziej. Ja parokrotnie bywałem u niego w Magistracie. Udało mi się zorganizować mały szpital polowy, gdzie lokowałem rannych. Postarałem się o to, żeby nam przysłali jakiegoś lekarza, gdyż miałem tylko sanitariusza. I w tym szpitaliku miałem zawsze kilkanaście osób rannych, przeważnie cywili. Zrobiłem sobie mały park motorowy bo miałem kilka motocykli i samochodów. Musiałem jeździć do Starzyńskiego albo do Cytadeli po ekwipunek.

Od uciekinierów zdobyłem kuchnię polową, musieliśmy sami się wyżywić. Mogłem wyżywić żołnierzy tylko z tego, co nam chętnie dawała ludność, bo nie było normalnego zaopatrzenia.

Ponadto starałem się uciekinierów nie tylko rozbrajać, ale także wciąć do swojego oddziału. Zatrzymuję jednego idącego żołnierza, chcę mu odebrać broń, a on nie chce oddawać, bo szuka swojego pułku. Spytałem go czy chce się bić i wciąłem go do swojego plutonu. I w taki sposób powiększyłem swój pluton o kilkunastu ludzi. W tym także dwóch podchorążaków, którzy się wycofali. Okazało się, że jednym z tych, którzy zostali u mnie był Wincenty Kraśko, późniejszy komunistyczny dygnitarz za czasów Gomułki. Był to wtedy bojowy spokojny żołnierz.

Chcąc umocnić obronę zacząłem szukać min przeciwczołgowych. Kładło się je dość gęsto, to były takie polskie, przeciwpancerne.

Dostałem ponadto pomoc w postaci trzech podoficerów ze straży granicznej sierżanta plutonowego i dwóch kaprali. Wspaniałe wojsko. Byli już w walce na granicy polsko-niemieckiej i mieli pierwsze starcia za sobą, w początkach września. Przy ich pomocy mogłem wszystko łatwiej zorganizować. Jeden z nich plutonowy, znał się na minach i je pozakładał. Nazywał się Arnszajtis. Był to doskonały żołnierz. Na mój wniosek dostał

Krzyż Walecznych za obronę Warszawy. Miny zostały tak rozłożone, że czołg musiał na nie wjechać.

Nagle w nocy budzi mnie jakiś hałas, krzyk jak cholera. Budzę się zły. Wychodzę i patrzę – pośrodku pola minowego stoi samochód osobowy. Jakiś pijaczyna wyrwał się spoza Warszawy i wjechał w środek pola minowego. I nic mu się nie stało. Jak to pijakom szczęście sprzyja.

Przedostatni raz Starzyński przyjechał do swojego domu gdzieś w połowie września. Wtedy powiedziałem mu, że chciałbym przez radio przemówić do mojego powiatu, z którego byłem posłem. Starzyński bardzo chętnie się na to zgodził. Po południu dostałem wiadomość, że bym się stawił na Zielnej. Szybko coś tam napisałem, by zwrócić się do tych, którzy już mają u siebie Niemców i do tych, którzy są jeszcze wolni. Mówiłem, że ci którzy są pod okupacją niemiecką nie skończyli jeszcze wojny, że będą dalej walczyć, choć inaczej. Było to moje pożegnanie z wyborcami.

K.T.: Kiedy Pan był na froncie mokotowskim przyszła wiadomość o wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich. Jak Pan to przyjął?

T.Ż.: Już wtedy wiedziałem jak

jest to groźne i niebezpieczne. Wiedziałem, że się już nie obronimy na dwóch frontach. Ostatnie dni były bardzo ciężkie, gdyż olbrzymi ogień artylerii szedł na naszą linię obrony na Mokotowie. Tak naprawdę było ciężko. Pociski zabiły mi dwóch żołnierzy. Szły wtedy na nas czołgi. Przekonałem się jak skuteczna może być obrona przeciwczołgowa. Od Fortu Mokotowskiego szły trzy czołgi. Wówczas okazało się jakiej klasy są nasze karabiny przeciwpancerne. Jeden z naszych żołnierzy wystrzelił dwa pociski. Czołgi się zatrzymały, powstały i zawróciły.

W moim plutonie miałem trzy drużyny. Jedna z drużyn złożona była z samych warszawskich Żydów. Dowódcą tej drużyny był jakiś krawiec z Pragi. Był to doskonały żołnierz. Niemcy otworzyli niespodziewanie ogień. Rąbnęło w dom, gdzie byli na posterunku moi żydowscy żołnierze, którzy mieli pilnować przedpola. Widzę, że trafiło w ten dom, unosi się kurz i dym. Zaniepokojony tym co się stało z żołnierzami, wpadam na pietro. Pełno dymu i kurzu, nikogo nie widzę. Myślę, Rany Boskie, co się stało. Kurz powoli opadł i widzę, że wszyscy żołnierze – choć obsypani py-

łem – dalej tkwią przy oknach i mimo pocisku nikt się z nich nie ruszył. Zachowywali się wspaniale. Bardzo mi zaimponowali odwagą. Wszystko to byli młodzi robotnicy z żydowskich rodzin.

K.T.: Przewaga Niemców była wówczas ogromna.

T.Ż.: Był to już ostatni tydzień obrony Warszawy. W momencie gdy został przerwany ogień i zaczęły się rokowania, pojechałem do Starzyńskiego motocyklem. Urzędował w Magistracie, oficynie, bo front gmachu był zbombardowany. W drodze do Prezydenta Warszawy przejeżdżałem koło zboru ewangelickiego na placu Małachowskiego. Kompletna cisza, pusto i ciemno. Tylko po wielkich drewnianych drzwiach powoli tlił się ogień. Był to jakby grottgrowski obraz. Przyjechałem do Magistratu. Starzyński przeniósł się do małego pokoju. Pytam go, jakie są zasady umowy. Pokazuje mi odpis dokumentu. Była to pierwsza wersja umowy, kiedy ustalono, że linia frontu jest na Wiśle. Wszyscy mieszkańcy Pragi mogli przenieść się na drugą stronę Wisły. Starzyński odczytał mi tekst umowy. Pytam go wtedy: „A co pan ma zamiar robić? Będzie pan na-

rażony”. Na to on mi mówi: „Nie, ja miałem już propozycję, mówiono mi żebym szedł na Litwę. Ja muszę zostać w Warszawie. To jest mój obowiązek”. To były ostatnie słowa, jakie z nim zamieniłem. Później go już nie widziałem, gdyż musiałem szykować się do niewoli.

Potem wyszły zarządzenia. W oddziałach byli żołnierze z Warszawy i z Pragi. Mieli się podzielić na dwie części. Mieszkańcy Pragi mogli wrócić do siebie. A my przeszliśmy z Alei Niepodległości na Powiśle. Tam mieliśmy się uporządkować, żołnierze mieli być zwolnieni poza miastem. Powstał problem, co mamy zrobić. Czy iść z żołnierzami czy od razu zwać. Wiadomo było, że pójdziemy do oflagów. Ale ponieważ zaczęto mówić, że oficerowie dbają o siebie, że zaniedbują żołnierzy to z kolegą Stasiem Smoleńskim postanowiliśmy pójść z żołnierzami. Chcieliśmy być z nimi do końca. Nocą przemaszewaliśmy przez Pruszków, pod Grodziskiem puszczono żołnierzy i dalej już szliśmy sami. Skierowano nas do Błonia i zebrano w fabryce zapalek. Czekaliśmy na transport. Byliśmy tam dwa dni. To był już początek października.

Nagle wpędzając do nas na teren fabryki masę żołnierzy. Okazało się, że Hitler miał przyjmować defiladę w Warszawie i Niemcy nie chcieli, by przechodzący żołnierze przebywali wtedy w mieście. Wtedy zaczął nam chodzić po głowie pomysł. Może jednak wrócimy. Idę do majora Ducha i mówię, że musimy zwać. Na to on: "Nie, niech panowie idą do niewoli, to długo nie potrwa, tam też trzeba będzie pracować, podtrzymywać ducha". Myśmy jednak postanowili uciekać. Chcieliśmy uciec z żołnierzami, bo wiadomo było, że oni dostaną przepustki i wrócą. Przeszliśmy na pole, gdzie byli żołnierze, zdjęliśmy odznaki, przybrudziliśmy sobie za Smoleńskim twarze. I stanęliśmy do ogonka po przepustki. Stoję z żołnierzami, a tu podchodzi jakiś oficer, którego znałem z Warszawy i pyta: „Co wy tu robicie?”. Spojrzałem na niego i gdyby wzrok mógł zabijać już by nie żył. Nic nie odpowiedziałem. Dostałem przepustkę, mój przyjaciel także i wychodzimy, podchodzimy do bramy. Przy bramie stoi ten oficer i bardzo mnie przeprosza, nie zorientował się w naszych planach.

I tak zaczęła się dla mnie druga wojna. Ta podziemna.

K.T.: Chciałbym się cofnąć o kilka dni. Jakie wrażenie na Panu zrobiło opuszczenie Polski przez Wodza Naczelnego i pułkownika Wendę?

T.Ż.: Byłem tym rzeczywiście zaskoczony. Uważałem, że powinien zostać i bić się do końca. Taki był mój pierwszy odruch. Trudno, trzeba było zachować postawę do końca. Były też inne argumenty. Że wojsko we Francji, że dalsza walka na Zachodzie. Ale przeważała reakcja, że nie powinien być wychodzić.

K.T.: A jaka była Warszawa we wrześniu 1939 roku?

T.Ż.: Ja to miasto zawsze kochałem, ale wtedy pokochałem je jeszcze bardziej. Cała ludność była nastawiona na walkę, na pomoc żołnierzom. To było miasto, które bez żadnego patosu traktowało żołnierzy i mieszkańców tak samo. Ludzie wykazywali niezwykle charakter. Były przecież bombardowania, sypały się domy, a duch miasta był nadal nienaruszony. Myślę, że tu swoje zrobiło dwadzieścia lat niepodległej Polski. To odczucie, że to nasz kraj, nasze miasto. Kiedy później szedłem do niewoli, to miałem przekonanie, że zaraz zacznie się nowa konspiracja, ani przez moment nie miałem co do tego wątpliwości.

Stąd brały się moje wahania czy nie zostać. Jak już mówiłem, wtedy zaczęło się mówić, że oficerowie pozostawiają swoich żołnierzy swojemu losowi. Wiele złego wyrządziła owa decyzja Rydza o przejściu do Rumunii. Był wtedy taki moment rozpacz, kiedy żołnierze, słusznie zresztą, zaczęli krytykować, więc trzeba było iść z nimi do niewoli.

K.T.: Jak wyglądała ta Pańska ucieczka z niewoli, ten powrót do Warszawy?

T.Ż.: Gdy wracałem z Błonia do Warszawy, a było to na początku października, kiedy została wyznaczona godzina policyjna, szliśmy wieczorem z moim przyjacielem Smoleńskim i zapukaliśmy do pierwszej lepszej zagrody chłopskiej. Pytamy, czy gospodarz może nas przenocować. Przyjął nas chętnie. Trochę porozmawialiśmy i nagle patrzę, a u niego na stole leży „Wieś Polska” – moje pismo. Było to dla mnie przyjemne, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Rano chcieliśmy wyjść, żeby jak najszybciej dostać się do miasta. Idziemy sobie szosą i widzimy, że jedzie jakaś furka do Warszawy. Właściciel zgodził się nas podwieźć. Okazało się, że wiozł kartofle. Zaproponowaliśmy

mu kupno, by mieć jakąś żywność po przyjeździe do Warszawy. Kiedy dojechalśmy furmanką do wolskich rogatki okazało się, że jest niemiecki posterunek, który zatrzymuje żołnierzy. Wziąłem od chłopaka kapotę i jego czapkę, zaś mój kolega, który na siebie coś narzucił, nie miał nakrycia głowy. Dосkoczył do pracujących obok robotników i z jednym z nich zamienił się na czapki, zostawiając mu swoją wojskową. I tak szczęśliwie udało nam się wjechać do miasta. Dojechalśmy do siostry ciotecznej Stasia. Mieliliśmy kartofle, więc byliśmy już zaprowiantowani. Smoleński, który był niższy ode mnie, mógł się szybko przebrać i poleciał zawiadomić moją teściową o naszych losach oraz powiedzieć naszej służącej, by przyniosła mi moje ubranie cywilne.

Wydarzyła się wówczas ciekawa historia. Teściowa po otrzymaniu wiadomości ode mnie udała się do mojej żony, aby ją zawiadomić o tym, że wróciłem. Kiedy teściowa pojawiła się w magistracie u żony, poprosiła ją na korytarz i mówi, że musi jej coś powiedzieć. A żona na to: „Tadeusz wrócił”. Teściowa zaskoczona chciała się od żony dowiedzieć kto jej o tym powiedział i wtedy usłyszała rela-

cję żony. Okazało się, że żona miała w nocy następujący sen. Śniło jej się, że ja jechałem furmanką chłopską, otulony w jakieś dziwne ubranie.

K.T.: I wtedy zaczęło się konspirowanie.

T.Ż.: Przez kilka pierwszych dni przemieszkiwałem po znajomym i byłem pewien, że zaraz zacznie się ogólne konspirowanie. Oczywiście wcześniej dużo na ten temat czytałem, szczególnie o Polskiej Organizacji Wojskowej, o latach wcześniejszych. Wiedziałem, że będę musiał szybko zmienić miejsce zamieszkania. przenieśliśmy się na Żoliborz. Z magistratu wyciągnięto moją kartotekę, to była miejska ewidencja ludności, skąd można było uzyskać adres danej osoby. Pozostaliśmy na razie nadal na papierach na nasze nazwiska.

Na 14 grudnia 1939 Niemcy zarządzili, aby wszyscy oficerowie zarejestrowani po wrześniu stawili się na dworcu Gdańskim skąd mieli jechać do oflagu. Dużo się takich znalazło. Nazywano ich „ochotnicy 14 grudnia”.

W nowym mieszkaniu przebywałem do początku 1942 roku. Później musiałem się coraz bardziej ukrywać, gdyż byłem coraz bardziej „namie-

rzony”. Kontaktowaliśmy się wtedy z żoną przeważnie raz w tygodniu.

K.T.: Od początku zaczęła się Pańska działalność konspiracyjna.

T.Ż.: Oczywiście. Nie chciałem, żeby żona narażała się i poszła do konspiracji, więc jednak znalazła własną drogę do Podziemia. O 15 października a zacząłem organizować ZOR – Związek Odbudowy Rzeczypospolitej. Tymczasem moja żona poszła na krótki kurs /u p. Stanisławy Paleolog, przedwojennej komendantki Policji Żeńskiej/ wywiadu wojskowego. W listopadzie żona była już w wojskowym wywiadzie. Zajmowała się ruchami wojsk niemieckich.

Pomysł stworzenia ZOR-u powstał natychmiast po moim przybyciu do Warszawy. Skontaktowałem się z kilkoma kolegami, m.in. z Józefem Marszałkiem, już nie żyjącym działaczem Zet-u, „Siewu” i ZPMD, który dał mi aktualne adresy kilku naszych kolegów, m.in. Przemka Szczekowskiego, który pracował w grupie technicznej. I tak opierając się o znajomości ZPMD i Związku Strzeleckiego rozpoczęliśmy działalność organizacyjną. Przyjęliśmy wtedy nazwę – Związek Odbudowy Rzeczypospolitej.

I dalej korzystając z kontaktów ZPMD i Związku Strzeleckiego budowaliśmy struktury tzw. „piątki”. W pierwszym okresie bardziej koncentrowaliśmy się na sprawach wojskowych a nie politycznych. Wierzyliśmy – jak prawie wszyscy – w wiosenne uderzenie Francji i Anglii na Niemców, którzy tego nie wytrzymają. Byliśmy pewni, że do jesieni przyszłego roku /1940/ to się rozstrzygnie.

Wiedziałem, że nie ma mowy o odbudowaniu OZN-u, który sam się rozpadł. Muszę jednak przyznać, że w ostatnim okresie przed wybuchem wojny coraz silniejsze były tam tendencje demokratyczne, m.in. dzięki dawnym zetowcom, zwłaszcza z terenu. Jednak gdy przyszła wojna OZN się samo zlikwidował.

Moja nowa organizacja miała charakter wyraźnie demokratyczny, z pewnymi sympatiami do PPS-u, opartymi o dawne dobre stosunki. Trzeba jednakże podkreślić, że myśleliśmy przede wszystkim o zagadnieniach wojskowych, a nie politycznych.

K.T.: Jak wyglądało tworzenie tych struktur organizacyjnych?

T.Ż.: Ciągłe chodziłem po Warszawie, - Mokotów, Ochota, Praga –

aby zaprzysięgać „piątki”, ustalałem powiązania organizacyjne. Robiłem to z najwyższą przyjemnością, gdyż widać było jak się łatwo trafia do elementu robotniczego. Na szczęście miałem już trochę doświadczeń w tym zakresie z czasów pruszkowskich.

Fascynujące było dla mnie to, że kiedy przeprowadzałem zaprzysiężenia po rozmaitych małych mieszkaniach, najczęściej robotniczych, to w prawie każdym mieszkaniu widziałem portret Marszałka.

Po zorganizowaniu struktury w Warszawie rozpoczęliśmy tworzenie łączności podwarszawskiej. Oczywiście do Pruszkowa, idąc potem dalej do Błonia, Ożarowa, Piastowa i Żyrardowa, przeszliśmy na drugą stronę Wisły. Np. w Markach organizował ZOR dr Pleszczyński, dawny działacz ZPMD z Poznania.

Po wstępnych czynnościach organizacyjnych i stworzeniu „piątek” postanowiliśmy uruchomić własne pismo. Pierwszym był „Komunikat Wolnej Polski” robiony na powielaczku /wtedy można je było stosunkowo łatwo zdobyć/. Pierwszym redaktorem „Komunikatu Wolnej Polski” był Bohdan Korzeniewski, aż do momentu aresztowania. Była to następująca historia. Niemcy przypadkowo

go wygarnęli przy masowym „oczyszczaniu” bloków na Żoliborzu. Na jego biurku leżał przygotowany kolejny numer „Komunikatu”, ale Niemcy tego nie zauważyli i kiedy po paru miesiącach powrócił z Oświęcimia, to znalazł na biurku ten niedokończony numer.

Bardzo mi zależało, żeby rozpocząć wydawanie tego pisma drukiem, a nie tylko na powielaczu. Zacząłem szukać różnych możliwości. W końcu dzięki jednemu ze „Strzelców” z Warszawy, który był drukarzem, znalazłem drukarnię, której właściciel zdecydował się drukować naszą gazetę, ale mógł to robić tylko w niedzielę.

Przygotowaliśmy – ale było to zaraz po ataku niemieckim na Norwegię – siedziałem w drukarni i nagle drukarz mówi, że muszę wszystko natychmiast zabrać. Byłem tym bardzo zaskoczony, gdyż normalnie miały przyjść łączniki i rozprowadzać nakład. Nie mając innego wyjścia, musiałem cały nakład „Komunikatu” wynieść sam z drukarni. Zapakowano mi gazetę – było tego sporo, taka wysoka kolumnienka – wsiałem w tramwaj i pojechałem na Żoliborz. Muszę przyznać, że z duszą na ramieniu. Stałem na platformie, z daleka było widać, że to co wiozę, to druki. I tak

wyszedł pierwszy numer „Wolnej Polski” w drukarni, ostatni zaś ukazał się w czasie Powstania.

K.T.: Do jakich odbiorców dochodził „Komunikat Wolnej Polski”?

T.Ż.: Przede wszystkim do miast. Ja sieci kolportażu nie organizowałem, ale robili to komendanci okręgów /Warszawa, Warszawa-podmiejska, Kraków/. W gronie działaczy ZOR-u warto wymienić zajmującego się wtedy młodzieżą Jana Kostrzewskiego /prezes PAN/, który w Powstaniu był lekarzem AK na ul. Mokotowskiej.

K.T.: A co robił Pan wówczas poza ZOR-em?

T.Ż.: Bardzo wcześnie trafiłem do BiP-u. To był chyba rok 1940. Chciałem wtedy szukać kontaktu dla ZOR-u ze Związkiem Walki Zbrojnej. Udało mi się znaleźć kontakt poprzez mojego byłego doktora z Ministerstwa Skarbu, Drojanowskiego /b. prezydenta Lwowa/. Skontaktowałem się z płk Alojzym Horakiem, który był komendantem na obszar wojewódzki, zaś w mieście miałem kontakt z płk Zajączkowskim, którego znałem z okresu „Podchorążaka” /on był przez jakiś czas w MS Wojsk., w Departamencie Piechoty/. Horak był niesłychanie przyjemny,

inteligentny, bystry, grzeczny. Mimo iż wiedział, że jestem z OZN-u nie miał do mnie żadnych zastrzeżeń. On zajmował się gromadzeniem danych o walkach w Polsce we wrześniu 1939. Dostarczałem mu materiałów z prasy niemieckiej, bardzo przyjemnie nam się współpracowało.

Kiedyś zaproponowano mi spotkanie z kimś z Komendy Głównej. Poszedłem na umówione spotkanie. Łączniczka wprowadziła mnie do pokoju, gdzie siedział mój stary znajomy, major Kruk-Strzelecki, pierwszy szef propagandy OZN-u, którego znałem jeszcze z okresu, kiedy był w Instytucie Naukowo-Oświatowym /oni wydawali „Żołnierza Polskiego”, „Warusa”, to były pisma dla żołnierzy i podoficerów, robili to Ciepiewski, Adam Kowalski – autor znanych pieśni./ Propozycję złożył jako szef BiP-u. Agencja już istniała, ale była robiona – jak to się mówi – na kolanie, bardzo amatorsko. Zbierano materiały i robiono komunikaty. Zaczynałem tę pracę z pewnym niepokojem, bojąc się konfliktów personalnych a grupą już istniejącą, gdyż byłem nowoprzybyły. Był tam Miedza-Tomaszewski.

Na początku oni robili całą technikę, a ja zbierałem i redagowałem

materiały. Powoli zaczęliśmy to rozkręcać.

Konspiracja w tym czasie nie była najlepsza. Wchodzę kiedyś do lokalu „Miedzy” w Alejach, otwiera mi służąca i słyszę jak mówi: „Proszę pani, przyszedł ten starszy pan, starszy konspirator”. Ale to zarazem dowód na poziom zaufania.

W tym okresie jako przedstawiciel BiP-u miałem spotkanie z Próchnikiem. Chodziło o ustalenie obchodów rocznicy wybuchu wojny. Spotkaliśmy się w okolicy Alei Szucha. Przez godzinę zastanawialiśmy się, nie mogąc nic sensownego wymyślić. Wpadliśmy wówczas na pomysł „bojokotu” ulic Warszawy. Chodziło o to, żeby nieobecnością ludzi na ulicach w określonych dwóch godzinach zamianifestować opór wobec okupantów. Po naszym apelu ulice co prawda nie były zupełnie puste, ale ruch był znacznie mniejszy.

Potem nastąpiła zmiana na stanowisku szefa BiP-u. W miejsce Kruka-Strzeleckiego przyszedł Rzepecki „Prezes”. Zaszło tu pewne nieporozumienie, z tego poczciwego Strzeleckiego zrobiono demona. Sikorski i Kot uznali, że jest to najbardziej politycznie szkodliwy człowiek w konspiracji

propańsudczykowskiej w ZWZ-cie. A był to człowiek przyzwoity, spokojny i miły, jednakże daleki od dynamizmu i znajomości propagandy. Przez parę tygodni był kiedyś szefem propagandy OZN-u, w której wiele nie zrobił. Nie było to jego winą. Stąd też wojna Kota prowadzona depeszami, żeby usunąć Kruka-Strzeleckiego z BiP-u bardzo mnie śmieszyła, gdyż ten człowiek był absolutnie nieszkodliwy. Nie miał żadnych jaskrawych aspiracji politycznych, nie był intrygantem. Wyraźnie go demonizowano. Po wojnie spotykaliśmy się, nawet ułatwiłem mu przyjazd do Anglii. Prowadził w Londynie działalność w SPK i Kole AK. Jednak myślę, że to usunięcie było z korzyścią dla BiP-u. On nie byłby w stanie tak rozwinąć działalności jak Rzepecki.

K.T.: A jaką rolę w ówczesnej konspiracji odgrywały kobiety?

T.Ż.: Niezwykle ważną i cenną. Nauczyłem się wysoko cenić ich wydajną działalność, połączoną zazwyczaj ze skromnością w ocenianiu ich własnej niebezpiecznej pracy. W zakresie mojej aktywności podziemnej miałem z nimi bardzo wiele do czynienia. Nie sposób wymieniać wszystkich, więc wspominam tylko o kilku,

z którymi miałem najbliższe kontakty w codziennej pracy.

Hanna Łukaszewiczowa, z pozoru niezwykle skromna i nieśmiała osoba była w ZOR-ze jako „Władysława” kierowniczką całego zespołu wszystkich naszych koleżanek. Jako „Ludwika” była szefową moich Peżek /skrót od nazwy „Pomoc Żołnierzowi”/. Sprawnie organizowała wszystkie kursy dla nich i czuwała nad akcją Peżetek we wszystkich komendach okręgowych AK. Zginęła w niewiadomych okolicznościach w początkach 1945 r. w Pradze.

Stale, niemal codziennie miałem do czynienia z trzema moimi głównymi łączniczkami. Irena Rzepecka /żona szefa BiP-u/ ps. „Ela”, pośredniczyła w łączności z Wydziałem „R”. Zmarła po powstaniu w obozie jenieckim. Niestrudzoną i niemal nieodłączną łączniczką była Barbara Wolska, ps. „Jula” w moich stałych kontaktach z Wydziałem „Rój” /mob propagandy/ i z siecią organizacyjną ZOR-u. Wy różniała się sprawnością, dokładnością i odwagą. Dwukrotnie odznaczona Krzyżem Walecznych. Zginęła w Powstaniu 17 sierpnia. Jej siostra, Jadwiga Wolska, ps. „Greta” była doskonałą łączniczką od spraw Wydziału „N”.

W Krakowie przewodziła grupie kobiecej ZOR dr Jadwiga Beauoré ps. „Jadwiga”, „Malina”.

Wymieniam tylko pięć nazwisk, gdyż nie pamiętam ani pseudonimów, ani nazwisk bardzo wielu innych dzielnych Akaczek, których ofiarną pracę zawsze wysoko ceniłem.

K.T.: Kiedy odbyło się Pańskie zaprzysiężenie do ZWZ-u?

T.Ż.: Do Związku Walki Zbrojnej wstąpiłem w połowie 1940 roku. Zaprzysięgał mnie jegomość którego znałem z widzenia, a na dodatek było to w domu, w którym mieszkalem przed wojną. I tak stałem się podporucznikiem ZWZ.

K.T.: Po odejściu Kruka-Strzeleckiego pracował Pan już z „Prezesem”.

T.Ż.: Tak. Rzepecki robił dobre wrażenie. Człowiek bardzo inteligentny. Znałem jego publikacje z okresu przedwojennego. Był bardzo spokojny, sumienny, zewnętrznie nie robił wrażenia dynamicznego. Powiedział mi, że się na propagandzie nie zna i zostawił mi szerokie uprawnienia, pod warunkiem informowania go o tym co robię.

Pewnego dnia Rzepecki przekazał mi informację, że „Grot” chce abym zaczął robić Akcję „N”. To była bliska mi myśl, gdyż – jak już mówiłem –

jeszcze przed wojną interesowałem się teorią propagandy ściągając materiały z różnych krajów celem poznania różnych technik propagandowych.

Kiedy w październiku 1939 roku powróciłem do Warszawy myślałem sporo o rozpoczęciu akcji propagandowej skierowanej do Niemców. Chciałem do tej akcji wprowadzić Osmańczyka, który współpracy takiej odmówił. Ja go znałem z okresu kiedy miałem do czynienia ze „Światopolem”. Odbywał się duży zjazd Polaków z Niemiec połączony z „chrzczeniem” sztandarów w Wiśle i tam dał się zauważyć J.E. Osmańczyk. Nie mógł przebywać w Niemczech, nawet jego życie było zagrożone i wtedy przybył do Warszawy jako stypendysta „Światopolu” i wówczas bliżej go poznałem. We wrześniu przychodził do mnie na front ze Stanisławem Sachnowskim /”Jacek Wołowski”/, warszawskim reporterem. Na początku 1940-go roku spotkałem się z nim i zaproponowałem współpracę w antyniemieckiej propagandzie, ponieważ świetnie znał Niemcy i niemiec-ki. Osmańczyk powiedział, że musi zapytać żonę, gdańszczankę, z którą się ukrywał. Potem mnie powiadomił, że niestety nie może ze mną w tej sprawie współpracować. Toteż kie-

dy otrzymałem propozycję robienia takiej propagandy od Rzepeckiego, natychmiast chętnie się zgodziłem. Jeszcze przez trzy miesiące zajmowałem się „Agencją” i od kwietnia 1941 przeszedłem do Akcji „N”.

K.T.: Jaki miał Pan plan działalności „N”?

T.Ż.: Chodziło mi o stworzenie zasad tej propagandy kierowanej do Niemców, ale głównie do „Wermachtu”, z którym mieliśmy najwięcej do czynienia. Wiedziałem, że nasza propaganda musi prezentować się tak, jakby była dziełem wewnątrz niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej. Polska propaganda byłaby natychmiast odrzucona.

Problemem było dostarczanie Niemcom naszych materiałów, które powinny docierać różnymi drogami do Niemców, np. pocztą, indywidualne wkładanie do kieszeni żołnierskich płaszczy, podrzucanie do domów. Zacząłem szukać odpowiednich ludzi. Bardzo ważni byli odpowiedni działacze. Znaleźli się ludzie tłumaczący bez żadnych błędów. Najlepszym dowodem była wysoka ocena naszych materiałów zrobiona w gestapo. Oparłem się głównie na ludziach, z którymi pracowałem przed wojną – ZPMD, Wydział Propagandy

OZN-u i „Strzelec” – tych ostatnich głównie do akcji organizacji.

Musieliśmy stworzyć zupełnie odrębną sieć organizacyjną. Nie wolno było łączyć z akcją „N” żadnego polskiego kolportażu. Działalność była wydzielona i wtrącić się do niej mógł tylko mój szef – Rzepecki i szef mojego szefa – Rowecki.

Stworzyłem różne redakcje dla poszczególnych niemieckich pism „Der Soldat”, „Die Durburch”, tytuły oczywiście były zmieniane. Przerywaliśmy wydawanie „Der Soldat”, a zaczynało się wydawanie „Der Frontkämpfer”, a niekiedy wydawaliśmy oba tytuły jednocześnie. Niemcy wydawali popularne wśród żołnierzy pismo „Die Erika”, bardzo bogato ilustrowane. Postanowiliśmy, zrobić coś podobnego już w 1942 roku.

Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, to po kilku tygodniach od rozpoczęcia walk wydaliśmy pierwszą ulotkę, drukowaną „szwabachą”. To był nasz debiut.

Potem postanowiliśmy stworzyć partię zwolenników Rudolfa Hoessa, który uciekł do Anglii. Była to okazja, którą należało wykorzystać. W czterech wydanych ulotkach przeciwstawiliśmy Hoessa Hitlerowi. Jednakże największą popularnością cieszyło się

wydane przez nas ilustrowane, kolorowe pismo satyryczne „Klaubar-temann”. Tytuł wzięliśmy od niemieckiego duszka ukazującego się na okrętach, które miały zatonać. Jeden z moich kolegów zaproponował tę nazwę uważając, że Niemcy dobrze ten tytuł skojarzą. To było rzeczywiście rozchwytywane pismo.

K.T.: W jakim nakładzie był drukowany „Klaubartenmann”?

T.Ż.: W tej chwili nakładów nie pamiętam, ale w kwietniu 1944 roku skończyliśmy druk milionowego egzemplarza w Akcji „N”. Spotkaliśmy się wtedy całym zespołem redakcyjnym opiliśmy milionowy egzemplarz naszych wydawnictw. Byli tam Kazimierz Kumaniecki, Zygmunt Ziółek, Halina Auderska, była pani Freydowa – świetna tłumaczka na niemiecki -, był Sobociński-Kawczyński, łącznika „N” – „Greta”, Sławomir Borkowski.

Akcja w sprawie Hoessa była dość ważna, gdyż była jedną z pierwszych. Staraliśmy się uwiarygodnić ją, m.in. poprzez nieregularność druków, gdyż zbyt regularne konspiracyjne druki w Niemczech byłyby zbyt podejrzane. W kolportażu obowiązywała zasada pojedynczego rozpowszechniania druków, większe ilości byłyby także

podejrzane. Poszczególne numery były roznoszone, podrzucane w szatniach do płaszczy, do otwartych samochodów.

W Krakowie zatrzymano jednego z kolporterów Akcji „N”, gdy na parkingu podrzucał ulotki. Został przez Niemców zamordowany. Nazywał się Władysław Fischer.

K.T.: Jaka tematyka dominowała, jaką treść przekazywaliście?

T.Ż.: W naszych tekstach staraliśmy się organizować wszelkie intrygi. Pewnego razu zaczęliśmy rozpowszechniać informacje na temat konfliktów między niemieckimi generałami. Porozumiałem się z szefem wywiadu, który wskazał mi popularnych w wojsku generałów. Wybrałem sobie Reichenau’a i zrobiliśmy cały numer „Der Soldat” poświęcony temu generałowi. Przypadek zdarzył, że w tym samym okresie Reichenau zmarł i niektórzy uważali, że jest to nasza zasługa. Potem wybraliśmy sobie za bohatera marszałka von Bocka, o którym pisaliśmy, że jest prześladowany, staraliśmy się go popularyzować.

Nasze intrygi bywały dość skuteczne. Im gorsza była sytuacja na froncie, tym bardziej stawiało się to wiarygodne.

Staraliśmy się tworzyć także lewicową konspirację w wojsku – takim pismem było „Der Hammer”.

Muszę przyznać, że miałem doskonałych tłumaczy, świetnych znawców języka niemieckiego – Niemcy to doceniali. W pismach ostrzegawczych dla niemieckich oficerów wymieniali nasze pisma jako złowrogie i skuteczne.

Ulotki przez nas wydawane często komentowały bieżące wydarzenia. Kiedy zaczęły się mrozy w Rosji, natychmiast w naszych ulotkach zaczęliśmy narzekać na złe zaopatrzenie wojska. Rzuciliśmy hasło aby zbierać futra od żon urzędników hitlerowskich i posyłać do żołnierzy.

Następnie zaczęliśmy dawać instrukcje jak markować choroby. Równocześnie rozpoczęliśmy akcję straszenia rosyjskimi mrozami i ich konsekwencjami na całe życie. Nakłady tych ulotek wahały się od 10000 do 20000 egzemplarzy. Ograniczaliśmy nakłady ze względu na trudności kolportażu.

K.T.: A jaki był zasięg kolportażu?

T.Ż.: Na całym terenie ziem polskich, a więc na zapleczu frontu wschodniego, ale dochodziły także do Berlina i Wrocławia. Otrzymaliśmy informację spod Odessy, że tam tak-

że znaleziono nasze ulotki, ale także z frontu zachodniego, z nad Atlantyku. W Berlinie było chyba najlepiej z naszymi ulotkami, gdyż myśleliśmy specjalnie na to miasto nastawili. Wiązało się to także z taką iskrą sportową, aby jak najbliżej stolicy Hitlera dotarły nasze druki.

Rozpowszechnialiśmy nasze druki dzięki temu, że w każdym BIP-ie okręgowym był Referat „N” i do niego kierowaliśmy nasze druki.

Chcąc mieć pełną gamę antyhitlerowskiej propagandy otworzyliśmy różne nurty polityczne. Od skrajnej lewicy do prawicy, nie pomijając Rad Żołnierskich, rzekomo istniejących w poszczególnych armiach.

Skoro już mówię o Akcji „N” to mieliśmy dużo szczęścia. Gra, którą prowadziliśmy mogła kosztować wiele istnień ludzkich, ale niewielu ludzi zginęło. Był aresztowany, zupełnie przypadkiem, „Notecki”, czyli Jan Kawczyński, przy którym na szczęście nie wykryto „N-owskich materiałów i on przeszedł obozy, ale przeżył. Nie łączono go z Akcją „N”. Ujęto także jednego z naszych kurierów, który złapany został „na czysto” i zbiegł z ciężkiego więzienia w Radomiu. Pamiętam, że kiedy go spotkaliśmy to miał ślady na rękach po kajdankach

i musiał się leczyć zanim wrócił do działalności.

K.T.: Od którego momentu Niemcy zaczęli łączyć Akcję „N” z polską dywersją?

T.Ż.: Oni nigdy nie powiedzieli, że jest to polska akcja. Naszą działalność określali jako wrogą propagandę /komunistyczną, żydowską/, ale nie polską. Myślę, że trochę się wstydzieli, że mimo terroru takie rzeczy wychodzą w Polsce. Abwhera chyba wiedziała kto robi, ale nie chciała tego ujawnić. Zresztą ta dezinformacja była tego typu, że w Łodzi, w której myśmy zapoczątkowali działalność partii Hoesa, Niemcy robili już zebrania tej partii, wierząc, że ona istnieje naprawdę.

Bardzo nam zależało na skuteczności naszej propagandy na terenie samych Niemiec. Ten teren obsługiwał nasz jedyny kurier, który jednocześnie obsługiwał kraj i Niemcy, występował pod pseudonimem „Fonsio”. On m.in. zwoził nam gazety niemieckie podające nekrologi żołnierzy niemieckich, którzy ginęli na froncie. Zbieraliśmy adresy i wysyłaliśmy na nie, oczywiście nie z Warszawy, listy kondolencyjne, w których informowaliśmy rodziny, że zamordowali go gestapowcy. Takich listów wysłaliśmy

sporo. Było to w wielu wypadkach skuteczne.

Ponadto staraliśmy się wytworzyć w żołnierzach na froncie wrażenie, że w domu jest bieda, a na dodatek żony puszczają się z Włochami, których sporo sprowadzono jako robotników do Niemiec. Miałem dobry kontakt z kontrwywiadem, z panem Klausalem /znałem go sprzed wojny/, on specjalizował się w wyłapywaniu „Felpostu”, który przechodził przez Warszawę i dawał mi listy. Bardzo dbaliśmy o to „niemieckie życie rodzinne” w odpowiedni sposób. Nie jest to miłe, ale to była wojna i nas w tej wojnie nie oszczędzano.

Po pewnym czasie stworzyliśmy specjalny oddział zajmujący się volsdeustschami, „Die Zuknft”, które rozsyłały na znane nam ich adresy domowe. Celem tej akcji było przypomnienie tym ludziom, że zbliża się koniec wojny i co będzie jak się skończy okupacja. Założyliśmy fikcyjne specjalne sądy, które sądami, wcale nie były. Polegały na tym, że wydrukowaliśmy specjalne blankiety, np. komisarza do zwalczania niemczyzny, inny znów – sąd najwyższy. Kiedy dostawaliśmy nazwisko osobnika szczególnie szkodliwego dla Polski, to

otrzymał pierwsze zawiadomienie zawierające stwierdzenie, że prokurator otrzymał skargę i wszczyna dochodzenie. Po miesiącu delikwent otrzymał list przypominający, że dochodzenie nie zostało jeszcze zakończone. Potem przysłaliśmy informację, że akt oskarżenia jest sporządzony i sprawa będzie rozpatrywana przez specjalny sąd wojenny. Następnie nasz klient” otrzymał wyrok sądu podziemnego wraz z informacją, że wykonanie kary może nastąpić w każdej chwili.

Dawało to świetne rezultaty. W Warszawie w administracji domów mieszkalnych był bardzo wredny Treuhander. Dali mi jego nazwisko i przeprowadziliśmy całą opisaną poprzednio procedurę i po jakimś czasie bardzo się zmienił, zmiękł. Niektórzy zmieniali miejsce pracy czy zamieszkania.

Cel, jakim było sianie zamieszania w niemieckiej administracji był realizowany. Zwłaszcza od chwili, gdy wojna zaczynała powoli zbliżać się ku końcowi.

Stosowaliśmy jeszcze listy ochronne. Jeżeli któryś z Niemców dobrze się sprawował i był przyzwoity wobec Polaków, to otrzymał taki glejt. Taki osobnik otrzymał pismo, zawiada-

miające, iż uznajemy, że działalność nie jest szkodliwa dla Polski i rozważana jest decyzja czy nie wpisać danej osoby na listę tych, którzy powinni uniknąć odpowiedzialności karnej teraz lub po wojnie. To także pomagało.

K.T.: Jak to było ze zorganizowaniem obchodów imienin Adolfa Hitlera?

T.Ż.: Wpadłem kiedyś na pomysł związany z imieninami Hitlera – 30 kwietnia. W Niemczech obchodzono je zawsze bardzo uroczyście. Pomyślałem, że w kilku fabrykach robotnicy polscy mogliby odpocząć. Wydaliśmy w związku z tym zarządzenie podpisane przez gubernatora radomskiego i warszawskiego L. Fishera. Wysłaliśmy pisma do kilku fabryk przemysłu wojennego w Warszawie i jednej w Pruszkowie, nakazujące ze względu na dobrą pracę robotników dać im w dniu imienin Hitlera wolny dzień i jednocześnie za ten dzień zapłacić. Udało nam się – co było ważne – dotrzeć do dyrekcji tuż przed zamknięciem fabryk i zarządzenie wykonano. Efekt nastąpił dopiero późnym wieczorem, kiedy przez megafony Niemcy wzywali robotników, żeby jednak przyszli do pracy 30 kwietnia. Oczywiście nie

przyszli. Kilkadziesiąt tysięcy takim sabotażem „uczciło” Hitlera.

K.T.: A jak było z drukowaniem. Jedna z drukarni musiała być zapewne wydzielona?

T.Ż.: Tak. Była to jedna z drukarni u „Kmity”. Później niestety to nam się urwało, gdyż w pierwszym kwartale 1944 roku drukarnie „zasypywano”. Komuniści nas oskarżali, że była dyrektywy aby zmniejszyć akcję „N”, ale w rzeczywistości przyczyną była wpadka drukarni.

Przed samym Powstaniem wydaliśmy odezwę Wermachtu, jednak miała być ona rozrzucona tuż przed walką lub w czasie jej trwania. Była to pierwsza i ostatnia ulotka w języku polskim robiona przez „N”. Później nadawaliśmy do Niemców przez „Błyskawicę” i przez megafony. Zawsze ceniłem megafony i w czasie wojny kupiliśmy ich kilka – chyba ze cztery – w warsztatach, gdzie je produkowano. Mieliliśmy takie patrole megafonowe, składające się z technika, redaktora, ludzi noszących baterie i megafon. Takie patrole posyłał na linię frontu, a ludzie mówiący dobrze po niemiecku, przemawiali do drugiej strony. Niemcy się o to wściekali i natychmiast otwierali ogień. Na Nowogrodzkiej zginęła w ten sposób

sanitariuszka, będąca w takim patrolu. W warunkach powstańczych była to oczywiście mini akcja, lecz była również pożyteczna.

K.T.: Chciałbym cofnąć się do okresu przed Powstaniem. Pan był na konspiracyjnych papierach, ścigany przez Niemców.

T.Ż.: Pierwsza wiadomość, że jestem, jak to się mówiło, „na widelcu” przyszła w 1942 roku na wiosnę. Musiałem wtedy wyprowadzić się z domu. Zmieniłem papiery /to nie było trudne/ i zacząłem mieszkać na Polnej, skąd musiałem się wynieść po aresztowaniu mojej żony i jednego ze współpracowników. Chodziłem na papierach pracownika firmy pracującej na rzecz uzbrojenia Niemiec. Przyjemnie to było pokazać. Przez długi czas występowałem „policyjnie” jako Kulesza, ale zawsze trzymałem się swojego imienia.

Mieszkania musiałem zmieniać często, np. Sandomierskiej gdzieś na daleki Mokotów, potem na Aleję Szuster przy Puławskiej. W tym czasie otrzymałem wiadomości z naszego kontrwywiadu, że jakiś agent widział mnie w tramwaju, rozpoznał, ale na szczęście gdy ja wysiadłem nie zdążył wyskoczyć. W ten sposób Niemcy wiedzieli, że przebywam na Moko-

townie, musiałem więc znów zmienić dzielnicę. Powstanie zastało mnie gdy mieszkalem przy placu Narutowicza. Musiałem uważać przy chodzeniu na mieście, ale jakoś się udało.

K.T.: Oprócz Akcji „N” czym Pan jeszcze zajmował się w okresie 1942-1944?

T.Ż.: W tym czasie kierowałem nadal Związkiem Odbudowy Rzeczypospolitej /ZOR/. Myśmy przekazali do AK, do I Oddziału Sztabu, do płk „Kortuma” 10000 ludzi, mężczyzn i kobiet. Miałem takie pokwitowanie. ZOR wówczas to Warszawa, Tomaszów Mazowiecki, Piotrków, Kraków, Zakopane, nawet jakieś gminy na Lubelszczyźnie oraz Żyrardów, Błonie, Pruszków i kilka innych miejscowości.

K.T.: A na czym konkretnie polegała działalność ZOR-u?

T.Ż.: Prowadziliśmy normalną robotę wojskową, propagandową, bez przerwy wydawaliśmy „Wolną Polskę”, który cały czas redagowałem. Ludzie w ZOR doskonale płacili składki. Na działalność nie mieliśmy żadnych subwencji. Wydawaliśmy pamiątkowe znaczki, z których dochód przeznaczony był na pomoc rodzinom aresztowanych członków ZOR, którymi opiekowaliśmy się.

Z łączącym się ZOR-em Zjednoczeniem Demokratycznym mniej się interesowałem, gdyż na to nie miałem już czasu. Przyszła na mnie Akcja „R”.

Od jesieni 1943 roku miałem pod sobą trzy wydziały. „N” – od samego początku do końca. Od 1942 roku Mob. Propagandy czyli „Rój”. A od listopada 1943 jeszcze Akcję „R”.

K.T.: Może przypomni Pan nazwisk osoby Akcji „R”.

T.Ż.: Jesienią 1943 roku zwrócił się do mnie Rzepecki informując, iż otrzymał polecenie „Bora”, aby BiP uczestniczył w akcji propagandy antykomunistycznej. Poinformował mnie, że tworzy się specjalny komitet aby propagandowo przeciwdziałać komunistom. Zaproponował mi uczestnictwo w pracach komitetu z ramienia BiP-u. Utworzono wtedy Społeczny Komitet Antykomunistyczny, na czele którego stanął Franciszek Białas z PPS-u. Znajdowali się tam przedstawiciele Delegatury Rządu, ja byłem z AK oraz przedstawiciele partii politycznych. W skład komitetu wchodził m.in. Stefan Korboński, Stanisław Kauzik /bądź jego zastępca, Zbigniew Kunicki/ Leopold Rutkowski – „Zawadzki” – /przedstawiciel Komitetu Społecznego Organizacji Samoobrony, tzw. SOS-u/,

Fichna z Konwentu Organizacji Niepodległościowych dawny senator z ramienia NRR/ i rzadko tam bywający Tadeusz Miklaszewski. Do tego Komitetu wchodził także Franciszek Urbański z chrześcijańskich związków zawodowych i Henryk Glass – to było naszą największą „zgagą”. Henryk Glass pochodził z Kijowszczyzny, gdzie w czasie rewolucji całą jego rodzinę wymordowali bolszewicy. Po przybyciu do Polski Niepodległej od razu rozpoczął walkę z bolszewizmem. Tak zresztą nazwał swoje pismo /„Walka z bolszewizmem”/, które własnym kosztem wydawał przez okres Polski Niepodległej. Miał klapy na oczach. Z nim było najwięcej trudności, działał samodzielnie. Mielśmy w Komitecie ustalać pewne rzeczy, jakieś hasła, taktykę działania. A on bez przerwy żądał „krwi komunistycznej”. Wydawał taką Agencję „A” i tam nawet podawał adresy poszczególnych komunistów. Były to wyraźne donosy dla gestapo. Żadne perswazje nie pomagały i w końcu się od niego odcięliśmy. Po wojnie przez długie lata przebywał w Londynie.

W swojej propagandzie antykomunistycznej ustaliłem z Rzepeckim, że będziemy prowadzić dwa pisma – jedno dla robotników, drugie zaś dla

chłopów. Stąd się wzięły „Wolność Robotnicza” /jej redaktorem był Sosnowski/ i „Głos Ludu”.

Między nami były duże różnice, na temat prowadzenia walki z komunistami. Wychodziłem z założenia, że polemiki nie powinny być zbyt ostre, albowiem tego typu teksty nie trafiają do przekonania ludzi rozważnych. Doszedłem do wniosku, że nie należy zajmować się polemikami ideologicznymi, ale skoncentrować się na tym, co się wydarzyło w Rosji Sowieckiej, gdzie komunizm od wielu lat funkcjonuje. Dlatego też uważałem, że kryptonim powinien być „R” – Rosja – a nie „K”, jak w BiP-ie uważano.

Jedną z ciekawszych ulotek opracował dla mnie pan Krygier z PPS-u, po wojnie działał w cyrankiewiczowskim PPS. Nosiło to tytuł „Dwa totalizmy”, gdzie porównywał Niemcy i Rosję Sowiecką. Bardzo się przy tym napracował.

Równocześnie pracowała Agencja „R”, której działalność polegała na tym, że zbierane były różne teksty, artykuły, wiadomości itp., które następnie były rozsyłane do pism celem wykorzystania. Chodziło o dostarczenie artykułów na odpowiednim poziomie. Rzeczywiście korzystały z nich również pisma Stronnictwa Ludowego.

W tym czasie napisałem broszurę pt. „Dokumenty mówią”, zawierającą omówienie – na podstawie faktów historycznych – polityki wewnętrznej w Rosji Sowieckiej oraz jej polityki wobec Polski.

Wydawaliśmy materiały „R” raz na dwa tygodnie.

K.T.: Kto odegrał szczególną rolę w Akcji „R”?

T.Ż.: Moim zastępcą był Wacław Kozłowski, ps. „Kaniewski”, ale razem pracowało nas 7-8 osób. W odróżnieniu od Akcji „N” nie mieliśmy własnego kolportażu, nasze materiały szły na ogólny kolportaż BiP-u.

K.T.: A jak zaczął Pan prowadzenie „Roju”?

T.Ż.: To się zaczęło na początku 1942 roku. Rzepecki powiedział mi, że Komendant chce przygotować pomysły na propagandę na okres wybuchu walk z Niemcami, na wypadek Powstania. Rzepecki zaproponował moją osobę i Rowecki się zgodził. Dostałem wolną rękę. Zastanawiałem się jak to przygotować. Wiedziałem jak to ma wyglądać merytorycznie, ale zastanawiałem się jakie mają być środki techniczne i organizacyjne. To był trudny problem, bo przed wojną agandy państwowe prowadziły reklamę a nie propagandę.

Do pomocy wziąłem mojego współpracownika jeszcze z OZN-u / później mnie bardzo ładnie „załatwił”/ Zygmunta Ziółka. Pracował ze mną Sosnowski.

Musieliśmy opracować problem propagandy polowej w wojsku. W 1920 roku to były tylko pogaduszki literackie dla wojska, ale nie było prawdziwej propagandy dla żołnierza. Musiałem przeszkolić szefów referatów „Roju” w okresach i w tym celu robiłam w Warszawie tygodniowe kursy, na które przysyłano mi wybranych do tej roboty ludzi. Przez tydzień siedzieli w Warszawie po rozmaitych lokalach /nie więcej niż 7, żeby utrzymać zasady konspiracji/, a myśmy tłoczyli im do głowy rzeczy, które były najważniejsze. Byli tym bardzo zainteresowani, to była dla nich nowość. Oczywiście najpierw sami musieliśmy się solidnie przygotować. Współpracował ze mną przyjaciel, Andrzej Pomian /on wtedy zajmował się propagandą na mniejszości narodowe i na Węgry/.

Przychodziły takie pomysły. Znalazłem pewną panią /Hannę Łukasiewiczową, ps. „Władysława”/, znaną mi jeszcze ze Związku Strzeleckiego, i poprosiłem o objęcia kierownictwa organizacji, którą nazywaliśmy Po-

moc Żołnierzowi /PŻ/. Zorganizowaliśmy dla nich oddzielne kursy. Przez kursy dla „peżetek” przeszło kilkadziesiąt kobiet /w tym i moja żona/.

Konieczne trzeba było organizować radio. Musieliśmy mieć redaktorów i techników. Nie wiedzieliśmy jakie będziemy mieć radiostacje. Dziennikarzy wziętem z Polskiego Radia, w tym Stanisława Zadroźnego /został kierownikiem referatu radiowego/ i Zofię Żebrowską /moją cioteczną siostrę, przedwojennego radiowca/. Niektórzy spikerzy też byli z radia. Następnie organizowałem film i fotografię, tj. część propagandy wizualnej. Ludzie musieli się sporo nauczyć. Tego typu propaganda musi oddziaływać na żołnierza, na społeczeństwo i na przeciwnika. Tego ostatniego elementu nie włączałem tu, gdyż miałem do tego dwa innego kierowane przeze mnie wydziały.

Organizowaliśmy oddzielne kursy dla fotografów prowadzone przez Wacława Żarskiego /po wojnie postać mniej ciekawa/. Przed wojną był fotografem w OZN-ie. Był dobrym specjalistą i kursy prowadził na wysokim poziomie.

Do filmu szukaliśmy dawnych filmowców i udało nam się kilku złapać. Cholerne kłopoty mieliśmy ze sprzę-

tem. Musieliśmy wszystko kupować, a to było bardzo drogie. Marzyłem o aparatach do nagrań polowych, wiedziałem, że są w armii amerykańskiej, ale niestety ani jednego mi nie przysłali.

Potrzebni byli specjaliści do robienia plakatów. Żołnierz musi śpiewać, potrzebna jest mu piosenka. Trzeba było myśleć o teatrze dla żołnierzy. To robił oczywiście Bohdan Korzeniewski.

W grupie zajmującej się piosenką, którą prowadził Rutkowski, był Stanisław Ryszard Dobrowolski. To był wtedy bojowy facet. Napisał „Szturmówkę” i „Warszawskie dzieci” oraz kilka innych dobrych piosenek. Udało nam się nawet zorganizować orkiestrę dętą. Raz czy dwa nawet zagrała w czasie Powstania.

Mieliśmy sporo przygotowanych ludzi. Samych tylko fotografów mieliśmy przeszkolonych ponad siedemdziesięciu. Postanowiłem jednak, że trzeba żołnierzy-fotografów oswoić z linią frontu. Polecilem więc, żeby na początek w Warszawie robili fotografie obiektów niedozwolonych do fotografowania. Mieli się oswoić z niebezpieczeństwem. To samo było z filmem. Zaczęliśmy później wysyłać patrole propagandowe do oddziałów partyzanckich. Jeden z aparatem fo-

tograficznym, drugi piszący, ponadto musieli oni na miejscu szukać aparatu do nasłuchu /już wtedy wierzyłem w nasłuch/. Pierwszy taki patrol pojechał na Lubelszczyznę, a drugi do 27 Dywizji na Wołyń. I stamtąd mieliśmy pierwsze reportaże, a nawet zachowały się zdjęcia. Na Wołyniu udało się nawet sfotografować węgierskich jeńców prowadzonych przez nasz oddział.

Dużą wyprawę szykowałem w styczniu czy lutym 1944 na Nowogródcażę, ale niestety aparat filmowy został uszkodzony. Nasi wysłannicy jechali jako Todt Organisationi w warunkach podróży uszkodzono kamerę. Zostały tylko zdjęcia fotograficzne. To były reportaże z działalności naszej partyzantki.

Celem tych wyjazdów, poza gromadzeniem materiałów było przede wszystkim oswojenie ludzi z walką.

Wydaliśmy dwa numery „Polski Ilustrowanej” zawierający zdjęcia z walk i wydarzeń w Generalnej Guberni.

Teatr żołnierski miał dwa czy trzy spektakle przygotowane i kiedy 27 Dywizja cofnęła się na Lubelszczyznę to wysłaliśmy do nich ciężarówkę z zespołem teatralnym. Musieli niestety zawrócić z drogi, gdyż zaczęła się oblawa niemiecka na Lubelszczyźnie.

Postanowiliśmy zrobić „fabrykę piosenek”. Spotkaliśmy się w trójkę. Rutkowski, Dobrowolski i ja. Na ulicy Chopina, bo to dzielnica niemiecka, więc tam zawsze najspokojniej. Sugerowałem Dobrowolskiemu, by napisał coś bardzo bojowego, z ikrą – i tak powstały „Warszawskie dzieci”. Dobrowolski /„Goliard”/ pisał teksty, a Rutkowski /„Korycki”/ szukał muzyków, którzy mogliby napisać melodię. Często piosenki miały dwie wersje – jedną dla sceny i drugą dla potrzeb „polowych” – dla żołnierzy do marszu. Zostało wyprodukowanych ponad 30 piosenek. Ja oczywiście byłem tam tylko „od zatwierdzania” i zachęcania. Dobrowolski był doskonałym pracownikiem, do czasu Powstania. Wtedy się złąkł i ukrył.

Wtedy były nawet konkursy na piosenkę i sztukę teatralną. Pamiętam, że zwycięzca dostał nagrodę w złotych rublach. W jury była Dąbrowska, Schiller, Korzeniewski i ja. Chyba jeszcze ktoś był – nie pamiętam.

Nie powiedziałem o bardzo ważnej sprawie w naszej działalności propagandowej – o pismach. Na Powstanie przygotowałem gazetę ścienną, która zresztą się nie ukazała.

K.T.: Ale zanim dojdziemy do

Powstania, czy moglibyśmy jeszcze pozostać przy wydarzeniach poprzednich. Jak przyjęto śmierć Sikorskiego?

T.Ż.: Dla większości ludzi z AK to był duży szok, gdyż przywiązywano do niego duże znaczenie. W kołach politycznych nie było czarnej rozpacz, dlatego że pamiętano Sikorskiemu nie fortunne posunięcia na początku rządów, chociaż później on się bardzo zmienił. Ale 1939 i 1940 rok, kiedy on był jednostronny politycznie /i to bardzo/ i tym zepsuł sobie opinię. Żałowano go pośmiertnie, ale była to żałoba „w miarę”. Myśmy wtedy żyli tym, że kraj ma więcej do powiedzenia niż emigracja. W prasie nie raz się o tym pisało. Przyjdą nasi żołnierze i nam pomogą, ale coraz silniej wierzone w siłę kraju. W tym '40 roku otrzymaliśmy szkołę. Uświadomiliśmy sobie, że nie ma co zbytnio liczyć na pomoc z zewnątrz, ale na to co sami reprezentujemy. Nie stracono nadziei na jakąś pomoc Anglików i Amerykanów, ale pamiętano żeśmy się na Francuzach gorąco sparzyli. Był to czas coraz bardziej pogłębionej walki konspiracyjnej. U nas dosłownie wyrastało Państwo Podziemne w swoim szkieletowym stanie.

K.T.: A jak Pan wtedy przyjął wiadomość o aresztowaniu „Grota”?

T.Ż.: Dowiedziałem się o tym 10 dni później. Mało kto o tym wiedział, ukrywano to. Zresztą rozsądnie.

K.T.: Pan się z nim zetknął.

T.Ż.: O tak, parę razy. Ja wiedziałem kto jest tym „Grotem”. Na pewnych szczeblach nie dało się tego ukryć. Było to w jakiejś pół roku po rozpoczęciu akcji „N”. Rzepecki powiedział mi, że mam się zgłosić do „Grota”. Było to na Grochowie. Wieczorem poszedłem na adres, który dał mi Rzepecki. Wszedłem do domu, który był częściowo zrujnowany, ale miałem udać się do oficyny na pierwszym piętrze. Otworzył mi drzwi „Szymon” – słynny adiutant wszystkich komendantów AK. W pokoju czekali na mnie Rowecki z Rzepeckim. Odbyła się bardzo przyjemna, właściwie towarzyska rozmowa. Omówiłem swoją działalność i jednocześnie poprosiłem, żeby traktować wszystkich żołnierzy propagandy jak i liniowych, chociaż nie walczą z bronią w rękę. Poprosiłem go o dwa Krzyże Walecznych dla „enowców” z terenu. Rowecki chętnie się zgodził. Wtedy właśnie podjął decyzję o przekształceniu referatu „N” w Wydział.

K.T.: On wiedział kim Pan jest?

T.Ż.: Tak. Przypuszczam, że wiedział wcześniej o mojej działalności

przedwojennej, kiedy typował mnie na szefa „N”. Widzieliśmy się jeszcze parę razy. Zawsze mnie prosił co pół roku, abym osobiście zdawał relację ze swojej działalności. To były krótkie 10–15 minutowe spotkania. Ostatni raz widziałem się z nim na parę tygodni przed aresztowaniem. Spotkaliśmy się na początku czerwca, kiedy razem z moim przyjacielem i współpracownikiem – Bronkiem Budkiewiczem, zameldowaliśmy mu zakończenie wcielenia ZOR-u do AK. Spotkaliśmy się gdzieś w okolicy Chłodnej. To było trochę dłuższe spotkanie. Mówiliśmy wtedy o konieczności zmian politycznych w Polsce powojennej, zmianie sytuacji społecznej, o demokratyzacji. „Grot” zgodził się z naszym stanowiskiem, mówił o konieczności poważnej przebudowy Polski powojennej. To była bardzo przyjemna i ciekawa rozmowa.

Jego aresztowanie było bardzo wielką stratą. Znałem „Bora” wcześniej jako zastępcę Komendanta Głównego i jednocześnie Komendanta Obszaru Zachodniego. Spotkałem się z nim kiedy chciałem rozbudować „N” na Zachodzie w Poznańskim. Wtedy miałem z nim spotkanie na Saskiej Kępie. To był bardzo miły człowiek, ale było też widać, że to nie

jest format „Grota”. Bardzo spokojny, grzeczny, ale nie był dynamiczny. „Grot” był przywódcą, a „Bór” dobrym żołnierzem i opanowanym dowódcą. Natomiast nigdy nie zetknąłem się z Okulickim, nawet w Powstaniu, gdyż on się szykował na późniejsze wyjście z ukrycia i był siłą rzeczy odizolowany.

Ale wracam jeszcze do „Grota”. To była wyjątkowa osobowość. Szerokie horyzonty. Dużo pisał jak na wojskowego. Zajmował się także propagandą, stąd znałem go z lektur. W kontakcie osobistym odczuwało się, że to nie tylko komendant, ale przede wszystkim PRZYWÓDCA. To z niego emanowało.

K.T.: Chciałbym Pana zapytać o radykalizację polskiego społeczeństwa w latach II wojny światowej. Na ile obserwował Pan przesunięcie się społeczeństwa na lewo w latach wojny?

T.Ż.: Wyrazem tego były uchwały Rady Jedności Narodowej. Absolutnie większość społeczeństwa szła na lewo, oczywiście nie do komunistów. Co sprzyjało demokratyzacji polskiego społeczeństwa? Przede wszystkim zrównanie warunków życia w czasie okupacji. Wszyscy mniej więcej podobnie przeżywaliśmy okupację. Była

to solidarność w niewoli i biedzie, solidarność w walce. Trzeba przyznać, że lata Niepodległości owocowały w konspiracji i to było zjawisko niesłychanie ważne. Marcowa uchwała Rady Jedności, która była wspólnym kompromisem /marzec 44/. Była jednak atakowana później przez endeków.

Tu przypomina mi się kwestia dotycząca także działalności „R”. Był to okres, kiedy ukazała się uchwała komunistycznej Krajowej Rady Narodowej i postanowiliśmy w ramach Akcji „R” natychmiast na to odpowiedzieć. Napisałem odezwę, którą podpisało dwadzieścia parę organizacji i partii politycznych. Wydaliśmy ją bardzo szybko po uchwale KRN.

K.T.: Pan jest ciągle zakochany w Warszawie, wtedy było to miasto niezwykle. Jak zapamiętał Pan Warszawę lat okupacji, przed Powstaniem?

T.Ż.: Ja się czułem na ulicach bezpiecznie. Czuło się ludzką solidarność. Dam przykład. W 1943 roku Niemcy robili takie wielkie łapanki. Szli niemieccy żołnierze przez całą szerokość ulicy i wszystkich zgarniali. Mieszkiałem wtedy przy ulicy Puławskiej i wracałem z okolic Al. Niepodległości. Zauważyłem, że idą lotnicy

/ta formacja była najgorsza/. Myślę sobie, że może być nieprzyjemnie. Postanowiłem wejść do pierwszego najbliższego domu. Zapukałem i spytałem, czy mogę przeczeakać łapankę. I tak mogłem być spokojny.

Uważam, że teraz w Warszawie brak jednego pomnika – pomnika szmuglerki, tej co żywiła miasto.

To było piękne i niezapomniane miasto w czasie okupacji. Np. egzekucje uliczne nie zmniejszały działalności. Wawer wstrząsnął bardzo ludźmi, bo to był pierwszy raz. Z czasem było coraz więcej ostrożności, a mniej brawurowania. To miało różne formy. Pamiętam jak moja żona z koleżankami z ZOR-u składała kwiaty pod pomnikiem Lotnika – uważały, że tak trzeba. Ale jeżeli brawura jest połączona z wytrwałością – to dobra cecha. Pamiętam gdy jeździłem odbierać przysięgi „zorowskie” /najczęściej do ludzi prostych/, oni mieli wspaniałą postawę bojową.

Ale nasz kolportaż „N”, on naprawdę miał mało wpadek jak na ilość zaangażowanych ludzi i wydawnictw, które się ukazywały.

Wielu ludzi znakomicie wytrzymywało śledztwa. Oczywiście nie wszyscy, ale znakomita większość. To było bojowe miasto. Nawet kiedy Po-

wstanie wygaśło, ludzie zapelniający piwnice nie mówili „wyście nas zgubili”.

Pamiętam jak po kapitulacji Powstania wywozili na Śląsk do Łambinowic. Wysadzono nas z wagonów i szliśmy piechotą do obozu. Po drodze zobaczyliśmy jakiś prowizoryczny obóz. To byli wywiezieni wcześniej warszawiacy. Lecieli do nas, tych, którzyśmy „zburzyli miasto” i cieszyli się, że nas zobaczyli, tych żołnierzy z opaskami.

K.T.: Latem 1944 roku, gdy Sowietci zbliżają się od wschodu, przez Warszawę uciekają na zachód tysiące Niemców. Widać sypiący się front.

T.Ż.: Proszę Pana, my zarządziliśmy ewakuację Warszawy wcześniej, w ramach Akcji „N”. Przygotowałem plakat, w którym wręczałem gubernatora Fishera. „Zarządziliśmy”, ze względu na zagrożenie ludności i urzędów ewakuację z Warszawy. Wyglądało to jak autentyczne zarządzenie. Wywołało to prawdziwy popłoch wśród Niemców. Niezastąpiony „Wawer” rozplakatował to moje zarządzenie w Warszawie.

Mieliśmy właśnie naradę „bi-powską”, a tu wpada Kamiński i od drzwi woła: „zobaczcie, ewakuację Niemców z Warszawy!”. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. W rezul-

tacie gratulował sukcesu. Niemcy, naród zdyscyplinowany, natychmiast zaczęli wykonywać zarządzenie. To była przyjemna zabawa, dająca dużo satysfakcji.

Byliśmy przygotowani, że walka o Warszawę musi wkrótce nastąpić. W moim otoczeniu zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy łatwo z Warszawy nie będą chcieli odejść. Wisła przecież stanowiła dobrą linię obrony, to była naturalna przeszkoda. Bić się chcieli wszyscy, tym bardziej że kiedy 24 lipca w czasie wielkiej paniki Niemcy uciekli przez Warszawę, to można było by podejść do wozu i brać karabin, a oni wcale by nie reagowali. Niemcom udało się później opanować panikę, ale dla nas było jasne, że z naszej strony musi nastąpić uderzenie.

K.T.: Kiedy został Pan szefem propagandy Powstania?

T.Ż.: Od chwili wybuchu Powstania. Zostałem autentycznie od pierwszej godziny szefem propagandy, co wynikało z mojego stanowiska. Byliśmy u „Montera” na kwaterze wraz z Rzepeckim, miałem cały aparat w rękach i kierowałem naszą propagandą o Powstaniu. O decyzji rozpoczęcia walki dowiedziałem się na osiem godzin wcześniej. Zdążyłem

rozesłać łączniczki na przygotowane punkty. Na przykład ekipa „Błyskawicy” czekała na Polnej, gdyż łączność zapowiadała, że otrzymamy krótkofalówkę na politechnice, więc chodziło o to, żebym miał blisko niej obsadę. Miałem jeszcze drugą krótkofalówkę, na której myśmy „grali”. Walczyłem z łącznością o sprzęt ładnych parę miesięcy i w końcu na szefie łączności go wymusiłem. Dostałem go w Częstochowie i musieliśmy przewieźć do Warszawy. To była krótkofalówka i trochę w podróży przemokła, gdyż wieziono ją w beczce z kapustą, ale udało się ją naprawić. Mobilizacja mojego wydziału wypadła sprawnie.

K.T.: Zaczyna się godzina „W”.

T.Ż.: W Powstaniu zdarzały się rozmaite dziwactwa. Nasz wydział miał gmach PKO na rogu Jasnej. Dzięki zorowcom tam pracującym udało się nam zająć ten olbrzymi gmach. Wieczorem byliśmy tam wszyscy. „Monterowi” znaleziono kwatery na Jasnej 22, a potem w pobliskim hotelu „Victoria” przeznaczonym dla żołnierzy niemieckich. Po zbombardowaniu został bez kwatery. Wtedy zabrałem go do nas i był w PKO do połowy września.

K.T.: Jaki był zakres Pańskich obowiązków?

T.Ż.: Odprawiałem patrole propagandowe /megafony/. Rano przeglądałem numer ściennej gazety „Warszawa walczy”. Z redaktorem „Błyskawicy” omawiałem program audycji. Codziennie sprawdzałem co robili filmowcy i fotografowie. Codziennie prowadziłem konferencje prasowe. Tak wyglądał mój dzień.

Z konferencji prasowych miałem wspaniałe doświadczenia. Te spotkania bardzo się rozrosły – były tam reprezentowane wszystkie pisma, od NSZ-u do komuny /z którymi przychodzi Weber/. Początkowo konferencje odbywały się na Szpitalnej, a potem w Eriksonie w alejach Ujazdowskich przy rogu Wilczej. Redakcje były bardzo solidne i zawsze spełniały prośbę, gdy prosiłem aby czegoś nie drukowano, bo to tylko do ich wiadomości. Omawiałem na tych konferencjach sytuację na froncie akowskim w całej Polsce /znaliśmy ją dzięki depeszom/, sytuację w świecie /dzięki nasłuchowi radiowemu/ oraz co się dzieje w Warszawie. Co jakiś czas ściągałem na konferencje ludzi, np. szefa saperów, który omawiał swoją działalność /budowanie barykad, robienie katapult, jak ratować zasypane domy/, szefa sanitariuszy, itd.

Ponadto każda redakcja miała

swoją teczkę /to były takie skrzynki/ umieszczaliśmy w nich komunikaty, wszelkie materiały. Przychodzili dwa razy dziennie i dostawali sporo materiałów do wykorzystania w redakcjach.

K.T.: A jak sprawdziły się inne formy działalności – teatr, piosenka?

T.Ż.: Mieliśmy trzy seanse w kinie „Palladium” zajętych przez nas. Prezentowaliśmy nasze filmy, nawet udźwiękowione. Wśród nas był niezawodny Bohdziewicz, szef naszych filmowców. On montował film – kronikę wydarzeń z kilku dni. Jednocześnie sam pisał komentarz, który sam odczytywał przez głośnik i nikt się nie orientował, że nie jest to prawdziwy film dźwiękowy. Wydaje mi się, że to był prawdziwy sukces. Na projekcje ściągaliśmy ludzi późnym wieczorem, gdyż baliśmy się, żeby przez agenturę nie dowiedzieli się o tym Niemcy i nie zbombardowali kina.

W konserwatorium mieliśmy orkiestrę dętą – raz czy dwa razy nawet występowała.

K.T.: Na ile trzeba było poprzez propagandę podtrzymywać ludzi na duchu?

T.Ż.: Tego nie trzeba było robić. Nawet mocno przetrzepane oddziały nie przeżywały załamania. Np. ludzie

ze Starówki, kiedy wracali kanałami, byli zmaltrretowani, początkowo chyba nawet rozgoryczeni, ale kiedy się umyli, odpoczęli to chętnie szli dalej bić się na Czerniaków. Oni tylko chcieli walczyć, dalej w swoich oddziałach. Powstańczy żołnierz był wspaniały.

K.T.: A jak Pan w propagandzie tłumaczył brak pomocy dla Powstania?

T.Ż.: Nie było żadnej jasnej odpowiedzi. Myśmy właściwie nie wiedzieli. Dlaczego tej pomocy nie ma. Myśmy myśleli, że to z powodu niechęci Anglików. Nie wiedzieliśmy, że przelot samolotu z Brinds do Warszawy był wówczas prawie niemożliwy.

Przygotowaliśmy się natomiast na wejście Rosjan do miasta w czasie ofensywy. Mieliśmy olbrzymie plakaty z fotografiami naszych przywódców i z naszymi hasłami. Chodziło o to, żeby Rosjanie zobaczyli, że to jest Polska. Ale ich nie wykorzystaliśmy.

Przygotowywaliśmy się też na wypadek, gdyby Rosjanie zatrzymali się w Warszawie. Mieliśmy się skoncentrować w jednym kwartale bloków / Komenda Główna, Delegatura Rządu/, otoczonych naszymi oddziałami i czekać na rozwój wypadków. A gdy-

by zaatakowali, to będziemy się bronić do końca. Taką możliwość braliśmy też pod uwagę.

K.T.: A skoro już jesteśmy przy Powstaniu, czy pamięta Pan jakieś szczególne dramatyczne sceny, momenty?

T.Ż.: Pamiętam gdyśmy zajęli gmach „Adrii” na Moniuszki /to było po tym jak oddałem „Monte-rowi” gmach PKO/. W podziemiach w dawnej restauracji była nasza stolówka „peżetek”. Nasze kwatery były na pierwszym piętrze. To była siedziba naszego wydziału. Byłem na korytarzu, gdy odczuliśmy silny wstrząs. I nagle pociemniało, nic nie było widać. Zapanowała śmiertelna cisza. Zawołałem by skrapiać wodą. Kurz i pył zaczął opadać, na podłodze co prawda porobiło się błoto, ale zaczęliśmy się widzieć. Okazało się, że trafił nas jeden z trzech pierwszych pocisków ze specjalnego działu fortecznego, które Niemcy ściągnęli z Sewastopola /pociski miały ok. 2m długości/. Myśmy jeszcze tych pocisków nie znali /jeden trafił w Marszałkowską 127, a drugi na Starówkę, trzeci w nas/. Ten pocisk lecący z kierunku Ożarowa przebił jeden dom, wpadł do nas i osiadł w restauracji. Ten ogromny pocisk zabił dwie osoby, w tym jedną naszą „pe-

żetkę” – panią Iwanko. Miałem wtedy w „Adrii” ok. 200 ludzi, a w budynku siedzi ogromny niewypał, który może w każdej chwili wybuchnąć. Pośpiesznie ewakuowałem ludzi do innych budynków z poleceniem poszukiwania nowych kwater. Kiedy udało się wszystkich ulokować, minęło sporo czasu, zrobiła się już noc. Pozostało nas kilku /Leszek Sadowski, Nowak, łączniczka „Greta” i jeszcze ze dwie osoby/. Zdecydowaliśmy, że prześpiemy się na materacach w towarzystwie pocisku. Nic nam się nie stało, ale było to emocjonujące. Saperzy rozkręcili następnego dnia pocisk i masa materiału wybuchowego poszła do naszych granatów ręcznych. To był najbardziej emocjonujący moment w całym Powstaniu.

K.T.: A ostatnie dni, kiedy już było wiadomo, że Powstanie kapitułuje?

T.Ż.: Wtedy chciałem przede wszystkim zabezpieczyć materiały, które zostają, m.in. filmy, których do tej pory nie odzyskaliśmy. Trzeba było przygotować sprawę ludzi, którzy nie szli do niewoli. Należało się przygotować do niewoli – zbierano jakieś ciuchy, zwłaszcza kobiety. Wychodziliśmy z Warszawy czwórkami, z fasonem. Trzymaliśmy się przyzwoicie.

Idąc w kierunku placu Narutowicza ulicą Śniadeckich wprowadzono nas na podwórze dawnej Podchorążówki Saperskiej – tam składaliśmy broń. W otaczających budynkach, dosłownie we wszystkich oknach stały niemiecki cekaemy wycelowane w nas składające broń.

Byliśmy wtedy bardzo skupieni, ale nie załamani. Jeszcze myśleliśmy, że to tylko przegrana bitwa. Mieliśmy poczucie tego, żeśmy się dobrze bili, że wrócimy. Byliśmy przekonani, że to co się stało w Warszawie nie pójdzie na marne.

Doszlśmy do Ożarowa, gdzie nocowaliśmy, a potem wsadzono nas do wagonów towarowych i powieziono nas na Śląsk. Gdy tylko pociąg po drodze stawał na stacjach, to natychmiast zaczynaliśmy śpiewać, mimo, że Niemcy tego zakazywali. W Łambinowicach oficerów sztabowych oddzielono od nas, a myśmy pojechali do Grossbronn. Jechaliśmy przez Poznań, ale tam zatrzymano nas przed stacją, żeby nie było śpiewów.

Kiedy już dojechaliśmy, to dalej musieliśmy iść pieszo do obozu, gdzie byli już starzy „gefangeni”. Ich było 4500 a nas 500. To byli „wrześniowcy” – pełno było tam moich znajomych.

Tam w obozie fizycznie odżyłem. Wyszliśmy z Warszawy głodni, praktycznie głodowaliśmy pod koniec / jedliśmy papkę owsianą czy żytnią/.

K.T.: Jak Was witano w obozie?

T.Ż.: Bardzo serdecznie. Rozrywali nas, zapraszali żeby iść do nich na kolację. To byli bogaci „gefangeni”, mieli paczki amerykańskie, zagospodarowali się. Robili wystawne przyjęcia.

„Zarabiałem” gadaniem na jeźdzenie. Miałem jak mówiłem pełno znajomych z Warszawy, którzy mnie zapraszali. Jednym z moich tematów był Berling i jego wojsko w Rosji. Znałem szczegóły od rotmistrza Łopianowskiego – cichociemnego, który był w „willi szczęścia” z Berlin-giem. „Gefangeni” czekali z wystawną dwu daniową kolacją, mnóstwo kawy /z tych paczek amerykańskich/. I po takiej kolacji ja opowiadałem. Trwało to od 19-tej do 21-ej, do tzw. „szczalnej trąbki”, kiedy otwierano baraki na 15 minut, żeby ludzie mogli pójść do latryn.

Słuchacze byli różni – przyjemni i nie. Był tam zięć Sikorskiego – Leśniewski /zajmował się robieniem swetrów/. Był też Mossor.

K.T.: Jak potem ułożyły się wzajemne stosunki między akowcami,

a tymi, którzy w niewoli byli już od lat?

T.Ż.: Wychodziły różne kompleksy. Spoglądali na nas z wyższością, że niby tylko oni to prawdziwe wojsko, a AK to tylko cywile. Zresztą zajmowali się swoim życiem obozowym – tworzyli takie getto, z zawodami sportowymi, własnymi pieniędzmi / papierosy/, handlem rzeczami z paczek. Posiadali także własny zupełnie dobry teatr. Prowadzili też różne wykłady i kursy.

W obozie zastaliśmy akowską konspirację. Mieliliśmy zorganizowany nasłuch radiowy. Świeże wiadomości bardzo szybko obiegły obóz wieczorem, w czasie „szczalnej trąbki”.

Kiedyś zaprosił mnie do siebie Mossor – mieszkał osobno. Wtedy nie wiedziałem, że on jeździł do Katynia. Myślałem, że przedstawiciel prawicy chce się czegoś dowiedzieć o poczynaniach komuny, więc mu opowiadałem. Relacjonowałem jak wygląda wojsko Żimirskiego na Lubelszczyźnie. Słuchał, ale nie dyskutował.

Zbliżał się koniec stycznia i wówczas przypędzono do nas cały obóz akowców, z Ziemiakiem na czele. Po trzech dniach wyprawiono ich dalej na Zachód.

Chciałbym jeszcze nawiązać do

nastrojów panujących wśród części starych „gefangelów”, obok baraków były wykopane rowy na wypadek bombardowania obozu. Kiedyś miało miejsce silne bombardowanie Szczecina i widziałem „gefangelów”, którzy kryli się w rowach. Tymczasem wśród warszawiaków, panowała radość, że szkopów tak rąbią, a nikt nie myślał o kryciu się.

Kilka dni później zaczęła się ucieczka Niemców ze Wschodu na Zachód – zastraszeni ludzie, wozy i inwentarz. Wtedy też zabrali nam wojskową straż, a dali jakichś starszuchów w mundurach i karabinami. Wchodził taki starszuch do naszego baraku, stawiał karabin w kącie, dostawał coś do picia, siadał – następowało rozprężenie dyscypliny.

Kiedy zaczęła się do nas zbliżać kanonada artyleryjska, to poprzecinaliśmy druty, żeby wyjść z obozu pod pretekstem, że nas mogą zbombardować. Właściwie nie było już nikogo ze straży, lecz w tym momencie zaczął działać Mossor. Miał zorganizowaną grupę swoich ludzi i nagle stał się szefem tego obozu. Postawił straż, żeby pilnować poprzecinanych drutów. Chciał nas zatrzymać.

5 lutego zobaczyliśmy jak podchodzi do nas tyraliera od wschodu. Po-

stanowiliśmy uciekać. Było nas ośmiu /4 akowców i 4 „gefangenów”/. Wychodzimy, a tu przy jednym z wyjść stoi dwóch „mossorowców” i nam zakazuje. Nie zwracam na to uwagi. Przechodzimy i widzę zbliżających się „berlingowców”. Podjeżdża do nas porucznik na koniu, w polskim mundurze, z orzełkiem na czapce i pyta: „A wy kto taki je?”. Na co ja: „My wojennoplennicy z 39 goda”. Owżę porucznik: „A szto diełajeżie”? Odpowiadam: „Idiom na rodinu” i usłyszałem: „to stupejtie”.

Nie czekaliśmy i szybko odeszliśmy, aby zniknąć im z oczu. Z daleko zobaczyliśmy kiwającego na nas Mossora, który był już z „berlingowcami”. Chciał żebyśmy wrócili do obozu, ale myśmy postanowili pójść swoją drogą do kraju. Doszliśmy do wsi, wchodzimy do jakiejś chaty i trafiamy na sierżanta, który mówi: „O, panowie, nareszcie będziemy mieli polskich oficerów. Jak to dobrze.”. Spotkałem tam także mojego szkolnego kolegę, dra Uszyckiego, który mówi do mnie: „Słuchaj Tadeusz, wiejcie stąd jak najszybciej, bo zaraz tu przyjedzie >>roz-wietka<<”. Sierżant dał nam bryczkę z parą koni i szybko odjechaliliśmy. Dojechaliliśmy do Jastrowa, było tam zupełnie pusto. Patrząc, z naprzeciw-

ka idzie jakiś pułkownik w polskim mundurze. Podchodzę i melduję się, a on „Szto wy gawaritie?”. Dopiero jego oficerowie zaczęli mu tłumaczyć. Znow podszedł do nas jeden z nich i mówi, żebyśmy wiali dalej, bo wkrótce pojawi się tu NKWD.

Dotarliśmy do batalionu samochodowego w Bydgoszczy. Tam ugościli nas serdecznie podoficerowie. Dali nam kwaterę jakiegoś gestapowca. Potem dojechaliliśmy samochodem do Inowrocławia, i tam zgłosiliśmy się do „berlingowskiej” komendy miasta i poprosiliśmy o kwatery. Przez dwa dni jadaliśmy w kasynie i w czasie posiłków staraliśmy się zasięgnąć „jęzeka”. Przedstawiliśmy się jako starzy „gefangeni” i narzekaliśmy na decyzję o wybuchu Powstania, ale nie raz słyszeliśmy od młodych „berlingowców”, że nie można tak mówić, gdyż inaczej trzeba oceniać Powstanie. Byliśmy ich opiniami niezwykle uradowani.

Czekaliśmy na uruchomienie wąskotorowej kolejki do Łodzi, gdzie chcieliśmy dojechać. Zobaczyłem afisz o poborze do wojska i warunki jakie musi spełniać ochotnik. Otóż kandydat na oficera politycznego musiał: mieć niższe wykształcenie, i „być politycznie wytrzymały”. Chciałem to zabrać, ale ktoś mnie wyprzedził.

Z Łodzi pojechałem do Krakowa, chcąc znaleźć znajomych i odszukać żonę. Do żony, która była w Oświęcimiu, wysłałem list z oflagu i tam jej go przeczytali. Wiedziała więc, że żyję, ja jednak nie wiedziałem co się z nią teraz dzieje.

K.T.: Jak znalazł Pan nową rzeczywistość po powrocie do kraju?

T.Ż.: Po powrocie do Krakowa miałem bardzo symboliczną styczność z nową rzeczywistością. Właśnie tego dnia, gazety ogłosiły uchwały jałtańskie. Nie miałem najmniejszej wątpliwości co to znaczy. Nastrój nie był najlepszy. Wiedziałem, że nie będzie to republika, ale wiadomo było, że będą to rządy sowieckie.

Co można było robić w takiej sytuacji? Najpierw trzeba było się ukrywać i natychmiast zorientować się gdzie są moi koledzy, oczywiście w samym Krakowie. Jasne było, że pod Warszawę nie ma co jechać. Wszyscy mówili, że Milanówek to „drugi Londyn” – pełno bezpieczeństwa a samo miasto zniszczone.

Spotkałem się z niektórymi kolegami i zaczęliśmy zastanawiać się co będziemy mogli dalej robić. Spotkałem się wówczas z żoną, która wróciła z Oświęcimia – po ucieczce z transportu – i wyjechaliśmy na dwa

tygodnie pod Kraków, aby żona mogła odpocząć. W okresie Wielkanocy przyjechał do mnie jeden z przyjaciół, z wiadomością o porwaniu „16”-tu. Powiedziałem sobie: Dość pasowania, trzeba się bronić do nowej konspiracji. Takiej, która miała by charakter polityczny.

Wróciłem do Krakowa. Zacząłem organizować nasłuch radiowy, ludzi – i tak powstał „Głos Wolności”. Redagowaliśmy go głównie na podstawie nasłuchu radiowego. Staraliśmy się wydawać pismo nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie, a w niektórych wypadkach raz na tydzień. Staraliśmy się, aby docierał także pod Warszawę. Odbijaliśmy w Krakowie na powielaczku, a łączniczki dowoziły matryce do innych ośrodków.

W październiku 1945 roku aresztowano w Łodzi dwoje moich przyjaciół z pracy okupacyjnej i obecnej /dostali po pięć lat/, ale mieli szczęście, gdyż objęła ich amnestia. Była to jedyna wpadka. W Krakowie mało kręciłem się po mieście z powodu zagrożenia aresztowaniem.

K.T.: A czy miał Pan kontakt z innymi akowcami z Krakowa?

T.Ż.: Nie chciałem mieć kontaktu z nimi. Muszę się cofnąć. Zanim dojechałem do Krakowa, po drodze

zatrzymałem się na noc w Częstochowie. Wyszedłem rano na miasto i przypadkiem natchnąłem się na Rzepeckiego, który świeżo wrócił z Woldenbergu. Nie dogadaliśmy się w tej rozmowie. Nie odpowiadał mi jego plan. Przede wszystkim dlatego, że nie był sprecyzowany /opozycja polityczna, dotrzeć do wyborów/. Nie podobała mi się koncepcja polityczna, której celem jest dotrwanie tylko do wyborów. Rozstaliśmy się wtedy przyjaźnie, ale ozięble. Od tego czasu więcej już go nie widziałem.

W WiN-ie nie podobała mi się sama koncepcja. Wiadomo przecież, że zawodowi wojskowi nie mogą robić organizacji politycznej, gdyż nie są do takich rzeczy dobrze przygotowani z braku rutyny politycznej. Wówczas nie widziałem sensu politycznego tego typu organizacji. Natomiast wiedziałem i rozumiałem, że musi być jakaś forma oporu politycznego, którego celem jest podtrzymywanie nastrojów społeczeństwa, ponieważ zręczna propaganda komunistyczna odbierze nam nasze hasła polityczne i będzie nimi operować. W tym też duchu rozmawiałem wtedy z „zorowcami” i mówiłem im, że musimy się nastawiać na działalność polityczną, na negację polityki komunistycznej

i propagowanie naszych haseł z okresu akowskiego – niepodległościowych.

K.T.: Wpłynęła wtedy sprawa Zjednoczenia Demokratycznego.

T.Ż.: Zbliżał się wrzesień 1945. Moi znajomi z Warszawy, przysłali mi wiadomość, żebym przyjechał, gdyż robi się wielki zjazd kombatancki. Zaproponowano mi, abym przemawiał na tym zebraniu w imieniu ZOR.

To miał być mój drugi pobyt w Warszawie. Poprzednio byłem tam na posiedzeniu Rady Naczelnej Zjednoczenia Demokratycznego /oczywiście konspiracyjnym/. Dowiedziałem się, że istnieje propozycja, abyśmy ujawnili się i przystąpili do legalnej działalności jako Zjednoczenie Demokratyczne. Byli tam: Kapitaniak – to przyzwoity człowiek, mój przyjaciel, ale naiwniak polityczny – i był rzecznik tej propozycji, Włodzimierz Lechowicz z konspiracyjnego Stronnictwa Demokratycznego. Zjawili się także przedstawiciele „Jutra Polski Niepodległej” – bardzo z nami związani politycznie polegający na naszych ocenach. Perorował /a mówiliśmy cały dzień/ głównie Lechowicz, namawiając nas żebyśmy się ujawnili. Szło to szalenie opornie /ja byłem temu przeciwny/, ale zdołaliśmy osiągnąć pewien kompromis. Udało mi

się przeprowadzić uchwałę o zawieszeniu działalności Zjednoczenia Demokratycznego. Myślałem wówczas, że już jej nigdy nie odwiesimy. Chodziło przede wszystkim o uspokojenie się tych wahających się pomiędzy kolaboracyjnym stanowiskiem Lechowicza i moim. To zebranie odbyło się, akurat dokładnie pamiętam 22 lipca. Zapamiętałem tę datę tak dobrze, gdyż mówiono, że to dobry dzień na tajne zebranie, bo komuniści zajęci będą swoimi galówkami i łatwiej będzie się przemknąć na spore zebranie.

K.T.: Czy wcześniej nie miał Pan nigdy zastrzeżeń co do samego Lechowicza?

T.Ż.: Miałem wątpliwości natury politycznej, a nie wywiadowczej. Uważałem, że on jest bardzo ambitny /stosunkowo młody i dynamiczny/, dobrze przemawiał i był w stanie przekonać ludzi. Mówię o tym, gdyż później, po tym naszym zebraniu ukazał się artykuł w „Odrodzeniu”, będący propagandową publikacją Lechowicza pt. „Okrakiem na barykadzie”. Było to w lecie 1945 roku /sierpień czy wrzesień/. Ale nie bardzo mu się to siedzenie okrakiem przydało w życiu.

K.T.: Parę tygodni później planowano zjazd organizacji kombatanckich.

T.Ż.: Koledzy przysłali mi zaproszenie wraz z biletem przejazdu. Jednocześnie przysłano mi zapewnienie, że wszystko będzie w porządku.

Przyjechałem do Warszawy na 2-3 dni. Na miejscu okazało się, że zjazd organizuje Józwiak – „Witold”. Właśnie kształtował się początek koncepcji ZBOWiD-u. Początkowo nazwa była trochę inna.

Na miejscu okazało się, że nie ma zgody na moje przemówienie i na udział ZOR-u w zjeździe. Postanowiłem zorientować się, czy jest jakiś znajomy w Komitecie organizacyjnym. Były major AK Łąkowski. Kwaterował obok mnie w Powstaniu /na Wilczej/. Napisałem do niego protest przeciw dyskryminowaniu ZOR-u i zaproponowałem rozmowę z Komitetem. Zażądałem tylko gwarancji bezpieczeństwa /chodziłem ciągle na „lewych papierach”/. Łąkowski /„Mechanik”/ załatwił to. Poszedłem. To było gdzieś w ocalałych budynkach w okolicy Topolowej, Koszykowej.

W budynku obstawa żołnierzy z pepeszami. Wchodzę do pokoju, gdzie siedzi kilku panów. Przewodniczący Kirchmayer /jeszcze jako pułkownik/, jest Władysław Bienkowski, Cezary Szyszko /z RPPS-u/, Banach /Bataliony Chłopskie/, także pułkow-

nik Narbutt z alowskiej partyzantki. Chyba jeszcze ktoś. Powiedziałem im, że wiem o ich sprzeciwie wobec ZOR-u z uwagi na moją osobę: „Panowie, nie mam zamiaru walczyć o moją osobistą obecność, ale panowie nie mogą krzywdzić organizacji która miała swoje 10000 ludzi w czasie wojny. Dlaczego więc ze względu na mnie ma zostać wyłączona?”.

Atakował mnie głównie Władysław Bieńkowski, którego postawę dobrze zapamiętałem. Był najbardziej agresywny, zjadliwy, uszczypliwy. Bieńkowski pytał „jak to było z komunistami w okresie wojny?” „Byłem przeciwko” – odpowiadam. Bieńkowski dalej: „A kto kazał pisać na murach >>PPR – Płatne Pachółki Rosji<<”. „A to ja” – znów odpowiadam. – „Ale nie ZOR”. Było sporo tego typu pytań i w pewnym momencie mówią do mnie, że muszą wyjść na naradę. Było jeszcze ze mną dwóch ludzi z ZOR-u, żeby zobaczyć co się stanie. Przeraziły ich moje ostre wypowiedzi. W przerwie na korytarzu podchodzi do mnie Łętowski i biadoli, że powiedziałem to wszystko za wcześnie, za mocno, że pewnie stąd nie wyjdę, itd. Po przerwie Kirchmayer zakomunikował mi, że ani ZOR, ani ja nie będziemy dopuszczeni do zjazdu.

Przypominam sobie ten emocjonujący moment z przyjemnością, ponieważ mogłem mówić prawdę i widziałem jakie to robi wrażenie. Wiedzieli o mnie sporo, ale sądzę, że chcieli mnie załatwić. Przede wszystkim za Wydział „R”.

Po próbach warszawskich rozmów powróciłem do Krakowa i dalej prowadziłem dotychczasową działalność. Musiałem poszukać jakiejś pracy i dzięki ojcu jednej z moich dawnych łączniczek z Krakowa dostałem etat radcy prawnego w Stowarzyszeniu Kupców Krakowskich. Miałem tam prowadzić porady prawne. Zapamiętałem z tej pracy fakt, że miałem też bony na bezpłatne obiady w restauracji. Niestety to nie trwało długo.

K.T.: Czy po tej wizycie w Warszawie coś Pan postanowił? Np. w sprawie ujawnienia się?

T.Ż.: Tak, do tego właśnie zmierzalem. Po mojej bytności w Warszawie postanowiłem się ujawnić. Zbliżał się koniec terminu amnestyjnego i po naradzie z przyjaciółmi zdecydowałem się na ten krok. Pojechałem do Warszawy na Bielany, gdzie byli ludzie przyjmujący zgłoszenia. Tam rozmawiałem z członkami komisji, kapitanem awansowanym już na pułkownika, który w czasie woj-

ny był w Woldenbergu. Powiedział mi, że mogą mi uznać tylko stopień podporucznika /taki stopień miałem we wrześnieu/, gdyż nie uwzględniają akowskich awansów. A te właśnie miały dla mnie duże znaczenie. Postanowiłem interweniować. Chodziło nie tyle o stopień wojskowy, ale o wyrażony w ten sposób stosunek do Armii Krajowej.

Udałem się do komisji „Radosława”, gdzie zastałem znajomego, „Wolańskiego” /jednego z szefów personalnych AK/. Tam powiedziałem głośno z pretensją, że jakiś cymbał nie chce uznać naszych akowskich stopni. Wtedy „Wolański” dyskretnie wskazał palcem na siedzącego obok nieznajomego osobnika /domyśliłem się, że to ubek/, więc przestałem mówić co myślę. Na jutro otrzymałem odpowiednie zaświadczenie i pojechałem na Bielany. Tam usłyszałem od osobnika, który ze mną poprzednio rozmawiał, że stopień kapitana mi uznają, ale w wojsku na mnie nie reflektują. Odpowiedziałem, że się dobrze składa, gdyż i ja na to reflektuję. Po wydaniu odpowiednich papierów otrzymałem na drogę bochenek chleba i jakieś konserwy – i tak zakończyła się moja legalizacja.

K.T.: A wracając do sytuacji społeczeństwa trwał dramat Polaków.

T.Ż.: Zaczynał się. Wraca Mikołajczyk, niektórzy żołnierze z oflagu. Opowiadał mi Kapitaniak, że był w Alejach Jerozolimskich gdy otwartym samochodem z lotniska wraz z Mikołajczykiem jechał Bierut. Ludzie entuzjastycznie witali Mikołajczyka, który machał im ręką, dołączył się do tego siedzący obok niego Bierut, który wstał w samochodzie. I nagle rozległ się okrzyk jakiegoś witającego warszawiaka: „Boles siadaj, to nie dla Ciebie!”. To był wyraz nastroju społeczeństwa.

Ciekawą akcję opozycyjną robił wówczas PPS. Ukrywający się Zygmunt Zaremba wydawał „AS” /Agencja Socjalistyczna/ – bardzo dobre pismo, inteligentnie robione, bojowe. Spotykałem się z nimi wielokrotnie w Krakowie, także ze znanym mi dobrze Białasem. Wtedy nie mieli jeszcze jasnej koncepcji działalności politycznej na dalszą przyszłość. Nie byłem jeszcze dokładnie zorientowany jak wielu akowców, w obawie o własne życie nadal pozostaje w ukryciu. Nie była to lekkomyślność z ich strony, lecz połączenie chęci walki o niepodległość z obawą o własne życie zagrożone przez komunistów. Był to czas niejednoznacznych ocen. Np. „Radosława” krytykowano za jego akcję /ja

również należałem do jego przeciwników/, ale wielu jego współpracowników liczyło na jej pozytywne efekty w przyszłości.

K.T.: Kiedy zdecydował się Pan na opuszczenie kraju?

T.Ż.: Wczesną jesienią 1945 roku, gdy pracowałem jako radca w Stowarzyszeniu Kupców dostałem dwa bardzo poważne ostrzeżenia. Raz od łączniczki, która przyjechała /w otoczeniu Radkiewicza pracował ktoś z dawnych demokratów/ przekazać mi wiadomość o wypowiedzi Radkiewicza, że „Żenczykowski długo na wolności nie pochodzi.”. My wiemy gdzie on jest i co robi. Potem przyjechał do mnie Kapitaniak i mówi: „Tadeusz musisz wiać. Wiadomości, które Ci przekazywaliśmy są prawdziwe”. Kapitaniak pracował już wtedy w Sądzie Najwyższym /przed wojną był podprokuratorem, a po wojnie sędzią Sądu Najwyższego/. To był szczerzy przyjaciel, uczciwy człowiek, ale niezmiernie naiwny politycznie. Prowadziliśmy z nim wielokrotnie całonocne rozmowy w naszym ciasnym pokoiku, gdzie z braku miejsca sypiał na podłodze.

Po drugim ostrzeżeniu zdecydowaliśmy się z żoną /to był koniec października/ wyjechać. O tym, że mamy

zamiar „zwiąć” wiedzieli rodzice Barbary i Jadwigi Wolskich, wiedział Białas przez właściciela mieszkania. Mieszkaliśmy wtedy u Ustupskich, przedwojennego wybitnego wioślara, medalisty olimpijskiego, żołnierza AK, potem był niefortunnym burmistrzem Zakopanego.

Wyjechaliśmy z żoną do Wrocławia /mieliśmy tylko walizczkę/, gdzie mieszkała moja dawna sekretarka z OZN-u, a zarazem łączniczka z pierwszego okresu zorowskiego. Pamiętam, że przed dworcem stały Niemki z wózkami wiozące bagaże i muszę przyznać, że mieliśmy pewną satysfakcję, że nasi prześladowcy teraz muszę wozić.

Z Wrocławia dalszy przerzut organizowali Ustupski i Zubek /także sportowiec, narciarz/. Ale samo przetarcie drogi ułatwił mi jeden z moich współpracowników z ZOR-u, Jan Kostrzewski. Z Wrocławia pojechałem przez Wałbrzych do Kamiennej Góry, a stamtąd do Lubawki, gdzie komendantem posterunki milicji był stary akowski partyzant, którego podkomendni zostali na tym posterunku milicjantami.

Mieliśmy z żoną wtedy tylko walizczkę z niezbędnymi rzeczami i sto czy dwieście dolarów, oraz co waż-

niejsze mieliśmy papierosy i boczek. Te dwie ostatnie rzeczy to była dobra „waluta”.

Czekaliśmy w tej miejscowości na okazję. Komendant posterunku miał człowieka, który handlował samochodami. Posiadał mundur z armii amerykańskiej i jakieś legitymacje – tu kupował samochody, wywoził do Czechosłowacji, itd. Obaj z komendantem byli „zblatowani”. Czekaliśmy tam dwa czy trzy dni. Moja żona przeziębiała się wtedy i komendant, chyba nazywał się Laga, lecz był to chyba jego pseudonim z czasów akowskich, postanowił leczyć moją żonę w ten sposób, że od rana dawał jej bimber i tak do wieczora. A trzeba dodać, że Laga był tam królem bimbru. Posiadał monopol na pędzenie tego trunku w tej okolicy i tylko u niego. Milicjanci kiedy nie pracowali na posterunku to także siedzieli w bimbrowni i produkowali napój. Od samego rana moja żona chodziła zamroczona. Ja miałem szczęście, że byłem zdrowy, gdyż nie musiałem pić bez przerwy.

Wreszcie przyjechał jegomość handlujący samochodami. Wówczas Laga powiedział do tego „Amerykanina”: „Masz tu pułkownika, którego z żoną masz przewieźć. Musisz spe-

cialnie uważać, gdyż jest to zadanie do wykonania. Nie możesz nawalić, bo ja ci... itd.”. Tak więc jechałem jako „pułkownik” – nie protestowałem dla dobra sprawy /bez problemu wjechaliśmy do Czech i przyjechaliśmy do Pragi. Tam udaliśmy się do hotelu „Waldorf – Astoria”, gdzie portier nie chciał przyjąć koron, ale kiedy dostał od żony kawałek boczku, to natychmiast dostaliśmy na dwa dni pokój. Hotel bardzo elegancki, choć nie ogrzewany. Następnego dnia rano wychodzimy na Vaclavske Namesti i słyszymy radosne krzyki ludzi. Podchodzimy, a to „Ruda Armada” opuszczała Pragę. Powiedzieliśmy sobie – jaka była by radość w Polsce, gdyby to tak Armia Czerwona opuszczała nasz kraj. Mieliśmy spore kłopoty z wyżywieniem, gdyż bez kartek mogliśmy dostać tylko kartoflankę i piwo.

K.T.: Jak jechaliście państwo dalej?

T.Ż.: Z Pragi dostaliśmy przepustkę do Pilzna, gdzie stali Amerykanie. Między tymi dwoma miastami były kordony graniczne. W związku z tym, że Rosjanie opuszczali Pragę to przejście było dodatkowo ułatwione. W Pilźnie dowiedzieliśmy się gdzie spotykają się Polacy. W hotelu okazało się, że nie ma miejsc, ale posiadali-

śmy jeszcze papierosy i boczek, dzięki czemu udało się wszystko załatwić.

Spotkaliśmy tam oficera I Dywizji Pancernej, który zaprowadził nas do PUR-u /Urzędu Repatriacyjnego/, gdzie zaczęliśmy bezpłatnie stołować się. Na stacji z wagonu Polskiego Czerwonego Krzyża otrzymaliśmy papierosy, czekoladę. Musiała jednak istnieć jakaś sieć informacyjna, gdyż w parę tygodni później w krajowej prasie napisano, że Żenczykowski „pokręcił się po Dolnym Śląsku i wyjechał na Zachód”. Musiał nas tam ktoś rozpoznać, gdyż nikomu nie meldowaliśmy się, więc formalnie nie wiadomo kim jesteśmy.

Wówczas celem mojej podróży był Londyn, gdzie miałem zobaczyć się z Prezydentem Raczkiewiczem i Premierem Arciszewskim. Miałem do przekazania polecenia i sprawy od Zaręby i Białasa. Szukałem więc okazji aby dotrzeć do Londynu jak najszybciej. Z Pilna do Norymbergii jechaliśmy samochodem pod zasnurowaną plandeką. Dalej pociągiem pojechaliśmy do Frankfurtu, do naszej Misji Wojskowej.

Pociągami jechało się strasznie. Wchodziło się tylko oknami, gdyż drzwi były zamknięte. Udało mi się podsadzić żonę do okna, która po

prostu wleciała do wagonu na jakieś ciało, a ja za nią. Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy w przedziale pełnym wojskowych inwalidów niemieckich. Siedzieli w milczeniu i czym prędzej zaczęli nam robić miejsce. Pobity Niemiec jest bardzo potulny. W końcu przybyliśmy do naszej Misji, która mieściła się w amerykańskim dowództwie okupacji Niemiec. Nie mogli nas nigdzie umieścić, więc wysłano nas pod Frankfurt, do żeńskiego obozu „akaczek” w Darmstadt. Tam okazało się, że komendantką obozu była „Ina”, moja „pezetka”, bardzo miła, nauczycielka z zawodu.

Po moich interwencjach wysłano nas do dowództwa I dywizji pancernej do Meopen, gdzie miano nam pomóc w przedostaniu się do Londynu. Niestety nic w tym kierunku nie zrobiono.

K.T.: Jak was – akowców – przyjęto w I dywizji pancernej?

T.Ż.: Nie uznawano nas za prawdziwych żołnierzy. Tam było nawet tak, że oficerom – akowcom – nie wolno było iść do kasyna oficerskiego. Nas tam nie wpuszczano. Moja żona była podporucznikiem, ja kapitanem, ale żywiono nas w ogólnej jadalni dla cywilów. Raz tylko generał Rudnicki zaprosił nas na drinka i trochę

porozmawialiśmy o sytuacji w kraju. Powiedziano nam, że nie mogą nas przerzucić do Londynu, mimo, że oficerowie z Dywizji jeździli do Londynu na urlopy, ale uznano, że nie mogą stracić urlopu.

Poradzono nam, żebyśmy pojechali do Misji Wojskowej do Paryża. Ruszyliśmy więc brytyjskim wojskowym pociągiem, bardzo wygodnym. Przeżyłem tam „spotkanie z herbatą”. To było chyba jeszcze w Belgii, gdzie zatrzymano pociąg i w dużym namiocie można się było napić prawdziwej angielskiej herbaty. To była pierwsza prawdziwa herbata od kilku lat.

K.T.: Tak dojechaliście do Paryża.

T.Ż.: W Misji okazało się, że przyzuty do Londynu załatwia jakiś major, który stwierdził, że nie może tego szybko załatwić. Skierowano nas do hotelu dla wojskowych. Kiedy okazało się, że jestem blokowany w Paryżu, postanowiłem wysłać wiadomość do II Korpusu, gdzie był mój przyjaciel Gierat /z ZPMD/, z którym widziałem się we Frankfurcie.

Zaproponowano nam przyjazd do II Korpusu. Droga była bardzo ładna. Przybyliśmy do placówki do Avignon, gdzie nasz kolega z ZPMD – Kopec – był oficerem łącznikowym. U niego spotkaliśmy Gałczyńskiego, który

chciał się dostać do II Korpusu. Parę razy deklamował nam swoje „Flagi”. Niestety nie chcieli go przyjąć do Korpusu.

Stamtąd przez Marsylię pojechaliśmy do Nicei. Pojechaliśmy tam późnym wieczorem w Sylwestra. Pieniądzy nie mieliśmy wiele. Kupiliśmy sobie bagietki i sardynki. To była uczta sylwestrowa. Następnie poszliśmy do wojskowego, bezpłatnego kina na „Dziewięciu Murzynków” wg A. Christie. Taki był nasz „Sylwester w Nicei”.

Z Nicei pojechaliśmy samochodami II Korpusu przez San Remo, gdzieś trzeba było zatrzymać się na nocleg. Był styczeń, a jednak było tam przepięknie, gęsto kwitły mimosy i z daleka odczuwało się ich delikatny zapach. Zrobiło to szczególnie silne wrażenie na mojej żonie, Darce, która po powrocie z Oświęcimia bardzo była wyczulona na piękno przyrody. Dojechaliśmy wreszcie do Ankony która stała się miejscem naszego pobytu. Bardzo nam pomógł nasz stary przyjaciel z czasów ZPMD, prezes „Siewu”, Stanisław Gierat. Był blisko związany z szefem sztabu Korpusu, gen. Wiśniowskim. Dzięki temu bardzo szybko zostałem przyjęty jako kapitan do II Korpusu. Przyjęto

również moją żonę jako podporucznika. Były to nasze stopnie z AK. Oboje otrzymaliśmy przydział do Oddziału Społecznego, którym kierował bardzo przyjemny, inteligentny płk. Buterlewicz. Zameldowaliśmy się u gen. Andersa, by podziękować mu za przyjęcie nas do Korpusu. Wywiązała się dłuższa rozmowa na tematy ogólne i wojenne. W jej trakcie Generał powiedział: „panie kapitanie, to dobrze, że Pan jest, bo bardzo nam potrzeba oficerów, gdyż na wiosnę będzie wojna”. Przyjąłem te słowa w milczeniu, ale z dużym zdziwieniem. W nową wojnę nie wierzyłem i przecież dlatego wyjechałem z kraju.

Szef Sztabu, gen. Wiśniowski powiedział mi, że obejmę stanowisko szefa propagandy Korpusu. Mijały jednak tygodnie i dookoła tej obietnicy zapanowała cisza. Miałem więc taki wypoczynkowy okres bezrobocia, który umożliwił mi zapoznanie bliższe z Korpusem. Zauważyłem jak silne są w nim nastroje prawicowe, czy nawet wręcz endeckie, co szczególnie zaznaczyło się po przybyciu do Ankony. Zbigniewa Stypułkowskiego w sposobie jego przyjęcia i potraktowania.

K.T.: Tam zetknął się pan z żołnierzami II Korpusu. Jakie na Panu zrobili wrażenie?

T.Ż.: Nabrałem dużego uznania dla żołnierzy i oficerów Korpusu. Byli to ludzie niezwykle ofiarni i uczynni. Sami przeszli ciężką szkołę życia w Rosji teraz chętnie pomagali innym. Nie szczędzili zwłaszcza pieniędzy na Polaków rozsianych po Europie, szczególnie wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec. Miałem sporo znajomych w Korpusie i oni zorganizowali mi szereg bezpośrednich odczytów dla żołnierzy. Przekonałem się, jak bardzo są oni zainteresowani bieżącymi sprawami w kraju i jego przeszłością. Stanowiło to duży kontrast z nastrojami, panującymi w I Dywizji Pancerniej, z którymi poprzednio miałem okazję zapoznać się.

Gdzieś pod koniec lutego okazało się, że wreszcie mogę wracać do Londynu. Nie ułatwiła mi tego I dywizja, ani Misja Wojskowa w Paryżu. Stało się to możliwe dopiero w II Korpusie. Dzięki temu mogłem spełnić zlecenie mi w kraju zadania.

K.T.: Czy został Pan przyjęty także przez Prezydenta Rzeczypospolitej?

T.Ż.: Byłem u Prezydenta Władysława Raczkiewicza. Znałem go jeszcze z okresu przedwojennego. Jako prezes Związku Młodych Prawników parokrotnie chodziłem do niego.

Był ministrem spraw wewnętrznych i z nim załatwiałem zagadnienia prawników administracyjnych. Znałem go również z działalności w „Światowym Związku Polaków z Zagranicy” /Światpol/. W ostatnim roku przed wojną byłem wraz z generałem Stanisławem Skwarczyńskim jego gościem gdy był wojewodą pomorskim w Toruniu. Przyjechaliśmy wówczas gdzieś na wiosnę 1939 r. na duży wiec zorganizowany przez miejscowe władze Obozu Zjednoczenia Narodowego. Był to człowiek bardzo miły, spokojny, inteligentny, o znakomitej prezencji. Nie należał do polityków dynamicznych, ale niejednokrotnie w polityce polskiej odgrywał poważną rolę z gościny u Raczkiewicza pamiętam moje zdziwienie na widok licznych i ciekawych fotografii Marszałka Piłsudskiego, zapelniających jego mieszkanie. Zdziwiło mnie, że były ukryte za zasuwanymi firaneczkami. Widząc moje zdziwienie, Raczkiewicz wyjaśnił, że w ten sposób chroni bliskie jego sercu fotografie od wyblaknięcia w świetle dziennym.

W Londynie Raczkiewicz mieszkał w swej siedzibie przy 43 Eaton Place, czyli, jak to się później mówiło, „na Zamku”. Mogę tu dodać, że byłem ojcem chrzestnym tej nazwy. W okre-

sie, gdy pracowałem w „Dzienniku Polskim”, często mówiono, że ten czy ów chodzi na Eaton Place do Prezydenta. Zacząłem wówczas mówić, że są to wizyty na Zamku i ta terminologia pozostała do dziś dzień.

Rozmowa z Prezydentem była bardzo przyjemna, wysłuchał uważnie tego, co miałem mu przekazać i pytywał się szczegółowo o sytuację w kraju i o moje na nią poglądy. Jego postawa i wygląd doskonale maskowały niebezpieczny stan jego zdrowia, o czym wówczas nie wiedziałem.

Oczywiście miałem również spotkanie z premierem Tomaszem Arciszewskim, który bardzo się ucieszył zarówno z wiadomości jakie mu przekazałem od jego przyjaciół w kraju, jak i z tego, co mu od siebie mówiłem.

K.T.: Wówczas po przerwie, mógł się Pan zetknąć ponownie ze swoim dowódcą z Armii Krajowej, gen. „Borem”.

T.Ż.: Recz jasna, że meldowałem się również u gen. Bora-Komorowskiego, którego znałem osobiście z czasów AK. Spotkała mnie tam nie spodzianka, gdyż gen. Bór w obecności gen. Pełczyńskiego i moich kolegów akowskich, Andrzeja Pomiana i Jana Nowaka, udekorował mnie Krzyżem Virtuti Militari.

Odbyło się również moje spotkanie z Piłsudczykami. Brało w nim udział wielu moich przedwojennych znajomych, m.in. minister Kościalski, wojewoda Grażyński, dyrektor Paprocki i inni, których nazwisk już dziś nie pamiętam.

Moje ogólne wrażenia z tych innych spotkań londyńskich było złożone. Zaciekawienie Polską Podziemną i powojenną było bardzo duże, ale zrozumienie sytuacji krajowej w latach wojny i zaraz po wojnie niezbyt głębokie, raczej powierzchowne. Nie spotkałem się natomiast z atakami na rozpoczęcie Powstania Warszawskiego. Wiele też wówczas rozmawiałem z gen. Pełczyńskim, który był szczególnie zainteresowany tym wszystkim, co się działo w kraju w 1945 r.

Na tle tych rozmów londyńskich i poprzedniego / w listopadzie 1945 r./spotkania we Frankfurcie n/Menem z dwoma dawnymi moimi znajomymi, działaczami z tzw. „Naprawy” i ze starym przyjacielem, Stanisławem Gieratem, rozumiałem jak bardzo lata wojny wpłynęły niejako automatycznie na zmiany w nastrojach i odcieniach politycznych. Pamiętam, że gdy kończyliśmy tę „nocną Polaków rozmowę” we Frankfurcie, Gierat powiedział mi „Tadeusz, tyś się zrobił strasz-

nie radykalny”. Odpowiedziałem mu wówczas, że to nie ja, ale taki stał się kraj.

Po blisko czterotygodniowym pobycie w Londynie wracałem do Ankony przez Paryż, gdzie finalizowałem szczegóły programu przyjazdu wycieczki delegacji robotników polskich z Francji do II korpusu. Pomysł ten przedstawiłem już w końcu lutego szefowi Sztabu II Korpusu, gen. Wiśniowieckiemu. W grudniu 1945 r. przed przyjazdem do Ankony, zorientowałem się w dużym udziale robotników polskich we francuskim ruchu oporu, tzw. Resistance, w rozmowach z moim dawnym znajomym z Legionu Młodych, Stefanem Mrożkiewiczem, podówczas członkiem PPS. Przyszło mi wtedy na myśl, że byłoby dobrze by polscy robotnicy z Francji poznali wojsko polskie we Włoszech. Mrożkiewicz przyznał mi rację i zadeklarował, że chętnie by mi pomógł w organizacji takiej wyprawy.

K.T.: Z takim pomysłem udał się Pan do stacjonujących w Italii polskich wojsk.

T.Ż.: Tak. Po powrocie do Ankony energicznie zabrałem się do realizacji tej wycieczki. Uznałem, że przyjazd robotników, a w dodatku socjalistów do Korpusu będzie pożyteczny

dla obydwu stron. Robotnicy polscy przekonają się, jak wiele ich łączy z postawą i nastrojami żołnierzy Korpusu, a żołnierze nabiorą szacunku dla zwykłych robotników, którzy stali się żołnierzami podziemia, walczącego o niepodległość Polski i Francji. Przypuszczam również, że rozgłos tej wizyty przysporzy popularności Korpusowi, któremu nieraz zarzucano prawicowe ciągoty. Gen. Wiśniowski rozumiał te moje intencje.

Wycieczka odbywała się w okresie pięknej włoskiej wiosny. Robotników spotkałem w Nicei, skąd ruszyliśmy samochodami do m.p. V Dywizji Kresowej gen. Nikodema Sulika. Miała ona ustalony charakter jednostki bardzo żywej, uspołecznionej i o dość wyraźnym demokratycznym charakterze. Było to w dużym stopniu zasługą bardzo lubianego przez żołnierzy dowódcy i aparatu oświatowego, w którym było paru ludzi z ZPMD – moich dawnych kolegów, wśród nich szczególnie ruchliwy był lwowianin, Michał Lang.

Górnicy byli szczerze wzruszeni i zaskoczeni przyjacielskim powitaniem gen. Sulika. Senior tej grupy, Schabowicz, dziękował za to Generałowi i jego żołnierzom. Przy żołnierskiej kolacji nastroj był wspaniały.

Chciałbym tu wspomnieć o jednym zabawnym incydencie. Któryś z francuskich gości w przemówieniu obrażającym działalność Polaków w Resistance, w pewnym momencie wskazał na rośłego, barczystego górnika: „A oto Panie Generale, z nami przybył kolega Łabądz, który był pierwszą jaskółką ruchu oporu we Francji”. To porównanie tęgiego Łabędzia do jaskółki wywołało ogólną wesołość.

Objechaliśmy niemal całe Włochy. Górnicy spotkali się z III Dywizją Karpacką, Warszawską Dywizją Pancerną, byli w obozach dla uchodźców pod Bari, oczywiście na Monte Cassino w Rzymie i przed odjazdem pojawili się znów w Ankonie. Delegację wycieczki zaprowadziłem do gen. Andersa, gdyż górnicy musieli mu podziękować za gościnę, która zrobiła na nich duże wrażenie. Generał bardzo miło z nimi rozmawiał, ale przy pożegnaniu powiedział im: ”proszę Panów, pamiętajcie, że już niedługo – po żniwach – będzie wojna. Nie zauważyłem jednak, by ta zapowiedź trafiła robotnikom do przekonania. Przypomniałem sobie, że w styczniu, gdy meldowałem się u Generała, też usłyszałem zapowiedź nowej wojny. Ale wówczas była mowa o wiosnie.

Przyznaję, że ten miraż wojny bardzo mnie zasmucił. Byłem przekonany, że jest nierealny, co świadczy o złej ocenie sytuacji międzynarodowej i będzie musiało przynieść rozczarowanie.

K.T.: Czy mógłby Pan jeszcze wyjaśnić, jak doszło do tego że pomimo poważnych propozycji, które panu składano, nie znalazł się pan na czele propagandy II Korpusu?

T.Ż.: Dopiero po jakimś czasie, już w Londynie, dowiedziałem się dlaczego. Jeden z moich przyjaciół znalazł wówczas w aktach Korpusu materiały, z których wynikało, że wkrótce po moim przyjeździe do Ankony wpłynęło przeciwko mnie oskarżenie, że jestem agentem Bieruta, że przyjechałem by wywołać intrygi i rozkład w Korpusie i występuję jako Zawadzki, choć rzeczywiście ukrywam w ten sposób swoje prawdziwe nazwisko. Autorem tego donosu – jak się okazało – był dawny oenerowiec, kpt. Kozubowski, ps. „Mocarz”, z kontrwywiadu okręgu warszawskiego AK. Dzięki temu odkryciu dowiedziałem się dlaczego nie zostałem szefem propagandy II Korpusu

K.T.: Do kiedy przebywał pan na terenie Italii?

T.Ż.: Wyjechaliśmy w pierwszych dniach września 1946 r. Przyjechali-

śmy do Londynu. Nie chciałem iść do PKPR i rozpocząłem pracę dziennikarską w „Dzienniku Polskim”. Redaktorem był wtedy Jan Czarnocki, mój stary znajomy z przed wojny z którym zawsze byłem w bardzo dobrych stosunkach. To był człowiek o bardzo demokratycznych przekonaniach. Przed wojną pracował długi czas w „Kurierze Porannym”, właśnie stamtąd go znałem.

Pracę w „Dzienniku” rozpocząłem już w końcu września. Napisałem wtedy tekst „potępiający Potockiego”. Otóż dowiedziałem się, że Potocki chciał wywieść z Łańcuta część swoich dzieł sztuki poza granice Polski i udało mi się przekonać redaktora, aby za taką działalność potępić go. Było to novum w dotychczasowej pracy „Dziennika”. Parę miesięcy później niestety Czarnocki zmarł.

W tamtym okresie w „Dzienniku” pracował przyjemny i dobry zespół. Zastępcą Czarnockiego był Tadeusz Morko, wywodzący się z przedwojennego Legionu Młodych. Energiczny, bystry, dobry dziennikarz. Pracował Aleksander Bregman – nie wymaga przedstawienia, był dyrektorem PAT-a – Oborski. Dział sportowy prowadził Karol Zbyszewski, też dobry dziennikarz, oraz młody Marek Świącicki,

korespondent wojenny. Mieliśmy świetnego ekonomistę – Alfreda Zaubermanna, był też pepesowiec Ignacy Klibański. To był dobry zespół ludzki, świetnie współpracujący.

„Dziennik” był miniaturą prawdziwego pisma. Miniaturą dlatego, że jego objętość stanowiły cztery strony. Aby zyskać na miejscu stosowano bardzo dużo petitu zamiast garmonitu. To była żywa gazeta, z której opinią liczono się.

K.T.: Jaki był wówczas system pracy w „Dzienniku”?

T.Ż.: Spotykaliśmy się wszyscy przed 9-tą, o wpół do dziesiątej była konferencja redakcyjna u Czarnockiego albo u Morki i tam ustalało się co kto pisze. Redaktor ostatecznie przeglądał i ewentualnie adiustował teksty. Miał zawsze prawo do zmian, ale rzadko z niego korzystał. Mieliśmy wówczas wielu dobrych współpracowników. Pisał do nas Rojek, Mękarski, /bardzo prawniczy senator/, mieliśmy dobrych korespondentów zagranicznych, np. Kudlickiego.

Moim celem stało się zwiększanie ilości wiadomości z kraju. Chciałem, żeby emigracja żyła z krajem, ale także żyła krajem.

W tym czasie radio warszawskie nadawało późnym wieczorem takie

wolno czytane wiadomości, artykuły. Wraz z żoną siedzieliśmy do późnej nocy i notowaliśmy najciekawsze informacje, z tego powstawały depesze. Jednocześnie dzięki moim staraniom zaprenumerowaliśmy w redakcji główne pisma każdego z województw oraz większość ukazujących się w Warszawie. Czerpaliliśmy stamtąd i komentowaliśmy materiały do gazety. Lektura tych gazet dawała obraz, przynajmniej częściowy, sytuacji w Polsce. Np. dawałem dokładne sprawozdania z procesu Rzepeckiego z zaledwie jednodniowym opóźnieniem.

K.T.: Czy było duże zainteresowanie działem krajowym?

T.Ż.: Tak. Ludzie nie mieli wówczas własnych bezpośrednich kontaktów z krajem i chcieli wiedzieć co tam się dzieje naprawdę. To przecież było pokolenie, które walczyło, które myślało, że wróci z bronią w ręku do własnego kraju. Często ogólne sprawy Polski bardziej zajmowały ich niż to, co się dzieje z rodziną w kraju. Naprawdę panował duch walki o wolność.

Istniały stronnictwa polityczne, które co prawda były nieco zmurszałe, gdyż przypadkowy był ich skład, ale po wojnie ich zespół się odmłodził na skutek przybycia na emigrację

ludzi, którzy byli w stronnictwach w podziemiu. Wzmocniło się bardzo Stronnictwo Narodowe. Bezpartyjni demokraci zebrali się w NiD-zie, było tam sporo kolegów z Armii Krajowej.

Być może do tego zainteresowania krajem przyczyniła się również duża ilość informacji o kraju zawarta w „Dzienniku”. Nie było numeru, żeby nie było przynajmniej dwóch artykułów o sprawach krajowych, a ponadto przecież były depesze.

K.T.: W jakich latach pracował Pan w „Dzienniku”?

T.Ż.: W 1946 roku, w końcu września zacząłem i byłem do czerwca 1952. Początkowo redaktorem naczelnym był Czarnocki, który jednak umarł w parę miesięcy po moim przyjściu był chory na raka/, zastąpił go Tadeusz Horko i w tym składzie trwaliliśmy dość długo.

Potem wyjechałem do Monachium. A było tak. Kiedy powstało radio „Wolna Europa” w Monachium, to dyrektor administracyjny i finansowy „Dziennika” pan Kirkienda doszedł do wniosku, że można z radia wydobyć jakieś pieniądze. Wymyślił sobie, że jeżeli my będziemy pisywać do radia jako „free lancerzy”, to będzie to okradanie gazety. Prawdopodobnie nie orientował się, że w RWE mieli

obsługę wielu agencji prasowych, nie tak jak my, którzy mieliśmy zwykłe Reutera, prasę zagraniczną oraz krajową. Kirkienowi ubzdurało się, że trzeba żądać zapłaty od radia, które rzekomo od nas czerpie wiadomości. Była to oczywiście nieprawda. W tym czasie było nas dwóch, którzy pisywali do radia – Bregman i ja. Pewnego razu Kirkien zaprosił nas, redaktorów i powiedział, że „Wolna Europa” nas okrada i dodał: „Zabraniam wszystkim pracownikom „Dziennika” pisywania do tego radia. A jeśli ktoś chce, to musi wybrać; albo „Dziennik” albo „Wolna Europa”. Byłem wtedy w „Wolnej Europie” takim „free lancem” i pisywałem tam rzadko. Oburzyło mnie jednak takie postawienie sprawy. Poszedłem wtedy do Horki i mówię: „Ja niewiele pisuję do radia, gdyż nie mam czasu, ale takiego warunku przyjąć nie mogę, bo to ogranicza moją swobodę pracy”. Przyszedł akurat Kirkien i powiedział, że wobec tego musimy się pożegnać. I tak pożegnałem się z „Dziennikiem”.

K.T.: Jednocześnie prowadził Pan dalej swą działalność polityczną.

T.Ż.: Tutaj zetknąłem się z NiD-em. Wówczas PPS był mało aktywny i niezbyt mi się podobał. Natomiast w NiD-zie byli młodzi ludzie mają-

cy za sobą doświadczenia wojskowe i ogólne z lat wojny. Zainteresowali się mną, a ja nimi i doszedłem do wniosku, że można coś zrobić. W czołowiec byli wówczas Stefan Gacki, Jerzy Lerski, Rowmund Piłsudski, Andrzej Pomian /który był wysłannikiem z kraju/ oraz Jan Nowak.

K.T.: Jak w tym pierwszym okresie NiD ustosunkował się do Prezydenta?

T.Ż.: póki był Raczkiewicz to wszystko było w porządku, aż do 1947 r. Potem wstrzymywaliśmy się od uznania Zaleskiego. Nie zwalczaaliśmy go, ale też nie uznawaliśmy go za prawowitego prezydenta. Z czasem zaczęło się to ugruntowywać. Zrobiliśmy m.in. Koncentrację Demokratyczną /PPS/. Zajmowałem się tam sprawami krajowymi. Wielu moich kolegów, np., Rowmund Piłsudski, którzy przebywali w czasie wojny cały czas za granicą interesowali się przede wszystkim sprawami międzynarodowymi, wobec tego ja skoncentrowałem się na kraju. Wraz ze mną włączyli się w sprawy krajowe Jerzy Lerski i Andrzej Pomian. Bardzo chcieliśmy emigrację nastawić na tematykę krajową. Podam przykład. Po wyborach w Polsce, które były 19 stycznia 1947 roku, my, w Londynie już na początku lutego zorganizowaliśmy

wielki wiec, w czasie którego Gacki, Lerski i ja omawialiśmy te wybory. Przedstawiliśmy całe komunistyczne fałszerstwo i terror, by uświadomić ludzi na emigracji. Od tej pory występowaliśmy dość często w sprawach krajowych.

Wpadliśmy wówczas na pomysł, aby stworzyć forum, na którym zwykli ludzie, nie tylko działacze partyjni, mogliby zabierać głos w sprawach publicznych. Zwoływaliśmy tzw. „parlamenty dyskusyjne”. To było zupełne novum. Zostałem wyznaczony marszałkiem tych spotkań, którym przewodniczyłem. Ogłaszaliśmy w prasie. Że danego dnia odbędzie się zebranie poświęcone pewnemu problemowi. Każdy kto wcześniej przysłał zgłoszenie, mógł zabrać głos. Spotkania nasze były wówczas sensacją. Początkowo odbywały się w „Ognisku”, ale później musieliśmy szukać większej sali.

Nasze „parlamenty” przewycięzały marazm w partiach politycznych. Wyznaczaliśmy każdorazowo jakiś aktualny temat polityczny. Naszym celem przy powoływaniu „parlamentu” było umożliwienie wypowiedzenia się zwykłym emigrantom, nie objętym kluczami partyjnymi. Z NiD-u najczęściej uczestniczyli w tych spotka-

niach R. Piłsudski, T. Terlecki, J. Lerski. działacze poszczególnych partii byli nam przeciwni, gdyż uważali, że odbieramy im wpływ na masy.

K.T.: Jaka była wówczas liczebność NiD-u?

T.Ż.: W Anglii około setki, zaś poza Anglią byli pojedynczy ludzie. To nie była silna ilością organizacja, ale bardzo dynamiczna.

W czasie drugiego naszego „parlamentu” /a trzeba dodać, że przychodzili na to spotkanie znani działacze partyjni, aby śledzić dyskusje/ wyszła kwestia stworzenia parlamentu emigracji politycznej. I w końcu wysunięto hasło zorganizowania powszechnych wyborów. Wydawaliśmy wtedy redagowaną przez Rowmunda Piłsudskiego „Trybunę”, niestety ukazującą się nieregularnie, gdyż nie mieliśmy pieniędzy.

K.T.: Na czym jeszcze polegała działalność NiD-u?

T.Ż.: Mieliśmy dużo odczytów na prowincji. Bardzo pracowaliśmy nad koncepcjami politycznymi. Był to okres kiedy stare stronnictwa bały się nas. Byliśmy młodszy i bardziej dynamiczni.

Nasz kontakt z krajem był bardzo dobry. Było u nas sporo akowców, którzy przybyli z Polski niedawno.

Natomiast w polityce międzynarodowej zorientowaliśmy się /Piłsudski, Gacki, Wierzbiański/ na powstający wówczas ruch europejski. Wierzbiański prowadził wtedy agencję, która rozsyłała na cały świat. To była bardzo dobra robota. Ukazywała się także „Polska Walcząca”, pismo SPK, które prowadził Tymon Terlecki. Ja pisałem co tydzień o sprawach krajowych, a Bregman o międzynarodowych.

Aby przełamać kryzys „martwoty politycznej” wywołany poprzez postawę Zalewskiego zdecydowaliśmy się stworzyć Koncentrację Demokratyczną, w skład której wchodził PPS, NiD i bardzo słabe Stronnictwo Demokratyczne. To powstało chyba w 1947/1948 roku. Naszym celem było zmienienie prezydenta, gdyż uważaliśmy, że powinien być nim Tomasz Arciszewski, zgodnie z poprzednią decyzją Raczkiewicza.

Później utworzyliśmy Radę Polityczną, /PPS, ludowcy, SD i NiD/, do której z czasem dołączyło się Stronnictwo Pracy. Rada Polityczna działała dość długi okres czasu, a ja byłem w Wydziale Wykonawczym z ramienia NiD.

K.T.: Jak do Koncentracji Demokratycznej odnosili się tacy ludzie jak Anders czy Bór-Komorowski?

T.Ż.: Bór Komorowski był apolityczny i właściwie społecznie działał jako prezes Rady Naczelnej Koła AK. Kiedy jednak zaproponowano mu premierostwo, to my jako akowcy / Iranek, Pomian i ja/ poszliśmy, żeby mu to odradzić. Uważaliśmy, że nie był zorientowany w skomplikowanych układach emigracyjnych i różnych grach. Nie chcieliśmy, aby przez działalność polityczną utracił kapitał, który wyniósł z Armii Krajowej. Ja osobiście miałem z nim doskonałe stosunki.

K.T.: A kto z PPS-u opowiadał się za Koncentracją?

T.Ż.: Przede wszystkim Arciszewski, Kwapiński, Białas, Zaremba. Koncentracja rozpadła się pod koniec lat 40-tych i wówczas właśnie utworzyliśmy Radę Polityczną z inicjatywy PPS-u i NiD-u. Dołączyli do nas endecy i grupa ze Stronnictwa Pracy. Stało się to za przyczyną Tadeusza Bieleckiego, który uważał, że trzeba coś zrobić. To był rozsądny, bardzo twardy polityk, inteligentnymi stosunkowo jeszcze młody jak na stosunki emigracyjne. Głównym naszym motywem była konieczność oddziaływania na zagranicę, gdyż „Zamek” czyli Zaleski, nic w tym kierunku nie robił. To były oczywiście – jak teraz

widać – złudzenia, ale w tamtym okresie były one jeszcze możliwe.

Zaprosiliśmy ad personam kilka osób wybitnych, np. Bora-Komorowskiego czy Wiktora Sukiennickiego. Z Andersem kontakty były wówczas żadne. On był Naczelnym Wodzem, więc musiał być lojalny wobec Zaleskiego i starał się do takiej polityki nie mieszać.

Radzie przewodniczył Tomasz Arciszewski, a zastępowali go Berzowski z endecji i Terlecki z NiD-u, a ponadto ze Stronnictwa Pracy był Kuśnierz Wydział Wykonawczy Rady tworzyli Sojka i Stypułkowski ze Stronnictwa Narodowego, a Piłsudski i ja z NiD-u oraz Białas i Ciołkosz z PPS-u. Zdziechowski był przewodniczącym Wydziału Wykonawczego / to był były minister skarbu/.

Czyniliśmy próby, aby stworzyć oddział Rady Politycznej w Ameryce, ale nie dały one pozytywnego rezultatu. Po prostu zabrakło tam chętnych. Mieliśmy jeszcze spore kontakty z Anglikami, np. Adam Ciołkosz, Edward Raczyński. Anglicy mówili z Borem, także z Rowmundem Piłsudskim, Wierzbiańskim, który zorganizował Związek Dziennikarzy, także starał się oddziaływać w środowisku brytyjskim.

Sam pamiętam jak w 1952 roku jeździłem z Wierzbiańskim do Genewy na obrady komisji ONZ, gdzie badano niewolnictwo pracy. Mówiliśmy tam o obozach pracy w Polsce. Pojawienie się "Policy od liberation" ożywiło nasze kontakty z zachodnimi politykami, a zwłaszcza z Amerykanami.

K.T.: A wracając do NiD-u, bardzo ważny był rok 1956 kiedy rozważano kwestię powrotu do kraju.

T.Ż.: Wtedy NiD już prawie się wybierał do Polski. Byłem wówczas w „Wolnej Europie”, gdzie nas, nidowców było kilku, Szyszko-Bohusz, Romiszewski, ja i paru innych. Byliśmy sceptyczni jeśli chodzi o politykę Gomułki. Różniliśmy się tu w ocenie z Nowakiem, który bardzo stawiał na Gomułkę.

Wtedy przyjechał któryś z pezetpeerowskich propagandzistów do Londynu, aby szukać kontaktów z nidowcami i niestety tutejsi koledzy "kupili to". Zaczęli nawet z nim rozmawiać i rozważać możliwości jakiegoś luźnego porozumienia. Bardzo tym byliśmy przejęci w Monachium. Udało się na szczęście powstrzymać te tendencje.

Jednocześnie warto przypomnieć, że ze względu na młody wiek więk-

szości członków NiD odgrywał istotną rolę w życiu emigracji. Udało się nam utrwalić wpływ w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów, także w Zjednoczeniu Polskim. Często tam przewodniczyłem na różnych zjazdach.

Trochę wówczas różniłem się od „nidowców”. Miałem znajomych z II Korpusu i postanowiłem zrobić im taką małą:rewolucję”, gdyż z SKP chciano zrobić organizację typu wojskowego, z utrzymaniem hierarchii jeszcze z wojska. Mieliśmy trochę mandatów akowskich z Wielkiej Brytanii i Niemiec. Lerski, Lang i ja przygotowaliśmy się. Kiedy w czasie otwarcia zjazdu wszystko było gotowe i przewodniczyć miał płk Piątkowski. Nagle wstał Lang i zgłosił moją kandydaturę. Na sali poruszenie, ja zrezygnowałem z kandydowania, ale dzięki temu mogliśmy się zorientować gdzie na sali jest opozycja. Udało nam się obalić szereg szkodliwych wniosków. Zrobiliśmy straszne zamieszanie, zyskaliśmy silne poparcie na zjeździe. Udało nam się „odmilitaryzować” organizację i wybrać dobrych kolegów do Rady Naczelnej SPK.

K.T.: W tym czasie organizuje się także Koło Armii Krajowej.

T.Ż.: Kiedy przyjechałem z Włoch

do Londynu to tu już powstawał Komitet Organizacyjny Koła AK, do którego wszedłem. „Akowców” na wyspach było wtedy nie więcej niż dwa tysiące. Naszym celem było utrzymanie tradycji AK, gdyż obawialiśmy się, że wojsko „zachodnie” będzie chciało dominować, a o nas się zapomni. Chodziło nam o przypominanie losów kolegów wywiezionych do Rosji /ok. 50000 ludzi/ oraz uwiezionych w kraju przez komunistów.

Nasze zebrania różniły się od pozostałych w Londynie. Polegało to na przykład na zwracaniu się per „kolego”. Pamiętam szok jaki wywołałem kiedy – jako przewodniczący I Zjazdu AK – zaprosiłem do głosu kolegę Bora-Komorowskiego. Doszło później do próby zamachu ze strony starszych oficerów AK, którzy chcieli aby organizacją mogli kierować tylko ci najstarsi stopniem. Stawiliśmy opór. Bór-Komorowski nas poparł. Często potem w Radzie było więcej „niższych szarż niż pułkowników”. Świadczyło to wymownie o demokracji AK.

K.T.: Przełom lat 40-tych i 50-tych to okres kiedy tysiące akowców przebywało w więzieniach w kraju. Czy próbowano organizować im jakąś pomoc?

T.Ż.: Staraliśmy się coś w tym kie-

runku zrobić, choć nie było to łatwe. Wiele natomiast robiliśmy w sprawie akowców w Rosji. Umieszczaliśmy artykuły i uchwały w prasie. Generał „Bór” w czasie pobytu w Ameryce bardzo dużo na ten temat mówił.

Pomoc materialna dla kolegów w kraju była dla nas trudnym problemem, gdyż myśmy sami nie mieli pieniędzy. Pieniądze mieli ci z II Korpusu. Były organizacje przez które staraliśmy się posyłać pomoc, ale tak naprawdę to nie było tego wiele z naszych składek.

K.T.: Czy istniały kontakty Koła AK z działającym na zachodzie WiN-em?

T.Ż.: Organizacyjnie nie mieliśmy żadnej łączności, personalnie, tak. Maciołek nie uczestniczył w pracach Koła. Ja znałem ich kilku: Maciołka, Solskiego, Bokszanina /którego poznałem gdy był szefem BiP-u w Krakowie/.

K.T.: Kiedy doszło do odwilży w połowie lat 50-tych i na Zachód zaczęli przybywać ludzie zza „żelaznej kurtyny” to wówczas miał Pan okazje spotkać się z dawnymi przyjaciółmi i pracownikami.

T.Ż.: Tak. Ale spotykaliśmy się oczywiście nie w Monachium, gdzie byłem redaktorem „Wolnej Europy”,

ale sam do nich jeździłem. Najczęściej miało to miejsce we Francji, Włoszech lub w Londynie.

K.T.: Pozostając jeszcze przy sprawach AK. W dwudziestą rocznicę Powstania Warszawskiego ustawiono krzyż AK.

T.Ż.: Zbliżała się ta rocznica. Byłem wówczas po zawale, ale przybyłem do Londynu, by spotkać się z gen. Borem i gen. Pełczyńskim. Zaproponowałem im, żeby ustalić odznakę akowską w formie krzyża, która była by dostępna dla wszystkich oficerów i żołnierzy AK. Bór zapalił się do pomysłu. Niestety Pełczyński który początkowo zgodził się wkrótce zaczął blokować inicjatywę. I tak zaczęła się „kołomyjka” trwająca z górą rok, ale na szczęście dzięki stanowczej postawie Bora udało się sprawę przeprowadzić. Tak doszło do ustanowienia Krzyża AK.

K.T.: Jest Pan jednym z twórców Studium Polski Podziemnej.

T.Ż.: Tak. Chodziło nam o przechowanie udokumentowanej akowskiej spuścizny. Kiedy przyjechałem pierwszy raz do Londynu w 1946 roku, to już działała w sztabie taka podkomisja historyczna, gdzie był Pełczyński, Iranek, Pomian. Gromadzili materiały dotyczące Armii Krajowej.

Wtedy powstała myśl, żeby stworzyć jakieś stałe archiwum. I tak w 1947 roku / Bór zdobył trochę pieniędzy. Po jakimś czasie kupiliśmy dom na Leopold Road 11 i to był początek Studium. Oczywiście nie mamy wielu dokumentów. W Polsce jest ich znacznie więcej. Najciekawsze zapewne zagrabiło UB i trzyma w zamknięciu w archiwum MSW.

K.T.: W Pańskich czasach londyńskich wybucha niesłychanie groźna sprawa tzw. „Afera Bergu”.

T.Ż.: O niej będę mógł powiedzieć niewiele z uwagi na pewne nazwiska w Polsce, które jeszcze są związane z tą sprawą. Chodziło o to, że Rada Polityczna zawarła porozumienie i umowę o współpracy z pewnymi czynnikami amerykańskimi, które bez żadnych warunków chciały pomóc w działalności Rady Politycznej z myślą o jej działalności na kraj. W Radzie był wydział krajowy, w którym było nas trzech – Sojka, Białas i ja.

O kontaktach z krajem trudno było by mi jeszcze mówić. Stawiano nam rozmaite zarzuty, na które w tamtym okresie nie mogliśmy odpowiadać, gdyż w rachubę wchodziły rozmaite nazwiska polityczne w kraju.

Ja starałem się nawiązać kontakt z ludźmi z dawnego ZOR-u i ze

Zjednoczenia Demokratycznego. Ale chciałbym podkreślić, że za działalność, którą oni wtedy podejmowali żaden z nich nie został nigdy aresztowany.

K.T.: Stawiano zarzut, że doszło do podporządkowania się amerykańskiemu wywiadowi.

T.Ż.: Nie. A to dlatego, że założenia były czysto polityczne. Nie mogę stwierdzić czy i w jakim stopniu Stronnictwo Narodowe prowadziło swoją działalność w tym kierunku, gdyż nie miałem z nimi bliższych kontaktów. Nikt z nas nie wnikał w działalność innego stronnictwa. Wiem dobrze, bo miałem bliższe kontakty z PPS-em, że oni żadnej akcji wywiadowczej nie prowadzili. W każdym razie Wydział Krajowy i Rada Polityczna była przeciwna akcji wywiadowczej. Ja sam żadnej działalności wywiadowczej nie prowadziłem.

Chcieliśmy natomiast prowadzić działalność polityczną na kraj. Były nawet pomysły by nadawać audycje do kraju z samolotu. Szykowaliśmy nawet specjalną ekipę.

Najtrudniejsza była dla nas oczywiście łączność. Było to możliwe ale rzadko. Oddziaływaliśmy tylko poprzez łączników.

K.T.: Pan przenosi się do Mona-

chium w okresie, gdy na emigracji dokonuje się poważny podział polityczny. Z jednej strony „Zamek” z Zaleskim, z drugiej większość wojskowych i partii politycznych. Jak Pan na to patrzy z perspektywy lat?

T.Ż.: Nie widzę wielkości gry. Ja sam oczywiście chciałem, żeby był jeden ośrodek nie dwa, żeby Sosnkowski miał więcej twardości i zdecydowania. Jego próby spaliły na panewce. Zawsze uważałem, że tutejszy ośrodek rządowy jest tylko symbolem, który jest potrzebny krajowi w pewnych momentach. Ale ten ośrodek nie może narzucać koncepcji krajowi, bo nie zna go dobrze a ponadto nie ma uznania międzynarodowego.

Już wtedy problem polegał na tym, by znaleźć jakieś zasady trwałości tego ośrodka niepodległościowego i prowadzić taką działalność, która może dać pożytek krajowi. Uznałem, że taką pożyteczną rolę może spełniać „Wolna Europa”, z którą zacząłem współpracować za nim jeszcze było Monachium. Wówczas audycje były nadawane z Waszyngtonu.

K.T.: A jak to się stało, że Pan zaczął swoją współpracę?

T.Ż.: W pierwszym okresie był to mały program, gdzie szefem był nieznan mi osobiście pan Bodeński,

ale u niego pracował jeden z moich współpracowników z BiP-u, Śmiałowski. No i wtedy zacząłem do nich pisywać jako „Free lans”, oczywiście sprawy krajowe, komentarze. Oni wówczas na tych problemach mało się znali, więc moje teksty były na pewno pożyteczne. Dopiero w 1952 roku, a może nawet pod koniec 1951 r., gdy zaczęła się „Policy of Liberation”. I gdy przyjeżdżał do Londynu Jackson, to zaproponowałem naszego kandydata na dyrektora. Poparłem wtedy Nowaka, który bardzo się do tego palił, a był w BBC jako zwykły redaktor. Amerykanie chcieli mieć opinię wydziału krajowego, w którym byłem z Białasem i Sojką oraz opinię WiN-u. Przekonałem Białasa i Sojkę, że Nowak będzie na tym stanowisku dobry. Jednocześnie /wraz z Białasem/ udało nam się przekonać /a to nie było łatwe/ szefa WiN-u – „Józwę” czyli płk Maciołka, który nie darzył Nowaka zaufaniem. Dzięki poparciu WiN-u i rady politycznej kandydatura Nowaka została przyjęta. Kiedy Nowak już został szefem, to pomagałem mu w doborze ludzi. I nadal współpracowałem z radiem.

K.T.: Jak zaczęła się Pańska stała współpraca w „Wolnej Europie”?

T.Ż.: To był dla mnie ciężki okres.

Zmarła moja matka, potem ojciec. Mogłem w tej sytuacji wrócić do swojego nazwiska, przestałem pracować w „Dzienniku”. Pisywałem do Bolesław Wierzbiańskiego, do prowadzonej przez niego Agencji Prasowej, do „Polski Walczącej” redagowanej przez Tymona Terleckiego. Wszystko to było jednak praca dla emigracji, która nie dawała mi pełnej satysfakcji. Skoro pojawiła się możliwość mówienia do kraju, to napisałem do Nowaka, czy nie znalazłoby się jakieś miejsce dla mnie. I dostałem normalny redaktorski etat.

Przyszedłem jako nowy do żytego już środowiska. Przyjechałem tam bez żadnych ambicji, ponieważ tytułów i władzy miałem już jak na swój wiek dosyć. Zacząłem pracować jako zwykły redaktor.

Jednakże przeciwko Nowakowi zorganizowano bunt kierowany przez ówczesnego zastępcę Nowaka /a mojego protegowanego do RWE/ Marka Święcickiego i Zbigniewa Błażyńskiego, więc starałem wraz z paru kolegami przeciwdziałać temu. „Buntownicy planowali, że Święcicki zostanie dyrektorem, a Błażyński jego zastępcą. To był bunt na tle ostrego traktowania ludzi przez Nowaka. Nowak się utrzymał. Święcickiego i Błażyńskiego

go usunął. Tego ostatniego z cichym żalem, gdyż Błazyński pisał zawsze tak, jak Nowak chciał.

K.T.: Jak się wtedy pracowało w „Wolnej Europie”?

T.Ż.: Większość pracujących tam ludzi była nastawiona ideowo. Dominowali ludzie wywodzący się z konspiracji, akowcy i wojenna emigracja. Wtedy nie bardzo patrzono na to kto ile dostaje premii, pensji, żyło się pracą. Kiedy działo się coś ważnego to ludzie sami przybiegali do radia, nie trzeba było ich wołać i przypominać, że mają dyżury. Pracę traktowaliśmy jak w swoim radio W „Głosie Wolnej Polski”. To była naprawdę dobra ekipa. Nastój był wspaniały. To utrzymywało się przez pierwsze 10–12 lat.

K.T.: Pracował Pan w okresie gdy w Polsce miały miejsca bardzo ważne wydarzenia.

T.Ż.: Nasza polityka była bardzo rozważna. W 1953 roku nie popełniono żadnego błędu w czasie powstania berlińskiego.

W 1956 wspólnie z Nowakiem zdecydowaliśmy o linii radia. Staraliśmy się nie podzegać, lecz dobrze i szybko informować. Był w radio dyrektor polityczny, mr. Griffiths, któ-

ry w normalnych warunkach dawał ogólne wytyczne, wobec których nie raz stawialiśmy opór. Zresztą wobec polskiej rozgłośni był bardzo ostrożny i powściągliwy.

W październiku 1956 roku myśmy z Nowakiem prawie mieszkali w radiu. Wtedy Griffiths przychodził się z nami konsultować, zasięgać naszej opinii. Nie próbował nawet niczego sugerować. Natomiast Węgrom dawał dyrektywy, traktował ich całkiem inaczej. Główną przyczyną tego było zgranie naszego zespołu.

Warto tu przypomnieć strajk, który przygotowaliśmy w polskim „desku”. Amerykanie chcieli wówczas wprowadzić cenzurę naszych audycji jeszcze przed emisją. Nie mogliśmy się na to zgodzić i wygraliśmy dzięki solidarności zespołu.

Pamiętam jak wyskoczyła agresja na Czechosłowację. Obudzono mnie rano /Nowak był na urlopie/ i natychmiast poleciałem do dyrektora, gdzie była konferencja i zastanawialiśmy się co robić. Powiedziałem, że muszę zrobić komentarz dla kraju natychmiast. Amerykańska dyrekcja zgodziła się i przed 9-tą emitowany był już pierwszy komentarz.

Naszą zasadą pracy w radio była

szybkość działania i rozważa w tym co robiliśmy. Ta praca dawała nam przyjemność, satysfakcję.

K.T.: W jaki sposób organizowaliście serwis informacyjny?

T.Ż.: Robiliśmy to w rozmaity sposób. Np. poprzez przyjezdnych przyjaciół, którzy pojawiali się na Zachodzie. Prowadziliśmy studium prasy krajowej. Kiedy przyszedłem do radia to natychmiast ściągnąłem pisma ze wszystkich województw. Podobnie jak to robiłem w „Dzienniku”. Sporo materiału dostawaliśmy poprzez agencje. Ze wszystkich źródeł można było zmontować w miarę poprawny serwis informacyjny.

Celem naszych działań było demaskowanie zamiarów komunistycznych wobec społeczeństwa. Ja zawsze byłem zwolennikiem piętnowania największych przestępców politycznych

czy zbrodniarzy i starałem się zawsze wyciągać te nazwiska, pokazywać ich działalność. Uznawałem, że to odbiera śmiałość i poczucie całkowitej bezkarności. Zrobiliśmy sporo takich programów.

Często pracowaliśmy w następujący sposób. Opiszę to na przykładzie tajnego referatu Chruszczowa. Dostaliśmy tekst od Amerykanów i nadawaliśmy tekst na bieżąco. Podzieliłem tekst na trzy grupy. Siedzieliśmy w różnych pokojach. Jeden tłumaczył, drugi poprawiał, a maszynistka pisała. Następnie szło to do „okeju”, tj. do sprawdzenia i dopiero potem do studia. Kolejno wskakiwały następne ekipy z gotowymi tekstami i skończyliśmy pracę w studio nad ranem.

Londyn, 1988 rok

GRA NA DWÓCH FORTEPIANACH

*Półlegalna i całkiem nielegalna konspiracja niepodległościowa w PRL.
Z doktorem Bohdanem Urbankowskim rozmawia Michał Janiszewski.*

Jestem pod ogromnym wrażeniem Twojej książki „Marzyciel i strateg”, czy da się jeszcze coś więcej napisać o Józefie Piłsudskim?

– Piłsudski był człowiekiem działającym w wielu przestrzeniach, bo i w polityce – jawnej i podziemnej, i w wojskowości, i w literaturze jako autor wspomnień, a więc do opisania tego wszystkiego trzeba by zatrudnić całe uczelnie. Mówię to metaforycznie, bo nasze uczelnie zostały skutecznie odmóżdżone, często rządzi jeszcze profesura drugiego sortu, która karierę zawdzięczała nie wiedzy a usługowości i współpracy z SB. Może dlatego z kręgów uczelnianych wyszła przez kilkadziesiąt lat jedynie uboga w fakty, tendencyjna biografia, napisana przez byłego współpracownika służb,

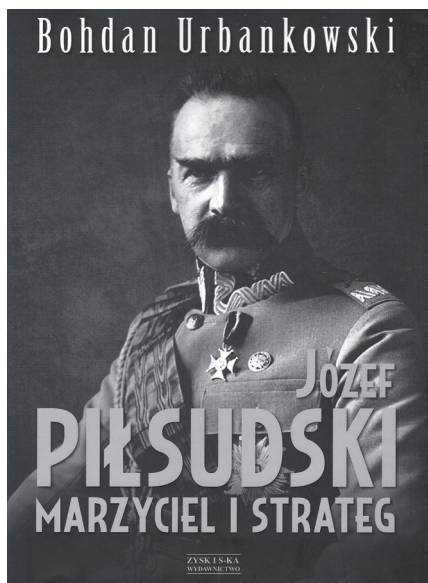
TW „Pedagoga”, czyli Andrzeja Garlickiego, który zrobił z Piłsudskiego nieudacznika i wariata. Ale to inny temat.

Wracając do trudności z pisaniem biografii Piłsudskiego: rekonstrukcja zakłada odtworzenie czegoś dokładnie w skali 1:1, dzień po dniu, minuta po minucie – to nie jest możliwe. Jest taka opowieść o uczonych chińskich, którzy robiąc idealną mapę przygnietli pół cesarstwa taką adekwatną mapą – na szczęście cesarz kazał ich połapać i powywieszać. Żeby dobrze opisać życie Piłsudskiego trzeba by jeździć jego śladami, po ziemiach Litwy, Białorusi, Rosji, wybrać się na Maderę i do Japonii, szukać w Anglii i w Ameryce – a i tak wszystkiego się nie znajdzie. Bo przecież Piłsudski przez pół życia działał w konspiracji. Co więcej:

był dobrym konspiratorem – to znaczy, że niewiele wiemy. Historia zna przeważnie złych konspiratorów – takich, którzy wpadli i składali długie zeznania. Piłsudski tylko w młodości popełnił błąd, wpadł w nieudany spisek na życie cara. Właściwie to nie on ten błąd popełnił, to brat Lenina notował różne daty, adresy w kalendarzyku. Błąd Piłsudskiego polegał na tym, że nie powinien był się zadawać z żadnym Uljanowem. Potem to zrozumiał. I nie ma racji Zychowicz mówiąc o pakcie Piłsudski – Lenin. Piłsudski nie zawarł ani paktu przeciw Denikinowi z Leninem, ani z Denikinem przeciw Leninowi. On widział, że Rosja, każda Rosja jest antypolska, więc chciał żeby nawzajem się wykrwawiły, żeby potem tą drugą, wciąż silną ale jednak poranioną Polska mogła pokonać. Dokładnie tak się stało...

To co było pewne w sferze faktów zostało odnotowane przez Wacława Jędrzejewicza w „Kronice życia Józefa Piłsudskiego”. To co można podać jako prawdę, rozumianą jako zgodność z dokumentami, to jest i to przedstawiłem. Ale przecież już ta niby adekwatna prawda nie jest zgodna z rzeczywistością, już dokumenty nie są z nią zgodne. Więc taka

prawda Arystotelesowska, adekwatna nie jest możliwa. Jest możliwa prawda, którą nazywam aksjologiczną. Chodzi o to, żeby zgadzały się wartości. Żeby ludzie dobrzy, odważni, uczciwi w rzeczywistości byli takimi w opowieści pisarza. I żeby żli i tchórzliwi – byli takimi w jego książce. Na temat Piłsudskiego zachowały się wspomnienia, listy pisane na bieżąco, gdy nie był jeszcze przywódcą, Naczelnikiem – nikt nie miał potrzeby takich świadectw fałszować. To pozwala odtworzyć te wartości, które wrosły w osobowość, zmieniły się w charakter. To nie mówi o rzeczach nieznanach, ale pozwala wykluczyć pewne rzeczy, nie pasujące do charakteru. Znając życiorysy Sikorskiego czy Zagórskiego wiemy, że pierwszy był człowiekiem małym i zawistnym, drugi, okazał się krętaczem. Piłsudski miał rację, że żadnego z nich nie cenił. Ale jednocześnie z charakteru Piłsudskiego wynika, że nie zabił Zagórskiego, tak samo jak nie kazał zabić Sikorskiego – wystarczyło, że go odsunął. Płacono mu żołd, ale odsunięto od władzy. Znając inteligencję Piłsudskiego wiemy, że gdyby chciał zlikwidować Zagórskiego, to zrobiłby to sprytniej. Było wiele okazji. Ale znając jego cha-



Po przeczytaniu „Marzyciela i stratega” profesor Wacław Jędrzejewicz powiedział:

– Przez najbliższych pięćdziesiąt lat to będzie najlepsza książka o Piłsudskim.

akter – możemy mieć pewność, że tego nie zrobił. Mógł gardzić, mógł pomijać w awansach, ale nie mordować. Sikorski nie miał tej klasy. Już we Francji najpierw chciał stworzyć obóz koncentracyjny dla piłsudczykowskich oficerów w Maroku, potem stworzył taki obóz w Cerizay (siedział tam szef lotnictwa Ludomił Rayski, siedział Dąb – Biernacki, tylko dlatego, że byli piłsudczykami). Potem w Anglii wsadził swoich rywali na Wyspę Węży. Nie ta klasa, nie ten charakter. Czymy go, bo

zginął tragicznie, ale to nie zmienia faktu, że ten człowiek nie zasługuje na cześć, co najwyżej na pamięć. Jest jeszcze jeden problem. Biografie ludzi wielkich to już gotowe książki, tyle że jeszcze nie napisane. Biografie napisane – to odpowiedzi na pytania, które my zadaliśmy swoim bohaterom. Któryś z filozofów powiedział, że odpowiedzi są ważne dopóty, dopóki ważne są pytania. My dzisiaj wpisujemy w biografię Piłsudskiego, nasze pytania – okresu walki z PRL i początków III RP. Każde kolejne pokolenie, jeszcze przez wiele lat będzie go miało o co pytać. Wiedza o działalności spiskowej i organizacyjnej Piłsudskiego, wiedza o jego sztuce wojennej, dzięki której ocalił niepodległość nie tylko Polski, ale przynajmniej połowy Europy – to wszystko było w PRL a po części w III RP zakazane, nie zdawaliśmy sobie sprawy nawet z naszej niewiedzy. Moja książka to jakby wstępne rozpoznanie. W porównaniu do tego co powinienem wiedzieć ta książka powinna być dwa razy grubsza!

Jak na razie to nie spotkałem większego opracowania, a w dodatku nie spotkałem też polemiki z tym dziełem.

– Dlatego, że ja właśnie starałem się odnotowywać to, co wiemy na pewno. Trudno z tym polemizować. A poza tym, jak już złośliwie wspomniałem, aktualna kadra uczelniana jest za głupia. Mam nadzieję, że za parę lat zostanie jednak wykształcone pokolenie, które napisze swoją książkę o Piłsudskim, każde pokolenie musi mieć swoją. Ich sytuacja jest łatwiejsza. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej. Ja miałem i problemy z dostępem do źródeł i z publikowaniem badań. Najpierw szalała cenzura...

A drugi obieg? Kiedy zacząłeś pisać o Piłsudskim?

– Zacząłem od wierszy, jeszcze w szkole. Miałem taki wieczór, dokładnie w 18 urodziny. Prowadził Jurek Hnatyszyn. Potem któryś z wierszy włączyłem do książki „Józef Piłsudski. Myśli, mowy i rozkazy”. Potem powstały dwa dramaty – „Czarny pierścień” i „Żelazne kwiaty”. A monografia powstawała niejako ponad, jako dopełnienie działalności podziemnej. W ramach akcji konfederacyjnych, najpierw Konfederacji Nowego Romantyzmu, potem Konfederacji Polski Niepodległej

Z Konfederacji do Konfедера-

cji... Jeździłem z tajnymi wykładami o Piłsudskim. Potem miałem cykl regularnych wykładów dla nauczycieli w Wałbrzychu, potem znów w Płocku, w Pabianicach i Łodzi. Tam organizatorem był płk Józef Szostak, „Filip”, do którego woziła mnie Lena Szatkowska. I po którymś wykładzie płk Szostak, namówił mnie na pisanie biografii Marszałka. Druk organizował Andrzej Ostoja-Owsiany. Parę rzeczy mi podpowiedział. On pisał wtedy, też dla podziemia o roku 1920. Przysiadłem fałdów i napisałem pierwszą książkę o Piłsudskim pod prostym tytułem „Józef Piłsudski”. Andrzej wydał mi to w 1984 roku. Niestety pułkownik nie doczekał, umarł na początku 1984. Był po 80-tce, spędził parę lat w PRL-owskim więzieniu... Wykładałem też o Piłsudskim w ramach naszego Uniwersytetu Lotnego, książka zaczęła się rozrastać, miała ukazać się w 1988 roku jako „Filozofia czynu” – ukazała się zmasakrowana przez cenzurę, bo cenzura wciąż jeszcze działała. Wtedy wpadliśmy na pomysł, by to, co cenzura zdjęła trochę zaokrąglić literacko i wydać w podziemiu przez KPN, ale tę historię znamy obaj – to ty wtedy wyszedłeś z pułda i zacząłeś odbudowywać wydaw-

nictwo a ja się załapałem. Najpierw wyszedł wybór z pism Piłsudskiego a potem moja książka.

No, mieliśmy z nią trochę przygód.

– Myślę, że warto o nich powiedzieć i przy okazji wyjaśnić ciągnące się już ponad 20 lat nieporozumienie. W różnych bibliografiach można znaleźć, że książka miała dwie części i dwa wydania. Podział na części był prosty. To co przeszło przez cenzurę ukazało się legalnie, pod tytułem „Filozofia czynu”, a to, co zdjęła cenzura trochę zaokrągliłem i wyszło jako „Człowiek pośród legend” w takiej samej brązowej okładce. Na „Filozofii czynu” była rzeźba Wittiga, a na „Człowieku pośród legend” – rzeźba Laszczki. Po pewnym czasie zabrakło brązowej farby i resztę z Laszczką drukowano w czarnej okładce, stąd w bibliografiach piszą czasem o dwóch podziemnych wydaniach. Tymczasem było jedno wydanie, tylko w dwóch kolorach i z dwoma datami, bo w międzyczasie przyszedł nowy rok.

W 1989 wyszedł – dla odmiany legalnie – „Józef Piłsudski. Myśli, mowy i rozkazy”, w moim opracowaniu (nawet z wierszem „Śmierć Piłsudskiego”) w rekordowym nakła-

dzie 170 000 egzemplarzy, słownie – sto siedemdziesiąt tysięcy! Rekord do dziś nie pobity. Od razu uprzedzam pytanie, dostałem tylko zwrot kosztów, także za maszynistkę, która pisała ekspresowo, dochód z tego wyboru miał iść w całości na dwie pozycje: na druk połączonej z obu części monografii „Marzyciel i strateg” i na druk mojej historii polskiej filozofii. Obie pozycje były gotowe, obie zapowiedziane. I to był błąd. Odsłoniliśmy się – więc cios padł. Do dziś nie wiem dokładnie jak to wszystko zostało rozbite, ale zostało. Pech chciał, że na krótko wyjechałem. Przez lata mnie nie wypuszczano na Zachód, więc jak zaproponowano mi stypendium – oczywiście pojechałem. Jak wróciłem, to już było pozamiatane – ani wydawnictwa, ani ludzi... Jakaś kafkowska sytuacja. Żadnej z tych książek nie wydałem. „Marzyciel i strateg” ukazał się dopiero w 1997 roku, no i teraz – prawie 20 lat później. A książka filozoficzna do dziś się nie ukazała, chociaż ...

Przejdźmy do „Marzyciela i stratega”. Stwierdzasz że wszystkie ruchy inicjowane przez Piłsudskiego miały podwójny, legalny, sformali-

zowany i nielegalny, jakby grał na dwóch fortepianach, jednym legalnym drugim nie.

– Piłsudski wyznawał taką zasadę. Nie wiem czy to on sam wymyślił to określenie, ale o grze na dwóch fortepianach mówiono w Galicji przed I wojną. Piłsudski wykorzystywał legalny ruch strzelecki a pod spodem był już Związek Walki Czynnej. Wyjazd niby na spotkanie bractwa kurkowego – a zajęcia z wyzwolenia Polski. Tak obydwie struktury służyły nauce niepodległości. Bo Polaków, po latach niewoli i uległości, trzeba było niepodległości uczyć.

Czy Ty uważasz, że to był ten moment, w którym powstał nurt niepodległościowy, albo nurt piłsudczykowski mówiąc inaczej?

– Powiedzmy: nastąpił skok jakościowy. Nurt niepodległościowy, do którego i my potem nawiązywaliśmy, przypomnę nn i NN, dla nas sygnowany nazwiskami generała Abrahama, czy potem Leszka Moczulskiego, Ziemińskiego, Motyczńskiego, a potem przecież pokolenie twoje i Słomki, i Krzysia Króla – ten nurt nie zaczął się w latach siedemdziesiątych. Ten nurt powstał już w czasach Konfede-

racji Barskiej. To była ta prawdziwa Polska, niesiona potem przez Legiony Dąbrowskiego, przez Powstanie Listopadowe, przez Powstanie Dembowskiego w Krakowie i przez walki w Poznańskim dwa lata później. Potem przyszło Powstanie Styczniowe, masakra młodego pokolenia szlachty i nurt niepodległościowy niemal wygasł. Piłsudski odbudował ruch niepodległościowy z popiołów, poszukiwał nowych sił, odbudowywał przez przestawienie socjalizmu z toru markowskiego, internacjonalnego i klasowego, w jakimś sensie roszczeniowego – na niepodległościowy (a więc zakładający nie roszczenia a poświęcenie). Piłsudski odwołał się do nowej siły społecznej jaką była - czy też w marzeniach ideologów socjalizmu miała być – klasa robotnicza. Mówię – w marzeniach, bo w rzeczywistości ruch socjalistyczny w Polsce został wymyślony przez szlachtę, która uważając się za oficerów szukała żołnierzy do kolejnego powstania. Spośród autentycznych robotników niewielu znalazło się w Legionach, ale już więcej w wojsku broniącym przed najazdem sowieckim.

Zmiana jakościowa wprowadzona przez Piłsudskiego polegała, po pierwsze – na zmianie socjologicznej,

po drugie – na zmianie pokoleniowej. Więc po pierwsze Piłsudski od lat 90-tych XIX wieku próbował odwołać się nie do szlachty, a do klasy robotniczej. Skończyło się to fiaskiem w 1905 roku, ale podziemie złączyło obie klasy w ponadklasowym nurcie niepodległościowym, w idei służby. A zmiana pokoleniowa – to odwołanie się do studentów, do młodzieży, do tych wszystkich kół PPS (potem „Strzelca”) na uczelniach, począwszy od Krakowa i Lwowa a na Szwajcarii skończywszy. To miało realny wykładowca: najwięcej składek płaćcy koła studenckie, nie robotnicy. I ta strategia – stawiania na młode pokolenie – się sprawdziła. Jak popatrzymy na Strzelców, na Pierwszą Kadrową, a potem na kadrę oficerską Drugiej Rzeczypospolitej, to jest tam wielu, bardzo wielu młodych ludzi, studentów, wychowanków Piłsudskiego. Ten konflikt młodych idealistów z zawodowcami z austriackiej Kriegsschule wypłyne w 1926 roku. Malczewski (czterodniowy minister Spraw Wojskowych u Witosa w maju 1926 roku), generał Rozwadowski, Zagórski to dawna kadra austriacka. Oni wcześniej służyli zaborcy. Nurt niepodległościowy to młodzi Strzelcy i ludzie z podziemia PPS. Ten

wyznacznik pokoleniowy jest ważny. Ten nurt niepodległościowy, to potem młodzi chłopcy z Powstania Warszawskiego, „Sztuka i Naród”, WiN i Żołnierze Wyklęci. Ten nurt, mimo represji, przetrwał. Akowcy, którzy przeżyli stalinowskie więzienia nie przestali myśleć o Polsce. Działali na ile mogli. Działała ich legenda. Abraham to bohater 1939 roku, wcześniej obrońca Lwowa. Matuszczyk i Motyczyński – Kedyw. A trzeba dodać, że Motyczyński był też w kręgu Henryka Józefskiego, który w 1953 roku został skazany na dożywocie za konspirację antykomunistyczną. Wyszedł w 1956 roku i znowu odbudowywał konspirację antykomunistyczną. To byli wspaniali ludzie! „Żelazne kwiaty” jak nazywał piłsudczyków Kaden Bandrowski. My w pewnym momencie wstąpiliśmy do tej samej kolumny, wypełniliśmy opuszczone miejsca.

Na ile wiedza, którą zawarłeś w tej książce przydała Ci się w latach 70-tych kiedy ty zaczynałeś podobną grę jak to masz zwyczaj nazywać, na kilku fortepianach? – Współpracujesz z ludźmi z Armii Krajowej, ale i Związek Piłsudczyków, ale i nurt niepodległościowy. Na ile wówczas

myślałeś, że to trzeba bardzo szeroko współdziałać, żeby w PRL coś zmienić?

– Nawet nie wiesz ile pytań naraz zadałeś?

Tak?

– Tak! Po pierwsze bezczelnością z mojej strony byłoby porównywać to, co ja robiłem, do tego, co zrobili dla Polski piłsudczycy. Inne warunki, o wiele mniejsze ryzyko, znacznie skromniejsze pole działania. Myśmy działali w ruchu studenckim, wśród nauczycieli i trochę jeździliśmy po Polsce z prelekcjami do szkół, ale głównie po województwie mazowieckim. To wszystko było ograniczone. Powiedzmy – młody Piłsudski na etapie „Spójni”, samokształcenia a potem zebrań PPS. Ale już nie Organizacja Bojowa. Natomiast to, co nazwałem grą na kilku fortepianach, było w pewnym sensie wymuszone. Ale było to także elementem kamuflażu. Zakładaliśmy, że jak coś robimy, to SB o tym wie (nie mieliśmy złudzeń co do rodaków). Stałym założeniem towarzyszącym nam było, że jesteśmy obserwowani, że na danej sali, gdzie przyszło nam występować,

są entuzjaści, ale są też donosiciele. Więc od razu dzieliliśmy naszą działalność na spotkania oficjalne i tajne, u osób pewnych i sprawdzonych. Bardzo często udawaliśmy, że wyjeżdżamy. Wchodziliśmy niby do pociągu i wychodziliśmy drugimi drzwiami, ktoś doprowadzał nas do prywatnego mieszkania albo salki w jakimś kościele. Jak potem sprawdzałem dokumenty w IPN-ie to wyszło, że większość jawnych imprez była obserwowana – są donosy i ze spotkań ze studentami i w Klubie Pietrzaka, i oddziałach ZNP. Ale na tajne spotkania nikt się nie przedarł. Sprawdziły się struktury rodzinne jako baza konspiracji, także związki przyjaźni sięgające nawet czasu szkoły podstawowej.

Tu chciałbym dodać jedną rzecz. Działalność jawna dawała mimo wszystko większą liczbę odbiorców, większą siłę oddziaływania, pomimo, że to co przekazywaliśmy musiało być płytsze, jakoś tam zakamuflowane. Ale to inspirowało słuchaczy do przemyśleń, do poszukiwań. Nie mogliśmy z tego rezygnować. Na takich spotkaniach tworzyła się po prostu nowa elita, najlepsza – bo przyuczona do samouctwa. Część nastawionego opozycyjnie ruchu studenckiego wy-

bierała taką jawną działalność, część tajną – a my obydwie.

Jesteś z rodziny akowskiej, ojciec walczył, zginął potem w obozie, matka też w akowskiej konspiracji, więc byłeś „swój”, to chyba otwierało wszystkie drzwi.

– Do kręgu „Porawy” trafiłem jako syn chrestny swojego ojca chrzestnego. Mogę podać jego nazwisko, choć w konspiracji (zarówno okupacyjnej, jak i potem – w antysowieckiej) występował on zawsze pod przybranym nazwiskiem. Naprawdę nazywał się Jan Wrzesiński. Robił prasę podziemną, powstańczą, ale jak trzeba było, to walczył. Na Starówce wszyscy mężczyźni w pewnym momencie musieli stać się wojskiem, a kobiety – sanitariuszkami. Przecież Powstanie Warszawskie to była II Rzeczpospolita, Rzeczpospolita Walcząca...

Ale przynależność do kręgu akowskiego nie dawała pewności, co do osoby. To nie było takie proste. Ci „starzy” bardzo się pilnowali. Wśród akowców też bywali zdrajcy, ludzie którzy się dali złamać... Sędzia, który skazywał Pileckiego, Jan Hryckowian, to dawny akowiec.

Punktem wyjścia była trochę non-szalancka, zaimprovizowana, konspiracja młodzieżowa – Klub Artystów Anarchistów i Konfederacja Nowego Romantyzmu. Esbecja miała na nas oko, ale starzy akowcy też nas obserwowali. I to oni się do nas zgłosili. Ta sprawa najpoważniejsza zaczęła się zupełnie niepoważnie. Zgłosił się do mnie redaktor z pisma „Żyjmy dłużej”. Uprawiałem kulturystykę, miałem dość wyrobione mięśnie, ale na zawodach nie nadymałem się jak balon tylko „grałem” z publicznością naśladując kilka rzeźb, sala miała zgadywać. Był tam ktoś z ich redakcji więc zamieścili moją fotografię. No i sypnęły się listy. Facet przyniósł tego całą torbę, przeważnie pederasci, w tym jeden malarz chyba Narodnyj Artist Sowieckiego Sojuza, czy nawet Gieroj. Zapraszał mnie gdzieś do Woroneża, że chce mnie malować. Zauważyłem, że z pewnością jest „seksotem”, bo jeśli mają na niego to, co obaj podejrzewamy a on może zapraszać do ZSRR, to... Ta uwaga zainteresowała redaktora. Przedstawił się jeszcze raz, wyraźniej – Stefan Matuszczyk. Po paru spotkaniach dopiero okazało się, że to kapitan „Porawa” z oddziału 993/W (tego, który wykonywał wyroki). Delikatny, wytworny facet

po polonistyce. Gadaliśmy o poezji, pokazałem mu nawet swoje wiersze. Od niego usłyszałem o sprawie Kalksteina, on na niego polował, miał też wykonać wyrok na Kaczorowskiej, ale zorientował się, że jest w ciąży – nie wykonał, dowództwo to zrozumiało. Etyka przed polityką, nawet przed prawem.

Kalkstein i Kaczorowska to ta para zdrajców, którzy wydali generała „Grota”.

– Tak, tu wchodzimy i w konspirację i legendę. Ostatnią łączniczką a chyba i ostatnią miłością generała „Grota”, była Elżbieta Prądyńska-Zboińska, niezwykle piękna kobieta. Przyjaźniła się z córką generała, Ireną Rowecką-Mielczarską. Ich przyjaciółką była pani Zofia Idziakowska, która działała w AK w Puławach i Lublinie, była łączniczką pułkownika Kazimierza Tumidajskiego. Rosjanie zamordowali go w 1947 roku w obozie, podczas przymusowego karmienia, gdy podjął głodówkę protestacyjną. Wściekli się i zadławiли go tym szlauchem. Dlaczego wymieniam te nazwiska? – Bo dzięki „Porawie” trafiłem do kręgu pani Prądyńskiej. Spotkania odbywały się u niej na ulicy Hynka, czasem u pani

Zofii na Węgierskiej 5/9 m. 22 (do dziś pamiętam, tego się nie zapisywało). U pani Ireny spotkania były rzadziej, bo mieszkała na Rakowieckiej, poza tym często wyjeżdżała. Te trzy damy rządziły ówczesną konspiracją. Śmialiśmy się, że warszawskim podziemiem rządzą trzy kobiety, złośliwiśm mówili „trzy baby”... Bywali tam często ci sami ludzie, których potem spotkałem u generała Abrahama. Z tych najślawniejszych mignął, prof. Józef Rybicki – szef Kedywu, który współpracował też z KOR-em, harcmistrz Stanisław Orsza-Broniewski, major Leliwa-Roycewicz – zdobywca „Pasty”. To były autorytety, bo do bieżącej roboty się nie włączali. Jeszcze większym autorytetem był płk Ludwik Muzyczka, ale on mieszkał w Krakowie. Podobnie – Spiechowicz, który mieszkał w Zakopanem. To do nich się jeździło.

Generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz był prezesem Związku Legionistów Polskich, honorowym prezesem, ale de facto on był najważniejszy. Gdy Moczulski organizował Ruch Obrony, to jeździł do Zakopanego. Śmialiśmy się, że po błogosławieństwo. A on odpowiadał z dumą – „Żebyście wiedzieli! I ja je dostanę!”. Podobno jego rozmowa z Borutą przypominała spowiedź

Mickiewicza – słyhać było ryki, jakby kto diabła wyganiał. Ale błogosławieństwo dostał. Wojtek Ziemiński też jeździł, jak zakładał swój Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu. Wojtek wcześniej był w KOR-ze, ale tam się zaczęły takie wewnętrzne rozgrywki – grupa Kurońa pozbywała się niepodległościowców Macierewicza. Więc Wojtek przeszedł do Ruchu Obrony, a potem – jak się mówiło – „poszedł na swoje”, to znaczy stworzył [10 lutego 1979 r.] ten Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu. Boruta też mu to błogosławił, wszedł nawet do Rady Sygnatariuszy. To było przekazywanie pałeczki sztafetowej, a może ładniej mówiąc: przekazywanie pochodni.

W Klubie „Grotołazów” też było to starsze pokolenie AK, trzy damy, „Porawa” – i kilkoro młodszych, właśnie takich czeladników jak ja...

W Klubie „Grotołazów”?

– Tak żartobliwie nazywaliśmy środowisko skupione pod patronatem „Grota” Roweckiego. Raczej żart, niż kamuflaż. Bo oficjalna nazwa

była prawie tak skomplikowana, jakby wymyślał ją Wojtek Ziemiński. Oficjalnie to brzmiało – Stowarzyszenie dla Uczczenia Pamięci Generała „Grota” Roweckiego i Jego Żołnierzy (że niby głównie chodzi o tablice). Chyba w 1981 roku cenzura zaczęła przepuszczać nazwisko „Grota”, w telewizji puścili nasz film, choć trochę namieszcili w scenariuszu, (mnie wyrzucili zanim zdążyłem go skończyć, właśnie za ten film, więc wynajęli jakiegoś grafomana, który dopisał brakujące dialogi, i po drodze wyczyścił z nieprawomyślności). Jak widzisz poprawność polityczna, to wymysł komunistycznej cenzury.

Ale to było w roku 1981, a wcześniej, w 1979 był Wałbrzych. „Klub Grotołazów” spotykał się potajemnie po mieszkaniach, praca nastawiona na przypominanie, żeby w ogóle ocalić historię AK. Czasem miałem jakiś wykład, mówiłem czy o Wrześniu, czy o konspiracji (to było doprowadzone aż do procesu szesnastu). Opowiadałem na spotkaniu, była dyskusja a ja potem miałem nową, lepszą wersję do filmu o AK. Oczywiście wiedziałem, że procesu szesnastu to nam nie puszcza, ale chciałem to mieć napisane, a Królikiewicz – nakręcone. Taka

pałeczka sztafetowa (tyle, że nie wiedzieliśmy, czy do kogoś trafi i kiedy). Oprócz tego – „normalka”, to co zawsze i wszędzie: zakazane książki, jakieś ulotki, przeważnie na maszynie. Ja miałem nawet dwie maszyny, jedna do pokazywania, podczas rewizji, esbecy zawsze brali „próbki”, a druga schowana, ta na której moja żona pisała ulotki i artykuły. Potem się je nosiło na przykład po kościołach (takie bardziej rocznicowe do Płocka).

Potem, po przyjeździe Papieża, to ludzie nabrali odwagi, władze poluzowały. 1 sierpnia 1980 udało się odsłonić tablicę na Spiskiej 14, skąd gestapo wyprowadziło Roweckiego. Potem były kolejne tablice, nawet most. Ale już wcześniej, z tego kręgu „Grotą” trafiłem do samego serca konspiracji, bo do kręgu generała Abrahama. Jeszcze zdążyłem go poznać. To było także tajne, choć z odrobiną nonszalancji. Na przykład przedstawiono mnie Generałowi po mszy u św. Jana [czyli po mszy w warszawskiej katedrze] – uścisk ręki. Wiedział już o mnie dość dużo. Potem byłem na kilku spotkaniach. Na jedno musiałem doholować Ostoję-Owsianego z Łodzi, właściwie z Centralnego – na Żoliborz.

Niestety poznałem Generała za późno, niemal w ostatniej chwili, chyba rok czy półtora przed śmiercią. No i dalej byłem czeladnikiem. Byłem na spotkaniu, napisałem wiersz, który potem wręczyłem Generałowi, ale na przykład nie byłem na imieninach. Tam bywali najbliżsi, mistrzowie a nie czeladnicy.

Może dobrze, bo prócz mistrzów tam był także agent SB.

– Może się zdziwisz, ale myśmy działali zakładając, że agenci są. Dlatego wymyślaliśmy różne szyfry, na przykład jawne umawianie się na godzinę i miejsce. Na sposób „godzina minus dwa” wpadliśmy sami w Bytomiu. W ramach Klubu Artystów Anarchistów wystawialiśmy, całkiem nielegalnie, bez uzgodnienia z cenzurą, mój „Poemat o nas”. Po pierwszym przedstawieniu zrobiła się awantura a my postanowiliśmy zrobić drugie. Wykorzystaliśmy scenę Domu Kultury przy Żeromskiego, oficjalnie wszyscy „anarchiści” byli tam aktorami lub współpracownikami teatru kukiełek. Ogłosiliśmy na słupach, na legalnych afiszach, że „Poemat o nas o 19-tej”. Ludzie wiedzieli gdzie, teraz dodaliśmy

godzinę. Oczywiście za pięć siódma ubek przyleciał – i trafił na koniec dyskusji. Bo wszyscy wiedzieli, że trzeba przyjść dwie godziny wcześniej.

Zacząłeś mówić o profesorze Wójciku...

– U trzech dam prawie nie bywał, raz wygłosił jakąś gawędę. Tworzył osobny krąg, raczej naukowy i do niego mnie wciągnął. Pożyczał mi nawet książki do pisania pierwszej wersji pracy o Piłsudskim, bo to wszystko były „prohibita”. Krótko używaliśmy nazwy Związek Piłsudczyków, potem działaliśmy jako Duszpasterstwo Rodzin Legionowych i Peowiackich, spotykaliśmy się w kościele za Halą Mirowską. Mniej więcej w tym samym czasie co Ruch Obrony i KOR powstał też, w pierwszym wcieleniu Związek Piłsudczyków. Prezesem wybraliśmy oczywiście Profesora. Śmialiśmy się, że był nie do pobicia: siedział kiedyś u Piłsudskiego na kolanach. Nikt z nas nie siedział, nie mieliśmy szans. On był w przedszkolu belwederskim. Poza tym jego ojciec chodził w obstawie Marszałka. Zachowały się nawet zdjęcia z Alei Ujazdowskich; idzie Piłsudski a za nim... drugi Piłsudski, bo kapral Wójcik też zapuścił

wąsy, z daleka można było ich pomylić. To oczywiście żarty, ale żartowaliśmy serdecznie. Zbigniew Wójcik był znakomitym historykiem, napisał monografię Sobieskiego. Tłumaczył nam, że Piłsudski narzekał, że Polacy za dużo obchodzą rocznic smutnych, obchodzą klęski. Żeby to odkręcić Piłsudski zrobił nawet na Błoniach obchody bitwy pod Wiedniem. – „No a ja napisałem tę książkę, właściwie napisałem ją na rozkaz Piłsudskiego” – tłumaczył. Dzięki niemu pojechałem potem do Instytutu Piłsudskiego, ale to późniejsza historia, bo i Giedroyc się do tego przyczynił i nasz KPN.

Ale to już III RP, do tego czasu wszystko się pozmieniało.

– Tak, jak nauczyliśmy się porządnie konspirować to akurat się skończyło. Ta fala, która mnie porwała (pomiędzy okres studencki, mówię o tej poważniejszej konspiracji), zaczynała się od starych towarzyszy broni, często już bardzo starych i oni wychowywali następców. Ruch lat siedemdziesiątych zaczyna się od struktur takich troszeczkę niesprecyzowanych, takiego nurtu niepodległościowego jak to potem mówiono przez małe „n”,

że był to nurt bez nazwy. Abraham powtarzał, żeby nie robić żadnych struktur, zarządów, nazw, niczego za co mogliby się ubecy złapać. Potem, jakoś już niezależnie od nas zaczęło się pisanie Nurtu Niepodległościowego przez duże litery, jakby to była pierwsza organizacja – gdzieś powiedzmy około roku 1975–76. W każdym razie w 1976 roku wychodzi piśmko „U progu”. Tam była już dobra konspiracja – nikt nie znał nazwisk. Osobno redakcja, osobno wydawcy. To było pierwsze piśmko na powielaczu, a nie jak wcześniej na maszynie. Podobno przewieźli go od Giedroycia.

Kto?

– Nie wiem, struktura była rozproszona. Nie wiem, czy ktoś, kto raz czy dwa coś napisał i raz czy dwa coś przekazał, to już był członkiem czy nie. Może tylko sympatykiem, ale do więzienia mógł trafić. Oczywiście nazwiska były tajemnicą, ale do czasu. Jak Krystian Brodacki działał też w Związku Piłsudczyków, czy w duszpasterstwie, to w końcu znaleźliśmy prawdziwe nazwiska. Charakterystyczny był Czuma z Łodzi ale o tym, że on kierował drukiem

dowiedziałem się znacznie później. Był Jacek Wegner. Oczywiście był Emil Morgiewicz – bez niego żadna poważna konspiracja nie mogła się obejść. On i Czuma przedtem robili „Ruch”, potem Emil zawadził o KOR i wylądował w Ruchu Obrony. Był Adam Wojciechowski, mój rówieśnik – dość długo nikt go prawie nie znał a działał jednocześnie w KOR-ze i w Ruchu Obrony. I to jest już ten główny nurt, który prowadzi prosto do takich dużych inicjatyw jak Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela i KPN. Ale zauważ, jakby zgodnie ze wskazówkami Abrahama; żadnego zarządu, Moczulski i Czuma występują jako rzecznicy.

W 1979 roku powstała największa struktura – Konfederacja Polski Niepodległej. Ale ja tam też byłem tylko czeladnikiem. Konfederacja to ogromna praca Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego. Oni mieli w swoim życiu jakieś takie niejasne próby gry ze Służbą Bezpieczeństwa i myślę, że to był dla nich dodatkowy motyw (nie mówiąc o złości, o chęci odegrania się, że zostali oszukani czy zmanipulowani). To w każdym razie były dodatkowe motywy. Poza tym myślę, że akurat w przypadku tych dwóch działaczy, obydwaj byli histo-

rykami, obydwaj mieli świetną wiedzę na temat narodowych powstań. Andrzej Szomański badając dokładnie lata 1830–31 jednocześnie układał antologię poezji i pieśni z tamtych czasów. Leszek Moczulski świetnie znał ruch niepodległościowy z czasów I Wojny Światowej. Napisał „Rewolucję bez rewolucji” – to jest znakomite, wciąż niedocenione dzieło. Moczulski wręcz naśladował Piłsudskiego. Myślę, że pozwalając sobie na rozmowy z SB, miał gdzieś z tyłu głowy rozmowę Piłsudskiego z wywiadem austriackim, inaczej tego nie potrafię wytłumaczyć. Doszli także wspaniali chłopcy, jak mówiliśmy „uciekinierzy z PAX-u”: Szeremietiew, Stański, „Pablo”, czyli Tadzio Jandziszak. Leszek to była teoria, oni – znakomita praktyka, nauczyli się jej właśnie w PAX-ie. Jeszcze przed KPN myśmy się spotykali u Szeremietiewa w Lesznie.

To było jedno skrzydło. Na drugim powstawały też nurty konkurencyjne. Między innymi do pewnego nurtu marksistowskiego odwoływał się Komitet Obrony Robotników. Mówię do pewnego, bo to była mieszanina tradycji Trockiego jako tego dobrego marksisty przeciwstawiającego się Leninowi, czy Stalinowi jako złym marksistom. To taka trochę gra

dobrego i złego ubeka, bo gdyby Trocki był w ZSRR, to by robił dokładnie to, co robił Lenin czy Stalin. Ale tak czy inaczej to był pewien mit w tym „dysydenckim” środowisku, tak samo jak i wśród marksistów legalnych. Wyłonili się tacy „leninowcy”, którzy mówili o powrocie do „norm leninowskich” i wierzył w nie (np. skądinąd inteligentny i dobry poeta Bogdan Drozdowski). Nie uwierzysz, ale byli nawet polscy „prochińczycy”, maoiści, czyli zwolennicy leczenia syfa tryprem (czy odwrotnie). I z tymi ludźmi trzeba było dyskutować, czasem prawie publicznie, w jakichś pełnych dymu i ludzi mieszkaniach, o któreś tam nad ranem. Jeżeli ktoś nie miał wiedzy historycznej, a jeszcze kondycji sportowca, to po prostu przegrywał. Dyskusje z reguły odbywały się w gronach osób często wahających się, szukających tradycji, do których mogliby się potem odwołać. Te dyskusje były bardzo odpowiedzialne. Przygotowanie się nieomal naukowe było obowiązkiem moralnym i politycznym ażeby w takich dyskusjach dobrze wypaść.

W latach osiemdziesiątych niektóre takie spotkania mogły się odbywać, może nie tyle z aprobatą władzy, ale przy jej tolerancji. Nie zawsze byli

w stanie temu zapobiec bądź to zniszczyć. Mam na myśli spotkania w kościołach, spotkania w warszawskim PAX-ie, w Klubie Pietrzaka, który w pewnym momencie stał się taką jakby „pepinierą młodych niepodległościowców” (tych z PAX-u). Byli tam m.in. Edek Kirpluk i Przemek Hniedziewicz, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego wystąpili z PAX-u. Edek był nieoceniony jako wydawca publikacji podziemnych a Przemek poszedł potem w politykę, współorganizował PC. Zasługą PAX-u było to, że wychował świetnych buntowników: w literaturze – Bierezin i Sułkowski, w polityce – najpierw Szeremietiew i Stański, potem Kirpluk. Oderwali się od PAX-u tak trochę jak „drużyniaczy” od endecji. Im się nie podobała prorosyjskość która wśród naszych narodowców była autentyczna. Endecy już przed I wojną światową wiedzieli, że Niemiec to jest zły okupant, a Rosjanin to lepszy, bo Słowianin – z takim da się dogadać. I tak im zostało do dzisiaj. Ta nasza działalność na wielu polach w pewnym momencie sama zaczęła się od nas odrywać. Było to zjawisko, które Krzywicki nazwał „krążeniem idei”. Idee jak ptaki – wylatują z gniazda i krążą. Nie wiemy gdzie potem usią-

dą, w czyjej głowie znajdą miejsce. Moim zdaniem taka działalność niesformalizowana, według wskazówek Abrahama („żeby nie mieli za co złapać”), odegrała jeszcze przed „Solidarnością” ogromną rolę, jeśli chodzi o zmianę tego, co się nazywa nastrojem społecznym, świadomością społeczną. Ten ruch przygotował grunt pod „Solidarność”.

Ta gra na dwóch fortepianach też przyniosła owoce. Nie była tajna, ale była aluzyjna, więc popychała do myślenia i często była zaszyfrowana. Myśmy nauczyli się wtedy „języka Ezopowego” – zaczynały funkcjonować pewne określenia. Dopóty, dopóki cenzura się nie połapała, co naprawdę znaczą, mogły się pojawiać w wydawnictwach legalnych. W pewnym momencie zamiast nazwiska Miłosza, które było zawsze skreślane (mimo, że Miłosz, raczej był po lewej stronie – tam gdzie oni powinni szukać sojuszników), pisało się tytuł jego książki np. „autor >>Ocalenia<<”, a gdy to zaczynali skreślać, to pisaliśmy „autor >>Zniewolonego umysłu<<”.

Działalność polityczną, zamaskowaną jako działalność literacka, myśmy uprawiali zresztą wcześniej, jeszcze w Bytomiu, potem w akademiku na Kickiego. Zorganizowaliśmy

wieczór w setną rocznicę Powstania Styczniowego i potem – w sto pierwszą. Myśmy działali najpierw wśród studentów, a potem postanowiliśmy „uczyć nauczycieli”. Jednym z takich elementów, w który ja byłem mocno zaangażowany, to była ta zakazana literatura – literatura dwudziestolecia, ale i także literatura emigracyjna. Na indeksie był Wierzyński (no chyba, że to był wiersz o sporcie, z tych, za które Wierzyński dostał laur olimpijski), był wykreślany Lechoń. Nazwiska można mnożyć, ale właśnie stosując tego rodzaju chwyt, po prostu oszukując, można było prowadzić akcję pedagogiczną. Raz nawet udało się puścić tekst Piłsudskiego w pisemku Studium Dziennikarskiego tyle, że pod innym nazwiskiem a pocztą pantoflową puszczono informację, że to tekst Piłsudskiego. To nie był jakiś znany tekst, ale liczył się sam fakt – ośmieszony wróg przestaje być groźny. Myślę, że ta ówczesna nasza gra jest niedoceniona, bo nie była prowadzona z hukiem, trzaskiem, tylko niszczyliśmy ich ustrój dziurkaczem. Warto kiedyś poświęcić jej jakieś opracowanie. Zwłaszcza – i to jest moim zdaniem bardzo ważne – nurtowi kultury studenckiej. Przecież w większości studenci byli zbunto-

wani i z tym buntem potem szli do pracy, do szkół i odegrali w okresie przemian bardzo ważną rolę.

Rozumiem, że odpowiadaliście na wydarzenia bieżące, kontrowalście, czasem ośmieszaliście politykę partii. Ale skąd w programie romantyzm a właściwie „nowy romantyzm”? Czy uważaliście się za konserwatystów, za strażników pamięci?

– Romantyzm narzucił nam się sam. Jeśli nie można oprzeć się o aktualną, russyfikującą ideologię, a nie można, to trzeba było do czegoś się odwołać. Romantyzm był epoką największych osiągnięć i w literaturze, i w filozofii, i nawet w muzyce. Trzech wieszczów a w rezerwie jeszcze trzech – Krasiński, Norwid i Wyspiański. Ponadto: Sienkiewicz, który uciekł z transportu do pozytywizmu i zaczął pisać romantyczne powieści, w stylu Waltera Scotta, tylko lepsze i bliższe, Chopin, Moniuszko, Matejko... Wyliczankę można by ciągnąć i ciągnąć. Ale nowość naszego ujęcia romantyzmu polegała na włączeniu samoświadomości, sumienia filozoficznego. Jednym słowem – mówiliśmy o Nowym Romantyzmie (w dyskusjach filozo-

ficznych używaliśmy też określenia „metafilozofia romantyczna”, albo krócej – „meta-romantyzm”). Oczywiście Nowy Romantyzm brzmiało najlepiej, ale chodziło też o to, żeby działać z pełnym rozeznaniem, wiedzieć: co się robi, dlaczego, w jakim celu, jakich narzędzi używać a kiedy je odkładać i brać nowe. Odwołanie do Romantyzmu, do epoki najwyższych osiągnięć i to pomimo braku wsparcia, jakie daje własne państwo, odwołanie do najwybitniejszych dzieł, wydawało się trampoliną. Program literacki okazał się najbardziej skuteczny. Odwoływaliśmy się do literatury zakazanej, czytaliśmy własne nieocenzurowane wiersze.

Z programem filozoficznym było gorzej. Jak w pewnym momencie próbowaliśmy ze Staszkiem Nawrockim i Elą Ćwik reaktywować Stowarzyszenie Autorów Polskich, to chcieliśmy wziąć Nowy Romantyzm za program. Na inauguracyjnym zebraniu (powiedzmy na jednym z inauguracyjnych zebrań, bo było ich kilka), mówiąc o programie, tłumaczyłem, że SAP to także Syntetyzm – Aktywizm – Praktycyzm. A to były hasła filozofii noworomantycznej – w skrócie SAP. Czasami jako trzecie „P” padało hasło Przyszłość, a na bardziej elitarnych se-

minariach – Prewidyzm (dla podkreślenia, że myślenie praktyczne musi być przewidujące). Stowarzyszenie Autorów wskrzesiliśmy, ale żadnego ruchu ideowego przy nim nie dało się zbudować. Bractwo było rozproszone po Polsce (największa grupa w Płocku). Z seminariów filozoficznych na prawdę, to udało się jedno – podczas Płockich Dni Romantyzmu. Było kilka przedstawień, wieczory poetyckie i taka filozoficzna dysputa – próba podsumowania Romantyzmu. Proponowałem patrzeć na filozofię Romantyzmu poprzez pryzmat filozofii Brzozowskiego, potraktować Romantyzm jako pracę w kulturze doprowadzoną tak wysoko, że kontynuacja skazywała na sukces – a brak kontynuacji wydawał się marnotrawstwem i barbarzyństwem. W literaturze mieliśmy mistrzów – Pigoń, Górski, Kleiner... Marksiści przy nich wysiadali – Żółkiewski rozważania o „Sonetach Krymskich” Mickiewicza zaczynał od ekonomii i cen zboża na Krymie. W filozofii było jednak trudniej, na uczelni dominowali marksiści: Schaff, Kołakowski, Bauman. Tatarkiewicz był odsunięty, Walickiego trzymano w PAN-ie jak w lodówce i do studentów nie dopuszczano. Owszem było seminarium Sikory – przez kilka lat

kilku leni, którzy wiedzieli, że Sikora i tak im zaliczy, bo jak nie będzie miał studentów, to zlikwidują mu seminarium. Polska filozofia nie była zakazana, bo to by budziło zainteresowanie. Było gorzej – ona była po prostu wymazana. Właściwie przez 10 lat Sikora wychował tylko jedną specjalistkę od Norwida i Brzozowskiego – Lidkę Wójcik, ale nie dał rady obsadzić jej nigdzie w Warszawie. Zginęła gdzieś w mrokach prowincji. Jak zakładałem Sekcję do Badań Filozofii Polskiej to skazani byliśmy na samouctwo. Byliśmy grupą samokształceniową – czeladnikami bez mistrzów. No i pełna blokada, bo od razu uznano nas za opozycję, tyle że w filozofii.

Używasz w stosunku do siebie nazwy czeladnik i w filozofii, i w polityce, z czym ja się oczywiście nie zgadzam. Dlatego, że czeladnik nie wykonuje zadań pierwszoplanowych na przykład redakcyjnych. Nie byłeś biernym uczniem na seminarium z filozofii polskiej, tylko sam takie zorganizowałeś. W polityce też nie byłeś biernym uczestnikiem Nurtu Niepodległościowego, tylko czynnym i to w kilku grupach.

– I tu, i tu było nas zbyt mało. Musieliśmy to nadrabiać aktywnością. W podziemiu politycznym dochodził normalny strach, potrzebna była nie tylko wiedza, także jakaś ryzykancka żyłka. Ludzi mało, kolporterów często zwijają... Trzeba było wykonywać prace nie tylko redakcyjne, ale i kolporterskie – roznosić te pisemka z wolnym słowem do ludzi. To nie był taki luksus, że ja sobie siedzę w mieszkaniu za zasłoniętymi firankami, nikt o mnie nie wie, a ja sobie te tajne pisemka piszę i chichoczę. Po prostu było nas za mało i trzeba było robić wszystko naraz. Zwłaszcza potem, jak już wszedłem w krąg ludzi KPN-u. A do tego jeszcze profesor Wójcik dogadał się na współpracę właściwie z dwoma organizacjami, bo nie tylko z KPN-em a jeszcze z Solidarnością Walczącą, która wówczas była słabsza. To byli fantastyczni ludzie, którzy opanowali Wrocław, opanowali Śląsk. Tam mieli mocne struktury, ale w Warszawie – słabszą, więc trzeba było ich wspierać. Pisałem i do naszych, i do ich pisemek a czasem je kolportowałem. Tak to było w praktyce, o czym w latach osiemdziesiątych sam się przekonałem. Do Restytuta Staniewicza do Poznania jeździłem z Leszkiem jako przedstawiciel KPN,

czy może jeszcze Ruchu Obrony. Ale z Wojtkiem Ziemińskim jeździłem jako Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu (to on mnie tak przedstawiał; ja nie mogłem: nazwa była za długa i w połowie zaczynałem się śmiać). Powiedziałem, że nie przyjmuję do wiadomości tego, że oni się kłócą. W rezultacie musiałem pisać i dla jednego, i dla drugiego. Potem z Wojtkiem jeździłem kilka razy do Krakowa. Tam towarzystwo też było „mieszane”, dominowali harcerze – ale to byli przedwojenni harcerze, tacy koło sześćdziesiątki.

Jak trafiłeś do Nurtu Niepodległościowego już z Leszkiem Moczulskim, Szeremietiewem, Stańskim? Od strony organizacji generała Abrahama czy w jakiś inny sposób?

– Moczulskiego poznałem zupełnie przypadkowo, choć podobno nie ma przypadków. Sam zresztą oceń. Wygrałem konkurs na dramat („Białe Ogrody” – o Polakach w Komunie Paryskiej, nawet przemyciłem to, co Piłsudski napisał o Dąbrowskim, a napisał dobrze i wzruszająco). Dramat mieli wystawić we Wrocławiu, ale Jarocki się przestraszył, odważył się Jan Paweł Gawlik w Krakowie [prapre-

miera odbyła się 17 grudnia 1975 r.]. Dyrektor Gawlik zaprosił mnie na spotkanie. Wsiadam do przedziału – siedzi jakiś szczupły facet w okularach i coś czyta. Wyobraź sobie – czytał moje „Białe Ogrody”! Leszek Moczulski to był wtedy najgłośniejszy historyk i Gawlik zaproponował mu tekst do programu. Ponieważ też kupował bilet w „Orbisie”, to los wsadził nas do jednego przedziału. A jeszcze Gawlik zarezerwował nam ten sam hotel. Spotkanie było nieuniknione. Leszek za imponował mi wiedzą. Przeszliśmy na ty i nawet razem zrobiliśmy pielgrzymkę do Piłsudskiego na Wawel.

KPN był mi chyba przeznaczony, bo zaczął mnie do niego także wciągać Stefek Melak – kumpel, którego poznałem jeszcze przed Marcem w akademiku na Kickiego. Przychodził na nasze spotkania i tak mądrze zabierał głos, że braliśmy go za studenta albo asystenta historii. Z jego inicjatywy przez krótki okres działała taka pseudo rada polityczna, ale nie chodziło o władzę, tylko o to, że jak ktoś przyjeżdża z terenu, to żeby do kogoś się mógł zgłosić. A tu i Leszek, i Andrzej, a potem nawet Krzysio Król poszli siedzieć i te kontakty spadły na grupkę która została, głównie na Stefka. Znowu byłem czeladnikiem! Tadek

i Romek poszli potem „na swoje” robili PPN. Stefek utrzymywał ze mną cały czas serdeczne stosunki, co przekładało się na to, że musiałem mu pisać artykuły, a czasem porywali mnie z domu i wywozili gdzieś, gdzie ludzie już czekali. Stefek wiedział, że o Piłsudskim mogłem mówić obudzony w środku nocy – więc czasem mnie budził i wywoził.

Potem był ożywiony okres na Ursynowie, gdy wykorzystaliśmy miejscowy punkt nauki języków. Kręciła tym córka pani Zofii Idziakowskiej i Andrzej Szomański. To już była hurtownia, bo w budynku można było chować nie tylko papier, lecz i ludzi. A po drugiej stronie ulicy mieszkał Kirpluk. Co jakiś czas cykaliśmy „Słowo Podziemne”, ale już nieregularnie, za to często wznawialiśmy antologię. To jakiś nowy wiersz Jurka Tomaszewicza, to Marty Berowskiej. Po śmierci Popiełuszki – coś Tadzia Mocarskiego, oczywiście anonimowo. Mówiąc hurtownia mam na myśli też swoje mieszkanie. Kilkanaście numerów „Przyszłości Polski”, było też pismo „Konfederat” (czyli „Konfederata”, to było to samo, tylko chłopcy kłócili się o nazwę).

Graliśmy na dwóch fortepianach, bo nielegalna grupa „Grotolazów”,

przetworzyła się w Społeczny Komitet Pamięci generała „Grotą” Roweckiego i Jego Żołnierzy. Spotkania (półlegalne) odbywały się w Klubie Lekarza w Alejach Ujazdowskich, lecz te „prawdziwe” – dalej u pani Eli na Hynka, albo w jakichś jednorazowych lokalach. W Alejach odbywały się „opłatki” i „jajeczka”. Tam bywało więcej opozycjonistów, a właściwie pół i ćwierć opozycjonistów. Na przykład był Gieysztor, był Orsza-Broniewski, był sprawozdawca Bohdan Tomaszewski, ale na te najbardziej tajne go nie zapraszano – damy miały mu coś za złe (dopiero po latach dowiedziałem się, że był kiedyś TW „Guzikowskim”, potem starał się to odrobić, ale nie do końca mu ufały). Ten Komitet zrobił kilka pięknych i ważnych rzeczy, bo jeszcze kilka lat wcześniej postać „Grotą” była wymazywana z historii przez cenzurę. Dziesięć lat po wyrzuceniu mnie z telewizji i brałem udział w odsłanianiu tablicy na Spiskiej, w 38 rocznicę aresztowania Generała, potem udało nam się ochrzcić most przez Wisłę jego nazwiskiem (podniosła uroczystość zakończyło przejście po raz pierwszy mostem na drugi brzeg).

Poza tym dzięki Tomaszewskiemu i Szomańskiemu (a tak napraw-

dę to dzięki naszym trzem damom) wznowiona została idea pomnika Powstania Warszawskiego. W 1983 roku ogłoszono konkurs, rok później rozstrzygnięto, działało oficjalne jury i nieoficjalne. Wygrał Piotr Rzeczkowski – młody geniusz (rocznik 1955). To było z rozmachem: dwie ściany odległe o 63 metry, zwykli ludzie, którzy wchodzi w pierwszą ścianę, wychodzą z niej jako żołnierze... Ale władze nie chciały zgodzić się na nazwę. My chcieliśmy pomnik Powstania i tego się trzymał Rzeczkowski a władze upierały się przy nazwie Żołnierzy Powstania (potem spuściły na Bohaterów Powstania). Chodziło im o to, aby nie czcić Powstania, które było niesłuszne, tylko ludzi, którzy czasami byli bohaterami. Rzeczkowski na takie machlojki się nie godził, powtórzono konkurs i ostatecznie wybrano projekt profesora Wincencego Kućmy – realistyczny, by nie powiedzieć socrealistyczny. Nasz udział był nieoficjalny. Mieliśmy już przykazane, by nie dać się fotografować, nie pchać się z nazwiskami. W końcu zrobili Pomnik Bohaterów Powstania a kamień węgielny wmurowywał sam Jaruzelski – ohyda!

Pytałeś o środowiska. W mojej odpowiedzi jest bałagan, ale tak wła-

śnie było. To był ruch spontaniczny, środowiska się przenikały, zwłaszcza na poziomie głębszego zaufania, gdzie tworzyła się nieformalna elita. Bez względu na to, gdzie udzielał się Abraham, wszędzie się z nim liczone. Tak samo nasze trzy damy. Ja funkcjonowałem nie tylko jako syn akowca, ale jako młody opozycyjny poeta, co nie było takie powszechne. W pierwszym okresie Barańczak był w PZPR, Zagajewski wykładał marksizm-leninizm, Rymkiewicz w ogóle od nas się odciął i podpisał list 600 [powstały z inicjatywy egzekutywy POP PZPR Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich – kontrlist wobec „listu 34” z 1964 roku, który był protestem wobec cenzury PRL]. Opozycjoniści nie mieli oparcia nawet we własnym środowisku. My psuliśmy układy, jątrzyliśmy. Żuliński czy Kurylak pisali na mnie tajne donosy bo byli „tewulcami”, ale Barańczak atakował mnie jawnie, jako aktywista partyjny.

Tych grup i kółek było dużo, tylko przez lata były utajnione. W połowie lat 70-tych zaczęły się ożywiać. Radom był już skutkiem zmiany nastrojów. W Warszawie – jak już mówiłem – ogromną rolę odegrały wspomniane trzy damy. Miały au-

torytet, potrafiły godzić, ba, potrafiły rozkazywać! Trudno więc mówić o jednolitym, jednoliniowym, rozwoju Nurtu Niepodległościowego. I to bardzo dobrze, bo wtedy byłaby to tylko jedna struktura, którą esbeka łatwo mogła rozbić i społeczeństwo znów by zgąsło. Nastąpił sojusz pokoleń. Ludzie działali w różnych kręgach, na różnych poziomach, czasem byli skonfliktowani – na przykład córka generała „Grotu” i jego brat, mecenas Stanisław Rowecki. W tym pokoju, na tych fotelach udało mi się ich posadzić i pogodzić. To jeden z moich największych sukcesów w Nurcie Niepodległościowym.

W telewizji też próbowaliśmy wykorzystać legalne struktury do nie całkiem legalnej działalności. Mistrzem był Grzegorz Królikiewicz, jeden z tych dobrych konspiratorów, o których zasługach się nie wie. A on nawet powiełał legalnie w telewizji nielegalne materiały. Próbowaliśmy zrealizować serial o Armii Krajowej, oczywiście o „Grocie” Roweckim, zdradzie Kalksteina, o Powstaniu (ale na kontrze do zbyt „czerwonych” Kolumbów). Wydawało się, że może się uda, akurat Polaka wybrali na papieża, ale to jednak „czerwoni” nie popuścili – prace nad serialem nam

przerwali, zresztą po interwencji Jaroszewicza i wywalili mnie z telewizji. Postanowiłem, że postawię na swoim i wyreżyseruję to w Wałbrzychu. Miałem pomoc dyrektora Andrzeja Marczewskiego, reżysera legendarnego widowiska „Mistrz i Małgorzata” (najlepsze widowisko w tamtych czasach). Na jedną z prób naszej sztuki o „Grocie” przyjechał nawet „Porawa” – jak potem się przyznał miał nadzieję, że przyjedzie też Kalkstein i on wreszcie wykona na nim wyrok. Kalkstein nie przyjechał, a sztukę w ostatniej chwili nam zdjęto. Wyobraź sobie, że znów po interwencji Jaroszewicza, który zadzwonił do wałbrzyskiego komitetu partii i opierdolił ich jak święty Michał diabła. Było to działanie nieformalne, bo co miał Jaroszewicz do teatru? My podpadaliśmy pod Ministerstwo Kultury, nie pod partię, zwłaszcza wałbrzyską. No więc nie było szans. Pomógł nam przyjaciel Szomańskiego, Janek Siekiera, który pracował w Ministerstwie.

Mówiliśmy o nim – „nasz człowiek w ministerstwie”. Byli razem z Andrzejem na polonistyce. Potem Andrzeja aresztowali (dla efektu wprowadzili z wykładu), a Janek został, skończył studia i miał kompleksy. Wcześniej obaj załapywali się na reszt-

ki WiN-u i tzw. bitwę o gruzy w Warszawie. W nocy Warszawa do nich należała, ale w dzień wszystko wracało do normy, czyli rządili „czerwoni”. Jankowi ja też sporo zawdzięczam, bo na przykład wpisał mnie kiedyś na listę stypendystów. Stypendium mi się należało, bo wygrałem ogólnopolski konkurs na dramat (zostałem w polu i Różewicza i Mrożka, co wiem od Janka), ale nie było odważnego, który by podpisał decyzję. Za mną już wtedy łąziła bezpieka, zaliczyłem pierwsze wyrzucenia z pracy (z dwóch uczelni i z dwóch redakcji). A Janek się odważył. Na końcu listy było miejsce, ja zgodnie z alfabetem byłbym ostatni. I Janek się nie obcyndalał tylko wpisał moje nazwisko. Ale nie o tym chciałem – to tylko dygresja, spleta długu wdzięczności.

Wracam do wystawienia „Grota” w Wałbrzychu. Janek podpowiedział nam taki numer: sztuka została zdjęta nieformalnie, właściwie rozkaz wydała prowincjonalna organizacja partyjna. Więc poradził, żebyśmy się odwołali do ministerstwa w Warszawie, zaznaczyli, że jesteśmy otwarci na zmiany, że teatr wykosztował się na kostiumy. I oni przysłał komisję ministerialną..

I puszcza?

– Nie, zdejmą. Ale wcześniej wydadzą nam zgodę na próby wznowieniowe. Janek załatwił nam 10 takich prób. Trzy damy organizowały autokary z Warszawy i Wrocławia pełne starych akowców. Pani Rowecka, czyli Irena (tak mówię, bo tak myślę o niej, byliśmy już po imieniu, była częstym gościem w naszym domu, z córką chodziła na spacer), więc Irena nawet mieszkała kilka dni w Wałbrzychu.

„Porawa” też? I czekał na Kalksteina?

– Nie. „Porawa” jakoś wtedy umarł, nie doczekał tych dodatkowych prób. Ktoś mówił, że Kalkstein jednak przyjechał, ale nie jestem pewien. W każdym razie przez te dziesięć prób sztuka szła kompletami. Kto miał widzieć – widział. Marczewskiego potem chcieli wyrzucić za straty, że wydał na kostiumy a szuka nie poszła, ale szybko wystawiliśmy naszą „Balladę o Hubalu” i wszystkie kostiumy zagrały. Oczywiście i tak wiedzieliśmy, że partia nam nie daruje, że nasze dni w Wałbrzychu są policzone. Jak trafiła się okazja w Płocku, tamtejszy dyrektor Skotnicki chwycił jakiś wyjazd do Ameryki, pieprzył teatr i miasto ogłosiło rozpaczliwie konkurs – Mar-

czewski się zgłosił i wygrał. To już był człowiek legenda. No i był rok 1980.

No właśnie, przychodzi rok 1980, jesteś jeszcze w Wałbrzychu i co robisz?

– W Wałbrzychu pracowałem chyba od 1979 r. W 1980 r. już prowadziłem tajne wykłady dla nauczycieli, czasem nawet w swoim pokoju w teatrze. Tam potem organizowaliśmy wolne związki (jeszcze bez nazwy „Solidarność”), bo w gabinecie Marczewskiego się nie mieścili, a na głównej sali nie chcieliśmy. Zaczęliśmy też spotkania z młodzieżą, półlegalne. To znaczy spotkanie z „ludźmi teatru” były legalne, ale teksty – nielegalne. Zrobiliśmy z tego antologię poezji patriotycznej, która przydała się w Płocku, a nawet potem była bazą do wydania przez Edka Kirpluka pierwszej antologii stanu wojennego.

Po wakacjach 1980 r. zaczęli przyjeżdżać warszawiacy z KORu, ludzie Lityńskiego. „Grot”, „Hubal” – to nie była ich tradycja. Więc ta grupa najbardziej „umoczona” z Kaziem Tałajem (który grał w mojej sztuce majora Hubala i chodził recytować nielegalne wiersze), także Marek Zieliński (który był naszym delegatem na zjazd na

Wybrzeże), znakomita Buba Zielińska (teraz babka czarownica w serialu „Ranczo”), Mazur (który grał Wolanda) i jeszcze parę osób przeniosło się do Płocka.

Zorganizowaliśmy tam Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. To była właściwie filia KPN. Poza tym organizowałem (z pomocą Kazia Tałaja) Teatr Myśli Politycznej. To był pierwszy i jedyny w Polsce teatr „Solidarności”. Ostatecznie nazwaliśmy go „Scena '81”. Zdążyliśmy wystawić „Rozmowy z katem” Moczarskiego, a w przeddzień stanu wojennego – jedyne przedstawienie mojej sztuki o Piłsudskim „Czarny pierścień” (monodram, którego bohaterem był Piłsudski, a Bożena Mrowińska grała Aleksandrę Piłsudską; monodram, ale trochę uatrakcyjniony, bo dodatkowym aktorem był telefon). To było 12 grudnia 1981 roku, wieczór, przedstawienie dla uczestników zjazdu poetyckiego. Był Tałaj, była Ulka Ambroziewicz (szefowa solidarnościowej kultury, dla jej pisma także pisałem regularnie artykuły oczywiście przeważnie pod pseudonimem, albo nie podpisane). Nie to, żebyśmy przewidywali klęskę „Solidarności”, ale widzieliśmy, że bezpieczeństwa ma się dobrze. Premiera „Czarnego pier-

ścienia” była wzruszająca, następnych przedstawień już nie było (do dziś zresztą – z wyjątkiem jednego kościoła i jakiegoś klubu). Bożena zagrała to na pożegnanie, zanim poszła do Domu Starego Aktora w Skolimowie, gdzie niedawno umarła. A w stanie wojennym w Klubie Nauczycielskim u Leny Szatkowskiej odbyła się już zupełnie nielegalnie impreza poetycka. Pierwsza wolna impreza kulturalna w stanie wojennym. Na wniosek Leny zadedykowaliśmy ją Ulce Ambroziewicz, bo już wiedzieliśmy, że w nocy ją internowano. Wspaniałe dziewczyny! Nasza konspiracja w dużym stopniu była napędzana tym, że chcieliśmy im zaimponować.

A pierwsze druki?

– Jeszcze zanim się zaczął stan wojenny, to mieliśmy gotowe materiały. Wchodziliśmy z tym do szkół, wchodziliśmy do robotników strajkujących w zakładach Płocka. Działając w ten sposób mieliśmy jakby całą taką „wędrowną antologię poezji patriotycznej”. Jak stan wojenny wprowadzono, no to myśmy po prostu tę antologię wydali drukiem i to wydaliśmy dzięki działaczowi, który był blisko KPN-u. Mówiłem już, że wywodził się z PAX-u,

a mieszkał tu na Pięciolinii, więc łatwo było konspirować i redagować – Edek Kirpluk. Oni zrobili rzecz znakomitą, weszli do podziemia, chyba za wiedzą i z poparciem Reiffa [Ryszard Reiff – ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX]. W każdym razie weszli z posagiem w postaci maszyny drukarskiej i papieru. Druk odbywał się na Ursynowie. Pismo zwane „Słowo Podziemne” było wzorowane na „Słowie Powszechnym” PAX-u, wystarczyło zmienić parę liter. Było pierwszym, poza oczywiście ulotkami i jednym z najpopularniejszych pism podziemnych w Warszawie, zanim związek się otrząsnął i zaczął odbudowywać prasę, w czym zresztą też musiałem pomagać. Dzięki tej drukarni myśmy wydali naszą pierwszą antologię zakazanej poezji podziemnej, właśnie opartą o wiersze, które Kazio Tałaj, Bożena Mrowińska, czy inni aktorzy naszego teatru recytowali w Płocku, a wcześniej w Wałbrzychu.

13 Grudnia. To było dla Ciebie wydarzenie spodziewane, czy to był szok?

– Spodziewane od samego początku. Odkąd Jaruzelski wpuścił w teren te grupy wojskowe, to było wiadomo.

Jak oni zaczęli łączyć po domach, po podwórkach, to nie po to by starszkom drewna narąbać, tylko żeby wszystko wyszpilować. Od tej pory byliśmy nastawieni, że nas mogą zwinąć. Nie sypialiśmy w domu.

Akurat 13 Grudnia byłem w Płocku. Potem sąsiad w Warszawie powiedział, że rzeczywiście po mnie przyszli, no ale jak mnie nie zastali to sobie odpuścili. Im zależało na pierwszym efekcie, żeby złamać i zaszokować, a potem dosłownie skończyło się na jednej, rozmowie ostrzegawczej na Rakowieckiej, w czasie której niczego im nie podpisałem, zresztą nawet mi nie proponowali żadnej współpracy. Jak już tyle razy im odmówiłem, to wiedzieli, że taka rozmowa to stracony czas.

Wiedząc, że w Warszawie może być różnie, zamelinowaliśmy się z żoną na krótko w Wyszogrodzie. Trochę przeczekaliśmy, potem wróciliśmy do Warszawy, do mieszkania na Ursynowie. Zaczynał się czas wypuszczania pierwszych aresztowanych (na święta). Ulkę zamknęli w nocy, po powrocie z „Czarnego pierścienia”, lecz na święta już ją wypuścili. Trzymali pod kontrolą, ale jakoś zorganizowaliśmy łączność. Można powiedzieć, że rządziła

kulturą z aresztu domowego. I ona, i my zdawaliśmy sobie sprawę, że mogła być wypuszczona na wabia. Spotkania w Płocku odbywały się po mieszkaniach. Dość daleko i bardzo okrężnymi drogami żeśmy się na nie dostawali. Myśmy wtedy już wpadali na najróżniejsze koncepty. Trochę moja ostrożność (a może niedobór odwagi w organizmie?) zdecydował, że starałem się zawsze być czysty. Jak przewodziłem jakiś – myśmy mówili „towar” – (gazetki, czasem książki), to starałem się nie mieć tego przy sobie. Zawsze były osoby towarzyszące, które nie siedziały koło mnie w pociągu. Były też takie do robienia rejwachu (bezpieka tego strasznie nie lubiła). Nawet jak bezpieka złapała mnie na dworcu i przewoziła na komisariat, to ja byłem czysty, a te osoby robiły co do nich należało. Potem myśmy wpadli na pomysł, żeby nie wozić tego aż tyle – woziliśmy jeden egzemplarz gazety bądź jakiejś książki, a na miejscu w Płocku oni to powielali i drukowali więcej. Tak samo było w Łodzi. Ten trójkąt Warszawa – Płock – Łódź bardzo dobrze funkcjonował. W Łodzi byli jeszcze ci starzy działacze Ruchu z tego pierwszego pokolenia Czumów i oni się wspinały do tego włączyli. Oczywiście też

mnóstwo działaczy „Solidarności”. To powinno się doczekać osobnej monografii. Niestety z góry wiem, że nie będzie ta monografia pełna. Po pierwsze ludzie się kamuflowali (w jednych środowiskach konspirowali, w drugich udawali legalistów), nie występowali pod nazwiskami (ja, spotykałem się z ludźmi, coś przekazywałem, a nawet nie wiedziałem jak się oni nazywają). Z tymi z Łodzi to tak, po nazwiskach poznaliśmy się dopiero, gdy wręczano nam medale „Solidarności” o długiej, ale pięknej nazwie „Za zasługi w Walce o Niepodległość Polski i prawa człowieka 13 XII 1981–4 VI 1989”. I wywoływano nas po nazwiskach. Ale to już było koło roku 2000 i kilku ze swoich „kontaktów” nie zdążyłem poznać, bo nie dożyli. „Trzeba się spieszyć”, jak mówił ksiądz poeta Twardowski...

Czy w czasie Karnawału Solidarności miałeś kontakty z Konfederacją bądź z Komitetami Pomocy Więzionym za Przekonania?

– Z wszystkimi naraz. Byłem w strukturach „Solidarności” i KPN. Mówię w liczbie mnogiej, bo jedną nogą byłem jeszcze w Wałbrzychu, drugą –

już w Płocku, trzecią – w Warszawie, a czwartą (trochę się zagalopowałem) w Bytomiu. Oczywiście nikt nie miał legitymacji, niektórzy składali przysięgę. Ode mnie nie wymagano. Zresztą początkowo funkcjonowałem raczej jako taki – jak to nazwał Szomański – „oficer kontaktowy” ze Związku Piłsudczyków. Związek chciał działać, Wójcik czy Motyczynski przeżywali kolejną młodość. Ale biologia jednak jest biologią. Poza tym nie byliśmy organizacją liczną a chcieliśmy coś zrobić – pomóc, doradzić, napisać. KPN wciągała powoli. Głównie przez związki przyjaźni z Leszkiem, Andrzejem, Stefką Melakiem.

Działaleś w „Uniwersytecie Lotnym”...

– To szumna nazwa. W rzeczywistości to były serie wykładów po mieszkaniach. Andrzej Szomański organizował „Uniwersytet Lotny”. Chyba pomagał mu Manuel, ale nie jestem pewien, bo akcja była tajna. Nazwa od Oddziału Lotnego Wojska Polskiego z czasów walk o niepodległość Polski.

Myślałem, że konkurencja z „Uniwersytetem Latającym”?

– Trochę też. „Uniwersytet Latający” był podwiązany pod KOR, jeszcze wtedy marksizowali, ich program to był komunizm o ludzkim obliczu i finlandyzacja Polski (słynne dwa aksjomaty Kuronia). A myśmy to organizowali jako rodzaj korepetycji z niepodległości (z myśli niepodległościowej, z poezji niepodległościowej), ale przede wszystkim były to korepetycje z optymizmu. To podstawa niepodległości. Wiara, że jak się upadnie dziesięć razy, to trzeba wstać jedenaście razy. To powtarzałem na zakończenie każdego spotkania. Przez tamte lata odbyłem kilkadziesiąt spotkań zarówno na tym, jak i na tamtym brzegu Wisły! Dzisiaj nie byłbym w stanie wskazać żadnego adresu, nie mówiąc o tym, że myśmy wówczas chodzili bardzo okrężnymi drogami, podczas gdy były prostsze dojścia.

Pamiętam takie spotkanie, na którym trzeba było jakoś się przedstawić i ktoś kto mnie wprowadzał przedstawił mnie jako Wolskiego (nie wiedziałem wtedy, że to jest pseudonim Jaruzelskiego, ale widocznie sprawiedliwość wyższa wymagała, że jak u nich był zły Wolski, to u nas musiał się ten dobry pojawić, bo inaczej harmonia świata by ucierpiała). Miałem wykład o Piłsudskim i ustawiłem go

pod takim kątem, że Piłsudski ponosił porażki (nie wyszło mu z PPS-em, nie wyszło w 1905 roku, wcześniej nie wyszło ze spiskiem na cara), ale wciąż był wytrwały, wciąż działał dalej i wciąż się z porażek podnosił. Kończę wykład, mówię, że trzeba wstać jedenaście razy. Mimo że to było mieszkanie w bloku na osiedlu, rozbrzmiały oklaski, ale potem ... Ustawia się kolejka, kilka osób ma moją książkę, „Myśl romantyczna” i mówią do mnie: „Panie Wolski niech Pan podpisze”. Byłem autentycznie wzruszony, ale to jest też ilustracja jak ta nasza konspiracja wyglądała. Nie do końca przestrzegane były reguły. Nasza konspiracja opierała się nie na technice a na etyce. Nikt z tych, którzy wiedzieli, że ten Wolski, to nie jest Wolski, nikomu nie doniósł. W dokumentach IPN-u nie ma na ten temat śladu. Nie ma ani jednego donosu o tych tajnych wykładach, gdy na przykład o wykładach w kościele – są. Więc to była jednak dobra konspiracja.

Może i ludzie się sami selekcjonowali?

– Chyba tak. No nie mówiąc o tym, że jednak byli selekcjonowani przez szefów, to sami się też selekcjonowali. W latach 80-tych być w struktu-

rze nielegalnej, to znaczyło, liczyć się z więzieniem. Na tym etapie już trzeba było pewne bariery lęku pokonać, a także i powziąć pewne zobowiązania. Zdarzało się czasem, że ktoś był łamany takimi właśnie argumentami jak, wie pan, żona, dzieci, niech pan to podpisze. Ci którzy do nas przystępowali, jak gdyby już w swoich duszach to przełamanie uczynili. Poza tym wiedzieli, że jak już zostaną uwięzieni, to koledzy ich nie opuszczą i pomogą. Nie słyszałem o żadnym przypadku, że ktoś siedzi a żona nie ma co jeść. Sam zanosilem ludziom różną pomoc, jakieś kostki masła, mąkę, czy cokolwiek. Z mięsem było trudniej. Mięso po kilku dniach by się zepsuło i wtedy najbardziej słynny z poświęceń działacz podziemia by tego nie zjadł. Na Ursynowie takim szefem podziemnego zaopatrzenia był Jurek Szczęsny, też jedną nogą w KPN, jedną u ursynowskich demokratów, jedną u Kirpluka. Oczywiście byliśmy obaj w podziemnej „Solidarności”.

Po 13 Grudnia Twoja sytuacja się zmienia. Byłeś zatrudniony w radiu?

– Z radia mnie wywalili, jak wielu działaczy „Solidarności”. Postawili transporter i nie wpuszczali. Potem

były rozmowy, nie takie jak na Rakowieckiej, ale też z udziałem SB. Proponowali pozostawienie w pracy, najpierw za współpracę z SB, potem już tylko za popieranie WRON-y. Odmówilem i dostałem „zwolnienie ze służby w jednostce zmilitaryzowanej Polskie Radio”. Przekradłem się do Płocka, bo wtedy jeszcze trzeba było się przekradać (początek 1982 roku). Była szansa, żebym został kierownikiem artystycznym, po Marczewskim – a zarazem jakby jego namiestnikiem, bo on przechodził do Warszawy. Mieliśmy połączyć wysiłki i programy, byłoby taniej i na wyższym poziomie. Niestety, z Warszawy przyszedł donos. Ja załapałem się dopiero po wakacjach, na podrzędne stanowisko kierownika literackiego, ale na 30 lat. Właściwie wtedy urwał się kontakt z warszawskim środowiskiem naukowym, z bibliotekami – a przecież wtedy kończyłem swoją historię polskiej filozofii. Wpadałem przypomnieć się rodzinie i pokonspirować, a potem wracałem do Płocka. Tak przez 30 lat. Pozbyto się mnie dopiero, gdy byłem w szpitalu.

Do tego jeszcze dojdziemy. Na razie jest rok 1982, jesteś w Płocku i udało się jakoś Cię przechować.

– To głównie zasługa mojego dyrektora teatru Andrzeja Marczewskiego, który po prostu nie uległ naciskom. Potem przeniósł się do Warszawy. Potem go wygnali za próbę zrobienia „Termopil Polskich” Micińskiego. Niechlubną rolę odegrał konsultant SB, zresztą pisarz, Aleksander Nawrocki, który na ten spektakl i na Marczewskiego zakablował. Doniósł, że to jest takie antyradzieckie, że drobne ingerencje nic nie zmieniają, trzeba by pisać od nowa. Przy warszawskiej, nieudanej zresztą realizacji kręcił się Maciek Bordowicz, poeta, aktor, reżyser a prywatnie przyjaciel Nawrockiego. Chłopcy dedykowali sobie wiersze. Matka Bordowicza i moja żona pracowały razem w „Rozmaitościach” – stąd znam trochę szczegółów. Bordowicz próbował zrobić „Termopile Polskie” w Łodzi.

Tak jak ty „Grota” w Wałbrzychu?

– I z takim samym skutkiem. Bo pochwalił się przyjacielowi Nawrockiemu, ten zakablował to esbecji i koniec końców pogonili Bordowicza z Łodzi razem z „Termopilami”. Ale szczegółów nie znam, bo siedziałem przeważnie w Płocku.

Darek Stolarski też pracował w waszym teatrze w Płocku.

– Tak. Fantastyczny chłopak! Do tego uzdolniony. Pokazywał mi swoje wiersze. Był działaczem Federacji Młodzieży Walczącej, potem szefem Okręgu KPN. Pracował u mnie w teatrze, a potem ja u niego byłem przez pewien czas szefem kultury w KPN. Współpracowaliśmy z Ulką Ambroziewicz. Darek najprawdopodobniej został zamordowany przez służby. Prowadził biuro interwencji KPN i wpadł na ślady przekrętów w Petrochemii. To była jedna z ostatnich ofiar tamtego systemu. Zmarł w październiku 1993 roku, o ile pamiętam.

Tak. Noc z 16 na 17. Ja Darka poznałem na Rakowieckiej. Pod jedną celą byliśmy wspólnie prawie półtora miesiąca. Ja go też przekazałem pod opiekę prawną Piotrowi Andrzejewskiemu. On miał jakiegoś mecenasa z Płocka, tylko nie wyglądało na to, że ten pan adwokat się nim i jego sprawą przejmie. Trzeba też przyznać, że Darek miał jeden z najpoważniejszych zarzutów z wszystkich więźniów na trzecim pawilonie MSW, bo on

miał zarzut próby obalenia ustroju PRL siłą. A wiemy obaj, że podpadł ubekom za podanie do publicznej wiadomości adresów zamieszkania funkcjonariuszy SB.

– No i paru tajnych współpracowników im spalił. To był wspaniały chłopak, wysportowany – pływak, kajakarz i to w czołówce kraju, poza tym zrobił kurs pilotażu, zaczynał prowadzić helikopter (znajomy – też zresztą z KPN – miał firmę i latałem z nimi nad Płockiem). A poza tym Darek pisał wiersze. Dobrze – wiem, bo je oceniałem. Trochę jakby polska odmiana haiku.

Po jego śmierci była dramatyczna sytuacja, ale był też taki symboliczny moment. Darek miał na ścianie matę i miał zwyczaj wieszać na niej wierszyki – on w zasadzie pisał miniatury – nad którymi pracował przypinając je szpileczkami do tych mat. To był dla nas jeden z przekonujących dowodów, że ebecja wcześniej była w jego mieszkaniu. Jak myśmy przyszli [tj. Bohdan Urbankowski, Bożena Kosińska i Michał Tokarzewski] by komisyjnie otwarto mieszkanie, to ja zażądałem, żeby zebrano odciski palców. Musieliśmy poczekać, bo dopiero

trzeba było posłać po specjalistę. Na drzwiach nie było – jakby ich nigdy nikt nie otwierał. Żadnych śladów w mieszkaniu. Dziwna rzecz, ale nie było także tych karteczek z wierszami. Tak, jakby gdzieś uleciały... Może esbecja je wzięła, bo myśleli, że to są jakieś szyfry czy notatki? To samo się powtórzyło w siedzibie KPN. Tam zresztą z szafy pancерnej zniknęły dokumenty biura interwencji i kilka czystych legitymacji. Bo to już był okres, gdy wprowadziliśmy legitymacje KPN, zwłaszcza na prowincji. Potem słyszałem, że jakieś wypłynęły we Francji i przynajmniej jedna w USA.

Wróćmy jeszcze do końcówki stanu wojennego. Ty ciągle współpracowałeś z grupami działającymi w podziemiu?

– Tak, ale to już było KPN, „Solidarność” oraz ta grupa działaczy tu na Ursynowie – wszystko na raz. W tym samym bloku trzy podziemne redakcje. „Niepodległość”, „Orientacja na prawo”... Myśmy robili także pismo „Orzeł Biały”. Oczywiście tylko koncepcyjnie. Teksty zabierał Staszek Mazurkiewicz (wnuk „Radosława”), raz czy dwa Tomek Merta (jak wyszli-

śmy z podziemia, to Tomek pracował z nami w „Gazecie Polskiej”, zginął w Smoleńsku). Szefową „Orla Białego” była Kasia Pietrzyk, też z wydziału prawa. Mazurkiewicz miał grupę na uniwerku „Organizację Akademicką Orzeł Biały” i to pismo musiało trzymać poziom. Oni wszyscy wstąpili do KPN.

W Płocku oczywiście byłem wciąż w „Solidarności” (przypuszczam, że nadal jestem, bo się przecież nie wypisałem). W Łodzi wspieraliśmy grupę „Przedświtu”. I oczywiście wspomagałem Bytom. Czasem jeździłem a nie zawsze mogłem nocować u własnej matki, w naszym dawnym mieszkaniu. Tam po mnie robotę przejął mój kuzyn, Janusz, mieszkał tuż pod Bytomiem, nikt nas nie kojarzył.

Działasz na polu słowa. Najkrócej mówiąc redakcja pism, redakcja publikacji?

– Czasem to, co się napisało trzeba było potem rozkolportować, bo akurat kogoś wsadzili. Ale głównie zajmowałem się pisanem i redagowaniem, publicznie miałem się nie pokazywać, bo byłem największym wytwórcą tekstów. W pionie organizacyjnym nie działałem, chyba że mnie ktoś zaprosił. Natomiast doryw-

czo współpracowałem z podziemnym radiem „Solidarności” i z „Jutrzenką” Andrzeja Cieleckiego. Pełna nazwa „Polskie Radio Armii Krajowej >>Jutrzenka<< im. gen. >>Grota<< Stefana Roweckiego”. Zacząłem po wyrzuceniu z Myśliwieckiej, więc nie miałem przerwy w pracy w radio. Ale tu było trudniej, bo kazali mi zmieniać głos, myśmy przeważnie albo mówili przez nos, albo wsadzaliśmy coś do ust, stąd część audycji robiła się nieco bełkotliwa. Wolałem pisać, a odczytywał kto inny.

To były krótkie audycje – 15 minut i spieprzać. Była zasada, żeby za każdym razem nadawać i spieprzać z innego mieszkania no bo się baliśmy namierzenia. Sytuacja jak w moim dramacie „Wyspa”. Cały czas musiałem się jeszcze dzielić z Płockiem, bo tam miałem stałe miejsce zatrudnienia. Chodziłem wciąż niewyspany, w dzień pracowałem jawnie, w nocy tajnie. Godzina policyjna, którą „czerwoni” wprowadzili po 13 Grudnia jednocześnie była czymś w rodzaju ochrony dla nas. Łatwiej było chodzić, przemykać się (jak ktoś wiedział którędy, to szedł niemal bez ryzyka). Dużo spraw się załatwiało właśnie nocą, trafiając do konkretnych ludzi, oczywiście na piechotę. Poznałem Płock jak mało kto!

Miałeś porównanie Płocka z Warszawą. Jak działalność przeciwko stanowi wojennemu była w tych miastach widoczna?

– Warszawa była bardziej widowiskowa z racji cyklicznych protestów ulicznych. Na przykład trzy damy prowadziły spacery podczas dziennika telewizyjnego, dookoła placu Narutowicza. Pani Zofia dała mi rozgrzeszenie z konspiracji tłumacząc, że jak mnie nigdzie nie będzie widać, to esbecja dopiero się tym zainteresuje i zacznie niuchać. Więc, żeby trochę manifestować, ale nie za bardzo. Tak na jakieś zatrzymanie, przesłuchanie, ale nie na dłuższe uwięzienie, bo kto będzie pisał? Rzeczywiście załapałem się na wezwanie i przesłuchanie, ale mnie nie wsadzili, więc mogłem pisać.

W Płocku manifestacje przeciwko zakłamanym mediom byłyby niezrozumiałe. Były poważne demonstracje, na przykład w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, dla uczczenia pomordowanych na kopalni „Wujek”. I to robili robotnicy. Inteligencja w większości się wystraszyła, a ci, którzy się nie bali – raczej zajmowali się gazetkami, tajnymi dyskusjami. To byli nauczyciele. No i nasz teatr oczywiście. Tutaj też grało się na

dwóch fortepianach. Sesje poświęcone Witkacemu czy Fredrze to były kpiny z „czerwonych”. Płockie dni Romantyzmu, to był zjazd opozycji, próba wylansowania polskiej filozofii przeciwko marksizmowi. W tym trochę się zorientowali, ktoś doniósł, rok później nie dostaliśmy zgody. Lecz dostaliśmy zgodę na Płockie Dni Poezji Miłosnej i robiliśmy dalej swoje. Tu działał Staszek Nawrocki, który wtedy zbliżył się do KPN, potem nawet wstąpił formalnie. Także pod płaszczykiem Towarzystwa Naukowego Płockiego czasem dało się coś przemycić, ale już rzadziej, bo Kuba Chojnacki, który był prezesem, był w PZPR i miał przetrącony kręgosłup. Czasem zgadzał się na jakąś imprezę, ale na wszelki wypadek wyjeżdżał. To był szczyt jego odwagi.

W Płocku elita była mała, wystraszona i to ją jednoczyło. W Warszawie elita była skłócona... Z jednej strony my – KPN, z drugiej strony KOR, który miał dobre przełożenie na radio Wolną Europę, na emigrację z 68 roku, która była przecież w dużym stopniu emigracją ubecką. Nie sądzę, żeby chcieli dawne grzechy odpracować, raczej liczyli na to, że jak coś się zmieni to wrócą jako ci skrzywdzeni – i tak się stało.

Cofnijmy się do 1984 roku. Wielka Trójka Konfederacji wychodzi z więzienia i następuje podział KPN. Jak to przejąłeś?

– Nie chciałem się przyczyniać do podziału. Kiedy oni siedzieli byłem w strukturze, którą kierowali Andrzej Szomański i Stefek Melak. Taka zupełnie nieformalna i samowolna Rada Polityczna. Broń Boże nie przejmowaliśmy żadnych funkcji, nie wydawaliśmy dokumentów. Chodziło o robienie czegoś i o ciągłość działalności. Koledzy poszli siedzieć, trzeba ich robotę wykonać. Ja w KPN nie sprawowałem żadnej funkcji, do Rady Politycznej zostałem wybrany dopiero na początku III RP, też raczej do roboty, bo część ludzi odpłynęła do organizacji, które mogły czymś płacić. Myśmymy dalej pracowali za najcenniejszą walutę świata, czyli dla idei.

Ale to było docenione, jesteś jednym z niewielu, którzy zostali odznaczeni Srebrnym Krzyżem Zasługi dla KPN.

– Czasem czuję się zażenowany, ludzie bardziej zasłużeni nie doczeka-

li, nawet ich nie znamy. Przypomnę jak wspaniale działał Ursus (rozkreślił ich Andrzej Szomański). Załatwiali sprawy organizacyjne i druk. Tam też można było melinować przyjezdnych. Nigdy ich nie wydali, co najwyżej któregoś upili. A dziś nawet nie znamy ich nazwisk.

To się potwierdza, że wówczas ludzie z niektórych terenów kraju brali Andrzeja i Stefcia, także ciebie za tych namaszczonych. Brali ich za władzę KPN-u.

– Tak, ale wynikało to po prostu z faktu, że ktoś musiał to robić i myśmy traktowali jako taki obowiązek moralny. Jakoś podpieraliśmy na duchu Majkę a ona nas. Wspaniała, odważna. Tak zachowywały się żony powstańców...

A wracając do rozłamu w KPN, bardzo to przeżyłeś?

– Po prostu boleśnie. Bo widzisz, tu przyjaciele i tu przyjaciele. Leszka uważałem za ogromny autorytet, ma imponującą wiedzę, w przeliczeniu to 10 Friszków i 20 Geremków. Ile ja się od niego dowiedziałem! Korepetycje na najwyższym poziomie!

A jeśli chodzi o Romka i Tadzia Stańskiego, to nie było jakieś ordynarne zerwanie. Oni wcześniej mieli własną strukturę. To nie było tak, że oni stworzyli ją specjalnie. Oni wrócili do korzeni, do kolegów, z którymi jeszcze spiskowali w PAX-ie przeciw Piaseckiemu. Działali równoległe z nami, spotykaliśmy się już w latach 70-tych. Nieraz jeździłem z Leszkiem do Leszna (do Romka Szeremietiewa) małym samochodziem Leszka. On prowadził.

Teza, którą głoszą i Tadeu Stański, i Romek jest taka, że oni się rozstali ze względu na perspektywę działania. Leszek głosił, że trzeba iść na jawność w działaniu a oni uważali, że trzeba zejść jeszcze głębiej do podziemia i budować tajne struktury.

– Wiesz, o ile ja pamiętam tamte spotkania (a pamiętam je z racji upływu czasu coraz bardziej mgliście), to nieomal na każdym pojawiały się nowe, dokładne odwrotne koncepcje niż na poprzednim. To, czy działać jawnie (i do jakiego stopnia), czy nie – to był problem nieomal codzienny. Dlatego, że była jednakowa ilość

racji po obu stronach. Wspomniałem że była akcja bojkotu dziennika telewizyjnego. Brać w tym udział, czy nie? Jak brać to chcąc nie chcąc zwracamy na siebie uwagę i łatwiej nas namierzają. Jeżeli nie weźmiemy, to będzie, że się uchylamy, że może KPN nie ma nawet takiej odwagi. Bezpiekę, która przecież wiedziała o naszym istnieniu też by to zainteresowało. Te dwie koncepcje cały czas pulsowały. Leszek też się wahał. W pewnym momencie, na początku stanu wojennego on miał szansę, żeby się ukryć przed aresztowaniem. Znalazł się potem w więzieniu właściwie z własnej woli. To był gest. On chciał pokazać, że nie należy się bać, że można walczyć z otwartą przyłbicą. Romek i Tadek też się nie bali, ale oni uważali, że komuniści takich gestów nie docenią. Większość zso-wietyzowanego społeczeństwa – też nie. Używając pojęć nam bliższych: komuniści nie mieli i nie mają zdolności honorowej, to banda oszustów, cwaniaczków, gryzących się i donoszących jeden na drugiego, a nie żadni ludzie honoru. I przed kim tu manifestować? Odwołam się do innego przykładu – Pilecki. Jego pomyłka polegała na tym, że chciał traktować

Różańskiego jako polskiego oficera, a to był mały oszust.

Co się zmieniło po 1989 roku?

– Miałem takiego kolegę – myśmy się i kłócili, i lubili. Filozof, straszny cynik, musiałem się z kimś takim spotykać, bo na jego tle pomimo różnych grzechów czułem się czysty jak anioł. On po prostu przeszedł na drugą stronę i zaczął robić karierę w MSW. Tam dorobił się majora a w końcu nawet pułkownika. Był dumny, że z Kiszcza-kiem są po imieniu i jeżdżą na polowania. Ten kolega kiedyś mnie spotkał, chyba przypadkiem, bo stałem na przystanku. Zatrzymał się, wysiadł z samochodu i zaproponował mi udział w jakimś stole, czy „pod-stole” do spraw kultury. Powiedziałem mu: „Jeżeli to ma być uczciwe, jeżeli ma nastąpić wielkie zbratanie Polaków, to dlaczego nie poprosicie Moczulskiego, skoro zaprosiliście Kuronia, Gremka, Michnika? Przecież Moczulski nie jest mniej zasłużony w opozycji a KPN była największą partią opozycyjną”. A on tak jakoś się nadał, zamilkł, jakby szukał słowa. A potem powiedział – „On jest wrogiem”. Bez względu na to, co było kiedyś – wtedy

Leszek był dla nich prawdziwym wrogiem. Z pozostałymi można było się dogadywać, kombinować...

Po 1989 roku wielu działaczy podziemia chciało robić kariery. A KPN nie była u władzy, nie mogła rozdawać stanowisk. ZChN już mogło coś tam dać, PC też kupowało ludzi stanowiskami. To zaowocowało stworzeniem systemu, który teraz tak trudno rozmontować. Oni ileś tam ludzi skorumpowali, zdemoralizowali. A jeżeli ktoś już jest w tym układzie przestępczym to swoją uczciwość może oglądać tylko w nocy, pod kołderką. Tam wszyscy na wszystkich mają haki. To ich wzmacnia...

Więc to takie, jak mówią, łże-elity?

– Pod pewnymi względami to jednak są elity. Pod jakimi? Zacznę od tego jakimi nie są. Trentowski mówiąc o elitach potrzebnych dla Polski wyliczał trzy grupy. Powiem to w jego języku. Pierwsza grupa, to ludzie najświetniejszej realności – posiadacze, wybitni przemysłowcy czy ziemianie. Druga grupa, to ludzie najświetniejszej idealności – pisarze, filozofowie, historycy, którzy swoją twórczością podtrzymują tożsamość narodu.

I trzecia grupa, to ludzie najświetniejszej rzeczywistości, czyli ludzie czynu, działacze polityczni. On wymieniał Kościuszkę, my wymienilibyśmy Piłsudskiego. Oczywiście w PRL takich elit być nie mogło, nie było ich nawet w podziemiu, może trochę na emigracji, ale skoro nie mieli wpływu na Polskę, to jakie z nich elity? Co gorsze – nie ma takich elit w III RP. Przypomnijmy, ludzie najświetniejszej realności: Gawronik, Baksik, Gąsiorowski, Grobelny i jego „Beczka Kasa Oszczędności”, ostatnio głośny Marcin Plichta... Ludzie idealności: kiedyś Schaff, potem Bauman... Wreszcie ludzie rzeczywistości: Wałęsa, po drugiej stronie Kwaśniewski. Pamiętam takie wybory na prezydenta, gdy Polacy mieli do wyboru „Bolka”, „Alka” i „Musta”.

Pozwolę sobie na wspomnienie. Jest Marzec 1968 roku. Jest strajk. Najpierw byliśmy przed BUW-em, potem przeszliśmy pod gmach rektora wznosząc najśluszniesze i najpiękniejsze hasła. Na balkon wyszedł rektor i powiedział, że nie może rozmawiać z tłumem, że to chała i żeby jakąś delegację wyłonić. No to my znowu włączymy i przemawiamy – włączymy, bo tam była taka przyzma narą-

banego z chodnika lodu, więc nam się z tego zrobiła mównica. Ja też na tym stałem. Byłem za kandydaturą Miccia zwanego „Szafą”. On był szefem naszego klubu kulturalistycznego, najsilniejszy facet na Kickiego. Zresztą bardzo się fajnie zachowywał. W każdym razie ja za nim przemawiałem, nagle ktoś do mnie krzyczy, żebym już zlaź i przestał pieprzyć, bo „nasza” delegacja jest już na górze. Okazało się, że w międzyczasie paru cwaniaków z Wydziału Historii, ze skądinąd inteligentną Ireną Lasotą na czele, już poleźli do rektora jako „nasza” delegacja. A ja mogłem sobie przemawiać, ile chciałem. Słuchaj, to jest pewien symbol. Więcej – to jest klucz. Popatrz, co się dzieje w 1980 roku na stoczni w Gdańsku. Jest strajk, są robotnicy, są przywódcy protestujących, Ania Walentynowicz, Gwiazda, Wałęsa, przeciwko niemu różna opozycja itd. Nagle przyjeżdżają „ekspersi z Warszawy”. Oni potem przechwycą władzę. Nie wiem czy w składzie nie było tych samych ludzi, co w marcu 1968 roku albo ktoś z ich rodziny.

To są elity samozwańcze, ale nie należy ich lekceważyć. Gdy masa jest bierna, skrępowana zasadami religii czy regułami demokracji – wystarczy

paru tupeciarzy i oni narzucają się jako władza. Chwyty polegające na powoływaniu takich samozwańczych struktur po prostu się powtarzają. Taką elitę wynegocjowano i narzucono w Magdalence, gdy się zaczęła zużywać – pojawili się nowi samozwańcy. Ich siłą jest marazm naszego społeczeństwa, ale i obce interesy. Ja bym tego nie lekceważył. Ciśnie się cytować z Piłsudskiego: „Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur!” I dalszy ciąg, rzadziej cytowany: „Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym”.

Aneks poetycki

Boruta, z opowieści Generała Abrahama

*Nie jest prawdą,
że jego lanca
zakończona była widłami
z których wybuchał płomień –*

*Nie jest prawdą,
że wybiegł spod ziemi
na hasło Ojczyzna w potrzebie!
że przepalił wówczas podłogę*

dworku, w którym werbowano ochotników –

*Po prostu:
gdy ulani
o zmierzchu stanęli do apelu
okazało się, że
– jak nie liczyć –
wciąż więcej o jednego... Więc wiedzieli:
jest już wśród nich.*

*Najbardziej lubił nocne
wypady, zasadzki
gry rycerskie... W pobliżu Bielaw
jakby przefrunął rzekę
zniósł obóz pancernej dywizji.
Przez łąki pod Łęczycą
– dzień później –
szarżował na kolumny
piechoty. W powietrzu
słyszano łopot skrzydeł –
jakby rotę niewidzialnej husarii
pędziły, zmiotły wroga – lecz nie chichot
ale płacz ludzki
nieomal dziecięcy
słyszano w cichnącym wichrze.*

*Zginął –
nie,
nie w tej szarży.
Wkrótce potem:
w zwycięskiej bitwie pod Piątkiem.
Własną pierśią zastonił ulana,*

młodego chłopca...

*Kiedy diabeł pomaga ludziom
gdy kocha i rozpacza jak człowiek –
musi umrzeć jak człowiek. Nie pomogły
żadne leki i żadne modlitwy ułanów:*

Boruta

*zmarł, lecz znowu nie jest prawdą
że zniknął potem z trumny.
Poświęcona
ziemia przyjęła poszarpane ciało. Nad
grobem
tej samej nocy
nie kwiaty
nie wierzba wyrosła płacząca –
Wyrósł biały brzoźowy krzyż.
Panu Generałowi
dziękując za wieczór wspomnień
1974 lub 1975*

Kalendarium działalności Bohdana Urbankowskiego w okresie PRL:

– Choć urodził się w Warszawie, to w 1945 trafił do Bytomia i tutaj ukończył szkołę średnią. Tutaj w 1959 założył wraz z kolegami konspiracyjny Klub Artystów Anarchistów. Później utrzymywał kontakty z działaczami PAX z Bytomia.

– Po maturze wyjechał do Warszawy, gdzie studiował polonistykę oraz filozofię na UW (z filozofii zrobił doktorat – „Problemy humanizmu w twórczości Dostojewskiego”).

– W 1970 założył grupę poetycką – Konfederacja Nowego Romantyzmu.

– W 1. połowie lat 70. podjął pracę naukową na warszawskim AWF (w katedrze filozofii).

– W pewnym momencie z Urbanowskim nawiązał kontakt Stefan Matuszczyk – kapitan „Porawa”. Poprzez „Porawę” Urbankowski wszedł do kręgu Elżbiety Prądyńskiej (ostatniej miłości generała „Grota”) i zetknął się ze środowiskiem akowskim, m.in. z generałami: Abrahamem i Borutą-Spiechowiczem.

– Jesienią 1975 w Teatrze Starym w Krakowie wystawiono sztukę Urbankowskiego „W białych ogrodach”. W tym czasie Urbankowski nawiązał kontakt z Moczulskim.

– W grudniu 1977 Urbankowski podjął pracę w Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej Telewizji – „Teatr Faktu” (kierownikiem redakcji był Grzegorz Królikiewicz)

– W 1979 Urbankowski został usunięty z Telewizji i podjął pracę w Redakcji Dramatu Naczelnej Re-

dakcji Programów Literackich i Publicystyki Kulturalnej Polskiego Radia (do początków 1982).

– W latach 1979–1980 – pracował w teatrze w Wałbrzychu (jego dyrektorem był Andrzej Marczewski).

– W 1980 (po Sierpniu) przeniósł się z Wałbrzycha do Teatru im. Sza-

niawskiego w Płocku. Tutaj w 1981 działał w KOWzaP oraz założył Teatr Myśli Politycznej.

– Po 13 Grudnia pracował i w Płocku, i w Warszawie, współpracując z kilkoma podziemnymi pismami i różnymi organizacjami opozycji antysystemowej („S”, KPN, SW).

Z PROF. DR HAB. ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM
ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

Chciałam zapytać o Pana o wydarzenia związane z KPN – sprawa testowania kwestii legalności KPN i związanych z tym zatrzymaniami. Czy Pan przewidywał taki scenariusz?

Problem związany z podjęciem działalności niepodległościowej polegał tylko na tym, czy rozkład reżimu jest już tak daleko posunięty, że władze PRL nie będą w stanie przy pomocy Służby Bezpieczeństwa zdusić tego działania. Nasza analiza, gdy wypracowaliśmy decyzję budowania niepodległościowej partii politycznej upewniały, że będzie to możliwe. Ponadto trzeba też przypomnieć, że decydując się na taki kierunek działalności wychodziliśmy poza ramy tzw. opozycji demokratycznej; KOR i ROPCiO to były formacje, które deklarowały, że chcą bronić praw człowieka w ramach prawnych reżi-

mu PRL. KPN też deklarował działania zgodne z prawem – twierdziliśmy, że prawo w PRL nie zabrania tworzenia partii politycznych – ale nasze przedsięwzięcia miały sprawić, że PRL-u nie będzie. Nasza działalność miała prowadzić do odebrania komunistom władzy i do zmiany ustroju. Zakładaliśmy, że satelita Moskwy, Polska Rzeczypospolita Ludowa, zostanie zastąpiona przez niepodległą Rzeczypospolitą Polską. To było śmiertelnym zagrożeniem dla reżimu i wiedzieliśmy, że spotkają nas z tego powodu represje. A więc to, że trafimy do więzienia nie budziło mojej wątpliwości. Zasadne było jednak ustalenie, czy komuniści będą w stanie wyeliminować nas i całkowicie zlikwidować naszą działalność. Uznaliśmy, że takich możliwości reżim już nie będzie miał. Na czym opieraliśmy ten wniosek? W tamtym czasie analizując sytuację w Polsce

uważaliśmy, że wkrótce ujawni się zasadnicza sprzeczność między tym, czego chcą Polacy, a tym co może im zapewnić PRL. W dorosłe życie wchodziły miliony Polaków, którzy chcieli zakładać rodziny, potrzebowali mieszkań, mieli różnorodne ambicje życiowe. Było dla nas oczywiste, że rządząca PZPR fatalnie kierująca gospodarką „planową” nie będzie w stanie sprostać oczekiwaniom młodych Polaków. Przewidywaliśmy, że tym samym musi dojść do starcia strupieszalego PRL z dynamicznym młodym pokoleniem. Komuniści też zdawali sobie sprawę z tego zagrożenia, chcieli jakoś sprostać wyzwaniom. Pojawił się plan budowy tzw. drugiej Polski firmowany przez sekretarza PZPR Edwarda Gierka, ale to, jak wiadomo się nie udało.

Nabraliśmy przekonania, że szansą na odzyskanie niepodległości będzie rosnący w siłę demograficzny potencjał społeczeństwa. Przewidywaliśmy, że wystąpi fala społecznego antyreżimowego sprzeciwu i skończy się obaleniem komunistów, a więc odzyskaniem niepodległości przez Polskę. Widzieliśmy też narastający wielowymiarowy kryzys w całym bloku sowieckim. W Związku Radzieckim – trwała agresja sowiecka w Afgani-

stanie i widać było, że Sowietci przegrywają. Było widoczne, że Związek Sowiecki się chwieje i powinien upaść, a był on jedynym gwarantem istnienia PRL.

Nasza decyzja podjęcia walki o niepodległość wynikała z przekonania, że sytuacja społeczna i międzynarodowa będzie nam sprzyjała. Czym innym był jednak odbiór naszego działania w społeczeństwie polskim. Było wielu „realistów” i jeszcze więcej „rozsądnych”, którzy uważali domaganie się niepodległości za fantazjowanie, a nas nazywali „oszołomami”, a nawet czasem prowokatorami, którzy swym działaniem ściągną na Polskę sowiecką interwencję. Twierdzili, że Moskwa nigdy nie zgodzi się na utratę Polski. Ludzie ci nie wyobrażali sobie, że układ jałtański się rozsypie a Polska naprawdę stoi przed ogromną szansą odzyskanie wolności i samostanowienia. My natomiast uważaliśmy, że to się stać musi.

Drugą sprawą były doraźnie występujące uwarunkowania – co można było konkretnie robić i na ile skutecznie. Na ile jeszcze reżim PRL będzie w stanie paraliżować naszą organizacyjną działalność? No i okazało się, że komuniści są w sytuacji kryzysowej, zresztą jak cały „obóz socjalistyczny”.

ZSRR musiał zmniejszyć obciążenia zbrojeniowe, jego gospodarka nie podołała wyścigowi zbrojeń z Zachodem. Związek Sowiecki potrzebował dlatego odprężenia, doszło do konferencji bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Zachód postawił wówczas rzecz bardzo ważną dla nas, mianowicie prawa człowieka. Wielka była w tym zasługa zapomnianego dziś prezydenta USA Jimmy Cartera. Wtedy to ratyfikowano po stronie sowieckiej Deklarację Praw Człowieka. Stała się ona częścią wewnętrznego prawa w PRL. Władze komunistyczne musiały deklarację nie tylko ratyfikować, ale też ogłosić w Dzienniku Ustaw, aby dowieść, że ona obowiązuje. Ten numer Dziennika Ustaw w PRL był traktowany niczym jakiś najtajniejszy dokument, nie można go było zdobyć, ale dla nas było wystarczające, że to prawo jest i jego naruszenia będą wywoływały reakcje Zachodu. To bardzo ograniczało możliwości represyjne komunistycznego aparatu przemocy i umożliwiało nam organizowanie Konfederacji. Z tego też skorzystaliśmy.

Ogłosiliśmy powstanie KPN-u, jako partii politycznej działającej jawnie, zgodnie z prawami człowieka, a więc w ramach obowiązującego

porządku prawnego. Okazało się, że reżim miał straszny kłopot z tą naszą „legalnością”. Byliśmy oczywiście narażeni na różnego rodzaju represje, zwolnienie z pracy, krótkie zatrzymywania, itp., ale to nie sparaliżowało naszej działalności. KPN rozwijała się. Kiedy komuniści postanowili naszą działalność skuteczniej powstrzymać zamykając nas do więzienia, wtedy wybuchła Solidarność – to był ten moment przez nas przewidywany; potencjał demograficzny Polski uderzył w strupieszalą strukturę państwa PRL. Wtedy komuniści uznali, że Solidarność może działać, trudno – zgoda, ale działalności KPN-u postanowili postawić tamę. W PZPR podjęto decyzję, żeby aresztować Leszka Moczulskiego, a następnie pozostałych członków kierownictwa Konfederacji, w tym mnie. Sądziли, że zamykając nas za kratami wyznaczają barierę, której inni będą się bali przekroczyć. Esbecy mówili w ten sposób działającym w Solidarności: możecie domagać się poprawy warunków socjalnych, działać społecznie, ale nie wolno wam podważać kierowniczej roli partii i podporządkowania Moskwie (sojuszu z ZSRR). Nie wolno było domagać się niepodległości bo za to groziło uwięzienie. Przekaz był

więc dla wszystkich jasny. A dla mnie – jak wspomniałem wyżej – było oczywiste, że trafię do więzienia.

Głównym argumentem forsowanym przez prokuratora było planowanie podjęcia akcji zbrojnej i wykazanie finansowania działalności KPN z zagranicy, żeby to wyglądało na szeroko zakrojoną akcję.

To była nieprawdziwe zarzuty. Nie planowaliśmy działań zbrojnych i nie mieliśmy też żadnego finansowania z zagranicy – a bardzo by się ono wtedy przydało. Cały akt oskarżenia, który sprokurowała prokuratura nie miał żadnego oparcia w faktach. Co do pomocy finansowej z Zachodu; w przypadku KPN nie było jej dlatego, że ośrodki na Zachodzie, które wspierały polską działalność niezależną i opozycyjną uważały, iż KPN nie należy pomagać, bowiem nasz cel niepodległość Polski – oznacza konfrontację z ZSRR, czego Zachód nie chciał – nie przypuszczano i nie przewidywano zresztą wtedy, że ZSRR rozleci się. Kto z „sowieologów” i polskich „demokratycznych” opozycjonistów przewidywał, że ZSRR upadnie? W 1986 roku miałem sposobność rozmawiać z amerykańskimi

znawcami Sowietów. Mówiłem, że za parę lat ZSRR nie będzie. Uważano, że jestem niepoważny. Twierdzono, że ZSRR zreformuje się – pokładano wielkie nadzieje w Gorbaczowie – i będzie ważnym elementem ładu międzynarodowego. W Internecie można znaleźć nagranie mojej rozmowy przeprowadzonej w 1985 roku z dziennikarzem opozycjonistą Maciejem Szumowskim. To jest materiał pokazujący jak oceniałem sytuację, a jak ją widział Szumowski. Kierowałem wtedy Polską Partią Niepodległościową, widziałem niepodległość jako coś bardzo bliskiego, a Szumowski nie mógł tego przyjąć do wiadomości, mówił „niepodległość, ależ to niemożliwe”. <http://3obieg.pl/szumowski-kontra-szeremietew-w-1985-na-dal-aktualne>

Działając w Polskiej Partii Niepodległościowej braliście pod uwagę działania zbrojne?

Rzeczywiście nie wykluczaliśmy walki zbrojnej, ale tylko z jednego powodu; po prostu uważaliśmy, że ustawiczne deklarowanie pokojowych metod działania ośmiela reżim, który będąc pewnym, że nie będzie czynnego oporu łatwo nas spacyfikuje. Kiedy straj-

kujący mówią, że nie będą stawiali oporu to tym samym niejako zapraszają milicję, żeby weszła i strajkujących wyaresztowała. Natomiast, jeśli miliony Polaków wykażą wolę oporu, to wtedy przeciwnik zastanowi się, czy może stosować represje. Nie chodziło przecież o wywołanie wojny domowej, tylko o to, żeby determinacją wzmocnić szanse zwycięstwa w bezkrwawej konfrontacji z reżimem. Mój punkt widzenia był też inny, niż tzw. konstruktywnej opozycji, co do negocjacji z władzami. Uważałem, że z komunistami nie należy rokować, tylko trzeba im odebrać władzę. Zakładałem nawet, że rozmowy Okrągłego Stołu się załamią, ponieważ strona opozycyjna w końcu zorientuje się, że prowadzą one do zdrady ideałów Solidarności. Niestety, tak się nie stało i mamy dziś spartaczone państwo z licznymi pozostałościami po komunie.

Czy, według Pana wiedzy – ponieważ strona sowiecka też nie wiedziała, jak to się sprawy potoczą – czy strona sowiecka brała pod uwagę porozumienie i współpracę ze stroną niepodległościową? Czy w ogóle taki scenariusz byłby możliwy?

Nie było takiego scenariusza i nie mogło być. Moskwa od zawsze widziała Polskę albo jako jej podporządkowaną, utrzymywaną siłą w zależności, albo, gdy tej siły zabrakło jako straconą i którą się podporządkuje po odzyskaniu sił. Każda władza rosyjska, zarówno „biała” jak i „czerwona” nigdy nie traktowała Polski jako niezależnego suwerennego państwa partnerskiego Rosji. W PRL rządziła rosyjska agentura, która wykonywała polecenia Moskwy. Rosja nie miała dla Polski innego rozwiązania, jak tylko niewolę. Co pewien czas pojawiają się opinie, że Polacy mogą porozumieć się z Rosjanami. Takie sugestie mogą nawet ujawniać się ze strony rosyjskiej. W takim przypadku będą to elementy gry Kremla obliczone jako wprowadzające w błąd naiwnych po polskiej stronie. W 1921 roku Polska podpisała układ pokojowy z Rosją, ustalono jako ostateczne granice, a przy pierwszej nadarzającej się okazji Moskale złamali wszystkie porozumienie i na Polskę napadli. Więc, albo nie poddamy się Rosji stawiając skuteczny opór, albo skapitulujemy i będziemy niewolnikami Moskali: „tertium non datur” – trzeciej możliwości niestety nie ma.

Jak Pan ocenia ówczesny podział strony opozycyjnej, może nie jawne zwalczanie się, ale brak wsparcia dla KPN, nawet w sytuacji, kiedy byliście aresztowani?

Objasnił to Zbigniew Bujak, gdy był przewodniczącym mazowieckiej Solidarności. Będąc na Górnym Śląsku w czasie spotkania z górnikami w jednej z kopalń padło pytanie dlaczego przywódcy KPN siedzą w więzieniu, a Solidarność nic w tej sprawie nie robi. Wtedy Bujak odpowiedział, że my domagając się niepodległości prowokujemy Breżniewa i możemy wywołać interwencję Rosji, więc będzie lepiej, jeśli na razie posiedzimy. Byliśmy nazywani ekstremą stawiającą prowokacyjne i nierealistyczne postulaty. Niepodległość była takim nierealistycznym postulatem! Według liderów Solidarności nie wolno było tym zakłócać procesu ustępstw komunistów. Uważali, że z władzą można się porozumieć, a tu jacyś szaleńcy mówią, że komunistów trzeba pozbawić władzy. To przecież nie może się udać. Była zresztą koncepcja takiego porozumienia: Solidarność zostawi PZPR „czerwoną czapeczkę” (MSW, MON i MSZ), a oni oddadzą stronie społecznej gospodarkę. Obie strony

zgodnie ją zreformują, poprawi się sytuacja ekonomiczna i będziemy mieli w Polsce socjalizm „z ludzką twarzą”. Po stanie wojennym ktoś powiedział, że pojawił się socjalizm z ludzką twarzą, z twarzą gen. Kiszczaka. Dla opozycji „konstruktywnej” zmiana ustroju była nieprawdopodobna. Szczycem marzeń były łagodniejsze rządy partii komunistycznej, słabsza cenzura, może większa swoboda wypowiedzi, możliwość wyjazdu za granicę.... Odejdźcie od „socjalizmu”, kiedy wiadomo, że jest ZSRR, jego dywizje, bezpieczeństwa i ponury tow. Breżniew, nie, to wydawało się niemożliwe. Jeżeli więc ktoś stawiał postulat niepodległości Polski to był traktowany w najlepszym wypadku jako wariat. Tak też inni, ci rozsądni opozycjoniści, oceniali KPN.

Czy jawny charakter działalności był kalkulowany? Czy może to był błąd?

Chodzi o to, że narażaliśmy się na więzienie? To był skalkulowany koszt. Byłem nawet trochę zdziwiony, że trwało to stosunkowo długo, zanim trafiłem za kraty. Za Gomułki byłbym w kryminale natychmiast po podjęciu działalności, za Bieruta skończyłbym

z kulą w głowie. Inaczej niż mój ojciec działałem w latach, gdy komunizm już słabł. Jeżeli więc mam pretensje o to więzienie, to w innym kontekście i tylko do siebie. Mam do siebie pretensje, że posłuchałem wezwania Moczulskiego przekazanego z więzienia, abym przestał się ukrywać i dał się złapać. Wcześniej z Tadeuszem Stańskim, mieliśmy informacje, że będziemy aresztowani jako następni po Moczulskim. Była to wiadomość pewna, bo uzyskana z wiarygodnego źródła w MSW. Wiedzieliśmy, że mamy być aresztowani po manifestacji 11 listopada 1980 roku. W związku z tym nie było nas na tej manifestacji. Uważaliśmy, że trzeba się zakonspirować. Niestety, Tadeusz dość szybko wpadł, ja miałem szczęście, on nie, został namierzony i aresztowany. Byłem więc na wolności i miałem sam kierować Konfederacją. Nie mogłem schować się w jakiejś dziupli nie wyściubiającej nosa. Musiałem z ukrycia kierować organizacją. Musiałem odwiedzać różne rejony kraju, przemieszać się i to robiłem. Miałem, jak się okazało, dobry sposób na takie funkcjonowanie. Opracowałem zasady, których przestrzegałem i to było skuteczne. Przyjąłem, że:

- nie wolno mi odwiedzać osób

znanych SB, korzystać z adresów, na których bywałem w trakcie dotychczasowej jawnej działalności. Miałem przygotowanych w Polsce kilka adresów, gdzie teraz się zatrzymywałem, a których przedtem nie odwiedzałem i nie było ich w żadnym moim notesie; w aktach sprawy znajduje się sfotografowany mój notes z adresami, które były pod obserwacją SB.

- nie wolno odwiedzać „niepolitycznych” znajomych, bliskich z rodziny, zwłaszcza żony.

- nie wolno pojawiać się w miejscach będących pod rutynową obserwacją SB, czyli hotele, dworce, miejsca w centrach miast.

- podróżuje się autostopem unikając środków komunikacji państwowej.

To oczywiście utrudniało funkcjonowanie, ale było wystarczającą gwarancją, żeby nie być namierzonym. Przez kilka miesięcy byłem intensywnie poszukiwany, wystawiono za mną list gończy ale ciągle nie byli w stanie mnie złapać. W zaplanowanym już procesie kierownictwa KPN miało zasiąść nas czterech (Moczulski, Stański, Tadeusz Jandziszak i ja), a ponieważ esbecy nie mogli mnie złapać to zdecydowano, że jako czwarty wystąpi ktoś inny. W opinii Moczulskiego to

oznaczałoby nasze osłabienie na procesie. Koncepcja była bowiem taka, że występując w sądzie docieramy z programem Konfederacji do społeczeństwa – przez więzienie idziemy do zwycięstwa – tak to formułował Moczulski.

Leszek uważał, że kryzys polityczny i gospodarczy pogłębi się. Pojawi się bezrobocie i poprą nas masy niezadowolonych Polaków. Wtedy podzielałem pogląd Moczulskiego i dlatego posłuchałem jego wezwania. Pokazałem się agentom SB w miejscu publicznym i zostałem aresztowany. Dziś uważam, że to był mój błąd. Powinienem być pozostać w konspiracji i budować siłę organizacyjną KPN. Myślę, że Konfederacja inaczej zachowała by się w stanie wojennym i my pokierowalibyśmy wówczas oporem społeczeństwa. Zza krat nie można było tego zrobić. Dlatego ze Stańskim po wyjściu z więzienia w 1984 roku postanowiliśmy stworzyć nową organizację, Polską Partię Niepodległościową działającą w konspiracji. Przychodzący do PPN nowi ludzie działali w konspiracji. To zakonspirowanie w dużym stopniu się nam udało. Dzisiaj z tego powodu cierpimy, bo w IPN nie ma zbyt wiele esbeckiego materiału na temat PPN. Dlatego

chyba pewien historyk napisał, że nasza partia to była małą nieznaczącą organizacją. Wszystko dlatego, że SB nie zdobyła dość informacji na nasz temat. Tymczasem mieliśmy znaczące wpływy wśród anty-wałęsowskich działaczy Solidarności, w środowiskach młodzieży (Federacji Młodzieży Walczącej). W oparciu o te środowiska w razie wybuchu nowego protestu bylibyśmy w stanie przekształcić strajki w proces odbierania władzy komunistom.

Takie też były oczekiwania społeczne.

Taka była możliwość, ale zgromadzeni przy Okrągłym Stole zrobili wszystko, aby do niej nie doszło. Wyobraźnię elit opozycyjnych krępowiała świadomość istnienia porządku jałtańskiego, w którym nie było miejsca dla Polski wolnej i niepodległej, miała być tylko Polska Ludowa. Przeceniano też możliwości interwencyjne Rosji i sądzono, że reżim może siłą odwrócić procesy swego upadku. Twierdziłem, że Moskwa nie ma możliwości interwencji zbrojnej. Nie widziałem też sił, które byłyby zdolne bronić PRL i trudno było tym samym wyobrazić sobie ponowny stan wojenny.

Wprawdzie ludzie jeszcze się Rosji bali, ale widoczne było, że Gorbaczowowi sypało się wszystko z państwem łącznie. Interwencja sowiecka była nieprawdopodobna. Moim zdaniem komuniści w Polsce nie mieli szans, żeby obronić swoje rządy więc wywoływanie walki zbrojnej też było w tym przypadku zbędne. Niestety, nie słuchano nas.

A czego zabrakło według Pana?

Zabrakło nowego masowego protestu społecznego. Opozycja „konstruktywna” tak samo zresztą bała się strajków jak reżim. Proszę zauważyć, jak zachował się Wałęsa i ludzie z nim związani, kiedy w 1988 roku wybuchły strajki na Wybrzeżu. Robili wszystko, żeby je zgasić.

Był to strach przed stroną komunistyczną?

Raczej strach przed polskimi „nacjonalistami”, jak nas niepodległościowców nazywała opozycja która się nazwała demokratyczną. Jej czołowy publicysta Jan Walc popełnił tekst po powstaniu KPN pod jednoznacznym tytułem: „Drogą podłości do niepodległości”.

Zjawiłem się na Wybrzeżu po wybuchu strajku w 1988 roku, chciałem dostać się do Stoczni Gdańskiej. W strajku uczestniczyli już koledzy z PPN, byli głównie w stoczni remontowej. W Trójmieście mieliśmy naprawdę solidną organizację. Zjawiłem się na plebanii w parafii Św. Brygidy u ks. Jankowskiego. Tam był punkt organizujący przerzuty przyjezdnych spoza Gdańska do stoczni. Stocznia była szczelnie obstawiona przez oddziały milicji i wszechobecną SB. Trudno było tak z marszu dostać się do strajkujących. Okazało się, że tymi przerzutami zajmował się znajdujący się na plebanii zaufany Wałęsy, Adam Michnik. Kiedy usłyszał, że chcę dostać się do strajkujących powiedział: ”Ty do stoczni – żebyś tam namieszał. Nigdy w życiu. Zapomnij o tym.”

Dostałem się do stoczni dzięki pomocy Federacji Młodzieży Walczącej, gdański oddział FMW uważał się za młodzieżówkę PPN. Dotarłem na miejsce skomplikowaną drogą m.in.. kanałem, niczym w Powstaniu Warszawskim, utyltany jak nieboskie stworzenie. Robotnicy chcieli abym przemówił do strajkujących. Jak zobaczył mnie Wałęsa wskazując na mnie palcem polecił: „Jemu nie dawać mikrofonu”. Stoję więc taki uty-

tlany, pilnowany przez „gwardzistów” Wałęsy i widzę, że od strony bramy, tej kontrolowanej przez bezpiekę, nadchodzi czyściutki, w jasnym garniturze, mecenas Siła Nowicki – przyznając, że zbaraniałem. Można więc do stoczni wejść jakby nigdy nic, bez kłopotów? No cóż, Siła-Nowicki był zwolennikiem układania się z komunistami. Jego obecność u boku Wałęsy była pożądana. Moja nie.

Z relacji ks. Maja wiem, że KPN była grupą zwartą solidarną, ale też dość „hałaśliwą” i niepokorną. Zwolniono Was z aresztu, ale warunkiem zwolnienia było przestrzeganie ustalonych reguł?

Zwolniono nas, uwięzionych członków kierownictwa KPN, w czerwcu 1980 r., jak okazało się na krótko bo na miesiąc. Zostaliśmy ponownie aresztowani pod pretekstem, że nie przestrzegamy jakichś reguł, które nam narzucono. Nie mogliśmy przyjąć, że my domagający się niepodległości Polski będziemy przestrzegali coś, czego sobie zażyczył jakiś bolszewicki stupajka. Czy bylibyśmy wiarygodni jako przywódcy KPN wykonując polecenia komunistów? W wię-

zieniu też byłem zresztą wielokrotnie karany bowiem nie przestrzegałem regulaminu więziennego – byłem nie winny, a trzymano mnie za kratami, nie wyobrażałem sobie, że przyjmę narzucony przemocą status więźnia kryminalisty. W więzieniu podejmowałem walkę i doświadczałem z tego powodu różnych niedogodności.

Ale udało się dzięki tej więziennej walce wygrywać wiele?

Rzeczywiście wiele wywalczyliśmy – nawet nieformalny, ale faktyczny status więźnia politycznego. Reżim zawsze ustępował przed siłą a można ją było okazać na różne sposoby. Mówiłem naczelnikowi więzienia; „macie przewagę i możecie trzymać mnie za kratami, ale nie oczekujcie, że to uznamię. Jestem człowiekiem wolnym, mimo, że jestem tutaj. Poza przemocą nie macie, żadnych argumentów. Nie oczekujcie, że ja się poddam”. Rzecz polegała na tym, że kapitulacja, podporządkowanie się była sposobem na wyjście z więzienia. Tymczasem w opinii więzienia na mój temat, znajdującej się teraz w zasobach IPN, przeczytałem, że nie uznawałem, abym popełnił przestępstwo i nie

poddawałem się tzw. resocjalizacji. Napisano tam prawdę.

Opowiem inną historię – dotyczy mojej żony. Została ona w momencie ogłoszenia stanu wojennego zamknięta w więzieniu w Ostrowie Wielkopolskim. Nie była działaczką KPN, nie miała ambicji politycznych, była tylko szeregowym członkiem Solidarności. Powstaje pytanie: dlaczego ją zamknęto? Okazało się, że SB chciała ją zmusić do podpisania lojalki. Powiedzieli, że ją wypuszczą z więzienia, jeżeli zdeklaruje poparcie dla stanu wojennego. Żona odmówiła. Później powiedziała mi: „Zrozumiałam, że chcą uderzyć w ciebie. Jakbyś się czuł, gdyby przynieśli ci do celi „Trybunę Ludu” z informacją, że twoja żona popiera stan wojenny? Nie mogłam czegoś takiego ci zrobić”. Wypuścili ją po pewnym czasie. Im chodziło zawsze o złamanie przeciwnika. W przypadku mojej żony to się nie udało.

Podkreślam, że prowadziliśmy walkę, ale nie strzelaliśmy, była to bowiem walka cywilna. Prezentowaliśmy postawę odrzucania komunizmu, nie poddawaliśmy się represjom. Pótwierdzaliśmy w ten sposób wierność naszym ideałom. Natomiast reżim

usiłował wmanewrować nas w sytuację, gdy dla ratowania własnej skóry zapominamy o niepodległości. Na tym polegało nasze zasadnicze starcie z reżimem. I to starcie wygraliśmy!

Kiedy podjęliście decyzję o odejściu z KPN-u i kiedy wasze drogi z Leszkiem Moczulskim się rozeszły? Czym to było spowodowane?

Wystąpiła różnica w poglądach co do tego jak mamy działać po wyjściu z więzienia. Moczulski nadal uważał, że wystarczy siedzenie za kratami, a sytuacja będzie nam sprzyjać. Z Tadeuszem Stańskim doszliśmy do wniosku, że to błędne założenie. Uważaliśmy, że taka taktyka spowodowała, że KPN zmarnowała okres legalnej działalności Solidarności. Należało wówczas unikać uwięzienia i budować struktury. Konfederacja miała szansę stać się decydującą siłą w Polsce. Co gorsza, gdy siedzieliśmy w więzieniu na stanowisko przewodniczącego KPN, Moczulski wyznaczył działacza z Krakowa, Krzysztofa Gąsiorowskiego, który okazał się TW. A więc mieliśmy partię dążącą do niepodległości z agentem na czele – marne szanse na zwycięstwo.

A plotki, że Leszek Moczulski jest agentem...?

Rzeczywiście traktowaliśmy tego typu doniesienia tylko jako plotki. Nie one były powodem naszego rozstania się z Moczulskim. Wspomniałem, że powodem była krytyka jego koncepcji: przez więzienie do niepodległości. No i mieliśmy do Moczulskiego pretensję, że on w stanie wojennym dobrowolnie wrócił za kraty. Historia była następująca: siedzieliśmy w areszcie na Rakowieckiej, gdy Moczulski, tuż przed ogłoszeniem stanu wojennego dostał przepustkę, żeby odwiedzić żonę, która była w szpitalu w Katowicach. I tam go zastał stan wojenny, w miejscu, gdzie Konfederacja była najsilniejsza, kilka tysięcy członków. Byliśmy przekonani ze Stańskim, że Moczulski zszedł do podziemia i organizuje opór. Jakież było nasze rozczarowanie i wściekłość, że on tego nie zrobił. Dla nas było niezrozumiałe to jego zachowanie. Dodam, że tę lukę w oporze, w którą za sprawą Moczulskiego zostawiła Konfederacja wypełniła dopiero Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego. Było więc ogromne zapotrzebowanie na tego typu działanie, gdyby KPN je podjęła? Do dziś uważam, że gdyby

w stanie wojennym było właściwe kierownictwo, to Konfederacja odegrałaby bardzo dużą rolę. Zadecydowałyaby jak kończyłby się komunizm i zapewne nie byłoby żadnego Okrągłego Stołu.

Może jednak Leszek Moczulski miał rację? A czy nie było to też tak, iż to, że byliście w więzieniu, trwał polityczny proces sądowy to mnóstwo młodych ludzi zgłaszało się do KPN, Konfederacja zaczynała być znana i popierana?

Ale cóż mogli zdziałać ci młodzi Konfederaci po przywództwem Tajnego Współpracownika Gąsiorowskiego? Konfederacja była dużą strukturą organizacyjną, ale nie miała głowy. Głowa była w więzieniu. Dlatego mieliśmy pretensje do Moczulskiego, że obrał niewłaściwy kierunek działania. Za to właśnie jako przywódca KPN ponosił odpowiedzialność. Pamiętam, że tym co przełamało nasze relacje był bunt więźniów w Barczewie. Wraz z Tadeuszem organizowaliśmy tę akcję. Moczulski nie chciał w tym uczestniczyć. Tymczasem współwięźniowie Andrzej Słowik, Jerzy Kropiwnicki już podjęli głódówkę. My ze Stańskim chcieliśmy podjąć akcję czynną, godzącą sil-

nie w więzienny porządek. Moczulski uważał, że nie ma sensu ścierać się ze strażą więzienną, proponował byśmy podjęły głódówkę „rotacyjną”, odmawiali jedzenie raz na parę dni. Powiedziałem wówczas, że możemy siedzieć cicho, jeśli będzie jakiś ważny powód ku temu. Zapytałem Leszka, czy jest w stanie napisać nowy tekst programowy, na kształt „Rewolucji bez rewolucji”, w którym byłby program naszego działania. Teraz po wprowadzeniu stanu wojennego była nowa sytuacja i Konfederacja potrzebowała nowego programu. Powiedziałem wówczas Moczulskiemu, że napisanie nowego programu to rzeczywiście sprawa bardzo ważna. Możemy więc zrezygnować z akcji czynnej w więzieniu, jeśli on zacznie pisać ten program. Stański natychmiast dodał, że przerzucimy to co napisze na zewnątrz. Usłyszeliśmy od Leszka, że program napisze. Zaczął pisać, a my z Tadeuszem przepisywaliśmy to maczkiem na bibułkach, zawijaliśmy w folię. Przygotowywaliśmy tak, żeby można było schować, np. głęboko w ustach, no i przekazać w czasie widzeń z rodziną lub adwokatami. Było oczywiste, że jeżeli podejmemy akcję czynnego oporu, to zostaniemy pozbawieni widzeń i wówczas

nie będzie można przekazać nowego programu KPN na zewnątrz. A więc z tego powodu nie mogliśmy uczestniczyć w buncie więźniów politycznych w Barczewie. Moczulski zaczął pisać, my przepisywaliśmy i przekazywaliśmy poza więzienie. Po pewnym czasie zorientowaliśmy się, że tekst pisany przez niego nie jest żadnym programem. Był czymś w rodzaju eseju z odniesieniami do czasów rozbiorowych, króla Stanisława Poniatowskiego, do konfederatów barskich i nie miał nic wspólnego z programem działania dla KPN na nadchodzący czas. Doszliśmy z Tadeuszem do wniosku, że to nie może usprawiedliwiać naszej bezczynności w więzieniu. W związku z tym podjęliśmy planowaną akcję czynną. Poszliśmy na wojnę z władzami więzienia i wbrew pesymistycznym przewidywaniom Moczulskiego wygraliśmy ten bunt. Po wyjściu z więzienia w 1984 roku odbył się kongres KPN, na którym postawiliśmy odejść z Konfederacji. Wtedy ostatecznie nasze drogi rozszły się jednak nie miało to nic wspólnego z podejrzeniami o agenturalną działalność Moczulskiego.

PROF. DR HAB. LESZEK MOCZULSKI

CZYTALIŚMY PIŁSUDSKIEGO

Nakładem Wydawnictwa Sic! ukazał się obszerny tom (prawie 400 stron) zatytułowany „*Czytaliśmy Piłsudskiego*”. Jest do zapis siedmiu obszernych rozmów z prof. Leszkiem Moczulskim. Rozmowy w latach 2013–2016 przeprowadziło dwóch młodych historyków i dziennikarzy: Marcin Furdyna i Marek Rodzik. Jak napisali w słowie wstępnym: „Zjawialiśmy się u Profesora w godzinach popołudniowych, nierzadko wychodząc po północy”.

Tematyka rozmów dotyczy głównie pierwszej połowy XX wieku (poczynając od „Źródeł myślenia Piłsudskiego i Dmowskiego” a na „Roku 1944: co zamiast Powstania?” kończąc). Ostatnia rozmowa dotyczy przyszłości Międzymorza.

Dodatkowym walorem książki jest bardzo osobiste posłowie prof. Leszka Bartyzela („Śniła mu się Polska Wielka”).

Obszerną recenzję tej świetnej książki (prawie 400 stron) zamieścimy w kolejnym numerze „Opinii”. Teraz fragment tytułowego rozdziału, który dla środowiska konfederackiego jest szczególnie interesujący.

Mirosław Lewandowski

Czytaliśmy Piłsudskiego¹

Nurt niepodległościowy (nn), czyli zakonspirowany ruch piłsudczykowski, wyszedł z II wojny światowej mocno osłabiony: wielu jego członków zginęło, inni zostali złamani psychicznie lub fizycznie...

Jeden z najważniejszych piłsudczyków, którzy po wojnie znaleźli się w kraju, były wojewoda wołyński Henryk Józewski, nie był w stanie robić nic innego poza malowaniem. Podejrzewałem, że Józewski był w nn – w środowiskach piłsudczykowskich w tamtych czasach panował obyczaj, że liczył się przede wszystkim autorytet nadawany jeszcze przez samego Marszałka. Ludzie, których Piłsudski robił ministrami czy generałami dywizji, siłą rzeczy posiadali najwyższy prestiż, wynikający również z tego, że młodszy byli przyzwyczajeni do swoich byłych zwierzchników. Józewski uważał, że jego osoba przynosi pecha – poczynając od Petlury.

¹ Pierwotna, skrócona wersja rozmowy ukazała się w tygodniku *Plus Minus* z dn. 9–10 sierpnia 2014 r.

Już znacznie później miałem z nim długą rozmowę w nadziei, że wciągnę go do pracy – jeżeli nawet nie konspiracyjnej, to do podparcia jego autorytetem działań jawnych. Stanowczo odmówił, tłumacząc się właśnie w ten sposób, że wszystko, co robił, zawsze obracało się przeciwko temu, co chciał osiągnąć.

Jaka była struktura powojennego, odradzającego się nurtu niepodległościowego?

Wewnątrz nurtu były szersze, różniące się między sobą środowiska. Nurt nie ograniczał się do ludzi wywodzących się z I Brygady. Był krąg legionistów, choć w nn nie było prawie ludzi z II Brygady. Między I a II Brygadą zachodziła spora różnica w mentalności: pierwsza z nich była związkiem koleżeńskim, druga – austriacką jednostką wojskową. Zatarł się też niemal zupełnie podział sprzed 1914 r. na Drużynę Strzeleckie i Strzelców (przynajmniej w tym czasie, który pamiętam, czyli w latach 50. i 60.). Był oddzielny krąg członków Polskiej Organizacji Wojskowej, szeroki krąg piłsudczyków sprzed 1926 r., bardzo szerokie środowisko sanacyjne. Naj-

szerszy był krąg ludzi należących do Armii Krajowej.

Jak liczny był nurt po wojnie?

Trudno powiedzieć. Jeżeli było to kiedyś liczone, to wyniki na pewno nie były ujawniane. W każdym razie procent nasycenia środowiska ludźmi kompetentnymi był wyjątkowo wysoki. W dwudziestoleciu międzywojennym warunkiem utrzymania się w nurcie było zdobywanie nowych kompetencji. Jeśli ktoś się nie rozwijał, to wypadał poza margines – zostawał sympatykiem, dochodził maksymalnie do stanowiska wójta itp. Myślę, że w granicach 2/3 byli to ludzie o bardzo mocnym przygotowaniu sztabowym z różnymi, daleko posuniętymi specjalizacjami, które były systematycznie uzupełniane. Gen. Roman Abraham bardzo silnie związał się z nurtem dopiero w latach 20. W 1926 r. dowodził bojówką robotniczą. Piłsudski nie chciał wysyłać wojska do Wilanowa, gdzie przebywał prezydent, dlatego najpierw Belweder, a później Wilanów zajmowała bojówka robotnicza na czele z ubranym po cywilnemu Abrahamem. Wcześniej, bo w 1915 r., Abraham obronił doktorat z prawa na Uniwer-

sytecie Lwowskim, późniejszym Uniwersytecie Jana Kazimierza, następnie jeszcze słynna École des Sciences Politiques. Niektórzy kończyli normalne studia już po II wojnie. Felicjan Majorkiewicz, oficer sztabu najpierw w 18. Dywizji Piechoty, później w Samodzielnej Grupie Operacyjnej „Narew”, uczestnik bitwy o Narwik, cichociemny, powstaniec warszawski, skończył po wojnie politechnikę i był jednym z głównych inżynierów, którzy budowali warszawską Trasę W-Z. Na drugą grupę składali się ludzie niemający czasami z wojskiem nic wspólnego.

Nurt był również rozbity między emigrację i kraj.

Jednak łączność w środowisku piłsudczykowskim nie została przerwana. Kontakty między członkami nurtu można przedstawić na następującym przykładzie. Niemal natychmiast po uchwaleniu konstytucji kwietniowej zaczęto prace nad jej nowelizacją. Uchwalono ją w pośpiechu w związku z chorobą Piłsudskiego, aby zdążyć przed śmiercią złożyć jeszcze pod nią swój podpis. Natomiast sama konstytucja nie była szykowana dla Marszałka (bo ten w ogóle jej nie potrzebo-

wał), tylko dla jego następcy, który nie mógł posiadać autorytetu Piłsudskiego. Po 1935 r. dalej trwały prace nad ustawą zasadniczą – w latach 30. chyba niezbyt energiczne i efektywne, ale nabrały tempa już w czasie wojny. Wielu emigrantów, m.in. prof. Wacław Makowski, w związku z odsuwaniem piłsudczyków na margines (co przybierało m.in. formę internowania na Wyspie Węży), nie miało żadnego innego zajęcia. Prace na emigracji trwały jeszcze po wojnie, aż osoby je prowadzące zaczęły stopniowo odchodzić. Myślę, że gdzieś pod koniec lat 50. wszystkie materiały zostały przerzucone do kraju. Z racji mojego wykształcenia (jestem prawnikiem konstytucjonalistą) zasiadałem w komisji, która dokończyła prace nad tą konstytucją. Przebudowaliśmy ją dość istotnie. Projekt był gotowy już mniej więcej w połowie lat 60., ale został zgłoszony dopiero wtedy, kiedy utworzono Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego w 1992 r. Nawiasem mówiąc, pierwszy artykuł naszego projektu konstytucji został przeniesiony do obecnej ustawy zasadniczej. W stosunku do konstytucji kwietniowej wprowadziliśmy w nim jedną tylko zmianę: „Państwo Polskie” zamieniliśmy na „Rzeczpospo-

lita Polska”. Pierwszy artykuł obecnej ustawy zasadniczej brzmi zatem: „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli”.

Czy na innych polach również prowadzono podobne studia?

Komisja wojskowa nurtu niepodległościowego, do której zostałem dopuszczony w związku z moimi studiami historycznymi, otrzymała projekt, po raz pierwszy opublikowany w *Beltonie* na przełomie lat 1945 i 1946, żeby armię polską oprzeć wyłącznie o broń rakietową. Było to podyktowane tym, że uderzenie rakietowe może zadać tak duże straty przeciwnikowi, że nie będzie mu się opłacało wszczynać wojny. Koncepcja ta kilka lat później, bez znajomości polskich prac, została wprowadzona przez Amerykanów jako „koncepcja odstraszania” (*deterrent strategy*). Nasza komisja wojskowa zdyskwalifikowała ją z tej przyczyny, że nie stać nas było na wyścig technologiczny.

Trafił Pan do nn w końcu lat 50. Czy to możliwe, że bezpieka o was nie wiedziała? Są historycy, którzy podają w wątpliwość istnienie tej organizacji, bowiem nie znajdują w aktach Służby Bezpieczeństwa śladu jej istnienia.

Już znajdują. A że SB prawie nic nie wiedziała, to się nie dziwię. Pod koniec lat 50. konspiracja w nurcie niepodległościowym była znacznie głębsza niż w czasie okupacji. Kierownictwo było jeszcze bardziej utajnione. Do dzisiaj nie znam jego składu i pełnej struktury. Stąd domysły, kto stoi na czele. Skupialiśmy się na przygotowaniach, poszczególne koncepcje tworzone były przez komisje, liczące po kilkanaście czy więcej członków, ale nie mogliśmy pracować w dużych zespołach – spotykaliśmy się maksymalnie w trzy osoby, które omawiały konkretny problem, a jedna przekazywała ustalenia dalej. Nikt nie mówił, jak się nazywa, a jeśli kogoś znałem, nie odgrywało to większej roli: zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy nic o sobie nie wiedzieli. Do lat 70. obowiązywała reguła, że nie można się spotykać dwa razy w tym samym miejscu. Wyglądało to bardzo prosto: przychodziłem do mieszkania, najczęściej otwierała mi starsza pani, która wkrótce pod jakimś pretekstem wychodziła. Ludzi, których zastawałem w środku, mogłem widzieć po raz pierwszy w życiu, ale wiedziałem, że możemy swobodnie rozmawiać. Bywało, że z zaskoczeniem odkrywałem na miejscu znajome twarze.

Jakie stawialiście sobie cele?

Realizowaliśmy doskonale znany w polskim doświadczeniu historycznym plan wywołania masowego powstania narodowego. Dzięki intelektualnemu dorobkowi pięciu pokoleń tradycji insurekcyjnej wiedzieliśmy, że powodzenie zależy od sprzyjających warunków międzynarodowych, że konieczny jest wybór odpowiedniego momentu. Było to może tajemnicą dla Kościuszki czy Wysockiego, ale nie dla Mierosławskiego, a tym bardziej Piłsudskiego, który przed I wojną światową szczegółowo rozwinął doktrynę powstańczą. Głównym punktem był wybór momentu rozpoczęcia działań. Realizując starannie przygotowany plan, w 1914 r. Piłsudski ogłosił wybuch powstania i z kilkunastoma kompaniami strzeleckimi wkroczył na opuszczony przez Rosjan obszar na wschód od Wisły. Powstanie miało wywołać wyłącznie skutki polityczne, co też miało miejsce, gdyż prawie natychmiast zareagowali Rosjanie, Austriacy, a także Francuzi. Sprawa polska została otwarta. Chcieliśmy powtórzyć tę strategię. Pewnych spraw między sobą nie dyskutowaliśmy – po prostu czytaliśmy Piłsudskiego.

Na czym to polegało?

Dwa elementy były kluczowe: określenie, kiedy wytworzy się korzystna sytuacja międzynarodowa oraz kiedy Polacy odzyskają zdolność do masowego działania. Ten drugi czynnik zależał nie od zmieniających się nastrojów, lecz od nagromadzenia dostatecznie wielkiego potencjału energii społecznej. Punktem wyjścia były jeszcze przedwojenne prace studialne nad relacjami mobilizacyjnymi. Decydowały czynniki demograficzne: skala powojennej, naturalnej rekompensaty biologicznej, struktura wiekowa społeczeństwa oraz ilość i liczebność roczników wyżowych. W specyficznych warunkach, po wojennym upuście krwi, tworzył się nowy, wysoki potencjał energii społecznej. Ponieważ władze PRL-u nie były w stanie go zagospodarować, nadwyżka musiała uwolnić się żywiołowo i działała burząco. Roczników wyżowych było 13 i już w pierwszej połowie lat 60. mogliśmy obliczyć, że wszystkie przekroczą próg dorosłości do roku 1980. Wtedy zasób energii społecznej będzie najwyższy. Potwierdzały to obserwacje. W 1966 r. podczas manifestacji milenijnych organizowanych przez Kościół, masowo pojawiła się dorastająca młodzież, trzy pierwsze roczniki

wyżowe dominowały w Marcu '68, pięć w Grudniu '70. Od szczegółów tamtych wydarzeń bardziej interesowało nas wtedy pytanie: ile macie lat? Poza wszystkim innym była to wspólna przygoda intelektualna: trafność hipotezy potwierdzaliśmy na żywym materiale.

W 1970 r. w nurcie niepodległościowym powstaje komórka przygotowująca powstanie jawnej partii niepodległościowej, trzy lata później przekształca się w Konwent – kierownictwo operacyjne, a we wrześniu 1975 r. zapada decyzja podjęcia jawnej działalności politycznej. Dlaczego właśnie wtedy?

To wynik zmian w sytuacji międzynarodowej. Moskwa rozwijała ekspansję tam, gdzie mogła. Na wschodzie została zastopowana przez Chiny, na zachodzie przez NATO i EWG. Oba te fronty angażowały potężne siły. Otwierał się trzeci, południowy kierunek ekspansji. W latach 1973–74, gdy afera Watergate i kryzys naftowy sparaliżowały Stany Zjednoczone, Sowieci nie byli w stanie przebić się na Bliski Wschód. Ekspansja południowa pozwalała im obejść zaporę NATO i przedostać się w stronę Lewantu.

Wymagało to czasowego odprężenia w stosunkach z Zachodem. Stąd konferencja w Helsinkach, zobowiązania wzajemnej nieinterwencji militarnej w Europie, zgoda na przestrzeganie praw człowieka. To był oczekiwany moment. Nakładały się na siebie dwa sprzyjające elementy, które przenosił z programu powstańczego Piłsudskiego: wybór właściwego czasu (zmiany demograficzne) i korzystna sytuacja międzynarodowa (angażująca Związek Radziecki na innych teatrach działania). Niespełna dwa tygodnie po podpisaniu Aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie podjęliśmy decyzję o rozpoczęciu planowanych działań czynnych. Była to realizacja koncepcji góry lodowej: stopniowego wynurzania na powierzchnię tworzonych w podziemiu struktur. Proces był stopniowany tak, aby pozornie niewielkie zmiany organizacyjne i programowe nie prowokowały reakcji przeciwnika. Ponadto musieliśmy zachowywać dostateczne rezerwy kadrowe, niezbędne, aby nadać siłę początkową kolejnym etapom wynurzania. Zakładaliśmy, jak się okazało trafnie, że Sowieci – skupieni na wielkim planie ekspansji południowo-zachodniej – nie chcieli narażać poro-

zumienia helsińskiego przez represje wobec małych grupek opozycyjnych w Polsce. Zwłaszcza że przyjęliśmy zasadę wstrzymania się od przemocy („rewolucja bez rewolucji”).

A nie było to odejście od doktryny? Piłsudski uważał przecież, że tylko walką zbrojną odzyskamy niepodległość.

Było i nie było. To był kluczowy problem; minęło kilka lat, nim doszliśmy do wspólnych ustaleń. Zwyciężyło przekonanie, że w warunkach ogromnej przewagi technicznej nie tylko zbrojne powstanie, lecz także każde zderzenie fizyczne z wojskiem czy ZOMO musi prowadzić do klęski. Piłsudski również to doceniał – wykluczał kosynierski atak na armaty. Gdyby nie udało mu się otrzymać drogą półprywatną 2 tys. sztuk karabinów z magazynów austriackiej Obrony Krajowej, nie ruszyłby na Kielce. Powstanie jest niewątpliwie starciem sił, ale walkę należy podejmować narzędziami właściwymi dla danej epoki i dla nas korzystnymi. W obliczu nadciągającej eksplozji społecznej naszym głównym zadaniem było wskazanie i upowszechnienie metody, która tę powódź energii

społecznej poprowadzi we właściwym kierunku. Potrzebowaliśmy czynu społecznego, a jedyną siłą mogącą zmieść PRL była wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Ale to znowu nie było nic nowego, tylko powrót do koncepcji Piłsudskiego sprzed 1905 r. Odszedł on później od niej, gdyż wielkoprzemysłowa klasa robotnicza była wówczas za słaba. Ponadto w warunkach zaborów nie można było rozdzielić rewolucji w Polsce i w Rosji, co przekreślało jej niepodległościowy charakter. My nie robiliśmy rewolucji w Rosji, interesowała nas tylko Polska. Co więcej, w naszych czasach wielkoprzemysłowa klasa robotnicza obejmowała *groś* ludzi – pracowników najemnych zorganizowanych w wielkich zakładach. Było jasne, że za nimi pójdą inni, gdyż stanowili zbyt dużą i zbyt ważną część społeczeństwa.

W *Rewolucji bez rewolucji* – wydanej krótko przed powstaniem Konfederacji Polski Niepodległej – pisał Pan: „Pierwsza zasada: w wypadku eksplozji społecznej – przekształcić ją natychmiast w okupacyjny strajk powszechny”.

Należało strajkować tak, aby nie doszło do starcia fizycznego. Celem

masowego działania nie były manifestacje uliczne, kończące się krwawym rozbiciem przez wojsko i milicję, ale strajk powszechny bez wychodzenia z zamkniętych zakładów. Na to komuna nie miała rady. Chodziło o tworzenie zagrożenia, któremu nie będzie można przeciwdziałać – przynajmniej przez jakiś czas. Nie wszyscy ludzie z KOR-u byli w stanie to zrozumieć. Nawet Jacek Kuroń przekonywał mnie, że strajkujący na ulicach będą za sobą pociągać innych. Było to myślenie polityka. Nasze myślenie było po części myśleniem wojskowym (jak wspomniałem, większość ludzi w nurcie niepodległościowym miała takie doświadczenie). Jeśli wyprowadzilibyśmy ludzi na ulicę, to od razu zostanę rozbici, a potencjał energii społecznej roztrwoniony. Trzeba było więc natychmiast pobudzać następne zakłady i stwarzać coraz to nowe ogniska buntu.

Jakimi metodami chcieliście pobudzać społeczeństwo?

Po raz kolejny sięgaliśmy do Piłsudskiego: bibuła. Oczywiście umownie – chodziło o oddziaływanie i różne formy sterowania. Z jednej strony stale mówiliśmy, że celem działania jest

niepodległość, czyli uwolnienie Polski spod sowieckiej hegemonii i obalenie moskiewskiego narzędzia – władzy PRL-u. To był nasz program od początku, ale ujawniliśmy go publicznie po raz pierwszy dopiero w trzecim roku funkcjonowania opozycji (poświęciliśmy temu jesienią 1978 r. cały numer czasopisma *Droga*). Równocześnie tworzyliśmy dopasowaną do realnej sytuacji technologię strajków, podkreślającą, że każdy powód jest dobry, aby dany zakład zastrajkował. Konieczne jednak było czynne, a nie tylko słowne, wskazanie celu. Stąd względnie powolny proces programowego i organizacyjnego wynurzania się góry lodowej musiał doprowadzić do zmiany jakościowej jeszcze przed eksplozją społeczną. Takim krokiem było powołanie Konfederacji Polski Niepodległej – nie tylko pierwszej niezależnej partii politycznej w całym obozie sowieckim, lecz również pierwszej występującej jawnie i bez osłonek przeciwko hegemonii sowieckiej.

W deklaracji ideowej KPN-u czytamy o „kolejnej zmianie w długim pochodzie pokoleń” do niepodległości, poczynając od konfederacji barskiej. Stąd wzięliście nazwę?

Nazwa nie była nawiązaniem do konfederacji barskiej. Konfederacje były w I Rzeczypospolitej odpowiednikami partii politycznych. W nurcie niepodległościowym i w KPN-ie działała żelazna zasada sformułowana jeszcze przez Piłsudskiego: nie liczą się ani interesy partyjne, ani grupowe – liczy się tylko interes Polski. Nie chcieliśmy jednak eksponować nadmiernie, że jesteśmy ruchem piłsudczykowskim, ponieważ liczyliśmy na skupienie wokół siebie ludzi o różnych odcieniach politycznych, złączonych programem niepodległościowym. Ponadto za wszelką cenę chcieliśmy uniknąć nazwy „partia”, jakkolwiek musieliśmy koniecznie podkreślać, że nią jesteśmy, ponieważ z ustawodawstwa PRL-u wynikało, że jest to jedyna forma organizacji niepodlegająca żadnym przepisom administracyjnym.

KPN wykorzystała symbol Polski Walczącej. Czy nie była to uzurpacja?

Po wojnie nurtem niepodległościowym kierowali ludzie, którzy działali w AK – to był ich znak. Większość członków KPN-u urodziła się po wojnie, ale byli tacy, którzy w tamtej kon-

spiracji uczestniczyli i traktowali swoją działalność jako zwykłą kontynuację. W nurcie, a następnie w KPN-ie, byli ludzie, którzy walkę o niepodległość podejmowali w różnym czasie, a byli jej wierni przez całe życie. Prawie wszyscy z nich przeszli przez AK. Najdłuższy staż spośród tych, których ja znałem, a ściślej blisko współpracowałem, miał Antoni Sikorski, tajny członek Rady Politycznej KPN, który zaczął od Organizacji Bojowej i Frakcji Rewolucyjnej PPS. Dalej cała plejada strzelców i legionistów, głównie z I Brygady, m.in. Kazimierz Pluta-Czachowski i Józef Szostak (jawni członkowie Rady Politycznej od 1981 r.) – obaj szefowie oddziałów w KG AK. Do tego liczni akowcy niższych stopni, jak Józef Rybicki (również WiN) czy Jerzy Ostoja-Koźniewski, żyjący do dziś w Londynie ostatni szef Ligi Niepodległości Polski i zagraniczny członek Rady Politycznej KPN, a podchorąży w powstaniu warszawskim². Ludzie, którzy trafili do nurtu po 1945 r., walcząc o niepodległość, mieli równe jak ich starsi koledzy pra-

wo do używania znaku Polski Walczącej. Nie mieliśmy tak wielkich zasług jak oni. Dla nas konspiracja, Konwent, Ruch Obrony i KPN to było wszystko. Dla nich, że dodam jeszcze nazwiska generałów Abrahama, Boruty-Spiechowicza, Jana Sadowskiego, płk. Muzyczki, mjr. Bezega, płk. Bryma – „Zdunina”, ppor. Jerzego Zaleskiego – tylko ostatnią odsłoną czynu podjętego w różnych datach pomiędzy 1905 a 1955 r. Oni wszyscy mieli prawo do kotwicy Polski Walczącej i uważali za normalne, że my młodszy – ich podwładni i uczniowie – też ją nosimy. Zresztą formalnej zgody udzieliła nam zebrana *ad hoc* rada bodajże pięciu szefów oddziałów KG AK.

[...]

Doktryna powstańcza, którą reprezentowało Pańskie środowisko i do której wniosło własny wkład intelektualny, wzięła ostatecznie górę nad antypowstańczą – i przyniosła efekt w postaci III Rzeczypospolitej.

Tradycja powstańcza ścierała się z antypowstańczą przez 200 lat. Doktryna powstańcza stawia przed sobą bardzo trudne cele. Za każdym razem z dna

² Jerzy Ostoja-Koźniewski zmarł 4 września 2014 r. w Nettlebed w hrabstwie Oxford – miesiąc po przeprowadzeniu niniejszego wywiadu.

mamy się podnieść bardzo wysoko. Bardzo trudno jest sobie poradzić z celami, które wydają się niemal niemożliwe do osiągnięcia. Rada na to jest tylko jedna – należy myśleć tak długo, aż się coś wymyśli. Nieustannie szukać rozwiązania, które raz może być gorsze, raz lepsze. Dzisiaj wiemy też, że koncepcja odzyskania niepodległości nie była utopijna, gdyż znamy jej rezultaty.

Jeżeli weźmiemy doktrynę antypowstańczą, to tam w ogóle nie trzeba myśleć. Jej dorobek intelektualny jest minimalny. Wszystko, co możemy przeczytać w literaturze „realnego pozytywizmu” pomiędzy rokiem 1768 a 1989 jest proste: wróg silniejszy, walkę przegramy we wszystkich wymiarach – biologicznym, materialnym, kulturowym itd. Powtarzano to bezustannie, a nowe argumenty uzupełniano przez okrzyki: „Znowuż chcecie skierować naszą młodzież z szablami na czołgi!”. W czasie PRL-u usiłowano to zaktualizować. Próbowano – co kontynuuje się do dzisiaj – na nowo zdefiniować „prawdziwą” doktrynę powstańczą. Za jej ojców założycieli nie uznano Kościuszki (*Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość*) czy Mochackiego – tylko poetów. Stworzył ją

głównie Mickiewicz (przy pewnym wsparciu Towiańskiego) oraz przede wszystkim Słowacki. Poezja romantyczna miała być podstawą planów polityczno-strategicznych, a główne założenie było bardzo proste: wszyscy zginiemy, ale zostanie legenda. Prof. Maria Janion w finezyjnych dowodach, powołując się na liczne źródła i analizując manifesty poetyckie, ukazała istotę rzeczy. Cały naród wychował się na poezji, która zresztą nie zdążyła na czas dotrzeć do kraju. Nie przeszkadzało to, że niewinne chłopskie dzieci po przeczytaniu *Króla Ducha* od razu leciały do Langiewicza, aby z kosami zdobywać wraz z armatą. Zaś Mierosławski, głupiec, chciał wojsko organizować, szykować broń – przecież to w ogóle nie o to chodzi! Doktryna powstańcza mówi: my jesteśmy Chrystusem narodów i musimy światu pokazać, w jakim cierpieniu za ten świat ginimy. Chór pochwalnych krytyków do dzisiaj powtarza, że doktryna powstańska to apoteoza klęski. Proszę mi pokazać polityków i wojskowych, którzy organizowali powstania, żeby je przegrać! Mickiewicz, gdy przestaje mówić wierszem i zaczyna tworzyć Legion Polski, nagle martwi się o karabiny, o buty – myśli nie jak wielki

wieszcz, twórca romantycznej doktryny powstańczej, tylko jak jakiś, za przeproszeniem, Mierosławski.

Doktryna powstańcza wymagała ogromnego wysiłku intelektualnego, ciągłej aktualizacji, szukania nowych rozwiązań – gdyż cel był nieprawdopodobnie trudny, prawie niemożliwy

do zrealizowania. Ten wysiłek okazał się zaraźliwy, w ślad za nim szli inni – nie tylko w Europie. Nasze dwa największe wkłady do politycznej myśli europejskiej i światowej to tolerancyjne i demokratyczne państwo prawa – I Rzeczpospolita, oraz wspierała doktryna niepodległościowa.

OPOZYCJA POLITYCZNA JAKO ISTOTNY ELEMENT DRUGIEGO OBIEGU POLITYCZNEGO W PRL

Zacznijmy od zdefiniowania i określenia ogólnego pojęcia opozycji politycznej. W *Słowniku języka polskiego* opozycję polityczną określa się jako: *ugrupowanie polityczne (stronnictwo, partia itp.) przeciwne rządzącemu ugrupowaniu politycznemu lub rządowi, także ludzie wyznający poglądy polityczne przeciwstawne poglądom ugrupowań rządowych*¹.

Z kolei w *Niezależnej Encyklopedii Powszechnej* opozycja polityczna to: *każde działanie przeciw określonej decyzji politycznej, programowi, ustawie itp. (...). Mianem opozycji określa się zarówno takie ugrupowania polityczne, które nie kwestionują istniejącego w danym państwie porządku prawnego, a jedynie dążą – do zmiany ekipy rządzącej (...), jak i takie, które zmierzają do zmiany istniejącego porządku prawnego, aż do obalenia istniejącego ustroju politycznego włącznie*².

Opozycja polityczna to również: sprzeciw człowieka, istoty społecznej, wobec niedoskonałej rzeczywistości, w której żyje jest to więc aspiracja do ideału³.

Już z tych przedstawionych definicji widać, że można zarysować wiele określeń i typów opozycji politycznej. Dla ich uporządkowania można wyróżnić kryteria pomocnicze w ocenie różnych typów opozycji. Porównując różne rodzaje systemów politycznych można wskazać, w jakim zakresie normalizują one:

- a) wolność myśli i słowa, włączając w to możliwość przedstawiania poglądów innym obywatelom i tym, którzy podejmują decyzje przez odmiennie myślącą mniejszość,
- b) możliwość udziału obywateli w życiu politycznym,

¹ *Słownik języka polskiego*. T. 2 L - P. Warszawa 1988, s. 523

² *Niezależna Encyklopedia Powszechna*. T 1 A - Z. Warszawa 1986, s. 107

³ M. Łaryński, *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych*. Londyn 1985, s. 605

c) w przypadku konfliktu politycznego, kontrolę decyzji rządowych raczej przez większość niż przez mniejszość obywateli, wyborców czy wybranych przez nich przedstawicieli,

d) racjonalność politycznych dyskusji i podejmowania decyzji, w sensie rosnącego rozumienia przez obywateli i przywódców stojących przed nimi celów i odpowiednich do nich środków,

e) konsens w dyskusjach politycznych i podejmowaniu decyzji, rozumiany jako rozwiązania mające na celu minimalizację gniewu, urazy i przemocy ze strony pokonanych mniejszości i maksymalizację liczby obywateli, którzy dochodzą do wniosku, że ich cele zostały właściwie wzięte pod uwagę w przyjętym rozwiązaniu,

f) pokojowe rozwiązywanie konfliktów i minimalizację przemocy politycznej,

g) rozstrzyganie pilnych zagadnień politycznych, w taki sposób, by rząd zwracał uwagę na wszystkie sprawy uważane za pilne i ważne przez znaczne odłamy ludności czy przywódców, na rozwiązania, które satysfakcjonują największą liczbę obywateli,

h) powszechne zaufanie i lojalność w stosunku do konstytucyjnych i demokratycznych zasad społeczeństwa⁴.

Jak więc pojęcie opozycji politycznej nierozdzielnie łączy się z pojęciem demokracji, bowiem jej podstawowym założeniem jest nieuchronność różnicy poglądów i swobodne wyrażanie przeciwstawnych opinii⁵.

Wiara w konieczność istnienia zorganizowanej opozycji politycznej jako instytucji zapewniającej polityczny wybór w ramach ustroju demokratycznego jest wspólna wszystkim liberalnym demokratom⁶.

Demokracja polityczna staje się więc areną zalegalizowanej gry partii politycznych i presji mas obywatelskich dla instytucjonalizacji autonomicznej sfery życia społecznego. W rezultacie demokracja polityczna przekształca się

⁴ R. Dahl, *Opozycja polityczna w zachodnich demokracjach* [w:] *Władza i polityka, wybór tekstów ze współczesnej politologii zachodniej*. Pod red. M. Ankwicza. Warszawa 1986, s. 193

⁵ S. Neumann, *Partie polityczne w perspektywie porównawczej* [w:] *Władza i...*, op.cit., s. 129

⁶ G. Smith, *Życie polityczne w Europie Zachodniej*. Londyn 1992, s. 129–130

w system zapewniający masom obywatelskim nie tylko instytucjonalną kontrolę władzy, ale i możliwość niezależnego organizowania się poza państwem⁷.

Bardzo ważnym elementem łączącym pojęcie opozycji politycznej z demokracją jest stworzenie instytucjonalizacyjnych form kontroli władzy, a w istocie jej ograniczenia. Istnieją trzy podstawowe czynniki, które określają stopień ograniczenia władzy. Są to:

- 1) siła woli społeczeństwa, by kontrolować władzę,
- 2) siła niezależnych instytucji i organizacji rządowych,
- 3) zdolność rządzonych do wycofania swego przyzwolenia i współpracy w stosunku do władzy⁸.

Demokracja jest zatem szczególnym systemem, którego siła i słabość polegają zarazem na tym, że polityka musi tu znaleźć w sobie samej rację swojego istnienia, źródło swej prawomocności. Demokracja to nieustannie powtarzany wybór, zależny od obywateli, którzy ją stanowią. Demokracja jest również nieustannym wyzwaniem, jako, że zakłada stałą konfrontację metod i praktyk rządzenia z zasadami, które leżą u jej podstaw i stanowią jej sens⁹.

Przechodząc od określenia pojęcia opozycji politycznej nierozzerwalnie związanego z pojęciem demokracji należy stwierdzić, iż żadne jednopartyjne państwo o modelu komunistycznym nie może być uznane za demokratyczne, ponieważ nie stwarza ono swym obywatelom wolności wyboru i daje tylko niewielką swobodę ekspresji¹⁰.

Polska w okresie 1945–1989, będąca państwem o modelu komunistycznym, była niedemokratyczna. W takiej rzeczywistości politycznej w Polsce przyszło działać Kościołowi katolickiemu. Nauka społeczna Kościoła nie utożsamia się z żadnym z systemów politycznych. Wartościuje ona je jednak, rozważając w jakiej mierze służą realizacji dobra wspólnego. Wartościowanie to doprowadziło do przekonania, iż w okolicznościach czasów współczesnych

⁷ L. Nowak, *Władza, próba teorii idealizacyjnej*. Warszawa 1988, s. 87

⁸ G. Sharp, *Walka bez użycia przemocy* [w:] „Aneks” kwartalnik polityczny nr 34, Warszawa 1984, s. 68

⁹ B. Baczek, *Niepokój historyka. Francois Furet i problemy Rewolucji Francuskiej* [w:] „Zeszyty Historyczne”, zeszyt 128, Paryż 1998, s. 110

¹⁰ A. Bullock, O. Stallybrass, *Słownik terminów politycznych*. Wybór i wstęp W Wyrwa, Agencja Akces (wydawnictwo II obiegu z lat 80., brak roku i miejsca wydania), s. 13

dobrym jest ustrój demokratyczny. Bowiem, jak stwierdza Jan Paweł II: *zapewnia udział obywateli w decyzjach politycznych i rządzonym gwarantuje możliwość wyboru oraz kontrolowania własnych rządów, a także – kiedy należy to czynić – zastępowanie ich w sposób pokojowy innymi*¹¹.

Z kolei każdy człowiek, aby był uszanowany w swej godności, musi mieć zagwarantowaną płaszczyznę konkretnej wolności w ramach życia państwowego. A ponieważ człowiek, który jest zbawiany „wpisany” jest w rzeczywistość polityczno – społeczno – gospodarczą, Kościół musi także dotyczyć tej rzeczywistości.

Zaangażowanie w sferze politycznej oznaczać winno udział katolików w rozstrzyganiu spraw społeczności państwowej dla dobra jej członków i całej wspólnoty przez udział w sprawowaniu władzy, w jej kreowaniu i kontroli nad nią, w określaniu treści jej zadań¹².

Stwierdzenie, iż w świetle katolickiej nauki społecznej, każdy obywatel zobowiązany jest do obywatelskiej odpowiedzialności za państwo oznacza, iż niejednokrotnie owa odpowiedzialność musi przybierać charakter krytyczny. Katolicka nauka społeczna nie uznaje bowiem postawy bezkrytycznego posłuszeństwa. Oznacza to, iż w niektórych sytuacjach odpowiedzialność za państwo jako dobro musi przybierać także postawę obywatelskiego nieposłuszeństwa¹³. Takie zachowanie znajduje usprawiedliwienie w sytuacji gdy jak zauważa T. Ślipko można określić: *antagonistyczne nastroje i zachowania się społeczeństwa względem władzy narzuconej z zewnątrz, okupacyjnej lub zaborczej, albo też władzy nie spełniającej swych zadań i nadużywającej danych sobie uprawnień, dla celów niezgodnych z zasadą dobra wspólnego*¹⁴. Niewątpliwie z taką sytuacją mieliśmy do czynienia w Polsce w latach 1945–1989.

Nauka społeczna Kościoła, a co za tym idzie postawa Kościoła katolickiego w Polsce dawała podstawę do kształtowania się opozycji politycznej wobec niedemokratycznego systemu władzy komunistycznej w naszym kraju. Był to

¹¹ Jan Paweł II, *Centessimus annus*, n. 46 [w:] H. Skorowski SDB, *Naród i państwo w nauczaniu społecznym Kościoła*. Warszawa 1999/2000, s. 149

¹² H. Skorowski SDB, *Naród i Państwo ...*, op. cit., s. 153–184

¹³ *ibid.*, s. 213

¹⁴ T. Ślipko, *Zarys etyki szczegółowej*. T 2. Kraków 1982, s. 308

czynnik o podstawowym znaczeniu w procesie kształtowania się opozycji politycznej w Polsce. Jak zauważył Krzysztof Pomian: *Kościół, samym swoim istnieniem uniemożliwia w Polsce zwycięstwo modelu totalitarnego, gdyż wprowadza elementy pluralizmu filozoficznego, historycznego, estetycznego i językowego, a zatem również politycznego; wszelki sprzeciw wobec zamierzeń totalitarnych ma bowiem niezbywalny wymiar polityczny*¹⁵.

W procesie tym istotne były i inne czynniki, które określił m.in. przywódca Hinduskiego Kongresu Narodowego Mahatma Gandhi (które często) dobrze pasowały do polskiego społeczeństwa¹⁶:

1) psychiczne przeobrażenie – od biernego poddania do odwagi i wiary we własne siły,

2) uświadomienie, iż współpraca z rządzącymi warunkuje istnienie reżimu,

3) zaszczepienie determinacji do gotowości odmowy współpracy i posłuszeństwa. Podsumowując należy stwierdzić, że pojęcie opozycji politycznej nierozwalnie wiąże

się z pojęciem demokracji.

Na określenie pojęcia opozycji politycznej składa się więc wiele czynników, poprzez takie, które określają cel działania, podmioty tego działania, aż do środków tej aktywności.

Charakterystyczne, że dla określenia pojęcia opozycji politycznej czynniki te nie muszą występować jednocześnie. Pojawienie się niektórych z nich wystarczy do określenia tego pojęcia.

W warunkach polskich pojęcie opozycji politycznej ściśle wiązało się z pojęciem demokracji. Charakterystyczne, że kształtującą się opozycję bardzo często określano mianem: „opozycja demokratyczna”. Było to zrozumiałe ponieważ, w warunkach totalitarnego państwa, opozycja walczyła metodami demokratycznymi a nie terrorystycznymi. Przez sam fakt swego istnienia powodowała wyłom w komunistycznym porządku, będąc zaczynem systemu demokratycznego. Kształtowanie się opozycji politycznej w totalitarnych warunkach byłoby trudno wyobrażalne bez istnienia Kościoła katolickiego w Polsce.

¹⁵ K. Pomian, *Wymiary polskiego konfliktu 1956-1981*. Londyn 1985, s. 84

¹⁶ G. Sharp, *Walka bez użycia ...*, op. cit., s. 69

W krajach Europy Środkowo-Wschodniej (poza Albanią i Jugosławią) bezpośrednio po II wojnie światowej istniały – formalnie i faktycznie – systemy wielopartyjne, stąd też wynikały warunki tworzenia się i działania opozycji politycznej. Taktyka komunistów, którzy nigdzie nie mieli poparcia absolutnej większości społeczeństwa polegała na: etap I – tworzeniu sojuszy z partiami skłonnymi do współpracy („blok demokratyczny”) i eliminacji partii opozycyjnych środkami legalnymi (wybory – bardzo często fałszowane np. w Polsce) i pozaprawnymi (w tym terror),

etap II – stopniowej eliminacji z życia politycznego lub odsunięciu na jego margines dotychczasowych partii sojusznicznych m.in. poprzez proces wchłaniania np. w Polsce PPR wchłonęła PPS tworząc PZPR, SL z częścią PSL utworzyła ZSL, SD włączyło Stronnictwo Pracy. Była to taktyka skuteczna – z końcem lat 40. we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej działalność opozycji zamarła. W Polsce w latach 40. działała zarówno opozycja legalna (Polskie Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Pracy) jak i nielegalna (tzw. zbrojne podziemie)¹⁷.

Po zdławieniu opozycji politycznej pod koniec lat 40., ukształtował się w PRL specyficzny model polityczny, charakteryzował się stałym oporem społeczeństwa przeciw arbitralnej władzy. Powtarzały się bunty (tzw. kryzysy) społeczeństwa, raz mające charakter bardziej polityczny, skierowane przeciw podstawom systemu wewnętrznego i systemowi zależności (1956, 1968), innym razem przeciwko polityce gospodarczej i socjalnej oraz pogarszającym się warunkom życia (1970, 1976). Rosła siła i prestiż moralny ale jednocześnie polityczny Kościoła katolickiego, wobec którego władza musi iść na ustępstwa. Dążono do zachowania indywidualnego rolnictwa i miejskiego sektora prywatnego. W tej sytuacji władza – z konieczności – musiała zachować pewien pluralizm społeczny i kulturowy¹⁸.

Zdaniem Wojciecha Turka: *W tej sytuacji możliwe było uprawianie jedynie zastępczych form działalności politycznej, określonych przez Wiesława Chrzanowskiego mianem „modeli politycznego oddziaływania”. W praktyce wykształciły się*

¹⁷ Niezależna *Encyklopedia Powszechna*, op. cit, s. 108

¹⁸ T. Łepkowski, *Rozważania o losach polskich*. Londyn 1987, s. 135

trzy zasadnicze modele: pierwszy model tzw. falowania rewolucyjnego czyli pobudzania napięć emocjonalnych, drugi model oddziaływania odgórnego, czyli bezpośrednich kontaktów z władzą, wreszcie trzeci – dążenia do upodmiotowienia społeczeństwa drogą rozbudowy „infrastruktury społecznej”. Pierwszy model uprawiali antykomuniści dążący bądź do obalenia siłą narzuconego systemu bądź wywołania rozruchów mogących zmusić władzę do realizacji żądań społecznych. Drugi podejmowały środowiska usiłujące „wpływać” na władze poprzez oddziaływanie intelektualne i zajmowanie stanowisk (ZNAK i PAX). Wreszcie trzeci model stosował Prymas Stefan Wyszyński poprzez organizowanie masowych uroczystości o charakterze religijno-narodowym i nieustępliwą walkę o zachowanie niezależności struktur kościelnych¹⁹.

To właśnie w ramach tolerowania przez komunistyczne władze pewnych elementów pluralizmu społecznego i kulturowego mogły działać organizacje katolików świeckich, takie jak PAX z Bolesławem Piaseckim na czele oraz w późniejszym okresie Kluby Inteligencji Katolickiej i Koło Poselskie ZNAK.

Były jednak to organizacje, które choć odwoływały się do chrześcijańskiego światopoglądu, nie miały możliwości odgrywania rzeczywistej roli opozycji politycznej. PAX zaś był organizacją, instrumentalnie wykorzystywaną przez władze do rozbijania jedności polskiego Kościoła Katolickiego.

Działacze KIK-ów i ZNAKU byli jedynym środowiskiem, które miało dostęp zarówno do ośrodka władzy politycznej, jak i do najwyższych władz kościelnych²⁰. Stwarzało to pewne pole politycznego działania. Jeden z aktywnych działaczy ZNAK-u, a jednocześnie historyk tego ruchu Maciej Łętowski w 1978 r. sformułował tezę, że takie organizacje jak ZNAK mogły w Polsce działać gdyż istniał w naszym kraju system polityczny, który: *możemy określić jako system o pluralizmie limitowanym, gdyż nie wszystkie interesy społeczne*

¹⁹ W Turek, Lech Będkowski i *Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie: pomiędzy PRL a opozycją* [w:] *Opozycja antykomunistyczna w Gdańsku (1976–1980). O pomorskim modelu obrony czynnej*. Gdańsk 1995, s. 11

²⁰ Szerzej o działalności PAX-u i ZNAK-u można przeczytać [w:] A. Micewski, *Współprzeżyć czy nie kłamać. PAX i ZNAK w Polsce 1945–1976*. Warszawa 1981; A. Friszke, *Oaza na Kopernika. Klub Inteligencji Katolickiej 1956–1989*. Warszawa 1997; M. Łętowski, *Ruch i Koło Poselskie ZNAK 1957–1976*. Katowice 1998.

znajdują swe organizacyjne odzwierciedlenie w strukturze partyjnej. Ograniczenia pluralizmu mają dwie przyczyny. Pierwsza to fakt, że partia marksistowska, jako siłą „kierowniczą” życia politycznego, określa, jakie interesy mogą być w strukturze partyjnej reprezentowane (w całym okresie, poczynając od chwili ustabilizowania się tych systemów, nie powstała żadna nowa partia polityczna). Drugą przyczyną ograniczonego charakteru pluralizmu systemu partyjnego jest to, iż stopień autonomii partii sojuszniczych nie jest znaczny (przeważa w ich aktywności funkcja „transmisji” nad funkcją reprezentacji)²¹.

Leopold Tyrmand ten sam model polityczny określił jednak jako: *resztki wolności pozostałe w komunistycznej Polsce, które stanowią różnicę, która oddziela Polaków i ich historię od Rosjan i historii rosyjskiej*²².

W tych warunkach społecznych w życiu politycznym pojawiały się od czasu do czasu pewne grupy w partii komunistycznej (frakcje) i w społeczeństwie (wyraźnie opozycyjne), które wywierały symboliczny wpływ na proces polityczny. Wpływ ten nie był jednak wynikiem świadomie przyjętego planu czy względów ideologicznych, ale czasowej słabości rządzących. Grupy te uczestniczące w polityce miały wysoce niestabilny charakter, ich żywot był krótki, a wpływ na politykę niewielki²³.

W społeczeństwie dominowało wówczas zjawisko, które socjologowie określają mianem „martwej struktury społecznej”. Oznacza ono sytuację, gdy z jednej strony istnieje autorytarna władza będąca jednocześnie właścicielem środków produkcji, a z drugiej społeczeństwo. Długotrwałe istnienie takiego stanu rzeczy powodowało, że bierność stała się dominującą cechą postaw i zachowań społecznych. Obywatele nie dążyli do „ożywienia” martwej struktury społecznej poprzez wprowadzenie doń mechanizmów politycznych i ekonomicznych przejawiających aktywność, bowiem niesłoby to ze sobą ryzyko i zagrażało stabilności zajmowanej pozycji²⁴.

²¹ M. Łętowski, *Ruch i Koln...*, op. cit., s. 23

²² L. Tyrmand, *Uwagi o kwestii polskiej*. „Libertas”, Kwartalnik społeczno – polityczny nr 5, Paryż 1986, s. 9

²³ A. Janos, *Grupy polityczne w społeczeństwie komunistycznym* [w:] *Władza i polityka. Wybór tekstów ze współczesnej polityki zachodniej*. Pod red. M. Ankwicza. Warszawa 1986, s. 170

²⁴ R. Machcewicz, *Rewolucja „Solidarności”* (w:) „Więź” nr 4, Warszawa 1989, s. 9

W takich warunkach, gdy jeszcze w systemie komunistycznym nie było uniwersalizowanego (dostępnego dla wszystkich) ruchu politycznego, większość społeczeństwa była apriorycznie (na mocy mitu awangardy, zoperacjonalizowanego w formie nomenklatury) z systemu politycznego wykluczona²⁵.

Jednocześnie daleko idąca penetracja różnych środowisk społecznych przez władze powodowała, iż nielegalne, opozycyjne organizacje, które w tym okresie – rzadko zresztą – próbowano tworzyć okazywały się efemerydami²⁶.

W takiej sytuacji w lata 70-te społeczeństwo polskie wchodziło rzeczywiście podlegając wpływom już tylko dwóch potężnych sił: komunistycznej władzy i reprezentowanej przez Kościół religii. Środowiska rewizjonistyczne w PZPR zostały rozproszone, krytycyzm inteligencji laickiej wobec Kościoła tracił rację bytu i zanikał wraz nią²⁷.

Coraz częściej zaczęły pojawiać się sygnały, że obywatele kwestionowali legitymację do sprawowania władzy przez komunistów. Zachodni politolog pisał: *tak więc w Polsce Gierka reżim ma trudności w zapewnieniu gulaszowego socjalizmu, gdyż ludzie nie będą pracować dostatecznie ciężko na jego rzecz, jeśli reżim nie przyzna im praw obywatelskich, co z kolei podważyłoby już i tak nad-szarpane pretensje ideologiczne monopartii komunistycznej. Bardzo trudno więc zamknąć kolko efektywność – legitymacja – efektywność właśnie z tego względu, że reżimowi brak jest wstępnej legitymacji, by osiągnąć sprawność produkcji, konieczną do wręczania własnej legitymacji*²⁸.

Jednak nadal obowiązywał dotychczasowy model rozwoju systemów typu radzieckiego, który zdaniem Zdenka Mlynara polegał na tym że: *w praktyce głównym celem całego procesu reprodukcji życia społecznego – w dziedzinie gospodarki, stosunków społecznych i kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu – staje się reprodukcja istniejącej totalitarnej struktury władzy. W chwili, gdy autonomiczne potrzeby reprodukcji stosunków gospodarczych, społecznych i kulturalnych*

²⁵ J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu*. Warszawa 1989, s. 92

²⁶ A. Paczkowski, K. Bartosek, *Europa pod rządami komunizmu [w:] Czarna księga komunizmu. Zbrodnie, terror, prześladowania*. Warszawa 1999, s. 361

²⁷ H. Pobóg, *Chrześcijaństwo a marksistowski socjalizm czyli „Polski kształt dialogu”* [w:] „Krytyka” nr 13–14, Warszawa 1983. s. 244

²⁸ J. Rothschild, *Legitymacja polityczna we współczesnej Europie* [w:] *Władza i...*, op. cit, s. 63

*zagrożają reprodukcji struktury władzy, następuje pogwałcenie potrzeb społecznych przez władzę polityczną w imię utrzymania jej samej*²⁹.

Warto zaznaczyć, że od 1968 r. w państwach bloku komunistycznego obowiązywała, w związku z interwencją państw Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, doktryna Breżniewa, która brzmiała: *Poparcie, ochrona i umocnienie zdobyczy, jakie osiągnęły narody dzięki swym bohaterskim wysiłkom i ofiarnej pracy ludu, stanowią wspólny internacjonalistyczny obowiązek wszystkich krajów socjalistycznych*³⁰.

W praktyce oznaczała ona możliwość ingerencji bezpośredniej ZSRR w wewnętrzne sprawy innych państw, w tym i Polski. Przez cały czas komunistyczne władze kwestionowały prawo do istnienia opozycji politycznej.

W uchwale na VI Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w dniach 6–11 grudnia 1971 r. wskazano, że *w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu nie wygasają automatycznie stare, obce socjalizmowi poglądy. Aktywizują się one w określonych warunkach, Znajdują pożywkę w zacofanej świadomości niektórych kręgów społecznych, w płynącej z zagranicznych ośrodków imperialistycznej ideologii i propagandzie, a także w błędach naszej polityki (...). Budownictwo socjalistyczne odbywa się w warunkach ostrej walki klasowej dwóch systemów, socjalistycznego i kapitalistycznego*³¹. Jednocześnie na Zjeździe podkreślano, że w państwie socjalistycznym nie obowiązują reguły gry politycznej, w tym legalnie działającej opozycji, które polegają na demokratycznym prezentowaniu poglądów publicznie w pluralistycznym społeczeństwie. Wskazano w dokumencie partyjnym, iż *„sprzeczne natomiast z istotą demokracji (socjalistycznej – dop. A. A.) byłoby pozostawienie swobody dla politycznej akcji sił antysocjalistycznych, dla wspólnej gry obcych nam tendencji politycznych*³². Tej tezie dał wyraz Edward Gierek, I Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, na VIII Plenum KC PZPR na początku 1971 r., po krwawych wydarzeniach gru-

²⁹ Z. Młynar, *Kryzysy w bloku radzieckim i ich przezwyciężanie*. Kos 1987 (brak miejsca wydania), s. 43

³⁰ *Wejść nie wejść. Polska 1980–1982*. Wewnętrzny kryzys, międzynarodowe uwarunkowania. Konferencja w Jachrance listopad 1997, Londyn 1999, s. 10

³¹ VI Zjazd PZPR, 6–11 XII 1971 r. Podstawowe materiały i dokumenty. Warszawa 1972, s. 262

³² *ibid.*, s. 262

dniowych w 1970 r, że *nasza demokracja nie ma i nie może mieć nic wspólnego z burżuazyjno – liberalnym systemem wolnej gry sił po-litycznych*.³³

Opozycja w PRL miała więc pozaustrojowy charakter i była z tego względu zwalczana przez represyjne organy. Konstytucja PRL w art. 84, pkt. 3 jednoznacznie wskazywała, że *Tworzenie zrzeszeń i udział w zrzeszeniach których cel lub działalność godzą w ustrój polityczny i społeczny albo w porządek prawny PRL, jest zakazane* (ten zapis był sprzeczny z propagandowym zapisem art. 83 Konstytucji, iż PRL zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji). Kodeks karny obowiązujący w PRL zawierał trzy rozdziały skierowane przeciwko opozycji politycznej; rozdział XIX – Przestępstwa przeciwko podstawowym interesom politycznym i gospodarczym PRL (art. 122–135), rozdział XXXIII – Przestępstwa przeciwko działalności instytucji państwowych i społecznych (art. 233–246) i rozdział XXXVI – Przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu (art. 270–288). Henryk Popławski w pracy *Przestępstwa przeciwko podstawowym interesom politycznym PRL*³⁴ opisywał następujące typy przestępstw politycznych:

- czyny godzące zarówno w założenia ogólne, jak i w mechanizm sprawowania władzy, skierowane w celu obalenia bądź też zmodyfikowania organizacji najwyższych władz państwowych, zniszczenia lub osłabienia przynajmniej jednej z nich bądź też zmiany udziału w sprawowaniu władzy najwyższej – realizowane za pomocą środków zabronionych przez prawo;

- czyny zmierzające do obalenia lub zmiany istniejącego ustroju państwowego w sposób niezgodny z prawem bądź skierowane przeciwko głowie państwa;

- czyny skierowane przeciwko suwerenności samego państwa, przeciwko instytucjom, zgromadzeniom i jednostkom personifikującym tę suwerenność;

- zamachy na suwerenność i konstytucję;

- czyny naruszające porządek konstytucyjny państwa, podział władzy, porządek społeczny, granice uprawnień i obowiązków, jakie wynikają z ustalonego porządku;

³³ E. Gierek, *Program rozwoju socjalistycznej Polski*. „Trybuna Ludu” 8 II 1971

³⁴ H. Popławski, *Przestępstwa przeciwko podstawowym interesom politycznym PRL*. Warszawa – Poznań 1989 r., s. 31

- czyny skierowane przeciwko konstytucji i systemowi politycznemu państwa;
- czyny godzące w bezpieczeństwo państwa, związane z walką polityczną ugrupowań lub partii;
- czyny nie będące same w sobie przestępstwami politycznymi, lecz nabierające takiego charakteru ze względu na okoliczności, cel i pobudki działania;
- przestępstwa popolite pozostające w związku z celem politycznym sprawcy i służące temu celowi;
- czyny wymierzone przeciwko państwu, jego ustrojowi, naczelnym organom, jego stosunkom z innymi państwami, lecz nie powodowane niskimi pobudkami
- przestępstwa obrażające interes państwa lub prawa polityczne jego obywateli;
- przestępstwa popolite popełnione w całości lub w części z powodów politycznych;
- czyny karalne zasługujące ze względu na polityczne interesy państwa ocenianego na uprzywilejowane potraktowanie w postaci przyznania sprawcy prawa azylu przez to państwo³⁵.

Mimo tak rozbudowanego Kodeksu Karnego, praktycznie ubezwłasnowolniającego społeczeństwo, w Polsce działały grupy i środowiska dążące do obalenia lub zreformowania totalitarnego systemu władzy utworzonego przez władzę komunistyczną. Grupy te, działające w kraju i na emigracji (ogromną rolę odegrała paryska „Kultura”, Radio Wolna Europa, Głos Ameryki i BBC) formułowały programy zasadniczych przemian społecznych, gospodarczych i politycznych. Szczególną rolę odgrywało Radio Wolna Europa, którego dyrektor Jan Nowak-Jeziorański tak określał jego zadania: *Staraliśmy się być namiastką opozycji. Najważniejszym słuchaczem był nasz przeciwnik, wykształciliśmy całą metodę oddziaływania na grupę rządzących i przez tę elitę mogliśmy wpływać na rzeczywistość w Polsce*³⁶. W najlepszym dla Radia Wolna Europa roku 1968 słuchało jej 63% dorosłych Polaków³⁷. Jak mówił działacz opozycji politycznej

³⁵ *ibid.*, s. 30–31

³⁶ R. Januszewski, J. Strękowski, *Komandosi zimnej wojny*. „Rzeczpospolita” 20–21 IV 2002

³⁷ R. Gluza, *Polskie radio*, miesięcznik „Press” nr 4, 15 IV–14 V 2002, s. 38

Eugeniusz Smolar: *Radio Wolna Europa odkrywało rzeczy, które cenzura w Polsce eliminowała z Życia publicznego. W latach 60. i później dla ludzi z opozycji, dla nas to był byk świeżego powietrza*³⁸.

W PRL wszelkie przejawy opozycji politycznej były zwalczane metodami totalitarnymi, ale mimo tego na przełomie lat 1965 i 1966 powstała w Łodzi i Lublinie organizacja „Ruch” o orientacji niepodległościowej. W fazie największego rozwoju, przypadającej na lata 1969–1970, w „Ruchu” działało mniej lub bardziej aktywnie, ponad sto osób. Programowy tekst „Ruchu” pt. *Mijają lata... mówił o potrzebie: zrealizowania przysługujących nam przez sam fakt naszego istnienia praw człowieka. Musimy zebrać siły, zebrać rozumiejących ten cel ludzi, ażeby korzystając z doświadczeń naszych poprzedników, w stosownym momencie działać sprawnie i skutecznie*³⁹. „Ruch” dysponował własną poligrafią. Jak wspomina jeden z członków „Ruchu” Emil Morgiewicz wydawnictwa były powielane: *na plebanii w Piastowie koło Warszawy u ks. Sebastiana Koszuta. Urządzona tam została powielarnia i umieszczono powielacz spirytusowy pochodzący z akcji ekspropryjnej. Każdorazowy nakład pisma formatu A4 wynosił około 200 egzemplarzy, pojedynczy egzemplarz liczył 25–35 stron. Ukazało się w sumie 6 wydań pisma*⁴⁰. Morgiewicz dodaje że: *Kośćcem „Ruchu” były grupy młodzieży z duszpasterstw akademickich Łodzi i Lublina i ci, którzy wywodzili się z nich, a osiedlili się po studiach w innych miastach (Bydgoszcz, Gdańsk, Katowice)*⁴¹. Organizacja została rozbita przez SB.

W trakcie procesu „Ruchu” byli marcowi „komandosi”: Karol Modzelewski, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Jan Lityński i Teresa Bogucka próbowali zachęcić do protestu znanych ludzi kultury. Monitorujący te zdarzenia pracownik Ul Departamentu MSW płk. Stanisław Morawski, 9 XI 1971 r. raportował: *Akcja zbierania podpisów pod listem w sprawie rewizji procesu organizatorów „Ruchu” w założeniu jej inicjatorów obliczona jest na ożywienie elementów opozycyjnych w środowiskach inteligencji twórczej. Inicjatorzy zakładają, że informacje o tej akcji przenikną do ośrodków dywersyjnych i sprawa ta uzyska szeroki rozgłos.*

³⁸ *ibid.*, s. 39

³⁹ J. Karpiński, *Wykres gorączki...*, op. cit, s. 285–286

⁴⁰ E. Morgiewicz, *Czym był „Ruch”?*, „Libertas” nr 7, Paryż 1986, s. 40

⁴¹ *ibid.*, s. 35

Morawski jednak z zadowoleniem odnotował małe poparcie wśród ludzi kultury dla tegoż pisma. Ostatecznie list podpisało 17 literatów, w większości traktowanych jako zawodowi opozycjoniści, m. in. Jerzy Andrzejewski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Andrzej Braun, Mieczysław Jastrun, Wiktor Woroszyński, Zbigniew Herbert, Jerzy Ficowski, Tadeusz Konwicki, Anna Kamińska-Śpiewak, Agnieszka Osiecka, Jarosław Marek Rymkiewicz, Igor Newerly. Jak dokładnie ich obserwowano, świadczy fragment raportu płk. Morawskiego z 12 XI 1971 r., w którym donosił: *W gronie podpisanych ustalono, że list do Ministerstwa Sprawiedliwości i kopię do I Sekretarza KC PZPR prześle Jerzy Andrzejewski*⁴².

Jeden z sygnatariuszy listu Jacek Bocheński wspominał: *Doszło do tego, że kilka osób zostało zaproszonych na rozmowę przez ówczesnego ministra sprawiedliwości PRL (Berurowicza – A. A.). Przypominam sobie, że Herbert replikował: „To nie była z ich strony grabież panie ministrze, to była ekspropriacja”*⁴³. Członków „Ruchu” skazano na wyroki wieloletniego więzienia. W październiku 1974 r., w przeddzień wizyty Edwarda Gierka w USA, zwolniono z więzienia ostatnich pięciu liderów „Ruchu”⁴⁴.

Charakterystyczne, że „Ruch” nie miał formalnie nazwy, jego uczestnicy mówili o sobie „my”, „nasz ruch”. Nazwa „Ruch” pisana dużą literą pojawiła się dopiero w dokumentach SB. Część członków dopiero w czasie procesu dowiedziała się, że działa w nielegalnej organizacji „Ruch”.⁴⁵ Zdaniem członka „Ruchu” Stefana Niesiołowskiego: *Zaciążyła nad Ruchem sztywna koncepcja konspiracji, konspiracji za wszelką cenę. Zabrakło wyobraźni i przenikliwości, co spowodowało z kolei opóźnienie procesów rozwoju opozycji o kilka lat. Lat straconych*⁴⁶.

Od 1974 r. wzrosła aktywność różnych opozycyjnych środowisk, głównie inteligenckich, w tym także byłych żołnierzy Armii Krajowej, którzy utworzy-

⁴² A. Krajewski, *Zbieranie sit. „Rzeczpospolita”*, 9–10 II 2002

⁴³ J. Bocheński, *Z Herbertem w Labiryntach. „Gazeta Wyborcza”*, 3–4 III 2001

⁴⁴ S. Niesiołowski (pseud. Ewa Ostrołęcka), *Ruch przeciw totalizmowi*. Warszawa 1988, s. 88; A. Dudek, *Akcja „Poronin”*. „Tygodnik AWS” nr 18, 30 IV 2000, s. 40–41

⁴⁵ J. Podgórska, *Podpalić Lenina. „Polityka”* nr 13, 30 III 2002

⁴⁶ *ibid.*

li konspiracyjną grupę polityczną „Senioratu”, aby reprezentować środowiska niepodległościowe i utrzymywać łączność z ośrodkiem emigracyjnym w Londynie. Działali w niej w Warszawie m.in.: gen. Józef Czachowski-Pluta, Józef Rybicki, Zbigniew Brym⁴⁷.

Wzrost aktywności środowisk opozycyjnych odnotował w lipcu 1975 r. w dwunasto-stronicowej „Informacji dotyczącej działalności nieformalnej grupy opozycyjnej z udziałem aktywu byłych «komandosów»», Departament III MSW. Na wstępie czytamy: *Od połowy ubiegłego roku obserwuje się zjawisko realizowania w praktyce, głoszonej przez ośrodki dywersyjne, koncepcji integrowania w kraju różnych grup i poszczególnych osób na płaszczyźnie antytotalitaryzmu i ożywiania haseł niepodległościowych, głównie w kontekście antyradzieckim. Działalność „b. komandosów” koncentrowała się między innymi na:*

- kontaktach z ośrodkami na emigracji, głównie paryską „Kulturą” i „Aneksem” – organizowaniu grup samokształceniowych w prywatnych mieszkaniach
- *Na spotkaniach tych usiłuje się korygować historię i naprawiać sytuację społeczną polityczną i ekonomiczną PRL. W charakterze lektorów i doradców młodzieży występują przeważnie W. Bartoszewski, S. Blumsztajn oraz B. Toruńczyk;*

- pozyskiwaniu do współpracy młodzieży z marginesu społecznego. *Wychowawcze zapędy J. Kuronia w zakresie pracy wychowawczej wśród hipisów i gitowców spotkały się z uznaniem Kard. S. Wyszyńskiego;*

- dyskusjach politycznych, w których uczestniczyli przeważnie Jacek Kuroń, Adam Michnik, Seweryn Blumsztajn, Teresa Bogucka, Krzysztof Śliwiński oraz Bohdan Cywiński. *W toku jednej z takich dyskusji omawiano książkę Cywińskiego „Rodowody niepokornych”. Książka ta – zdaniem dyskutantów – dokumentowała tożsamość interesów i celów katolików oraz, inteligentów – lewicowców.*

- nawiązywaniu kontaktów, głównie przez Jacka Kuronia, z przedstawicielami hierarchii kościelnej. *W kontaktach b. komandosów z klerem jest m.in. ojciec E. Salij (powinno być J. Salij – M.Z.), który organizuje na terenie klasztoru oo. Dominikanów w Warszawie spotkania dyskusyjne;*

⁴⁷ J. Parys, *Ludzie niezłomni, czyli IV sprawa antykomunistycznego oporu w PRL* Warszawa 1998, s. 14

– organizowaniu „akcji okazjonalnych”. Na przykład we wrześniu 1974 r. Jacek Kuroń wraz z Wojciechem Ziemińskim wykorzystali obchody XXXV rocznicy napaści Niemiec na Polskę do zorganizowania akcji „pamięci wkroczenia wojsk radzieckich na b. tereny polskie”;

– utrzymywaniu kontaktów z przedstawicielami środowisk twórczych, m.in. Antonim Słonimskim, Kazimierzem Brandysem, Stefanem Kisielewskim, Zygmunt Mycielskim, Jerzym Markuszewskim, Andrzejem Drawiczem, Henrykiem Samsonowiczem, Andrzejem Kijowskim, Władysławem Bieńkowskim, Jackiem Bocheńskim, Janem Strzeleckim, Marią Ossowską, Andrzejem Wajdą, Zofią Matynicz, Antonim Krauze, Janem Józefem Lipskim, Karolem Estreicherem, Aleksandrem Gieysztozem, Witoldem Kulą, Andrzejem Grzegorzcykiem, Bronisławem Geremkiem, Romanem Zimandem oraz przedstawicielami adwokatury – Janem Olszewskim, Anielą Steinsbergową,

Tadeuszem de Virionem, Stanisławem Szczuką, Władysławem Siłą-Nowickim⁴⁸.

Warto zauważyć, że większość osób wymienionych w tym dokumencie stanowić będzie trzon, tworzącej się już w kilka miesięcy później w zorganizowanej formie, opozycji politycznej.

W grudniu 1975 r. odbywał się VII Zjazd PZPR. Komitet Centralny opracował w związku z nim „Wytyczne”, które m. in. wskazywały na potrzebę nowelizacji Konstytucji PRL KC chodziło głównie o zamieszczenie w Konstytucji fragmentu mówiącego o kierowniczej roli PZPR w państwie i o konieczności sojuszu z ZSRR oraz o uzależnienie praw obywatelskich od wypełniania obowiązków wobec państwa. Projekty te wywołały lawinę protestów, petycji i memoriałów środowisk inteligenckich różnych proweniencji oraz Kościoła.

Podobne w wymowie były listy środowisk intelektualnych do wysokich organów partyjnych i państwowych. „List 59” wysłano do Marszałka Sejmu, „List 7” do I Sekretarza partii E. Gierka, list działaczy katolickich z grupy ZNAK do Przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, list 101 wybitnych osobistości ze świata kultury do komisji sejmowej przygotowującej

⁴⁸ M. Zaremba, *Od wojny domowej do Solidarnościowej rewolucji, czyli społeczeństwo nieprzedstawione dekady lat siedemdziesiątych* [w:] „Res Publica” nowa, nr 143, Warszawa, sierpień 2000, s. 50–51

projekt konstytucji. Petycje i listy protestacyjne w sprawie nowelizacji konstytucji pisali również ludzie w przeszłości związani z partią⁴⁹.

Ta aktywność obywatelska, zwłaszcza zaś duże zaangażowanie w akcję konstytucyjną ludzi kultury wywołała duże zaniepokojenie władz.

Na naradzie aktywu partyjnego związków twórczych 4 III 1976 r. opracowano zestaw posunięć, mających przywołać do porządku zbuntowanych ludzi kultury. Jak głosił napisany wówczas protokół: *wobec sygnatariuszy listów nie zostały podjęte represje administracyjne, co jednak nie oznacza stanowiska obojętnego wobec nich i udowadnia, że nic się nie stało. Wyrażamy pogląd, że nie mogą oni być traktowani równorzędnie. Można i należy rozróżniać trzy postawy i w zależności od tego określać konkretnie stanowisko. Wiadomo, że niektórzy są niejako naturalnie na nie i wobec nich należy zachować szczególną wstrzeźliwość w prezentowaniu opinii publicznej, w wyjazdach zagranicznych i innych formach nobilitacji społecznej. Rozważenia wymaga stosunek do sygnatariuszy lub ich mecenasów pracujących etatowo, zwłaszcza w instytucjach frontu ideologicznego. Z ich strony istotne ograniczenia i warunek ich złagodzenia – wyraźna deklaracja – wydają się konieczne. (...) Dominującą gnipę sygnatariuszy należy uznać za wyprowadzonych w pole. Trzeba im wyjaśnić wiele rzeczy, stworzyć im możliwości normalnego funkcjonowania w życiu społeczno-kulturalnym. Wielkoduszność jest w stosunku do nich najbardziej trafną zasadą postępowania – ale na gruncie piyncypiów, a nie przy rezygnacji z nich*⁵⁰. Przedstawiano władzom partyjnym także listę nazwisk uczestników protestu, z propozycją podziału jej według powyższych kryteriów.

Postulowano też większe zróżnicowanie środków nacisku. W skład tego repertuaru miały wchodzić: zmiany personalne w wydawnictwach i czasopiśmie, promowanie dzieł jednoznacznych ideologicznie w wydawnictwach i kinematografii, ograniczenie wyjazdów zagranicznych, stypendiów i nagród dla osób politycznie podejrzanych. Na festiwalach składły komisji konkurso-

⁴⁹ Między innymi jeden z byłych przywódców partii komunistycznej Władysław Bieńkowski, ekonomista, członek partii Edward Lipiński, Stefan Amsterdamski, Stanisław Barańczak, Bronisław Geremek, Leszek Kołakowski, Krzysztof Pomian, Krzysztof Wolicki i in., J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. *Geneza i historia*. Paryż 1984, s. 66.

⁵⁰ A. Krajewski, *Zbieranie sit...*, op. cit.

wych i komitetów miały być dokładnie ustalane, żeby nie promowały ludzi związanych z opozycją. Dużą wagę przykładano też do rozmów indywidualnych oraz przeciągania na swoją stronę młodego pokolenia⁵¹.

Bezpośrednim następstwem protestów konstytucyjnych było powstanie w maju 1976 r. pierwszej tajnej organizacji opozycyjnej – Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. PPN nawiązywało do tradycji niepodległościowych i demokratycznych, religię katolicką uważało za jeden z głównych elementów życia społecznego, ale nie stanowiła ona korzeni głoszonych poglądów.

Współzałożycielem PPN-u był Zdzisław Najder, który jeszcze w 1975 r. w „Kulturze” pod pseudonimem Marian Kowalski opublikował artykuł pt. *O potrzebie programu*, w którym zawarty był apel do emigracji o pomoc w przygotowaniu programu dla opozycji politycznej w kraju. Fakt działania PPN w konspiracji wynikał według Z. Najdera z faktu, że *program, z którym występowaliśmy, zawierał treści same w sobie wówczas karalne (zmiana ustroju, oderwanie się od ZSRR, itd.). Nie mieścił się w ramach peerelowskiego porządku prawnego – a my chcieliśmy zachować nieskrępowane możliwości współpracy także z ludźmi, którzy zajmowali stanowiska państwowe i nie chcieli popadać w konflikt z prawem*⁵². Polskie Porozumienie Niepodległościowe, organizacja tajna, utrzymywała kontakt z Prymasem Wyszyńskim przez kapelana Prymasa, księdza Bronisława Piaseckiego⁵³.

Akcja konstytucyjna i ogłoszenie programu PPN spotkały się z bardzo dobrym przyjęciem wśród emigracji politycznej. Świadczy o tym m.in. artykuł znanego działacza socjalistycznego na uchodźstwie Adama Ciołkosza. W tekście opublikowanym 20 V 1976 r. w „Tygodniu Polskim” w Londynie napisał m. in.: *...Sądzymy, że list 66-ciu i program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego są najbardziej przemyślanymi dokumentami, jakie w ciągu powojennego trzydziestolecia doszły do nas zza żelaznej kurtyny. Są to dokumenty doskonałe tak co do treści jak i formy. Ich siła polega na tym, że są konkretne, nawet precyzyjne, tak jeśli chodzi o zagadnienia ustroju politycznego, jak i o zagadnienia gospodarki narodowej. Nie ma w nich niczego ze zbędnej retoryki, szlachetnego poetyckiego*

⁵¹ *Ibid.*

⁵² Z. Najder, *jaka Polska, co i komu doradzałem*. Warszawa (brak daty wydania), s. 13–15

⁵³ *ibid.*, s. 95.

rozmarzenia, sakralnej tajemniczości, mistycyzmu. Jest to program ludzi dla ludzi, jawnie (przynajmniej na obczyźnie) opublikowany, do jawnego i świadomego działania nawołujący, obliczony zarówno na dzień dzisiejszy jak i na pewną chociaż niewiadomą co do daty godzinę N, godzinę odzyskania niepodległości. Jest to wyraz drogi okupionej, zbiorowej mądrości narodu, zmuszonego liczyć tylko na własne swe siły⁵⁴.

Kolejnym wydarzeniem, które skonsolidowało przyszlą opozycję polityczną był „Czerwiec 1976”, który bardziej szczegółowo omówię w kolejnym numerze Opinii.

W sierpniu 1976 r. władze zdecydowały się na wprowadzenie bonów towarowych na cukier. Był to symboliczny początek prawdziwego krachu polityki „dynamicznego rozwoju”, a kartki miały towarzyszyć PRL aż do końca⁵⁵.

W roku 1976 powstało Polskie Porozumienie Niepodległościowe, Komitet Obrony Robotników, a później inne organizacje i instytucje. Już w październiku 1976 r. Stanisław Kania na partyjno-bezpieczniackiej naradzie instruiował: *Każda opozycja boi się zerwania z niej „szlachetnych szat”. W szczególności kompromitują ją sprawy kryminalne, moralne czy też związki ze służbami specjalnymi⁵⁶.*

KOR domagał się amnestii dla skazanych za zajścia czerwcowe, przywrócenia do pracy robotników z niej zwolnionych i ukarania osób brutalnie traktujących uczestników protestu. Pomoc materialna KOR-u polegała na wypłacaniu wyrzuconym z pracy zasiłków pieniężnych. Pieniądze te KOR uzyskiwał z dobrowolnych datków, a z czasem od central związkowych z Włoch, Francji i Amnesty International. Londyński Komitet Zbiórki na Pomoc Ofiarom Wydarzeń Czerwcowych przekazywał swoje fundusze za pośrednictwem Episkopatu.

Do rozpoczynającej się akcji pomocy jeden z członków KOR-u Jan Józef Lipski wniósł środki, które uzyskał z Duszpasterstwa Miłosierdzia dzięki ks. Michałowi Kliszcze, z którym współpracował od 1968 roku⁵⁷.

⁵⁴ A. Ciołkosz, *Walka o prawdę*. Wybór artykułów 1940–1978. Londyn 1983, s. 115

⁵⁵ *Partia pokazała siłę ...*, op. cit.

⁵⁶ A. Domostawski, *Hieny zdający, terroryści*. „Gazeta Wyborcza” 22–23 IX 2001

⁵⁷ A. Friszke, *Opozycja ...*, op. cit., s. 341.

W Paryżu, na wiadomość o powstaniu KOR-u, przeprowadzono zbiórkę pieniężną wśród członków emigracyjnej loży wolnomularskiej „Kopernik” i zgromadzoną w ten sposób sumę przekazano tej nowej formacji opozycyjnej⁵⁸.

Leszek Nowak określił ten moment mianem: *Punktu przebudzenia instytucjonalnego. (...) Od tego momentu legalizacja instytucji niezależnych staje się kluczowym postulatem rewolucji*⁵⁹.

Pojawiła się więc nowa jakość w oporze społecznym w Polsce – opozycja polityczna w nowej formule. Pojawiła się *niezależna polityka polska*⁶⁰, która wytworzyła realną przestrzeń obecności publicznej poza systemem i jego ideologicznymi wymogami⁶¹.

Leszek Moczulski, współtwórca ROPCiO zauważył: *Lata 1975–77 mają charakter przełomowy bo w tym czasie doszło do bezprecedensowego w całym obozie sowieckim utworzenia jawnej politycznej opozycji. Powstała nowa jakość, co zdeterminowało późniejszy bieg wydarzeń*⁶².

Aleksander Hall zauważył: *doskonały z propagandowego punktu widzenia okazał się wybór nazwy Komitetu (Komitet Obrony Robotników – A. A.). KOR stawiał w szczególnie niewygodnej sytuacji robotniczą rzekomo władzę. Również wyjściowa formuła Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela była przemyślana i trudna do zaatakowania*⁶³.

Dyrektor Radia Wolna Europa od 1976 r. Zygmunt Michałowski stwierdził: *Miałem szczęście. Powstanie opozycji dało nam dużo tematów do audycji. Korzystaliśmy z wydawnictw i prasy podziemnej. Napływało jej tyle, że nie mogliśmy nadążyć z przerobieniem tego materiału*⁶⁴. Powstanie jawnej opozycji politycznej zdaniem dziennikarza rozgłośni Lechosława Gawlikowskiego: *to była cezura w naszym programie. Zaczęliśmy rozumieć swoją misję jako pomoc dla opozycji*

⁵⁸ L. Hass, *Masoneria polska XX wieku. Losy, loże, ludzie*. Warszawa 1993, s. 119

⁵⁹ L. Nowak, *Władza, próba teorii idealizacyjnej*. Warszawa 1988, s. 81

⁶⁰ A. Michnik, *O oporze* [w:] Krytyka nr 13–14, Warszawa 1983, s. 7

⁶¹ R. Graczyk, *Polski Kościół, Polska demokracja*. Kraków 1999, s. 30

⁶² L. Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przyszłości*. Warszawa 2001, s. 444

⁶³ A. Hall, *Polityka Polska* nr 1, sierpień–październik 1982 [w:] Aleksander Hall, *Polemiki i refleksje*. Wybór publicystyki politycznej z lat 1978–1986, Londyn 1989, s. 130

⁶⁴ R. Januszewski, J. Strękowski, RWE *otwiera drzwi*. „Rzeczpospolita” 27–28 IV 2002

w kraju, nagłaśnianie jej programów w Polsce i na Zachodzie. Staliśmy się źródłem informacji dla rzeszy dziennikarzy zachodnich⁶⁵.

Jan Nowak-Jeziorański mówił o przełomowym, jak się miało okazać, 1976 roku: *Nie przewidziałem, że w kilka miesięcy po moim odejściu sytuacja zmieni się zupełnie, kiedy mój najbliższy osobisty przyjaciel zastąpi Kissingera. Zbigniew Brzeziński został dyrektorem Państwowej Rady Bezpieczeństwa, a więc zajął to stanowisko, które kiedyś zajmował Kissinger. (Brzeziński) natychmiast zmienił politykę wobec Radia, wzmocnił je, pozwolił na budowę nowoczesnych nadajników itd. Nie mogłem tego przewidzieć. (...) W latach Michałowskiego było na tyle ułatwione zadanie, że dochodziły już niezależne głosy z Polski. Istniała prasa drugiego obiegu i Michałowski zupełnie słusznie wypełniał programy głosami z kraju. Radio Wolna Europa stało się niejako amplifikatorem tych głosów, które bez tego radia rozchodziłyby się w bardzo małym, zawężonym zakresie⁶⁶.*

Andrzej Friszke autor książki pt.: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, podał następującą definicję opozycji politycznej: *Opozycją polityczną natomiast było świadome, zaplanowane, oparte na pewnym programie działanie organizacyjne lub intelektualne na rzecz obalenia systemu lub jego reformy w kierunku ograniczenia monopolu władzy partii i przywracania podmiotowości społeczeństwa. Aby pewne środowisko lub osobę uznać za przedstawicieli opozycji, ich działalność musiała być przez władze oceniana negatywnie i zagrożona represją lub – co najmniej – szykanami i ograniczeniem wpływu na społeczeństwo⁶⁷.*

Bardzo ważną próbę usystematyzowania i zdefiniowania pojęć sprzeciwu, opozycji i oporu w PRL podjął prof. Tomasz Strzembosz⁶⁸. Odniesieniem dla jego analiz jest przywołana już przeze mnie praca Andrzeja Friszke⁶⁹. Prof. T. Strzembosz stwierdza, że *Definicja Friszkego wydaje mi się zbyt wyraźnie ukierunkowana, zbyt jednostronna, premiująca jedynie grupę działaczy antyreżimowych⁷⁰*. W odniesieniu do opozycji pozaustrojowej którą staram się przed-

⁶⁵ *ibid.*

⁶⁶ E. Skalski, *Radio, które wygrało*. „Gazeta Wyborcza” 2–3 V 2002

⁶⁷ A. Friszke: *Opozycja ...*, op. cit., s. 5

⁶⁸ T. Strzembosz, *Polacy w PRL: Sprzeciw, opozycja, opór (Zachowania opozycyjne w systemie totalitarnym)*. „Arcana” nr 35, wrzesień–październik 2000, s. 112–141

⁶⁹ A. Friszke, *Opozycja ...*, op. cit.

⁷⁰ T. Strzembosz, *Polacy w PRL ...*, op. cit., s. 135–136

stawić prof. Strzembosz stosuje pojęcie *opozycji politycznej pozasystemowej (dążącej do obalenia systemu)*⁷¹. Stwierdza, że na występujące w latach 70. formy opozycyjności: *władze partyjno-rządowe wyraziły zgodę, bądź z konieczności, bądź z wyrachowania dla zrealizowania jakichś celów politycznych*⁷².

Zdaniem innego historyka Antoniego Dudka polemika ta przyniosła z pewnością najbardziej ożywioną debatę wśród polskich historyków w ostatnich latach. Spór ten ma kilka wątków, ale najistotniejsze wydają się dwa: sposób definiowania pojęć „opozycja” i „opór społeczny” oraz hierarchia ważności i zasady, na jakich poszczególne środowiska i organizacje są uznawane za dysfunkcjonalne wobec systemu politycznego PRL⁷³. Warto zatem bardziej szczegółowo prześledzić tę dyskusję. Bo dla moich rozważań ma ona istotne znaczenie.

Już w numerze 53/54 Arki z 1994 r. została opublikowana dyskusja na temat cytowanej już książki Andrzeja Friszke o opozycji politycznej w PRL w latach 1945–1980, w której wzięli udział autor książki oraz Andrzej Chwalba, Łukasz A. Plesnar, Ryszard Terlecki i Andrzej Urbański. Uczestnicy debaty stwierdzili m. in.:

Łukasz A. Plesnar: *Moim zdaniem możemy z sensem mówić o opozycji w latach 45–50, a potem gdzieś od roku 75, 76, kiedy pojawił się problem konstytucji i ludzie, którzy się nie zgadzali z ówczesnymi decyzjami próbowali zająć jawnie opozycyjne stanowisko. Natomiast lata 56–75 to okres działania grup, związanych z aparatem władzy.*

A. Chwalba: *Tak na dobre stały się nimi w połowie lat 70. i w latach 80. Zatem dochodzenie do opozycyjności było procesem w znacznym stopniu zależnym od kondycji systemu komunistycznego.*

A. Friszke: *Interwencja w Czechosłowacji jest więc radykalnym końcem rewizjonizmu. Jest końcem złudzenia, że można transformować komunistyczne państwo w kierunku jakiejś trzeciej drogi pomiędzy komunizmem a liberalno-demokratycznym parlamentaryzmem.*

A. Chwalba: *W moim przekonaniu w owym czasie, rozległej przestrzeni mię-*

⁷¹ *ibid.*, s. 124

⁷² *ibid.*, s. 136

⁷³ A. Dudek, *Bez wspólnej wizji PRL*, „Rzeczpospolita” 8–9X11 2001

dzy Łabą a Morzem Ochockim nie było miejsca na legalną opozycję polityczną. Na jej zaistnienie nie pozwoliliby komuniści warszawscy ani moskiewscy.

A. Friszke: Ja opozycyjność rozumiem jako konkretne działanie z pewnym planem, z pewnym pomysłem politycznym na przekształcenie rzeczywistości politycznej przede wszystkim.

A. Urbański: Oni dokonywali rewizji w stosunku do Kościoła jako instytucji, którą kiedyś potępiali, zwalczali, uważali za wielkie zagrożenie dla Polski. (...) Kościół staje się wówczas tą instytucją, która umożliwia dawnej opozycji wewnętrz-systemowej przeistoczenie się w opozycję jawną, powoli stającą się antysystemową. Bo taka jest istotna cenzura 76-tego roku. Ale jednocześnie opozycja zaczyna się dzielić, zaczyna się rozpad. Powstają środowiska jakby bardziej na prawo i jakby bardziej na lewo, środowiska czysto opozycyjne⁷⁴.

Dyskusja ożywa za sprawą prof. Tomasza Strembosza, który podjął próbę jej uporządkowania. *Instytucje i formy sprzeciwu wobec systemu komunistycznego w Polsce można podzielić na dwie zupełnie różne kategorie:*

– takie, które mają (i mogą) w sposób bezpośredni doprowadzić do jego obalenia, które mają ten cel niejako wbudowany w swoją aktywność (np. walka zbrojna, opozycja polityczna, zmierzająca do przejęcia władzy w kraju itp.). Tutaj należałoby rozważyć rolę masowych ruchów społeczno-politycznych oraz masowych manifestacji, demonstracji i strajków, które mogą stać się wstępem do zakwestionowania władzy komunistycznej- i zapoczątkować walkę bezpośrednią.

– takie które, nie dążą bezpośrednio do zmiany systemu, lecz zawierają w sobie (niejako strukturalnie, z definicji) sprzeciw wobec systemu oraz przygotowują i umożliwiają jego zmianę przez wychowanie ludzi według zupełnie odmiennych zasad, wpajają zasady wrogie systemowi. Takimi instytucjami, zawierającymi w swych programach i działaniu niejako z definicji sprzeciw wobec systemu komunistycznego, były Kościoły chrześcijańskie, a takimi, które wychowywały przeciwników systemu, były chrześcijańskie organizacje młodzieżowe, jak Jwentus Christiana, Sodalicia, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Ruch Światło-Życie, a także harcerstwo.

⁷⁴ A. Friszke: *Opozycja ...*, op. cit. Dyskusja z udziałem Andrzeja Chwalby, Andrzeja Friszke, Łukasza A. Plesnara, Ryszarda Terleckiego, Andrzeja Urbańskiego. „ARKA” nr 53/54, 1994, s. 115–122

Wychowywały one elity społeczne, działaczy i szeregowych członków w systemie myślenia, wartościowania, działania drastycznie odmiennym od promowanego przez komunistów, były więc szczególnie niebezpieczne i z tej racji niszczone. (...)

Trzeba koniecznie odróżnić opozycję polityczną pozasystemową (dążącą do obalenia systemu) i wewnątrzsystemową (dążącą do jego częściowej reformy, z zachowaniem jego cech najbardziej komunistycznych). Trzeba tak zrobić bez zacierania różnic, które mają charakter zupełnie zasadniczy. Pierwsza uderzała mocno i wprost we władze komunistyczne, druga wprowadzała pewien dyskurs i często trudno ją odróżnić od działalności frakcyjnej wewnątrz partii⁷⁵.

Z kolei w ankiecie historycznej: *Sprzeciw, opozycja, opór w PRL* wypowiadający się stwierdzili m. in:

Antoni Dudek: Przez zdecydowaną większość okresu istnienia PRL liczba Polaków zaangażowanych z jednej strony w aktywną afirmację, z drugiej zaś w zwalczanie systemu komunistycznego nie przekraczała poziomu kilku procent. Ze zjawiskiem oporu na powszechną skalę mieliśmy do czynienia jedynie w latach 1945–46 i 1980–81, oraz już w innej formie – podczas wyborów czerwcowych w 1989 roku.

Andrzej Paczkowski: Pewne wątpliwości mam jeśli chodzi o lata 1976–1980, czyli okres występowania zorganizowanych form, które nazywa się najczęściej „opozycją demokratyczną”. Wątpliwości powstają przede wszystkim dlatego, że były to – z punktu widzenia zasięgu oddziaływania i aktywności programowej – dopiero zalążki opozycji. Formacja ta była zróżnicowana – od umiarkowanych po radykalne – ale wszyscy w zasadzie przyjmowali ten sam model działania: nie stosowali konspiracji w pełnym tego słowa znaczeniu (jawne nazwiska, a nawet adresy leaderów), choć było to niedogodne.

Łukasz Kamiński: Stąd też ogólną kategorię „sprzeciwu” czy „oporu” należy podzielić na „opozycję” oraz „opór społeczny”.

Jerzy Eisler: Jednak w systemach dyktatorskich, gdzie nie ma wolnej gry sił politycznych, a tak było przecież w PRL do końca jej istnienia, w ogóle nie można mówić o opozycji w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Używamy tego określenia jakby w cudzysłowie i tak naprawdę na wyrost. Można by nawet powiedzieć ironi-

⁷⁵ T Strzembosz, *Polacy w PRL* op. cit, s. 123–124

zując, że Andrzej Friszke napisał bardzo dobrą, moim zdaniem, książkę na temat tego, czego w ogóle nie było; coś na kształt *political-fiction*.

Andrzej Małkiewicz: *Zatem, o opozycji w PRL w latach 1948–1976 moż- na mówić jedynie w dużej przenośni, a w ścisłym sensie tylko w niewielkim zakresie w odniesieniu do lat 1945–1947 i 1976–1989.*

Maciej Łętowski: *w końcu lat 70. i na początku lat 80. wiele środowisk albo zmieniło strategię postępowania, przyłączając się do opozycji demokratycznej (np. warszawski KIK), albo trwało nadal na gruncie dotychczasowej taktyki wykorzystywania do minimum sfery wolności w ramach systemu (np. neo Znak). Dla tych, którzy chcieli kontynuować strategię wewnątrzsystemowej opozycji sytuacja nie była oczywiście już komfortowa. Z jednej strony władza patrzyła bowiem na nich krzywym okiem, a z drugiej-opozycja demokratyczna zarzucała im brak odwagi i kolaborację z reżimem.*

Z doświadczeń PRL wynika, że opozycja demokratyczna była możliwa jedynie w kraju, w którym były już zalążki społeczeństwa obywatelskiego. Bez owych klubów młodej inteligencji, bez przyzwoitych tytułów prasowych i dziennikarzy w nich pracujących, bez ruchów religijnych oraz autorytetów środowiskowych kraj byłby skazany wyłącznie na dysydentów. Tym się różniła Polska od Rosji i reszty sowieckiego wschodu.

Krzysztof Łabędź: *Określenia „opozycja polityczna” proponuje używać wyłącznie dla oznaczenia takich zorganizowanych działań, które były podejmowane z zamierzeniem doprowadzenia w końcu do zmiany ustroju. Przyjmuje, że „opozycja polityczna” to system mniej lub bardziej zorganizowanych grup wyróżniających się dążeniem do pozbawienia władzy partii komunistycznej, w bliższej lub dalszej perspektywie, stopniowo poprzez ograniczanie jej wpływów lub całkowicie, przy zaistnieniu sprzyjających okoliczności. Było to równoznaczne z dążeniem do zmiany ustroju politycznego, a w efekcie przynajmniej częściowej zmiany ustroju ekonomicznego w tym znaczeniu opozycja (mimo całego zróżnicowania wewnętrznego) to w pewnym względzie trwała formacja polityczna działająca przeciwko istniejącemu systemowi „z zewnątrz”⁷⁶.*

⁷⁶ Sprzeciw, *opozycja, opór* PRL – ankieta historyczna [w:] „Arcana” nr 38, marzec-kwiecień 2001, s. 43–71

Andrzej Friszke w odpowiedzi prof. Tomaszowi Strzemboszowi stwierdził: *Przyjęta przeze mnie definicja opozycji politycznej została tak skonstruowana, by wydobyć zjawiska o charakterze politycznym – budowania załączków inicjatywy i myśli politycznej, skupiania różnych ludzi wokół refleksji nad istniejącym systemem i tworzenia załączków ruchów czy organizacji, które mogłyby budować elementy politycznego pluralizmu, poszerzać sferę wolności, zmniejszać obszar kontrolowany za pomocą nomenklatury i wytycznych różnych ogniw PZPR. Toteż położyłem akcent na świadomość uczestników tych grup i zdolność do działania w jakiejś perspektywie, w kierunku zrealizowania jakichś celów politycznych. Ująłem je jako dążenie do obalenia systemu albo jego reformy w kierunku ograniczenia monopolu władzy partii i przywracania podmiotowości społeczeństwa. (...)*

Próbę działania bez uzyskiwania koncesji czy przyzwoleń, ale jawnego, nie konspiracyjnego, podjął dopiero KOR w 1976 roku. By mogło do tego dojść, musiała nastąpić kumulacja doświadczeń, wyciągnięcie odpowiednich wniosków z dotychczasowych porażek, wyczucie ówczesnych słabych ogniw w systemie. Docho-dzenie do tego było fascynującym procesem poszukiwań, dojrzewania, budowania koncepcji politycznych i taktycznych. A więc myślenia politycznego⁷⁷.

Z kolei Jerzy Wiatr, partyjny politolog i działacz PZPR (później SLD) proponował określenie opozycji politycznej jako zbioru działających przeciw ist-niejącemu systemowi, ugrupowań politycznych, które zorganizowane legalnie lub nielegalnie, jawnie lub w ukryciu, usiłują doprowadzić do przejścia władzy państwowej z rąk partii rządzącej i przekazania jej innej sile politycznej. Do-datkowo charakteryzować ją miało fanatyczne antykomunistyczne oblicze⁷⁸.

Piotr Szwejcer określił opozycję polityczną jako: *przeciwstawianie się sowie-tyzacji, tak w wymiarze własnej egzystencji, gdzie zgodna z przekonaniami aktywność czy uczestnictwo są podstawowym wyznacznikiem działań, jak i w wymiarze zbiorowej aktywności⁷⁹.*

Z kolei Tadeusz Szawieli zauważył, że: *istota zjawiska, jakim jest opozycja demokratyczna w Polsce, nie leży w jego polityczności. Nie da się ono adekwatnie*

⁷⁷ *ibid.*, s. 75–79

⁷⁸ E Szwejcer, *Żyć normalnie... szkic do portretu opozycji lat osiemdziesiątych* [w:] „Krytyka”, nr 30, War-szawa 1988, s. 188

⁷⁹ *ibid.*, s. 201

*zrozumieć w kategoriach celów i programów politycznych oraz działań zmierzających do ich realizacji*⁸⁰.

Czasami opozycję polityczną władze PRL określały mianem dysydentów, zaś dysydenci byli to, głównie w ZSRR *opozycyjni intelektualiści (...) walczący w obronie praw człowieka, których spotykały różne formy prześladowań i represji (...)*⁸¹.

Równie interesującą definicję sformułował Jacek Kuroń, który w 1976 r. pisał: *Za opozycję polityczną uważam:[...] tych wszystkich ludzi, którzy świadomie i czynnie przeciwstawiają się totalitaryzmowi walcząc o suwerenność narodu i państwa polskiego*⁸².

Z kolei Bronisław Geremek podkreślił, że: *Opozycja polityczna to pojęcie wzięte z układu politycznego, w którym rządzi zasada wyboru, konkurencyjnych wyborów, a zatem układ parlamentarny. To są rzeczy nie do pogodzenia z systemem hegemonii jednej partii. Natomiast gdy mówimy „opozycja polska” – mówimy o pewnym fakcie rzeczywistym, istniejącym i nieredukowalnym do pojęć układu politycznego systemów parlamentarnych. Czy też politycznych systemów zachodnich. Mówimy tu mianowicie o pewnym obszarze niezależności myślenia i działania, który ma swoje instytucje i swoje autorytety*⁸³.

Charakterystyczne, że w tym samym okresie w opozycji politycznej w innych krajach bloku komunistycznego, pojawiły się istotne nowe elementy. W Związku Radzieckim osoby walczące o demokrację i prawa człowieka określone były angielskim terminem dysydenci (*dissidents*), a nie rosyjskim inakomyslaszcije. Być może władzom chodziło o podkreślenie, że są uzależnieni od Zachodu, a nie autentycznym, rosyjskim głosem protestu⁸⁴.

To wtedy, zdaniem radzieckiego dysydenta Władimira Bukowskiego: *zrozumieliśmy inną prawdę (...): nie można dążyć do demokracji drogą podziemną*⁸⁵.

⁸⁰ *ibid.*, s. 204

⁸¹ W Kopaliński, *Słownik wydarzeń, pojęć i legend XX wieku*. Warszawa 1999, s. 98

⁸² J. Kuroń, *Myśli o programie działania*. „Aneks” nr 13/14, Londyn 1977 [w:] Jacek Kuroń, *Polityka i odpowiedzialność*. Londyn 1984, s. 127

⁸³ B. Geremek, *Opozycja'91*. „Res Publica” nr 5, Warszawa 1988, s. 3

⁸⁴ Ch. Andrew, W Mitrochin, *Archiwum Mitrochina. KGB w Europie i na Zachodzie*. Warszawa 2001, s. 560

⁸⁵ W Bukowski, *1 powraca wiatr...*, Londyn 1983, s. 88

Sprawozdanie KGB z połowy lat 70. cytowało słowa innego dysydenta, znanego pisarza Aleksandra Sołżenicyna, który mówił, że głównym zadaniem ruchu dysydenckiego jest *moralne i ideologiczne przygotowanie rosyjskiej inteligencji do przeciwstawienia się władzy sowieckiej*⁸⁶.

Z kolei inny dysydent Aleksander Zinowiew zauważał, że *główną przeszkodą dla ruchu opozycyjnego są nie tylko i nawet nie tyle represje ze strony władz i brak szerszego poparcia społecznego lecz brak możliwości wypracowania pozytywnego programu rekonstrukcji społecznej – takiego programu, który byłby zdolny zjednoczyć wielką liczbę ludzi, a przez to zapewnić ruchowi dysydenckiemu kontynuatorów wśród nowych pokoleń*⁸⁷.

W ZSRR w tym okresie miały miejsce takie głośne wydarzenia, jak wystawa malarzy – nie konformistów w parku Izmaïłowo, próby zorganizowania międzynarodowego PEN – Klubu w Moskwie, powstanie moskiewskiego oddziału Amnesty International, a nieco później utworzenia grup helsińskich, które kontrolowały przestrzeganie, porozumień z Helsinek. W końcu 1977 r. powstał pierwszy niezależny związek zawodowy. Rozpoczął się proces organizacyjny kształtowania nowej opozycji⁸⁸.

Późniejszy założyciel opozycyjnej „Karty 77” Vaclav Havel pisał o tamtym okresie: *Pierwszą połowę lat siedemdziesiątych w Czechosłowacji zapamiętałem jako czas „zatrzymanej historii” (...) Historię zastąpiono pseudohistorią z jej kalendarzem powtarzających się regularnie oficjalnych obchodów rocznicowych, zjazdów partyjnych, festiwali i masowych imprez sportowych (...) Totalitarna władza wprowadziła „porządek” w organicznym „nieporządku” historii, otepiając ją w ten sposób. Rząd znacjonalizował czas i czas spotkał ten sam los, co wiele „innych znacjonalizowanych rzeczy – zaczął wędznąć”*⁸⁹.

Kilka lat później, na początku 1977 r. kilkanaście drobnych grup dysydenckich zjednoczyło się w „Karcie 77”, która określała się jako *wolna, nieformalna, otwarta społeczność ludzi o odmiennych poglądach, różnych przekonaniach religijnych i zawodowych, zjednoczona wolą prowadzenia indywidualnie i zbiorowo*

⁸⁶ Ch. Andrew, W Mitrochin, op. cit., s. 538

⁸⁷ A. Zinowiew, Postępy sowyetyzacji. Wybór z tomu *My i Zachód*. Warszawa 1983, s. 11

⁸⁸ W Bukowski, *Moskiewski proces. Dysydent w archiwach Kremla*. Warszawa 1998, s. 147

⁸⁹ Ch. Andrew, W Mitrochin, *Archiwum ...*, op. cit, s. 504–505

starań o przestrzeganie praw obywatelskich i ludzkich. W ciągu sześciu miesięcy „Kartę” podpisało ponad 750 odważnych osób. Wszyscy musieli wycierpieć publiczne szkalowania i prześladowania, od fizycznych ataków na ulicach po kary więzienia i zamknięcie w szpitalu psychiatrycznym⁹⁰.

Vaclav Havel po latach wspominał: *Od początku było jasne – to był powód naszych spotkań, a nie ich rezultat – że chodzi o coś trwałego. Nie zbieraliśmy się po to, żeby zapisać jednorazowy manifest. I od początku, też dla wszystkich było jasne, że to co powstanie, będzie mieć charakter pluralistyczny, wszyscy będą sobie równi, żadne ugrupowanie, choćby najsilniejsze, nie będzie zatem odgrywać „wiodącej roli” i nie odcisnie na całej sprawie swego własnego piętna.*

Nadmieńmy, że nazwę „Karta 77” zaproponował Paweł Kohout⁹¹.

W polskich kręgach opozycji politycznej, po powstaniu „Karty 77” nastała „moda na Czechów”⁹². Przemyślenia i propozycje takich uczestników „Karty” jak Vaclav Havel czy Vaclav Benda były dla polskich opozycjonistów źródłami wielu inspiracji. Synonimem tych zjawisk stały się odrzucenie kłamstwa i próba życia w prawdzie, w którym to postulatcie Havel spotkał się z Solżenicynem, który w wygłoszonym po otrzymaniu Nagrody Nobla 1970 r. wykładzie, dowodził, że *Kiedy kłamstwo zostanie zdemaskowane, przemoc objawi się w całej swej ohydzie, a wówczas spróchnieje i runie*⁹³, czy budowanie alternatywnego społeczeństwa obywatelskiego „równoległej polis”, jak nazywał to dążenie Benda rozwijając ideę polis czeskiego filozofa Jana Patočki⁹⁴.

Vaclav Havel w swoim najslynniejszym eseju pt. *Siła Bezsilnych* pisał: *Powłoka życia w kłamstwie utkana jest ze szczególnego materiału: dopóki szczelnie okrywa całe społeczeństwo, wydaje się z kamienia. Jednakże z chwilą, gdy ktoś ją w jednym miejscu przedziurawi, gdy jeden człowiek zawoła: „Król jest nagi”, gdy jeden gracz naruszy reguły gry i tym samym zdemaskuje ją jako grę, wszystko ukazuje się nagle w innym świetle, a cała powłoka wydaje się z papieru*

⁹⁰ *ibid.*

⁹¹ V Havel, *Jafe rodziła się Karta 77* [w:] „Kultura niezależna”, Warszawa październik 1987, s. 8–9

⁹² J. Bałuch, *Czeski esej współczesny* [w:] Hrabal, Kundera, Havel..., *Antologia czeskiego esaju*. Oprac. J. Bałuch. Universitas, Kraków 2001, s. VII

⁹³ G. Weigel, *Ostateczna rewolucja* ..., op. cit, s. 90

⁹⁴ J. Bałuch, *Czeski esej* ..., op. cit, s. VIII

*i robi wrażenie, że zaraz zacznie niepowstrzymanie drżeć się i rozpadać*⁹⁵. Dalej stwierdzał: *Granica, od której życie w prawdzie przestaje być „tylko” negacją życia w kłamstwie i zaczyna samo siebie twórczo artykułować, jest miejscem narodzin czegoś, co można nazwać „niezależnym duchowym, socjalnym i politycznym życiem społeczeństwa”*⁹⁶. Takie rozumowanie prowadziło do postawy opozycyjnej. Havel zauważał: *Człowiek nie staje się „dysydentem”, w ten sposób, że pewnego dnia decyduje się obrać tę szczególną karierę, lecz dlatego, że wewnętrzne poczucie odpowiedzialności wraz z całym kompleksem okoliczności zewnętrznych po prostu spycha go na tę pozycję*⁹⁷. W innym tekście Havel pisał: *Jestem zwolennikiem „polityki antypolitycznej”. Oczywiście nie polityki władzy i jej manipulacji, nie cybernetycznego rządzenia ludźmi czy też sztuki celowości, praktyk i intryg, ale polityki jako jednego ze sposobów szukania i odnajdywania sensu życia, ochraniać go i służyć mu, polityki jako praktycznej moralności, jako służby prawdzie, jako ludzkiej i kierującej się ludzkimi kryteriami troski o bliźnich. Jest to zapewne w dzisiejszym świecie sposób skrajnie niepraktyczny i rzadko stosowany w codziennym życiu, nie znam jednak żadnej lepszej alternatywy*⁹⁸.

Vaclav Benda proponował konkretne działania praktyczne w artykule pt. *Równoległa polis* (opublikowanym w Polsce już w 1979 r. w nr 5 podziemnej „Krytyki”). Benda pisał: *Proponuje więc, byśmy złączyli się w dążeniu do stopniowego utworzenia struktur równoległych, zdolnych choćby w ograniczonej mierze zastępczo pełnić użyteczne i niezbędne dla ogółu funkcje których brak odczuwamy tam gdzie to możliwe, należy wykorzystać również struktury istniejące i „zhumanizować” je*⁹⁹. Dodawał, że: *Przejsie w tej dziedzinie od systemu totalitarnego do liberalnego, tzn. przejście od zasady „zakazane jest wszystko, co nie jest wyraźnie dozwolone” do zasady „dozwolone jest wszystko, co nie jest wyraźnie zakazane”, można wymuszać jedynie metodą stałego sprawdzenia zakresu tego, co dozwolone, i energicznego umacniania się na raz opanowanych pozycjach*¹⁰⁰. Propono-

⁹⁵ V Havel, *Eseje polityczne*. Krag, Warszawa 1984, s. 51

⁹⁶ *ibid.*, s. 64

⁹⁷ V Havel, *Polityka i sumienie*. „Libertas” nr 8, Paryż 1987, s. 39

⁹⁸ V Havel, *Eseje ...*, op. cit, s. 63

⁹⁹ V Benda, *Równoległa polis* [w:] Hrabal Kundera. *Havel...*, op. cit, s. 160

¹⁰⁰ *ibid.*, s. 161

wał: *Trzeba przygotować grunt dla powstania równoległych struktur politycznych (w węższym znaczeniu tego słowa) i pomagać w ich rozwoju. Ten punkt obejmuje szeroką skalę zadań – od wychowania w duchu obywatelskiej świadomości i odpowiedzialności, przez tworzenie warunków do dyskusji politycznej formułowania poglądów teoretycznych, aż do popierania konkretnych nurtów i ugrupowań politycznych*¹⁰¹.

Benda stwierdzał, że: *Popularność naszych dążeń za granicą jest decydującym gwarantem chroniącym nas przed samowolą władz, a dla większości obywateli jest również głównym źródłem informacji (zagraniczne radio i telewizja)*¹⁰².

Przemyślenia Havla w połączeniu z propozycjami Bendy w komunistycznej rzeczywistości musiały przynieść „piorunujący skutek”. Polska opozycja skutecznie zaadaptowała je do polskiej rzeczywistości.

Innym ważnym elementem współpracy środkowo-europejskich opozycjonistów był wspólny pogląd na temat miejsca ich krajów w Europie. Czeski pisarz Milan Kundera w *Europie uprowadzonej* broniąc sprawy Europy Środkowej przeciwko Rosji, podkreślał, że w swojej opozycji przeciwko komunizmowi Polacy, Węgrzy czy Czesi walczyli nie tylko przeciwko systemowi politycznemu, ale także w obronie Europy i europejskiego systemu wartości. Umrzeć za ojczyznę i za Europę – ta myśl, według Kundery, przyświecała dysydentom w Warszawie czy Budapeszcie¹⁰³.

Bronisław Geremek mówił na ten temat: *Marzenie o jedności europejskiej i o naszym naturalnym miejscu w kręgu wartości Europy i zachodniego chrześcijaństwa było wszak jedną z fundamentalnych idei – albo mitów założycielskich opozycji demokratycznej w Polsce. Powtarzały się często słowa, że nie musimy „wracać do Europy”, bo nigdy jej nie opuściliśmy. Było to prawdą częściową, bo przecież „rzeczywistość PRL-u skrzeczała w koncercie europejskim”*¹⁰⁴. Jedność Europy to jedno z ważniejszych przesłań całego pontyfikatu Jana Pawła II.

W tym okresie opozycja uprawiała „politykę tożsamości”, która w krajach

¹⁰¹ *ibid.*, s. 164

¹⁰² *ibid.*, s. 164

¹⁰³ Ks. P. Mazurkiewicz, Kościół i demokracja. Instytut Wydawniczy PAX. Warszawa 2001, s. 67

¹⁰⁴ B. Geremek, *Środkowowschodni Europejczyk*. „Rzeczpospolita” 10–11 XI 2001

komunistycznych poprzedzała „politykę interesów” (a wynikało to z konieczności przełamania wyjściowej atomizacji i ukonstytuowania się w podmiot zbiorowego działania)¹⁰⁵.

To przełamanie strachu było odkryciem tego: że jak zauważyła Jadwiga Staniszkis *jest w nas coś więcej niż instynkt, że gotowi jesteśmy bronić pewnych wartości nawet za cenę ryzyka (a więc – wbrew instynktowi) i że inni są nam w tym dążeniu podobni. Wartości te stają się w tej sytuacji znakami, przy pomocy których porządkuje się przestrzeń społeczna, wyróżniając tych, co ku nim zmierzają i tych co odmawiają do nich dostępu*¹⁰⁶.

Ta „polityka tożsamości” prowadziła wcześniej czy później do „niedozwolonej” przeszłości, wyklętej tradycji; to z kolei odkrycie innej – niż oficjalna historii, a to kończyć się musiało, przy minimum niezbędnej uczciwości i przyzwyczajenia, konfliktem z systemem władzy¹⁰⁷.

Jednak cały ten czas istniała u większości Polaków głęboka przepaść pomiędzy tym co mówili, a zwłaszcza myśleli o komunizmie, a tym na co byli skłonni się ważyć aby ten ustrój zmienić.

Jednak coraz więcej było „odmieńców”. Po latach mówił o tym jeden z nich Jan Krzysztof Kelus: *Najpierw były to małe grupki dewiantów, odmieńców, którzy nie akceptowali reguł gry obowiązujących w komunistycznym totalu. Każdy, ideologiczny przynajmniej, odmieniec czuje się samotny, szuka podobnych sobie. Czepia się wszystkiego, co utwierdza go w przekonaniu, że nie zwariował, że jego wybór nie jest absurdalny, że ktoś inny myśli, czuje i patrzy na świat podobnie jak on*¹⁰⁸.

Marek Beylin, współpracownik KOR-u zauważał, że: *Udział w opozycji zaspokajał także rozmaite ambicje, snobizmy. Była to też jedna z dróg do kariery społecznej i środowiskowej – choć specyficznej bo nieoficjalnej. Żyliśmy życiem odwróconym od życia większości, pogrążeni w swoich sprawach, radykalizmach moralnych. Dylematy innych ludzi nie za bardzo nas obchodziły. Uważaliśmy, że*

¹⁰⁵ J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu...*, op. cit, s. 58

¹⁰⁶ *ibid.*, s. 102–103

¹⁰⁷ M. Meller, *Rola myślenia o historii w ruchu „Solidarność” w latach 1980–1981* [w:] *Solidarność w ruchu 1980–1981*. Studia pod red. M. Kuli, Warszawa 2000, s. 253

¹⁰⁸ *Był raz dobry świat ...*. Jan Krzysztof Kelus w rozmowie z Wojciechem Staszewskim. Warszawa 1999, s. 180

heroizm postawy moralnej jest obowiązkiem, a jeśli kogoś nań nie stać, to jego problem. To był trochę taki „zaklęty świat” spiskowców, rewolucjonistów. Ale nie „biesów”¹⁰⁹.

Radziecki dysydent Władimir Bukowski zauważał, że: *W warunkach totalitaryzmu nawet jeden opozycjonista jest zagrożeniem, zwłaszcza jeżeli system obwołał się doskonałością. (...) Ogromne znaczenie moralne dla całego kraju miało samo istnienie ludzi, którzy otwarcie rzucili wyzwanie zniewoleniu totalitarnemu i nie dali się złamać, pomimo wściekłych nacisków państwa. (...) Nasz ruch, który odegrał tak doniosłą polityczną rolę w gruncie rzeczy nie był ruchem politycznym, lecz moralnym. Boddźcem pobudzającym nas do działania nie była chęć przebudowania systemu, lecz odmowa uczestniczenia w jego zbrodniach. Reszta zjawiała się później, jako logiczny skutek tej postawy¹¹⁰.*

W Polsce ten proces formowania się społeczeństwa obywatelskiego nabral przyspieszenia. Podobnie myślało coraz więcej osób. Kruszyła się bowiem bariera strachu, zastępowała ją świadomość będąca rekacją na lęk, swoista antylekowa psychologia reaktywna¹¹¹.

Opozycja polityczna przełamała stany lękowe w społeczeństwie poprzez przykład, ochronę i edukację. Dawała praktyczną propozycję życia alternatywnego. Sposób polegał na przełamaniu lęku i przystąpieniu do społecznej samoorganizacji, do wytwarzania poza systemem wszystkich możliwych form życia zbiorowego. Okazało się, że swe trwanie opozycja zawdzięcza nie tolerancji władz lecz malejącemu polu jej manewru politycznego, że jest najbardziej dojrzałym wytworem uwalniania się społeczeństwa z paralizującej je lękowej psychologii systemu¹¹².

Ks. Adam Boniecki wspomina: *Robili wrażenie. To było coś nieznanego: oto w totalitarnym państwie pojawia się grupa ludzi, która występuje przeciwko reżimowi z podniesioną przyłbicą, podając do publicznej wiadomości nazwiska i adresy. Przełamywali barierę strachu¹¹³.*

¹⁰⁹ A. Domosławski, *Hieny* ..., op. cit.

¹¹⁰ W Bukowski, *Moskiewski proces*..., op. cit., s. 138–157

¹¹¹ W Kuczyński, *Agonia systemu*. Warszawa 1996, s. 30

¹¹² *ibid.*, s. 38–41

¹¹³ A. Domosławski, *Hieny* ..., op. cit.

Jednak zdecydowana większość społeczeństwa nadal pozostawała nieufna. Jak zauważał Piotr Wierzbicki: *Inteligentka większość lat 70. była przeważnie nieufna wobec KOR-u i sceptyczna wobec wszelkich działań opozycyjnych. W tej nieufności uczestniczyło też pokolenie akowskie, mocno doświadczone PRL-em. Ono uważało, że nie ma szans na opozycję, na zmianę systemu, że jak zawsze to się źle skończy, i w ogóle nie wiadomo, „kto za tym stoi”. Ta nieufność miała konsekwencje praktyczne: w pewnym momencie KOR miał najwyżej kilkuset współpracowników w całym kraju i nie dało się już zwerbować do współpracy nikogo więcej*¹¹⁴.

Jednak Jan Krzysztof Kelus dowodził, iż *okazało się, że gdy bezpieka ma kilkuset – a nie kilkunastu – klientów do rozpracowania, to przestaje być taka wszechwiedząca*¹¹⁵.

Jacek Kuroń wspominał: *Otóż myśmy w Komitecie Obrony Robotników w latach 70. przyjęli zasadę (...), że nie interesujemy się, czy ktoś z nas kapuje Służbie Bezpieczeństwa, czy nie. Uznaliśmy że lepiej mieć wśród siebie zdrajcę, niż o to wzajem się podejrzewać, bo takie podejrzewania w końcu muszą zniszczyć i naszą grupę, i nas jako ludzi. Ten zakaz był przestrzegany i naprawdę dobrze na tym wyszliśmy*¹¹⁶.

29 IX 1977 r. 23 członków KOR wydało oświadczenie o rozszerzeniu zadań Komitetu i przekształceniu KOR w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. Oświadczenia tego nie podpisało trzech członków KOR związanych z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, tym samym nie weszli oni w skład nowego Komitetu. Zadania KSS KOR sformułowano następująco:

1. Walka z represjami stosowanymi z powodów politycznych, światopoglądowych, wyznaniowych, rasowych i udzielanie pomocy ludziom z tych powodów prześladowanym.
2. Walka z łamaniem praworządności i pomoc ludziom pokrzywdzonym.
3. Walka o instytucjonalne zabezpieczenie praw i wolności obywatelskich.
4. Popieranie i obrona wszelkich inicjatyw społecznych zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela¹¹⁷.

Do czasu przekształcenia Komitetu, KOR i jego

¹¹⁴ *ibid.*

¹¹⁵ *Był raz dobry świat ...*, op. cit, s. 161

¹¹⁶ *Świetlane jutro, którego nie było*, op. cit.

¹¹⁷ J. Karpiński, *Wykres gorączki...*, op. cit, s. 395

współpracownicy udzielili pomocy finansowej 604 rodzinom, wydając na ten cel 3 126 590 złotych. Organizowano bezpłatną opiekę prawną i lekarską. Obserwatorzy KOR brali udział w rozprawach sądowych, na których bronili współpracujących z Komitetem adwokatów¹¹⁸.

Znamienne w kontekście działań opozycji politycznej w Polsce były jedno z pierwszych, publicznie wypowiedzianych słów, po wyborze kardynała Karola Wojtyły w dniu 16 X 1978 r. na Papieża. Jan Paweł II powiedział: *Nie lękajcie się...* Znalazły się one później jako motto w wielu kościołach w Polsce. I rzeczywiście coraz więcej ludzi przestało się lękać.

Pierwszy program opozycji politycznej „napisały” władze. Cele opozycji mogły być ujęte jednym zdaniem: przestrzegać prawa. W martwym społeczeństwie prawo pozostaje martwą literą. Ale jest pierwszą bronią społeczeństwa żywego w jego walce przeciw uciskowi¹¹⁹.

Jednak podstawą działania opozycji politycznej w Polsce stały się gwarancje poszanowania praw człowieka zawarte w Akcie Końcowym Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (tzw. trzeci koszyk) podpisane 1 VIII 1975 r. w Helsinkach m.in. przez przedstawicieli polskich władz. Prawa człowieka stały się od tego czasu sztandarowym hasłem, demokratycznej administracji prezydenta Jimmy’go Cartera w polityce wobec państw Europy Środkowo-Wschodniej. Zbigniew Brzeziński, doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego, z praw człowieka uczynił główne kryterium oceny i ważny instrument amerykańskiej strategii w relacjach z blokiem komunistycznym¹²⁰.

Zbigniew Brzeziński pisał: *W drugiej połowie lat siedemdziesiątych prezydent Carter proklamował swą kampanię na rzecz praw człowieka. W znajdującej się pod radziecką kontrolą Europie Wschodniej i w samym Związku Radzieckim kampania ta najpierw zachęciła jednostki, a następnie szersze grupy do oceny standardu przestrzegania praw człowieka, licząc na moralne, a nawet polityczne poparcie Zachodu. Walka o prawa człowieka rozszerzała się (...) szczególnie w Polsce*¹²¹.

¹¹⁸ I. T. Miecik, *Kornik*, „Polityka” nr 38, 22 IX 2001

¹¹⁹ K. Pomian, *Wymiary pokiego* ..., op. cit, s. 72

¹²⁰ P. Machcewicz, *Emigracja w polityce międzynarodowej*. Warszawa 1999, s. 231

¹²¹ Z. Brzeziński, *Spadek po zimnej wojnie*. Oficyna wydawnicza MOST. Warszawa 1993, s. 184

Leszek Moczulski wspomina: *„Latem 1975 r. sprawy zaczęły toczyć się szybko. Z coraz bardziej zapartym tchem śledziliśmy helsińskie obrady Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. 31 sierpnia ogłoszono końcowy komunikat. ZSRR i pozostałe kraje obozu zobowiązały się do przestrzegania politycznych praw człowieka, a także uznały zakaz przeprowadzenia interwencji zbrojnej gdziekolwiek w Europie. Trudno było przypuszczać, że Moskwa traktowała to poważnie. Jedno jednak było pewne: Helsinki stanowiły ogromny sukces ZSRR, uzyskany po wielu latach trudnej i wymagającej wyrzeczeń polityki. Czy tylko dlatego, że w Polsce powstanie jawna grupa opozycji politycznej i osiągnie pewne powodzenie społeczne, Breżniew zgodzi się przemienić największy sukces w polityce zagranicznej całego jego panowania, aby zniszczyć jakichś awanturników, może nawet prowokatorów kierowanych przez CIA—którym tylko o to chodzi?”*¹²².

Ciekawe, że to właśnie redakcja pisma „Opinia”, której członkiem był Leszek Moczulski uzyskała w czasie pobytu prezydenta Cartera w Warszawie, w grudniu 1977 r. od niego wywiad, który przeprowadził Wojciech Ziemiński. Leszek Moczulski wspomina: *Wkrótce po konferencji prasowej Cartera, rzecznik ambasady amerykańskiej ogłosił, że Prezydent udzielił wywiadu prasowego niezależnemu miesięcznikowi „Opinia”. Stało się to sensacją dnia, tak wielką, że przystoiła znacznie ważniejsze wydarzenie: równoczesne ogłoszenie w „Dzienniku Ustaw” PRL ratyfikowanych Paktów Praw Człowieka, o co tak długo i stanowczo zabiegał Ruch Obrony*¹²³.

W tym czasie notowano wzmożony popyt na radiodbiorniki z zakresem fal krótkich, które pozwalały lepiej słyszeć Wolną Europę, BBC czy Głos Ameryki. Zagraniczne rozgłośnie otrzymywały informacje nie tylko od własnych korespondentów, ale także od grup opozycyjnych w Polsce. W ten sposób wiadomości o działalności opozycji politycznej w Polsce docierały do coraz większej liczby odbiorców w kraju.

Dyrektor Radia Wolna Europa George R. Urban zauważał: *Przed Helsinkami można było zasadnie dowodzić, że „zastępcza” radiofonia stanowi bezprawną*

¹²² L. Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości*. Oficyna Wydawnicza Rytm. Warszawa 2001, s. 198

¹²³ *ibid.*, s. 255

ingerencję w sprawy wewnętrzne suwerennych państw. Ale Akt Końcowy z Helsinek i kolejne porozumienia podpisane w Belgradzie, Madrycie i Paryżu pokazały jasno, że linia demarkacyjna wytyczana tradycyjnie między polityką wewnętrzną a międzynarodową już nie istnieje. Zasada samo określenia oraz prawa człowieka i fundamentalne swobody zarówno jednostek, jak i mniejszości narodowych i religijnych zostały uroczystie potwierdzone pod groźbą zastosowania sankcji w razie pogwałcenia tych swobód. Było to epokowe osiągnięcie, nawet jeśli nie miało mocy prawa międzynarodowego. Od tej chwili zachodnia „zastępcza” dyplomacja wobec zamkniętych społeczeństw nie musiała już działać w ukryciu lub za cichą zgodą czynników oficjalnych, lecz mogła głosić swoje cele otwarcie, ponieważ były one częścią uroczystych porozumień międzynarodowych w kwestii praw człowieka¹²⁴. Twierdził również, że: to strona radziecka – a zwłaszcza odchodzący od ortodoksji komuniści polscy i węgierscy – poczuła się zmuszona do coraz dalej idących ustępstw, schwytana w pułapkę słów, pod którymi złożyła podpis przy stole rokowań. Nadzieje radzieckich przywódców, że uda im się dostać coś za coś, że zamiast traktatu pokojowego zdołają uzyskać uznanie powojennych granic imperium oraz pomoc ekonomiczną, aby owo imperium utrzymać – po prostu ich zwiodły. Zachodnia opinia publiczna też nie dała się przekonać, wbrew moim obawom, że negocjacje z Rosjanami w Madrycie są równoznaczne z wystawieniem im świadectwa moralności. Zachód przywiązywał wielką wagę do negocjacji, ale pozostał sceptyczny.

Moi poprzednicy w radiu docenili znaczenie praw człowieka wcześniej ode mnie (...) Moi koledzy i ja zawzięcie tropiliśmy ludzi naruszających porozumienia helsińskie we wszystkich krajach, do których się zwracaliśmy. Poświęciliśmy mnóstwo czasu i energii, by nadać szeroki rozgłos działalności komitetów helsińskich i bronić ich członków przed prześladowaniami (wielu z nich znalazło się w więzieniach), a jak już obecnie wiemy, ci odważni ludzie odegrali ogromną rolę w przyspieszeniu implozji systemu radzieckiego¹²⁵.

Ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce John Davis zauważył: Okazało się, że w tym względzie potężną bronią są Porozumienia Helsińskie z 1975 r.,

¹²⁴ G. R. Urban, *Radio Wolna Europa i walka o demokrację. Moja wojna w czasach zimnej wojny*. Prószyński i S-ka. Warszawa 2000, s. 215

¹²⁵ *ibid.*, s. 126

*mimo że w swoim czasie były one uważane za, w pewnym sensie radzieckie zwycięstwo oraz, przez niektórych, za zgodę Zachodu na trwałą podział Europy. W istocie jednak państwa sygnatariusze, takie jak Polska, zobowiązały się w nich do przestrzegania szczegółowo określonych praw człowieka i w związku z tym udzieliły pozostałym sygnatariuszom, takim jak Stany Zjednoczone, prawa do wskazywania, za pomocą środków dyplomatycznych i nie tylko, że nie dotrzymują one swoich zobowiązań międzynarodowych. Innymi słowy, mieliśmy broń dyplomatyczną, którą mogliśmy bić innych po głowie, a przyznaje, że poczynaliśmy sobie z nią dość swobodnie. Na nic zdawały się riposty, że mieszamy się w sprawy wewnętrzne – wszak obie strony były sygnatariuszami tego samego porozumienia*¹²⁶.

Opozycja polityczna posługiwała się „swoim językiem”. Np. dokumenty KOR-u były pisane tzw. „korkowcem”, który był w dużej mierze dziełem pisarki Anki Kowalskiej. Był to język oszczędny i precyzyjny, z niewielkim zasobem słów i prostymi czasownikami¹²⁷. Język opozycji politycznej był kompromisem pomiędzy normalnym i obiektywnym widzeniem rzeczywistości, a zbitką pojęciową narzuconą społeczeństwu przez partyjną propagandę, obejmującą swym zasięgiem wszystkie oficjalne środki przekazu. Naród państwowy używał języka „oficjalnego”, czyli mowy telewizyjno-urzędniczo-partyjno-technokratyczno-szkolnej. Była to tzw. nowomowa. Język Kościoła i opozycji który obowiązywał głównie w Kościele i wydawnictwach niezależnych był swoistą antynowomową¹²⁸.

Walka o wolne słowo była jednym z głównych zadań opozycji politycznej. Objawiło się to już w wydarzeniach marcowych 1968 r., kiedy studenci stawiali wolność słowa na pierwszym planie. W tamtym czasie na polskich uczelniach kazano zamykać przed studentami maszyny do pisania. Zrodziło to konieczność ręcznego przepisywania ulotek w akademikach (ten sposób nazwano „chińskim powielaczem”). Z czasem przechodzono do wydajniejszych technik powielania i druku¹²⁹. Z roku na rok było coraz więcej wydawnictw drugiego

¹²⁶ Polska 1986–1989. Koniec systemu. T. 2, op. cit., s. 237

¹²⁷ Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–1988, T. 1. Warszawa 2000, s. 177

¹²⁸ X Łepkowski, *Dwa narody czy podwójny naród? Więź narodowa w Polsce współczesnej* [w:] *Obecność*. Londyn 1987, s. 285

¹²⁹ J. Baluch, *Czeski esej*.... op. cit., s. XXIII

obiegu. Jednak bardzo charakterystycznym zjawiskiem dla prasy bezdebitowej było to, że te same osoby w ciągu kilku lat angażowały się w redagowanie kilku, kilkunastu pism. Był to skutek m.in. braku chętnych do zajmowania się tego rodzaju pracami¹³⁰.

Działania na rzecz walki z cenzurą zdecydowanie popierał Kościół. W okresie świąt Bożego Narodzenia 1975 r. kardynał Karol Wojtyła w Kościele św. Szczepana w Krakowie mówił m.in.: (...) Bo jeśli się człowiekowi odbiera wolność słowa albo jeżeli się te jego słowa kontroluje i przykrawa do jakis z góry powziętych koncepcji, to wówczas tego człowieka się w efekcie nie szanuje. (...). Dzisiaj w świadomości społecznej takie fakty są wyraźnie sprzeczne z poczuciem praw obywatela, człowieka¹³¹.

Po latach Jan Krzysztof Kleus wspominał: *Pamiętam, jak szybko zmieniał się nasz stosunek do książek wydawanych w podziemiu. Początkowo kupowaliśmy każdą, jak relikwię wolnego słowa, cali zachwyceni, że coś takiego się pojawiło. Do głowy nam nie przychodziło, żeby kręcić nosem, wyszukiwać jakieś usterki. Ale bardzo szybko przestaliśmy się zesrywać (tak jest w oryginale – A. A.) na widok każdej następnej i gdy po roku natrafialiśmy na trzy źle złożone kartki, nieczytelny druk na dwóch stronach, niedosuszoną, brudną okładkę, to złościło nas to tak samo, jak każdy inny bubel. A nawet bardziej*¹³².

Ważnym elementem konsolidującym środowiska opozycji politycznej było wydawanie niezależnych publikacji i konieczność stworzenia sieci dla ich kolportowania.

Przed Sierpniem 1980 r. niezależne wydawnictwa początkowo rozprowadzano przede wszystkim wśród znajomych, którzy przekazywali je kolejnym, zaufanym osobom. W ten sposób rozrastał się krąg ich odbiorców. Jeśli ktoś był zainteresowany bibułą, a nie znał nikogo z opozycji, to mógł się po nią zgłosić do jednego z jej jawnych przedstawicieli. Ich adresy były drukowane w wydawnictwach bezdebitowych. Podawały je również zachodnie rozgłosnie ra-

¹³⁰ S. Rudka, *Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973–1989*. Warszawa-Wrocław 2001, s. 32

¹³¹ *Kalendarium życia Karola Wojtyły*. Oprac. ks. A. Boniecki MIC. Kraków 2000, s. 551

¹³² *Był raz dobry świat* op.cit., s. 172

diowe nadające audycje w języku polskim, przede wszystkim Wolna Europa¹³³. Kolporterzy nie posługiwali się publicznie nazwiskami czy pseudonimami ani nawet znakiem, jak na przykład oficyny wydawnicze. Ich praca na pewno jest niedoceniana, mimo że kolportaż był jednym z najważniejszych nerwów struktur opozycji politycznej¹³⁴.

Warto pamiętać, że nie istniały wówczas kserokopiarki, nieliczne powielacze miały jedynie instytucje państwowe i nikt niepowołany nie mógł z nich korzystać, nawet maszyna do pisania była rzadkością, a często odbitki ich czcionek były zarejestrowane w archiwach SB, co groziło dekonspiracją. W razie prób zakupu większej ilości papieru, sprzedawczynie były zobowiązane do informowania SB.¹³⁵

Historyk Norman Davies twierdzi, że wydawanie niezależnych publikacji w Polsce było, w stosunku do innych państw bloku wschodniego, opóźnione. *Patrząc wstecz trudno się domyślić, dlaczego Polacy tak się z tym spóźnili, dlaczego w latach sześćdziesiątych nie było po polsku odpowiednika rosyjskiego samizdatu. Opóźnienie to łączyło się chyba z tym, że powojenne społeczeństwo było mocno zdezorientowane tym co się wokół niego i z nim stało. Dezorientację pogłębiły pozorowane przemiany po roku 1956*¹³⁶.

Jednak kilka lat później, w drugim obiegu, wychodziło już około dwu tysięcy tytułów pism. Nakład miesięczny sięgał, jak szacowano około pół miliona egzemplarzy, a w badaniach statystycznych wyszło, że przeszło 7 milionów Polaków styka się z prasą niezależną¹³⁷. Warto jednak pamiętać, że publikacje nielegalne były raczej „suplementami” wobec oficjalnego systemu wydawniczego i nie starały się od niego bardziej uniezależnić¹³⁸. W badaniach prowadzonych przez warszawski Instytut Socjologii jesienią 1988 r. 41% respondentów wy-

¹³³ S. Rudka, *Poza cenzurą ...*, op. cit., s. 79

¹³⁴ *ibid.*, s. 87

¹³⁵ R. Burnetko, *Studenci kontra system*. „Tygodnik Powszechny” nr 47, 25 XI 2001

¹³⁶ N. Davies, *Smok wawelski nad Tamizą. Eseje, polemiki, wykłady*. Wydawnictwo ZNAK. Kraków 2001, s. 27

¹³⁷ *Wejść nic wejść. Polska 1980-1982. Wewnętrzny kryzys, międzynarodowe uwarunkowania*. Londyn 1999, s. 254

¹³⁸ B. Swiderski, *Gdańsk i Ateny. O demokracji bezpośredniej w Polsce*. Warszawa 1996, s. 189

rażało zaufanie do informacji zawartych w książkach wydawanych w „drugim obiegu” oraz zagranicą, a tylko 18% w książkach wydawanych w oficjalnym, krajowym obiegu¹³⁹. Był to więc wprost niewiarygodny postęp. Z walki z cenzurą opozycja polityczna wyszła zwycięsko.

Znalazło to odbicie w raporcie waszyngtońskiego Freedom House, który oceniając stopień wolności wypowiedzi w świecie, dawał Polsce w tym czasie ocenę party free wobec non-free dla reszty krajów bloku¹⁴⁰.

Walka o wolność słowa znalazła również odbicie w mediach publicznych, które miały być nośnikiem ideologii komunistycznej lecz przyniosły w latach 70. treści pochodzące z innego systemu, popularyzując dążenia, których sektor państwowy nie potrafił zaspokoić¹⁴¹.

Walka o wolność słowa miała również miejsce w organizacjach oficjalnych. Pisarz Jacek Bocheński 5 V 1980 r., na Walnym Zebraniu Sprawozdawczym Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich, ostro skrytykował stosunek władz do pisarzy, eliminowanie z życia publicznego twórców niepokornych oraz represje wobec opozycji. Swoją pochwałę niezależnego obiegu wydawniczego i atak na cenzurę poparł zademonstrowaniem niezależnego „Zapisu”¹⁴².

O wadze „drugiego obiegu” dla budowy społeczeństwa obywatelskiego w Polsce pisał prof. Zbigniew Brzeziński: *Wszystko to znajduje wyraz w szerokim wachlarzu publikacji – czasopism, książek, magazynów – publikowanych w podziemiu, ale znajdujących się w półlegalnym obiegu, w rzeczywistości świadczących o pilnej potrzebie rzeczywistej opozycji politycznej jako normalnego warunku życia, chociaż opozycja polityczna nie może jeszcze do tego pretendować. Ale ona istnieje i postuluje coś na przyszłość*¹⁴³.

Walka opozycji politycznej o wolność słowa miała podstawowe znaczenie dla formowania się społeczeństwa obywatelskiego, bowiem nieskrępowane działania komunikacyjne stanowią podstawę istnienia jako wspólnoty, są one

¹³⁹ *ibid.*, s. 165

¹⁴⁰ J. Mikułowski Pomorski, „Solidarność” jako efekt zmiany społecznej (kryzys społeczeństwa industrialnego: kolektywizm, męskość, niepewność) (w:) „Solidarność” dwadzieścia lat później. Praca zbiorowa. Wydawnictwo Arcana, Kraków 2001 s. 39

¹⁴¹ *ibid.*, s. 37.

¹⁴² *Opozycja w PRL*, op. cit., s. 45–46

¹⁴³ Z. Brzeziński, *Spadekpo ...*, op. cit., s. 34

także fundamentem, na którym opiera się funkcjonowanie norm społecznych. W ramach tych działań kształtuje się wartości, z których wyrastają instytucje społeczne, będące podstawą społeczeństwa obywatelskiego¹⁴⁴.

Po uzyskaniu pewnych możliwości działania opozycja polityczna musiała skupić się na formułowaniu bardziej szczegółowych programów oraz form swego działania. W PPN szukano przede wszystkim tego co łączy. Koncentrowano się na zadaniu wychowania narodowego wiążąc je z myśleniem o konieczności kształcenia alternatywnych elit przywódczych, których rolą miało być właśnie uświadamianie Polakom, kim są i do czego dążą¹⁴⁵. Z kolei w KOR-ze, jak pisał Adam Michnik, starano się zespolic realizm z odwagą i wyobraźnią: *Realizm nakazywał umiar w formowaniu postulatów niepodległości i w ekscytowaniu opinii publicznej radykalnym antysowiecczym. Ten sam realizm nakazywał wychodzenie od działań konkretnych, zaś wyobraźnia podsuwała niekonwencjonalne środki działania (...). miały być one oparte o zasadę jawności i instytucjonalizacji niezależnych społecznych inicjatyw*¹⁴⁶.

Inny członek KOR-u Zbigniew Romaszewski wspominał w jaki sposób inicjatywy te rodziły się: *Z rozrzuconiem wspominam czasy KOR-owskie, gdzie każdy pogląd mógł być dyskutowany, kontrolowany z innymi, wzbogacać się i w końcu przyjmować postać akceptowaną przez przygniatającą większość*¹⁴⁷.

Pierwszy tekst rysujący koncepcję samodzielnego ruchu politycznego napisał pod pseudonimem „Marian Korybut” – Antoni Macierewicz, pomysłodawca nazwy: Komitet Obrony Robotników. Napisany i przyjęty został do druku przez emigracyjny „Aneks” jeszcze przed powstaniem KOR-u¹⁴⁸.

W tekście tym autor polemizował m.in. z postulatem legalności w działaniu opozycji politycznej w PRL: *Gotowi jesteśmy zapomnieć, że w myśl polskiego prawa nielegalnym może być prawie każde działanie, nie mówiąc już o tak wy-*

¹⁴⁴ R. Śnieżek, *Spółczesność obywatelska w kategoriach dualizmu system/lebenswelt w teorii krytycznej Jurgena Habermasa* [w:] *Spółczesność obywatelska...*, op. cit., s. 199

¹⁴⁵ Z. Najder, *Jaka Polska, co i komu doradzałem*. Warszawa (brak daty wydania), s. 12–26

¹⁴⁶ A. Michnik, *Takie czasy... rzecz o kompromisie*. Warszawa 1986, s. 5–6

¹⁴⁷ Z. Romaszewski, *Rozdroża „Solidarności”*, „Kultura”, Paryż styczeń-luty 1987, s. 22

¹⁴⁸ J. Andrzejewski (właśc. Andrzej Paczkowski), *KOR od wewnątrz* [w:] „Aneks” nr 34, Warszawa 1984, s. 133–134

wrotowych, jak organizowanie zebrań samokształceniowych, petycji do władz czy pisywanie do zagranicznych pism polskich. [...] Legalność zostawmy więc legalnym instytucjom. Jest ich przecież bez liku. Jest Kościół, ugrupowania katolickie, uniwersytety. Te wszystkie instytucje mają możliwości i obowiązek prowadzić legalną walkę na okrojonych warunkach. Jakże jednak możemy spodziewać się od nich odwagi i bezkompromisowości, gdy my, „opozycja” przyjmujemy ich postawę i uwarunkowania: [...] Jeżeli my będziemy akceptowali wewnętrzne reguły, jakie obowiązują między instytucjami a władzą, one postawią się w roli cenzury i władzy. [...] Dążymy do wspólnego celu. Instytucje działające legalnie powinny być służebne wobec opozycji, nie zaś odwrotnie¹⁴⁹.

Jacek Kuroń w ważnym tekście pt.: *Myśli o programie działania* pisał: *opozycja polityczna, która poczynając od tak zwanej kampanii Iwinstytucyjnej, jest w naszym kraju coraz aktywniejsza, musi wziąć na siebie faktyczną odpowiedzialność za losy kraju, to wypracować i realizować taki program działania, który będzie jednocześnie programem przezwyciężania kryzysu gospodarczego, społecznego i politycznego (...). Program działania opozycji jest więc oczywisty: inicjować i organizować społeczne ruchy oporu oraz porozumienie między nimi*¹⁵⁰.

Autor rysował w swoim tekście perspektywę do jakiej Polska winna zmierzać jako „program finlandyzacji”¹⁵¹. Postulat ten spotkał się z ostrą krytyką ze strony kształtujących się prawicowych i niepodległościowych środowisk opozycyjnych jako „kapitulanci”. Należały do nich Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Ruch Młodej Polski, Konfederacja Polski Niepodległej czy Komitet Samoobrony Polskiej. Również w samym KOR-rze doszło do żarliwej dyskusji. Koncepcje Jacka Kuronia krytykował Antoni Macierewicz i grupa jego współpracowników skupiona wokół pisma „Głos”. Podjęta przez Jacka Kuronia próba wyznaczenia pośredniego etapu na drodze do niepodległości była w zasadzie ewenementem w publicystyce KOR-owskiej. Powszechnie zdawano sobie bowiem sprawę z faktu, że wpływ opozycji politycznej na zmia-

¹⁴⁹ J. Karpiński, *Wykres gorączki. Polska pod rządami komunistycznymi*. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Lublin 2001, s. 353–354

¹⁵⁰ J. Kuroń, *Myśli o programie działania* op. cit., s. 125–137

¹⁵¹ *ibid.*, s. 142

nę położenia geopolitycznego Polski jest co najwyżej minimalny, zaś wszelkie przekształcenia istniejącego stanu rzeczy mogłyby mieć miejsce tylko wobec istotnych przeobrażeń wewnątrz ZSRR¹⁵².

Z tezami Jacka Kuronia polemizował m.in. Wiesław Chrzanowski, który w 1977 r. na łamach londyńskiej „Myśli Polskiej” opublikował artykuł pt. *Rzecz o obronie czynnej i tzw. lewicy laickiej*. Sprzeciwiał się pomysłom finlandyzacji PRL, twierdząc, że nie zgodzą się na to ani PZPR, ani ZSRR. Pisał, że system nie jest reformowalny i należy go odrzucić w całości, że tylko stała mobilizacja sił narodowych („obrona czynna”) może przynieść powodzenie w walce z systemem¹⁵³.

Bardzo interesującą propozycję programową, zdecydowanie o niepodległościowym charakterze, sformułował Leszek Moczulski, uczestnik ROPCIO późniejszy lider KPN. Książka *Rewolucja bez rewolucji* ukazała się w czerwcu 1979 r. w okresie pierwszej papieskiej pielgrzymki. Zawarł w niej bardzo trafną, krótkoterminową prognozę polityczną przewidującą, że w ciągu maksimum dwóch lat niewydolność systemu, zwłaszcza socjalistycznej gospodarki, miała doprowadzić do poważnego kryzysu. Ponieważ oznaczało to w praktyce kolejne wystąpienie robotników, autor proponował najbardziej skuteczną i bezpieczną metodę strajku okupacyjnego. Spełniło się to w sierpniu 1980 roku. Następstwem tego społecznego wybuchu miała być według Moczulskiego, stopniowa likwidacja PRL i odzyskanie pełnej niepodległości¹⁵⁴.

Tak więc różnice między KOR i ROPCiO istniały głównie w warstwie ideowej oraz odmiennym rozkładaniu akcentów. Dla ludzi KOR niepodległość miała być zwieńczeniem budowy społeczeństwa demokratycznego, dla ROPCiO warunkiem zbudowania demokracji. Korowcy w hierarchii ideowej najwyżej stawiali wartości demokratyczne, ropciowcy wartość niepodległości. Jeżeli dla KSS „KOR” nadrzędnym podmiotem myśli politycznej było spo-

¹⁵² G. Waligóra, *Położenie geopolityczne i problem niepodległości w myśli politycznej środowiska KOR [w:] Studia i materiały z dziejów opozycji i oporu społecznego*. T. II, pod red. Ł. Kamińskiego, s. 91

¹⁵³ Opozycja w PRL, op. cit., s. 58–59

¹⁵⁴ P. Zaremba, *Młodopolacy. Historia Ruchu Młodej Polski*. Gdańsk 2000, s. 80

łączeństwo, dla KPN państwo, to dla RMP był nim naród jako uformowana w procesie historycznym, świadoma swych celów, wspólnota¹⁵⁵.

W opozycji coraz wyraźniej rysowała się formuła dążenia do niepodległości, a grupą społeczną, która miała w największym stopniu się do tego przyczynić, mieli być robotnicy.

Również na emigracji podobnie określano tę sytuację w kraju. Znany emigracyjny polityk i publicysta Adam Ciołkosz pisał: ...*Cały ten system jest chory, nie da się go uleczyć, trzeba go w całości usunąć i zniszczyć jego polityczną nadbudowę. (...) Mogą to uczynić tylko robotnicy – ale nie dlatego, że są ludźmi ulepionymi z lepszej gliny, lecz dlatego że warunki bytu zmuszają ich do solidarności i walki*¹⁵⁶.

Redaktor „Kultury” Jerzy Giedroyc mówił w tym czasie: *Rewolucje robią robotnicy, nikt inny. A rewolucja zwycięża, jeśli popierają inteligencja. To jest abecadło*¹⁵⁷.

To „abecadło” stawało się coraz powszechniejsze. Jacek Kuroń w niezależnej „Krytyce” wskazywał, że: *Wydaje się, że w zdefiniowanej sytuacji jedyną szansą zapoczątkowania procesu demokratyzacji jest działanie zorganizowanych grup intelektualistów, podjęte w trakcie wybuchu robotniczego, które wysuną program artykułujący dążenia ogólnospołeczne, a w szczególności robotnicze*¹⁵⁸.

Pod koniec lat 70. opozycja doprowadziła do zdumiewającej zbieżności poglądów ludzi o bardzo odmiennych tradycjach intelektualnych i interesach, robotników, inteligencji i Kościoła – do współdziałania w obronie podstawowych praw¹⁵⁹.

Premier rządu emigracyjnego w Londynie Kazimierz Sabbat na początku 1977 r. stwierdził, że zaistniała *współpraca niezależnych od siebie trzech czyn-*

¹⁵⁵ A. Friszke, *Problem niepodległości w Polsce powojennej (1945–1980)* [w:] *Między irredentą, lojalnością a kolaboracją. O suwerenność państwową i niezależność narodową (1793–1989)*, pod red. W. Wrzesińskiego, Wrocław 2001, s. 336–339

¹⁵⁶ A. Ciołkosz, *Jak widzę przyszłość Polski*. „Wiadomości” nr 4, Londyn 25 I 1976 [w:] A. Ciołkosz, *Walka o prawdę. Wybór artykułów 1940–1978*. Londyn 1983, s. 95

¹⁵⁷ Rozmowa z Jerzy Giedroyciem sprzed dwunastu lat [w:] „Aneks” nr 44, Londyn 1986, s. 49–50

¹⁵⁸ J. Kuroń, *W stronę demokracji*. „Krytyka” nr 3, Warszawa 1978/79 [w:] J. Kuroń, *Polityka i odpowiedzialność...* op. cit, s. 49

¹⁵⁹ T. Garton Ash, *Polska rewolucja „Solidarność”*. Warszawa 1987, s. 14–15

*ników w przeszłości niejednokrotnie antagonistycznych: świata robotniczego, świata intelektualnego oraz Kościoła. Przemiana ta, której doniosłości nie można przecenić, będzie zjawiskiem kluczowym dla dalszej przyszłości. (...) Społeczeństwo przestało się bać. Partia straciła swą główną broń – zastraszanie¹⁶⁰. Tę nową jakość w polskim życiu społecznym podkreślano na emigracji wielokrotnie. M.in. podczas Ogólnego Zjazdu Polaków w Wielkiej Brytanii w dniach 25–26 II 1978 r., w przyjętej uchwale, w części dotyczącej spraw kraju, Zjazd z najwyższym uznaniem wypowiedział się o kardynale Stefanie Wyszyńskim i jego postawie. *Walka o prawa człowieka, prowadzona konsekwentnie przez Kościół od początku (...) znalazła w ostatnich latach wymownych sojuszników w świecie intelektualistów oraz w świecie robotniczym. Współdziałanie tych trzech czynników nadaje walce o wolność w Polsce wielką siłę. Jest to sytuacja nowa nie mająca precedensu, możliwa tylko w Polsce, stanowiąca zadatek harmonii wewnętrznej na przyszłość*¹⁶¹.*

Również działające w Zachodniej Europie niektóre partie polityczne popierały działania opozycji politycznej w bloku wschodnim, na rzecz praw człowieka. Dobrym przykładem jest uchwała XX Kongresu Europejskiej Unii Chrześcijańskich Demokratów obradującego 6 i 7 VI 1978 r. w Berlinie (Zachodnim): *Przestrzeganie i wspieranie praw człowieka jako zadanie polityki chrześcijańsko-demokratycznej. Chrześcijańscy demokraci Europy opowiadają się za niezbywalnymi prawami człowieka, które państwo musi traktować jako nadrzędne. Według chrześcijańskich demokratów prawa człowieka oparte są na chrześcijańskiej misji człowieka i posiadają wartość uniwersalną. Dlatego też chrześcijańscy demokraci występują na rzecz przestrzegania i popierania praw człowieka i podstawowych swobód jednostki we wszystkich państwach świata. Bez poszanowania tych praw nie ma prawdziwego pokoju i bezpieczeństwa. Ponieważ prawa człowieka stoją ponad zasadą suwerenności, ich obrona nie może być interpretowana jako mieszanie się w wewnętrzne sprawy jakiegoś państwa. (...)*

W Europie deklaracje woli aktu końcowego z Helsinek i nowe ustalenia konstytucyjne poszczególnych państw-sygnatariuszy nie doprowadziły do chwili obecnej

¹⁶⁰ A. Friszke, *Życie polityczne emigracji*. Warszawa 1999, s. 403–404

¹⁶¹ *ibid.*, s. 414

*do zadowalającego zagwarantowania praw człowieka. (...) W komunistycznych krajach Europy Wschodniej nie zostało zagwarantowane zwłaszcza prawo do wolności poglądów, wolności sumienia i religii oraz swobodnego podróżowania (...). Podpisanie aktu końcowego w Helsinkach i konwencji praw człowieka okazuje się kłamstwem, jeżeli nadal tłumiona jest wolność myśli, a nieludzkie urządzenia, zamykające granice obszaru władzy komunistycznej, pozostają niezmiennie symbolem odmowy prawa do swobody podróżowania. (...) Prawa człowieka są dzisiaj łamane w coraz większej ilości państw przez reżimy komunistyczne i faszystowskie oraz przez dyktatury wojskowe w Europie Wschodniej, Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Stałym zadaniem ruchów demokratycznych jest występowanie przeciw temu. (...)*¹⁶².

Również sama opozycja polityczna nawiązywała liczne kontakty z dysydentami z innych państw Układu Warszawskiego. Warto wymienić np. kontakty z dysydentami związanymi z różnymi kościołami. W NRD działał Templin, który studiował w Polsce w latach 70., Menlhorm uczestniczył w pracach Akcji Znaków Pokuty w Polsce, gdzie nawiązał bliskie kontakty z ludźmi z Klubów Inteligencji Katolickiej z Warszawy, Krakowa i Wrocławia. Ludzie z kręgów Akcji wypełniali również lukę, której w NRD nie mogła zlikwidować choćby telewizja z RFN: tłumaczono teksty Komitetu Obrony Robotników i rozpowszechniano je w NRD, organizowano zbiórki pieniężne na rzecz KOR-u.

Warto zwrócić uwagę na pastora Eckarda Hubnera i dysydenta Rolanda Jahna. Pierwszy za próbę przemycenia materiałów o „Solidarności” do NRD został skazany i wydalony do RFN. Drugiego spotkał ten sam los, a powodem była polska flaga przyczepiona – na znak solidarności z Polakami – do roweru, którym jeździł po rodzinnej Jenie¹⁶³.

Z kolei na Litwie więzi z dysydentami rosyjskimi oraz innych narodowości podtrzymywali członkowie katolickiego ruchu, gromadzący się wokół wydawanej od roku 1972 podziemnej „Kroniki litewskiego Kościoła katolickiego”.

¹⁶² Z historii Ruchu Chrześcijańsko-Demokratycznego w Europie. Wydawnictwo „Wokół nas”. Gliwice 1992, s. 197–200

¹⁶³ E. Zariczny, *Łączyły ich wspólne wartości*. „Rzeczpospolita” 3–4 II 2001

Najsilniejsze były związki z Polską, a przede wszystkim z polskim Kościołem. Jeden z kontaktów nawiązało zgromadzenie księży Marianów. Przez nich z Polski najpierw docierała religijna, a potem polityczna literatura.

Od roku 1978 na katolicki prąd polityczny na Litwie wpływały idee polskiego, filozoficznego antykomunizmu. Ważną rolę w popularyzowaniu nauki i działalności Papieża Jana Pawła II odegrała litewska rozgłośnia Radia Watykan i jej ówczesny kierownik ks. Vytautas Kazlauskas. Od 1980 r. w konspiracyjnej „Kronice litewskiego Kościoła katolickiego” zdarzały się publikacje, w których krytykowano „komunistyczną antropologię” – co dobitnie świadczyło o wpływie nauki Jana Pawła II. Pierwszym dokumentem przetłumaczonym i ogłoszonym na Litwie była encyklika Papieża *Laborem Exercens*¹⁶⁴.

W kraju dla większości opozycyjnie nastawionych duchownych najistotniejsze były nie różnice ideowe tylko wspólne antykomunistyczne wyznanie wiary¹⁶⁵.

Formy zorganizowania wewnętrznego opozycji politycznej były bardzo zróżnicowane. Granica pomiędzy działaczem, współpracownikiem, sympatykiem i życzliwym obserwatorem była płynna¹⁶⁶.

KOR nigdy nie podjął kroków w celu oficjalnego zarejestrowania się. Miał tylko jedną cechę organizacji – posiadał członków, nie miał zaś statutu, prezesa czy składek¹⁶⁷. Przez cały okres działalności KOR-u status członka uzyskało zaledwie 38 osób. Była to więc swoista paraorganizacyjna formuła aktywności społecznej. Pewną rolę w takim sposobie zorganizowania odegrała obawa przed przekraczaniem przez wiele osób kolejnego progu bezpieczeństwa (przynależność do organizacji opozycyjnej była surowiej karana i łatwiejsza do udowodnienia przez władze)¹⁶⁸. W historii Komitetu bardzo

¹⁶⁴ I. Vaišvilaite, *Zarys historii litewskiego antykomunizmu i jego stosunków z antykomunizmem polskim* [w:] *Antykomunizm po komunizmie*. Red. J. Woczkowski. Ośrodek Myśli Politycznej. Kraków 2000, s. 288–291

¹⁶⁵ R. Zaremba, *Młodość ...*, op. cit., s. 75

¹⁶⁶ *Był raz dobry świat ...*, op. cit., s. 183

¹⁶⁷ J. J. Lipski, *Komitet Obrony Robotników. KOR. Komitet Samoobrony Społecznej*. Gliwice 1988, s. 42–43

¹⁶⁸ J. Andrzejewski, *KOR od wewnątrz ...* op. cit., s. 133

dużą rolę odegrały również osoby oficjalnie do niego nie należące, określane mianem współpracowników. Podobnie do KOR-u zorganizowane były ROP-CIO czy też RMR którego specyfiką był fakt, że organizacja ta powstawała w dużym stopniu w jednym kręgu towarzyskim i pokoleniowym. W tym czasie najbardziej scentralizowanym i formalnie zorganizowanym ugrupowaniem była Konfederacja Polski Niepodległej pierwsza od 1947 r. (zdławienie Polskiego Stronnictwa Ludowego), nie koncesjonowana przez komunistyczne władze, partia polityczna.

Można przyjąć, że większość grup opozycji politycznej była zorganizowana podobnie do modelu, który zastosował Lesław Maleszka (członek Studenckiego Komitetu Solidarności, który w 2001 r. przyznał, że był współpracownikiem SB), do opisanego struktury SKS. Używa on stosowanej w politologii, do analizy oporu społecznego w krajach totalitarnych, teorii trzech kręgów, według której jądro SKS-u stanowiło 20–30 najbardziej zaangażowanych i zdecydowanych na każdą akcję osób. Krąg drugi to 300–400 chętnych do pomocy sympatyków gotowych podpisać petycję, kolportować bibułę, przechować matryce – ale już nie urządzić we własnej piwnicy drukarnię czy rozdawać ulotki. Mówi się o nich: *peleton, który kręci się przy SKS*. Krąg trzeci – największy, bo szacowany na 2 tys. osób – to czytelnicy drugiego obiegu, słuchacze wykładów TKN i niezależnych dyskusji w klubach studenckich, czasem próbujący działać w samorządzie. Ale nic więcej¹⁶⁹.

W połowie 1979 r. na naradzie lektorów KC PZPR dyrektor Departamentu III MSW zwalczającego opozycję polityczną, gen. A. Krzysztoporski tak przedstawił jej rozmiary: *Jest mniej więcej kilkuset ludzi zaangażowanych w działalność KOR-owską, nieco więcej do tysiąca ROP-owską. Co jest bardzo istotne. Od półtora, a może nie od półtora, od roku czasu ilość osób angażujących się w działalność antysocjalistyczną w liczbach bezwzględnych zaczyna nam już widocznie maleć. Tak jak do początku jeszcze 78 roku ilość osób, ilość ludzi, które się angażowały w działalność antysocjalistyczną rosła, to rosła bardzo szybko, w przeciwieństwie 77 roku i mniej więcej gdzieś tam ok. 40% wzrosła ilość ludzi którzy się w tę działalność angażowali, podobnie było w 1976 r. w drugiej połowie. Tak*

¹⁶⁹ R. Bumetko, *Studenci kontra system ...*, op. cit.

*w 1978 r. mniej więcej w marcu, a więc już ponad rok temu apogeum zostało przekroczone i w tej chwili wydajnie w liczbach bezwzględnych, maleje, to znaczy saldo, przychodzą pewni ludzie nowi, odchodzą inni, ale saldo już jest nie tak jak w handlu zagranicznym, na szczęście w tej chwili dla nas, już w tej chwili wyraźnie dodatnie, w liczbach bezwzględnych, zaraz wam powiem, 12% nam przez rok minęło*¹⁷⁰.

Zupełnie wyjątkową inicjatywą polityczną było zawiązane w roku 1978 Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Stefan Bratkowski, jeden z inicjatorów tego przedsięwzięcia wspomina: *Władze po pierwszym jego spotkaniu zakazały dalszych, ale nie mogły go, jak i KOR-u, formalnie rozpuścić ani nawet znaleźć formalnego pretekstu do ścigania, bo DiP nie miał ani władzy, ani statutu, ani członków. To grono rozpisywało potem ignorujące system ankiety i, gromadząc w trybie prywatnych kontaktów odpowiedzi czołowych postaci polskiego życia umysłowego, pracowało nad raportami o stanie państwa i sposobach wyjścia z narastającego kryzysu. Żaden z tych raportów w swym realizmie nie przewidywał likwidacji systemu i w zakończeniu jednego z nich znalazło się charakterystyczne zdanie – zmiany są o tyle konieczne, o ile niemożliwe*¹⁷¹.

Jerzy Giedroyc, redaktor „Kultury” odczuwał pewien niedosyt w działalności KOR-u. W swojej autobiografii stwierdził: *Największym błędem KOR-u było to, że ograniczał się do chwili bieżącej. Nigdy nie chciał zastanawiać się nad przyszłością Polski. Ilekroć poruszałem tę sprawę, odpowiadało mi, że nawołuje do fantazjowania. KOR przegrał z chwilą, gdy ogłosił, że się rozwiązuje, choć zarazem tworzył wrażenie, że dąży do opanowania „Solidarności”, co mu bardzo zaszkodziło.*

Stosunki „Kultury” z KOR-em były bardzo bliskie, współpracowałem zwłaszcza z Anielą Steinsbergowa i z Józefem Rybickim. Z mojej strony polegało to głównie na pomocy finansowej dla KOR-u, któremu w okresie procesów radomskich przekazywałem przez okazje pieniądze dla robotników. Była to pomoc bardzo znaczna.

¹⁷⁰ *Opozycja demokratyczna w Polsce. W świetle akty KC PZPR 1976–1980. Wybór dokumentów. Wybór, wstęp i oprac. Ł. Kamiński, P. Piotrowski. Przedmowa W. Wrzesiński. Wrocław 2002, s. 247*

¹⁷¹ S. Bratkowski, *Najkrótsza Historia Polski*. Krajowa Agencja Wydawnicza. Warszawa 1998, s. 357–358

*Ponadto Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce, który prowadzili w Chicago pan Migala i ptk Jurewicz, bardzo pracowicie i ofiarnie zbierał pieniądze na ten cel i przekazywał je w całości za naszym pośrednictwem*¹⁷².

Inną poważną słabością opozycji politycznej było to, że w zakresie myślenia o gospodarce nie była w stanie przekroczyć spadku po partyjnych rewizjonistach. Ideałem gospodarczym opozycji przedsierpniowej był socjalizm rynkowy, ale bez prywatnej własności środków produkcji. Również publicystom wychodzącym z innych pozycji ideowych niż lewicowe nie było dane uporać się z etatyzmem w myśleniu o polskiej gospodarce. Przypadki Mirosława Dzielskiego czy Janusza Korwin-Mikke były wyjątkami, gdyż ich poglądy miały niewielki wpływ na działanie opozycji przedsierpniowej¹⁷³.

Z czasem działalność opozycji politycznej była nie tylko niebezpieczna, ale coraz bardziej kosztowna. Pieniądze pozyskiwano głównie ze zbiorów, sprzedaży niezależnych wydawnictw (które przed sierpniem 1980 r. pokrywały około 30% kosztów ich produkcji)¹⁷⁴ oraz różnego rodzaju dotacji głównie od emigracji politycznej. Jan Józef Lipski, skarbnik KSS KOR, obliczał, że działalność komitetu wraz z finansowanymi przezeń: Towarzystwem Kursów Naukowych, Studenckimi Komitetami Solidarności, kilkoma czasopismami i wydawnictwem, kosztuje 36 tys. dolarów rocznie¹⁷⁵. Sytuacja finansowa KOR-u była na tyle dobra, że udzielono kilku dotacji finansowych czechosłowackiej Karcie 77¹⁷⁶.

Charakterystyczne dla opozycji w latach 70. były działania jawne, choć teksty powielano i drukowano konspiracyjnie. Działaniom tym nadawano rozgłos poza oficjalnymi strukturami prawnymi i instytucjonalnymi: wydawano oświadczenia, publikowano biuletyny, czasopisma i książki bez ingerencji cenzury, pomagano pokrzywdzonym, zwłaszcza po protestach robotni-

¹⁷² J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*. Oprac. i posłowie K. Pomian. Czytelnik. Warszawa 1999, s. 242–243

¹⁷³ L. Mażewski, *Kilka uwag o myśli gospodarczej gdańskiej opozycji* [w:] *Opozycja antykomunistyczna w Gdańsku (1976–1980)*, op. cit., s. 107

¹⁷⁴ S. Rudka, op. cit., s. 89

¹⁷⁵ A. Friszke, *Życie polityczne emigracji...*, op. cit., s. 431

¹⁷⁶ B. Lecomte, *Prawda zawsze zwycięży jak Papież pokonał komunizm*. Warszawa 1997, s. 249

czych w czerwcu 1976 roku. Działania bez pozwolenia, niezależne od władz, stawały się opozycyjne dzięki swej niezależności. Ale działania niezależne, nie podporządkowane ideologii i propagandzie, wskazaniom władz partyjno-państwowych, zdarzały się także w instytucjach oficjalnych. Warto pamiętać o opozycji, która nie starała się zwracać uwagi na swoją opozycyjność. Np. Zbigniew Herbert w roku 1974 wydał cykl wierszy *Pan Cogito*, podpisywał też wtedy różne zbiorowe oświadczenia. Na pewno jednak trwalsze wartości tworzył w swojej indywidualnej opozycji bardziej jako poeta niż jako uczestnik akcji zbiorowych.

Organizacje opozycyjne w latach 70. częściej deklarowały raczej cele społeczne, bezpośrednio interwencyjne, niż ogólno-polityczne. Takim bezpośrednio interwencyjnym celem była obrona robotników i praw człowieka. Antypolityczne nastawienie opozycji politycznej było wynikiem realnego spojrzenia na rzeczywisty układ sił politycznych. Pożądane przez społeczeństwo obalenie ustroju politycznego było w przekonaniu opozycji sprawą dalszej przyszłości. Z tej racji koncentrowała się ona na działaniu możliwym do wprowadzenia w życie indywidualne i społeczne obywateli w istniejących warunkach systemu totalitarnego. Takim sposobem była próba moralnej odbudowy narodu i społeczeństwa, wyrażająca się obroną praw człowieka i obywatela. Budowano w ten sposób filary demokracji w stylu zachodnim, czyli autonomii jednostki i społeczeństwa obywatelskiego, i ta droga doprowadziła do pełnego sukcesu¹⁷⁷.

Jak zauważał Karol Modzelewski: *Ideologiczne utopie wyparowały z krytycznego, opozycyjnego myślenia w skali społecznej po 1968 roku. W opozycji demokratycznej lat 70. miejsce ideologii politycznej zajęło w gruncie rzeczy myślenie w kategoriach praw człowieka*¹⁷⁸.

Sergiusz Kowalski napisał: *W ustroju, o którym sądzi się, że powinien zostać zmieniony -choć nie wiadomo, kiedy i jak – sprawa przedstawia się nieco inaczej: imperatyw działania oderwany jest od sfery zwykłych czynności, stanowi raczej*

¹⁷⁷ Ks. J. Koperek, *Nowe demokracje i sporo naturę społeczeństwa obywatelskiego*. Warszawa 2001, s. 283–285

¹⁷⁸ *Świetlane jutro, którego nie było*. Z Jackiem Kuroniem i Karolem Modzelewskim rozmawia Włodzisław Kalicki, „Gazeta Wyborcza” 27–28 X 2001

*wezwanie do zmanifestowania niezgody, niż postulat mozolnego budowania społeczeństwa obywatelskiego w codziennym, mało spektakularnym wysiłku*¹⁷⁹.

Później niektóre organizacje nie ukrywały swojej polityczności np. Ruch Młodej Polski czy Konfederacja Polski Niepodległej¹⁸⁰.

Cały czas działania opozycji politycznej to okres poszukiwania przez władze PRL nowych form walki przeciwko niej. Z kolei opozycja poszukiwała skuteczniejszych technik dotarcia do społeczeństwa. To było ciągłe przystosowywanie do zmieniających się warunków politycznych, społecznych i gospodarczych. Należy podkreślić, że działalność i pojęcie opozycji politycznej, przerosło w dużym stopniu znany ówczesnie język opisu życia społecznego. Z kolei władze jeszcze przez bardzo długi czas określały opozycję polityczną jako *tzw. opozycję polityczną*¹⁸¹ – miało to stanowić obniżenie jej rangi i wpływów w społeczeństwie.

Opozycja polityczna niejako „zabudowywała” przestrzeń społeczną między państwem a rodziną, przyczyniając się do budowy społeczeństwa obywatelskiego.

Jak zauważył Jakub Karpiński: *cała sprawa ze społeczeństwem obywatelskim polega właśnie na słowie „podmiotowość”, które oznacza, że zbiorowości składające się na społeczeństwo obywatelskie są podmiotowe, oraz decydują. Tak rozumiana podmiotowość była ważnym składnikiem mitologii, jeżeli chcemy używać tego słowa, albo po prostu zbioru wartości polskiej opozycji. Tak rozumiana podmiotowość była tym, co skrajnie antysystemowe. (...) Z jednej strony mamy system, który podmiotowość ogranicza i ogranicza społeczeństwo obywatelskie, a z drugiej – próby samo-organizacji*¹⁸².

W innym miejscu Jakub Karpiński napisał: *Władze zwalczały niezależność, używając przepisów prawa karnego i postępowań policyjno – sądowych przeciw opozycjonistom, ludziom niepokornym, którzy porozumiewali się bez*

¹⁷⁹ S. Kowalski, *Krytyka solidarnościowego rozumu. Studium z socjologii myślenia potocznego*. Warszawa 1990, s. 123

¹⁸⁰ J. Karpiński, *Od PRL-u do „Solidarności”*. „Życie” 17 VIII 2000, s. 13

¹⁸¹ List Edwarda Gierka z listopada 1982 do I Sekretarza KC PZPR Wojciecha Jaruzelskiego [w:] *Gomułka i inni. Dokumenty z archiwum KC 1948–1982*. Wstęp, wprowadzenie i przypisy J. Andrzejewski. Londyn 1987, s. 246

¹⁸² *Polska 1986–1989. Koniec systemu...*, op. cit., T 2, s. 295

zezwoleń, tworzyli organizację i upowszechniali informacje, drukowali czasopisma i książki, starali się, myśląc niezależnie, opisać ówczesną sytuację i proponować pożyteczne działania. Opozycjoniści przypominali podstawowe wartości, takie jak niepodległość i demokracja, nie realizowane w Polsce rządzonej przez komunistów. Starano się konkretyzować ogólne hasła i wskazywać sposoby ich realizacji, między innymi przez tworzenie instytucji i organizacji niezależnych od władzy. (...) Opozycjoniści odzyskiwali „podmiotowość”. (...) Coraz więcej ludzi nie tylko chciało niezależnie i „podmiotowo” ale także dążyło do zmiany warunków społecznych na takie, których „podmiotowość” mogłaby się wyrażać i w których cechowałaby zbiorowości społeczne, a nie tylko poszczególne osoby¹⁸³.

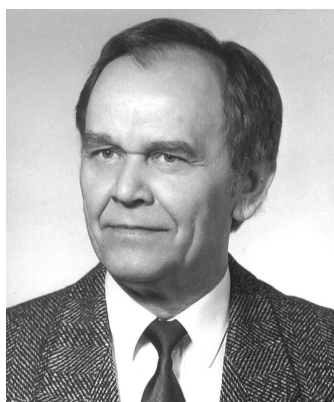
Z kolei Zbigniew Pełczyński zauważał: Uwzględnivszy brak zinstytucjonalizowanej, niezależnej bazy, poprawniej byłoby twierdzić, że rozpowszechnianie się „opozycji demokratycznej” i ruchu dysydenckiego w Polsce pod koniec lat 70. było odradzaniem się „społeczeństwa politycznego”, niezależnej sfery działalności publicznej poza struktury państwa komunistycznego. To świeżo opierzone społeczeństwo polityczne po omacku szukało sposobów zinstytucjonalizowania się i przekształcenia w społeczeństwo obywatelskie, zdolne do konfrontacji z państwem partii komunistycznej z pozycji siły i zmuszenia go do pójścia w kierunku rzeczywistych reform¹⁸⁴.

Tej samoorganizacji społecznej sprzyjała religia i działalność Kościoła. W tym czasie istniał silny związek między religijnością a aktywnością obywatelską Polaków. Religia i Kościół były i są ważnymi sprzymierzeńcami społeczeństwa obywatelskiego w Polsce.

¹⁸³ J. Karpiński, *Trzecia niepodległość. Najnowsza historia polski*. Świat Książki. Warszawa 2001, s. 32

¹⁸⁴ Z. A. Pełczyński, „Solidarność” a „odrodzenie społeczeństwa obywatelskiego” w Polsce w latach 1976–1981 [w:] Z. A. Pełczyński, *Wolność, państwo, społeczeństwo. Hegel a problemy współczesnej filozofii politycznej*. Pod red. K. Bala i M. N. Jakubowskiego. Wrocław 1998, s. 247–248

FRAGMENT KSIĄŻKI WSPOMNIENIOWEJ
JÓZEFA JANIKA „CHCIAŁEM BYĆ...”



Ślepowrony – bitne generały ogłosiły stan wojenny. Nastął czas trudnych wyborów i nadziei kiedy runie mur?

Z 12 na 13 grudnia 1981 roku spałem mocno i nie słyszałem, co się dzieje w kraju. Rano dowiedziałem się, że w nocy lokatorzy z mego bloku stali na balkonach. Obserwowali żołnierzy i huczące czołgi na placu Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego. W niedzielę, po śniadaniu, wyszedłem z domu po materia-

ły sekcji kultury fizycznej. Zostawione w Regionie na wszelki wypadek przed wyjazdem do Gdańska, aby znowu nie powtórzyła się sytuacja ze stycznia br., które zaginęły.

Pierwsze zaskoczenie: śnieg, duży mróz – ostra zima. Z boku mojego bloku sporo czołgów oraz żołnierzy grzejących się przy koksownikach. Nie zwracając uwagi, skierowałem się w stronę ul. Wiśniowej i Rakowieckiej. Na rogu ulic zobaczyłem czołg ciągnięty przez traktor, a za nim uzbrojoną załogę, idącą w kierunku Sztabu. Za nimi kolumna czołgów. Rozbawiony widokiem „tak sprawnego sprzętu” zrobiłem zdjęcie. Przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zobaczyłem biało-czerwone szlabany i sporo uzbrojonych milicjantów. Widok ten jeszcze bardziej mnie rozweselił, i pomyślałem sobie, że może nareszcie ta banda zwana władzą czegoś się boi.

Idąc Rakowiecką, w kierunku kina Moskwa na rogu Rakowieckiej i Mar-

szalkowskiej, mina mi zrzędła i już nie było do śmiechu. Zobaczyłem szlabany, wozy opancerzone, SKOT-y i żołnierzy z milicją zatrzymujących ludzi do kontroli. Natychmiast zostałem obstawiony i zatrzymany przez wojskowo-milicyjny patrol wzywający mnie do kontroli czyli okazania dowodu osobistego i poddania się rewizji osobistej. Przyznam, że trochę oniemiałem i zdrętwiałem. Nim otrzeźwiałem, stało przy mnie czterech zbirów, na których zacząłem patrzeć z nieukrywaną pogardą. Po kontroli podniesionym głosem otrzymałem połajankę w nieprzyjemnym tonie i oświadczono, że został wprowadzony „stan wojenny” na terenie całego kraju. Każdy obywatel wychodzący z domu ma obowiązek zapoznać się z dekretem, umieszczonym na tablicy w bloku lub domu. Wysłuchałem tego i nie wdając się w dyskusję, wsiałem do pierwszego lepszego tramwaju z zamiarem dotarcia do siedziby Regionu Mazowsze. Na Placu Zbawiciela, zobaczyłem jak ZOMO grając werble na tarczach, uzbrojone w pały i broń palną, wspierane przez opancerzone pojazdy pędzało ludzi ulicą Mokotowską w kierunku placu. Widok wywołał zimny dreszcz. Nie wiedziałem co robić, po prostu osłupiałem. Można było spodziewać się czegoś podobnego. Ale czym innym jest spodziewać się a czym innym spotkać się z rzeczywistością - stanu wojennego.

Przez parę godzin stałem razem z innymi na Placu Zbawiciela śląc epitetę pod adresem ZOMO przepychając się przez tłum i usiłując dostać się do Regionu. Gorączkowo przysłuchiwałem się manifestantom ich doniesieniom, rozmowom i krążącym plotkom. Z uwagą chłonałem wieści, informacje i wyrażane groźby. Słuchałem słusznie stawianych pytań i przekleństw rzucanych pod adresem junty wojskowej i generała Jaruzelskiego. Z kim Polska jest „w stanie wojny”? Kto zaatakował nasz kraj, naruszył granice i dokonał agresji? Dlaczego brutalnie depcze się wszelkie ludzkie prawa i nadzieje? Czy była podstawa konstytucyjna by w czasie pokoju ogłaszać „stan wojenny” przeciwko narodowi? Pytań, i prób wyjaśnień było dużo a wśród ludzi panował ponury nastrój.

Po paru godzinach stójki, udałem się na obiad do teściowej. Po obiedzie i burzliwej dyskusji z sąsiadem, Adamem Kustrą, udaliśmy się z powrotem na Plac Zbawiciela gdzie ludzi nie ubyło a przybywało. W tłumie dowiedzieliśmy się, że w zakładach państwowych URSUS zapowiedziano przygotowanie załóg robotniczych do strajku. Nawet udało się nam zdobyć ulotkę podpisaną „Jesz-

cze Polska nie zginęła! 13 Grudnia 1981” – „Solidarność” URSUSA wzywa do strajku generalnego w całym kraju.

Po godzinie, może dwóch wróciliśmy do domu usiłując się dowiedzieć czegoś więcej z radia „Wolna Europa” lub „Głosu Ameryki”. Bezskutecznie bo zagłuszanie stacji przez reżim było tak mocne, że trudno było cokolwiek zrozumieć.

Z rodziną zostałem na noc u teściowej, bo nastała godzina policyjna i miałem bliżej do pracy. 14 grudnia w poniedziałek rano udałem się do pracy gdzie otrzymałem wiadomość, że zajęcia szkolne są zawieszone do odwołania. Komisarz Wojskowy poinformował nas, że we wtorek o godzinie 17 będzie wznowiony program telewizyjny który należy obejrzeć. Od dyrekcji otrzymałem polecenie służbowe, iż mam być w stałym kontakcie z kolegą Jaroszewiczem. Odpowiedziałem, że mieszkam w Warszawie przy ul. Batorego i pan Jaroszewicz może odwiedzić mnie w każdej chwili. Tego samego dnia po południu z rodziną udałem się do swojego domu Wieczorem słuchając „Głosu Ameryki” dowiedziałem się, że społeczeństwo z zaskoczeniem i dezaprobatą przyjęło „stan wojenny”. Że rozpoczęły się ruchawki – strajki i protesty na terenie całego kraju.

W następnych dniach słuchając „Głosu Ameryki” dowiadywałem się, że przez całą Polskę przeszła fala masowych protestów i strajków na niespotykaną do tej pory skalę. Jednak junta wojskowych dość skutecznie i szybko pacyfikowała je przy pomocy wojska, pałek milicji i gazu łzawiącego. Np. likwidowano strajki w zakładach pracy i na uczelniach w tym na uniwersytecie w Łodzi. Potem dowiedziałem się o likwidacji strajku w Warszawskim Ursusie, Nowej Hucie w Krakowie. A, na Śląsku doszło do rozlewu krwi i zginęło 9 górników w kopalni „Wujek”, a ponad 100 zostało rannych.

Pod wpływem przelanej krwi władzy udało się zastraszyć społeczeństwo. Naród cofnął się i nie doszło do ostrej konfrontacji.

Przez długie miesiące stanu wojennego „Głos Ameryki” był podstawowym źródłem wiarygodnych wiadomości i informacji. Słuchałem ich każdego dnia, wieści były lepsze i gorsze, miłe i niemiłe dla ucha. Prasę reżimową czytałem czasami.

W pierwszych dniach „stanu wojennego” siedząc w domu czy też stojąc w kolejce po zakupy w osiedlowym sklepie miałem sporo czasu na przemyslenia i wyciąganie wniosków.

Pierwszy tydzień stanu wojennego spędziłem na staniu w kolejkach w „Super Samie” po zaopatrzenie domu: zakupem państwowego kotleta, zardzewiałej konserwy Krakusa na Święta. Dokonując zakupu byle czego aby było w lodówce. Hala „Super Samu” była dla mnie też miejscem zbierania plotek i informacji na temat tego co się dzieje w kraju i na świecie. Miłe były dla ucha doniesienia o protestach central związkowych na Zachodzie popierających nasz ruch społeczny. Jednak wszyscy wyczuwali, że wojskowa junta miała je głęboko w d.... Żadnym pocieszeniem było to, że WRON - ie zależy tylko na tym aby państwa Europy i świata zachodniego nie zastosowały restrykcji.

Liczyli, że propagandą przeprowadzą w kraju tzw. ”Normalizację” a państwa zachodnie nadal będą udzielać im pomocy finansowej. W nadzieje wrony wpłatał się Lech Wałęsa apelując do wolnych krajów o pomoc. Wystąpienie to uznałem za ofiarowanie graczom politycznym Europy Zachodniej mydła do umycia rąk, zakrwawionych po II wojnie światowej.

Miałem szczęście w niedzielę 20 grudnia. Zjawił się szwagier z misją od mamy i zaproszeniem, że może raz na parę lat moglibyśmy razem spędzić w Wigilię i Święta Bożego Narodzenia z rodziną w domu na prowincji. Posiadał poważne argumenty w postaci pół litra łąckiej śliwownicy i znakomitej szynki swojskiej roboty. Przy kolacji użył dobrego argumentu, „ Zagubiony człowiek nocą w lesie nie szuka drogi, czeka do świtu aby nie błędzić”. Po takim uzasadnieniu zapadła decyzja o wyjeździe. Tym bardziej, że wiedziałem iż rodzinie niestraszne są wojny i wojaczki.

Cała rodzina dla mnie to ludzie nie z rzeczywistości komunistycznej. Przeżyli dwa fronty operacji wojennych, atak niemiecki na Wschód i atak Rosjan na Zachód. Przeżyli okupację niemiecką. Latami żyli jak na zwolnionym filmie w okupacji sowieckiej w myśl filozofii, „Lepiej żyć i poruszać się wolno samodzielnie i w zdrowiu po szorstkiej powierzchni życia nie tracąc wiary i nadziei, niż biegać po śliskiej powierzchni fałszu i obłudy za zaszczytami sukcesami i dobrem materialnym”. Wiedziałem, że nie będziemy dla nich kłopotem. Mimo, że zarabiali grosze przy budowie socjalizmu ale nauczyli się żyć z własnej za-

radności. Dwa razy w roku, na wiosnę i jesień przerabiali tusze wieprzowe na zapasy wekowanego mięsa i wędliny. Suszyli polędwice i szynki na poddaszu. Siedzieli na działkach zajęci produkcją własnych zapasów warzyw i owoców. Czasami hodowali kury i króliki dla smaku i rozpusty przy stole. Latem zbierali na przetwory leśne runo. Z pobliskich licznych źródeł mineralnych przywozili sobie wodę do picia aby nie pić świństwa z miejskich wodociągów. Tylko od czasu do czasu różne gnidy polityczne zakłócały im domowy spokój.

Rankiem Zbyszek, dyrektor do spraw sytuacji kryzysowych w Zakładach Kolejowych w Nowym Sączu poszedł do ministerstwa. Moja żona Barbara z córką Darią zajęły się pakowaniem walizek. Ja ruszyłem do Urzędu Rady Narodowej w Warszawie po przepustki – pozwolenia wyjazdu do rodziny. W końcu po sześciu godzinach stania i tłumaczenia się otrzymałem przepustki dla każdej osoby dorosłej i dziecka. Wieczorem ruszyliśmy na Dworzec Centralny. Nim udało się mam wsiąść do pociągu „byle, jakiego” aby udać się w kierunku Krynicy Górskiej byliśmy trzykrotnie sprawdzani przez patrol milicyjno-wojskowy.

Po przybyciu do Nowego Sącza w domu zastaliśmy lekki bałagan jak to bywa przy przygotowaniach do Wigilii którą spędziliśmy u mej siostry Jagody. Zupa grzybowa i karp po grecku były tak wyśmienite, że do dziś pamiętam ich smak. W Boże Narodzenie tradycyjnie cała rodzina spotkała się w Kolonii u mamy. Ale nie było tak wesoło jak zwykle. Po Świętach co wieczór aż do Sylwestra spotykaliśmy się u rodzeństwa na plotach, śpiewaniu kolęd i „jednym głębszym” przy muzyce.

Sylwester 31 grudnia 1981 roku rozpoczął się dla mnie groteskowo – życzeniami noworocznymi składanymi w radiu i TV przez Henryka Jabłońskiego. Z pewną ironią wysłuchiłem tych cynicznych bredni, trochę z ciekawości i braku innego zajęcia.

W kraju odwołane zostały wszystkie imprezy w lokalach publicznych. Większe uroczystości domowe wymagały zezwolenia. Była to czarna noc w mojej historii zabaw sylwestrowych. Nowy Rok 1982 nie przyniósł żadnych radości. Był smutny i spokojny, nikt nie miał kaca – poza kacem moralnym, bo chwilowo pozbawiono nas złudzeń.

Raczkowanie opozycji oraz zabawy w złodziei i policjantów

Po powrocie do Warszawy uznałem, że nastał czas na udział w ruchu oporu. Postanowiłem rozejrzeć się w wśród znajomych z Sekcji Kultury Fizycznej NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Jednocześnie zapytać co sądzą o ostatnich wydarzeniach i bieżącej sytuacji. Założyłem sobie, że niezależnie od zebranych opinii muszę liczyć na siebie w nadziei, że gdzieś zrodzi się więź z osobą lub z osobami gotowymi do roboty w strukturach podziemia. Bez robienia gorączkowych ruchów przyjdzie czas na działanie, gdyż wszystko się zmienia.

Wędrując po Warszawie wchodziłem do miejsc gdzie na pogaduszki spotykaliśmy się przez ubiegły rok 1980. Wiedziałem, że muszę wykazać się cierpliwością szukając kontaktu i tak się stało. Będąc w kawiarni przy Placu Zbawiciela (na górze Delikatesów), 2 lub 3 stycznia 1982 roku popołudniu spotkałem Dorotę Sroczyńską. Rozmowę zaczęliśmy od pogody i zdrowia. Po wyjściu przeszliśmy do konkretnych tematów o ludziach z Sekcji i sytuacji w kraju. Z rozmowy wynikało, że Dorota nie spotkała nikogo z naszej K Z i Sekcji. Więc zaproponowałem, że przekażę jej kopie dokumentów sekcji gdyż zamierzam dołączyć od grup oporu społeczne.

Dorota nie odmówiła, ale poinformowała mnie, że jej brat wozi paczki dla internowanych solidarnościowców na Białogłec i miejsce u niej może być nie pewne. Zrozumiałem, że dokumentację trzeba będzie przekazać komu innemu w inne miejsce. Po rozmowie o kilku osobach uznaliśmy, że najlepiej będzie przekazać dokumenty jeśli się zgodzi Grzegorzowi Lechowskiemu. Zakładając, że Grzesiek się zgodzi i w każdej chwili będzie dostępna dla kolegów z Sekcji.

Rozstaliśmy się na rogu Wawelskiej i Grójeckiej umawiając się na spotkanie w tym samym miejscu - następnego dnia o godzinie 12:00. Następnego dnia zrobiłem kopie książek adresowych – kontaktów osobistych Sekcji regionalnej, krajowej, Komisji Zakładowej do przechowania u Grześka.

Z Dorotą spotkałem się w umówionym miejscu i udaliśmy się do Grzegorza celem rozeznania sytuacji, czy będzie skłonny przyjąć dokumentację. Spacerkiem dotarliśmy do domu Grześka i o dziwo zastaliśmy go w mieszkanku. Po krótkiej rozmowie Grzesiek bez zbędnych pytań przyjął dokumenty. Zapewnił,

że je ukryje i w każdej chwili będą dostępne do wglądu. Do tego dodał, że sąsiada który nie budzi podejrzeń o spiskowanie przeciwko władzy u którego może przechować dodatkowe kopie dokumentów.

Działalność konspiracyjną rozpocząłem od policzenia wśród znajomych tych którzy chcą pracować na rzecz odbudowy ruchu odnowy społeczno - moralnej, pracy organicznej w duchu walki o niepodległość Polski, w krótkim przedziale czasu i długofalowo. Wyszło kiepsko. Nim myśl się pojawiła już upadła bo chętnych do pracy i wysiłku było niewielu. Większość oglądała się za autorytetami „Solidarności” czekając na ich zdanie i dyrektywy. Ci w znakomitej większości byli internowani. O kontaktach z ukrywającymi się przedstawicielami wybranej władzy solidarnościowej można było tylko pomarzyć. Część ukrywających się nie dawała znaku życia, część wydawała mętne oświadczenia przez osoby trzecie. Co prawda byli i tacy działacze „Solidarności” którzy nie siedzieli i nie ukrywali się ale woleli się modlić, przebywając na t/z emigracji wewnętrznej, niż coś kol wiek robić w podziemiu. Woleli nie narażać się bolszewickiej władzy nawet nie brali do ręki prasy ulotnej. Cała ta wszawa zgraja wyszła jak szczury ze swej nory dopiero przy sfingowanych obradach okrągłego stołu. Była to spora grupa cynicznych warcholów podszytych strachem którzy okazali się sprytnymi graczami i manipulantami. Dogadali się z komuchami po cichu i zawarli porozumienia polityczne rolując skromnych aktywnych działaczy podziemia z „Solidarności” i ruchów niepodległościowych w kraju.

Za lojalność wobec władzy doczekali się nagrody w postaci stanowisk i wpływów. Do dziś ludzie ci zajmują eksponowane stanowiska w życiu publicznym. Fałszują historię opowieściami o tym jak to walczyli z bolszewikami podczas gdy w rzeczywistości służyli im jak psy. Przykro słuchać i patrzeć jak otumaniony naród bezkrytycznie im wierzy.

Natomiast szeregowi członkowie z trzeciego szeregu „Solidarności” zabrali się do pracy konspiracyjnej, czasami i ostro. Skromni działacze nie czekali na cud. Zaczęli organizować opór społeczny wydając i kolportując prasę podziemną, może trochę nieudolnie, ale z pobudek serca i przekonania, że trzeba tak robić, aby zachować twarz. Na ich drodze pojawiały się przeciwności które starali się rozwiązywać w strukturze organizacji oporu społecznego przeciwko juncie.

Osiągnęli to o czym myśleli i marzyli, aby wolne słowo i prasa wydawana poza cenzurą docierała do ludzi.

Mój udział w szeregach podziemnej „Solidarności” był czystym przypadkiem choć nie ukrywam, że go szukałem. Czekałem i szukałem niedługo. Wówczas pomyślałem sobie, że jeśli mam prowadzić grupę oporu muszę pamiętać i zadbać o to by tworzyła ona wspólnotę nie tylko fizyczną ale i duchową, aby zrodziło się w niej zaufanie i więź.

Po wznowieniu nauki w szkołach przybył do mnie uczeń – wychowanek z mojej klasy, Krzysztof Koziestański. Trzymał pod pachą paczkę ulotek i różne pisma z drugiego obiegu większość sprzed wprowadzenia stanu wojennego. Miał też aktualną prasę i ulotki. Pojawienie się Krzyśka mnie zaskoczyło bo wiedziałem od jego kolegów, że był internowany. Wiedziałem również, że za tego typu działalność – kolportaż prasy wydawanej poza cenzurą groziła mu kara więzienia do lat 10. Od niego dowiedziałem się, że parę dni temu jako nieletniego za podpisanie lojalki władza wypuściła go z Białoleki.

Wiadomości te wprowadzały mnie w zdziwienie i zakłopotanie – budziły wątpliwości w stosunku do wychowanka. Zastanawiałem się jaką przyjąć postawę i jak zachowywać w stosunku do niego. Nie wiedziałem czy robię dobrze czy źle, przyjmując od niego prasę, a może jest to prowokacja? Dopiero co wyszedł z internowania i już miał kontakt z ruchem oporu z podziemiem. Zjawia się u mnie z prasą ulotną – wbrew lojalce złożonej władzy ludu pracującego, że będzie ją „wspierał”. Mocno się narażał na kłopoty, a przy okazji może i mnie? Pomyślałem, że muszę uważać bo mogę narobić nikomu niepotrzebnych kłopotów zarówno sobie jak i jemu. Jako wychowawca nie mogłem go wspierać w działalności podziemnej narażając na represje ze strony reżymu. Z drugiej strony myślałem sobie, że może naślą go partyjny szkolny prowokator. Tym bardziej, że Krzysiek przychodził kilka razy dziennie podczas lekcji pytając o różne sprawy – czytał mi jakieś kwestie z ulotek i prosił o poradę, jakie ma zająć stanowisko w stosunku do kolegów i nauczycieli w danej kwestii.

Był to pokarm ważny dla mej duszy (również trochę dla ciała) ale też wprowadzał pewne zamieszanie – chaos, co sądzić o jego postawie i zachowaniu. Mimo to starałem się nie zaniedbać tego na czym mi zależało – chciałem zdo-

być kontakt ze strukturami podziemia. Pomyślałem, że jeśli przekroczę pewną niebezpieczną granicę w kontaktach z Krzyskiem to odnajdę równowagę i złapię kontakt z podziemiem solidarnościowym. Decydując się na zaufanie mogłem wzbogacić swoją dietę duchową o więcej składników odżywczych – prasy podziemnej.

Krzysiek przynosząc trefne materiały (zakazane) wywierał na mnie pewnego rodzaju presję i tak zaczął się mój rzeczywisty udział i działanie w strukturach solidarnościowo-niepodległościowego podziemia. Łącznie z udzielaniem pomocy konspiracyjnym strukturom Konfederacji Polski Niepodległej i innym organizacjom wolnościowym. Za jego pośrednictwem na początku stycznia 1982 roku dołączyłem do grupy ludzi „Solidarności” którzy zaczęli wydawać niezależne pismo „Tygodnik Wojenny”.

W tej fazie działalności z niespodziewaną determinacją zacząłem stawiać czoła wszelkim kłopotom i problemom. Pokonując wewnętrzne opory, różne wahania i trudności, zacząłem uprawiać kolportaż wśród znajomych i kolegów ze struktur solidarnościowych. Namawiając ludzi do zbierania pieniędzy na utrzymanie drukarni, jeśli chcą od czasu do czasu przeczytać coś innego niż prasę reżimową. Na co dzień dokonywałem poprawek w przekazywaniu prasy i zasilaniu konta struktur podziemia i szło mi nienajgorzej. Ta działalność nie była czymś nadzwyczajnym. Robiło się to co trzeba było robić aby dalej nie kompromitować się w życiu przed samym sobą i innymi, bo życie mamy tylko jedno. Po upływie tygodnia może dwóch Krzysiek zaproponował mi kolportaż „Tygodnika Wojennego”, „KOS-a” i „Samorządnej Rzeczypospolitej”. Choć niewiele tego było zgodziłem się na rolę kolportera i tak zaczęła się nasza współpraca która układała się przyzwoicie. Chętnie sprzedawałem prasę bo chciałem pomóc chłopcom z redakcji aby mieli kasę na papier, pokrycie kosztów wydawnictwa ale także coś dla siebie – na życie i utrzymanie rodziny.

W krótkim czasie za pośrednictwem Krzyska nawiązałem kontakt z redakcją „Tygodnika Wojennego”, dostarczając różne kompromitujące materiały służbistów, biurokratów - sympatyków „wrony”. Niekiedy były przydatne i ukazywały się w „Tygodniku”, który kolportowałem w wśród nauczycieli, znajomych. Środowisk robotniczych zakładów pracy na Woli (Waryński, Róża, Świerczewski itp.), poprzez ludzi z Klubu Sportowego Olimpia w Warszawie.

Szybko dorobiłem się współpracowników, kolporterów poszerzających mój krąg odbiorców prasy drugiego obiegu. Dobrym, kolporterem okazał się Roman Wierzbicki wcześniej oddelegowany z macierzystego zakładu pracy do pracy w NSZZ „Solidarność” w Regionie Mazowsze. Po ogłoszeniu stanu wojennego nie było już miejsca dla niego w macierzystym zakładzie. Został wyrzucony na bruk jak wielu znajomych z „Solidarności”. Roman aby żyć i przetrwać musieli szukać różnego rodzaju zajęć zarobkowych, zajął się handlem warzywami na rogu ul. Marchlewskiego i Anielewicza i przy okazji rozdawał ulotki. Sprzedawał także prasę którą trzymał pod pustymi paczkami z tyłu straganu – stanowiska pracy. Wyglądało to bardzo zabawnie i śmiesznie, zawsze mógł powiedzieć, że mu ją podrzucił jakiś agent z ubecji.

Drugim dobrym kolporterem okazał się sąsiad z trzeciego piętra w bloku - Pokrzan, który brał 50 do 100 sztuk prasy wydawanej poza cenzurą dla kolegów z biura projektowego Warszawy. Następnym sprawnym kolporterem okazał się członek Sekcji - instruktor, trener pływania na basenie Polonii, gdzie rozprowadzał sporo wolnej prasy. Dorobiłem się także odpowiedzialnych uczniów i absolwentów kolportujących prasę. Byli i tacy co przychodził chętnie i brali kilka paczek towaru po czym biegali po dzielnicy Wola rozdając pisma ulotne, rozrzucając ulotki np. Piotr Wasiak, Arkadiusz Klimkiewicz itd..

Na samym początku okazało się, że „Solidarność” do pracy podziemnej po 13 grudnia zupełnie nie była zupełnie przygotowana i nie miała kierownictwa na wypadek wprowadzenia stanu wojennego. Wszystko co wcześniej robiono czy mówiono w solidarności było jedną wielką ściemą - improwizacją i krzykiem rozpaczliwych radykalnych syndykalistów związkowych żadnych władzy. Cała ta propaganda solidarnościowa nie była warta funta kłaków. Swobodnie prawo pięści (bezprawia) siły junty wojskowej czyniło spustoszenie wśród sprawnych, odważnych związkowców nawołujących do strajku, manifestacji, szczególnie w dużych zakładach pracy.

W pierwszej dekadzie stycznia wydano ponad 400 sądowych wyroków skazujących. Pozbawiając wolności na 2 do 6 lat członków „Solidarności” za nawoływanie do oporu społecznego, to mogło przerazić. Ale wiadomości podawane w prasie podziemnej ze świata i kraju bardzo podnosiły niektórych ludzi na duchu. Krzepiące wieści napływały coraz częściej. Np., krzepiący i ważny był apel

działaczy „Solidarności” z Brukseli gdzie 25 emigrantów zwróciło się do związków zawodowych na całym świecie aby 30 stycznia 1982 roku został ogłoszony dzień demonstracji i protestów na znak solidarności i poparcia dla NSZZ „Solidarność” w Polsce. Do tego Departament Stanu USA wydał oświadczenie w którym stwierdził, iż ogłoszenie stanu wojennego w Polsce okazało się skuteczne tylko w deptaniu podstawowych praw człowieka i obywatela. We Francji powstała organizacja niesienia pomocy ekonomicznej rodzinom robotników i intelektualistów udających się na emigrację. W Brukseli NATO wydało deklarację obciążającą ZSRR odpowiedzialnością za wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, stwierdzając, że Związek Radziecki naruszył układ helsiński i inne układy pokojowe. Do tego dochodziły ciekawe wieści z kraju, np. o tym, że w rozmowie Prymasa Polski Józefa Glempa z Jaruzelskim padło jednoznaczne stanowisko Kościoła, że w przyszłości „Solidarność” musi uczestniczyć w rozmowach decydujących o losach kraju. NATO oświadczyło, że Sztab Wojska Ludowego stosuje prześladowania wobec własnego narodu i, że będzie zabiegać o zastosowanie sankcji ekonomiczno-gospodarczych wobec ZSSR i Polski. Papież Jan Paweł II poparł stanowisko NATO i powiedział, że Kościół stawia te same żądania co kraje przymierza atlantyckiego bo „gwałcenie sumienia – jest krzywdą gorszą dla człowieka niż krzywda fizyczna”. Do tych wydarzeń dołączył zaskakujący bardzo ważny protest naszych aktorów - bojkot Polskiego Radia i Telewizji - który polegał na niewystępowaniu w nich. Nierealizowaniu niczego dla mediów publicznych. Bojkotujący artyści grali tylko w teatrach i kościołach. Stu artystów, aktorów i intelektualistów wysłało do Sejmu petycję z protestem wobec narastających wciąż represji i aresztowań w kraju. Tego typu doniesienia mobilizowały do mas do organizowania oporu społecznego.

Wszyscy moi darczyńcy wiedzieli i akceptowali to, że uzyskane od nich środki finansowe - poza sprzedawaną prasą które przekazywałem do redakcji - wrzucam do worka na mszy za ojczyznę odprawianej przez ks. Jerzego Popiełuszkę, od 17 stycznia do wakacji 1982 roku w kościele na Żoliborzu. Jednym z wielu zbierających datki był znajomy Edek Głowacki który powiedział mi, że razem z Zosią znaleźli się bez pracy. Żyją na koszt rodziców, pożyczek od znajomych i pomocy kościoła. Mają zamiar otworzyć magiel na warszawskiej Pradze. Tymczasem dorabiają na życie handlem dewocjonaliami pod kościołem.

Wówczas Edek poinformował mnie, że ks. Jerzy od sierpnia 1980 roku do grudnia prowadził w parafii spotkania dla ludzi pracy. A, w październiku 1980 roku odprawił pierwszą Mszę Świętą za Ojczyznę i co miesiąc ją celebrował. Opowiedział mi, że po 13 grudnia 1981 roku plebania przy kościele św. Stanisława Kostki zamieniła się w punkt wsparcia dla rodzin uwięzionych i internowanych a ksiądz Jerzy Popiełuszko chodzi na procesy przywódców „Solidarności”. Że często bywa na rozprawach w sądzie na ul.(ówczesnej) Świerczewskiego. Organizuje dla oskarżonych pomoc prawną, medyczną, a dla rodzin – pomoc aprowizacyjną. Opowieści te zawstydziły mnie, że tak mało wiedziałem o pomocy niesionej ludziom pokrzywdzonym przez ks. Jerzego.

Muszę przyznać, że na mszy świętej za Ojczyznę w styczniu 1982 roku kościół był pełny. Wokół kościoła było sporo ludzi. Ale z każdym następnym miesiącem ludzi przybywało. Na mszę za Ojczyznę przychodziło z czasem ponad sto tysięcy osób. Wyglądało to tak jakby przychodziła tu cała Warszawa. Podczas mszy panował podniosły patriotyczny nastrój i ogromne napięcie. Potęgowała go pieśń „Ojczyzno ma tyle razy we krwi skąpana”. Słuchając ks. Jerzego ludzie uwierzyli w moralne i polityczne odrodzenie Polski i narodu. Ksiądz Jerzy stał się znanym i szanowanym w całym kraju kapelanem „Solidarności” jako celebrant mszy świętych za Ojczyznę. Spowodowało to, że co miesiąc na Żoliborzu zaczęli gromadzić się ludzie z całej Polski. Widok tłumów był bardzo budujący.

Po wakacjach w 1982 roku, o ile było to możliwe, przekazywałem zebrane pieniądze strukturom podziemnym oporu społecznego, ale ludzie z mojej i nie tylko mojej Komisji Zakładowej zaczęli się migać i ze składkami było coraz gorzej.

Równolegle z przekazywaniem środków do podziemia, dla mnie równie ważnym było działanie rozładowywania napięć wśród ludzi dążących do konfrontacji siłowej, planujących konfrontację zbrojną. Tego typu inicjatywy uważałem za bardzo groźne i, że należy je likwidować w zarodku. Bo lepiej żyć dla Polski niż ginąć za nią. Postawa ta szczególnego znaczenia nabrała gdy w warszawskim tramwaju został postrzelony sierżant milicji Karos.

Wówczas zgłosili się do mnie koledzy członkowie Sekcji i Komisji Zakładowej Pracowników Kultury Fizycznej Instruktorów i Trenerów z NSZZ

„Solidarność” prawie, że z gotowym planem zbrojnych wystąpień przeciwko władzy. Uznałem to za szaleństwo, bez najmniejszych szans na powodzenie. W społeczeństwie, w którym prawie trzy i pół miliona znajduje się ambitnych donosicieli do policji politycznej, i tyle samo cenzorów korespondencji, to każda akcja zbrojna musi się zakończyć niepowodzeniem i klęską. Na szczęście, członek Sekcji Jacek Gostwicki kierował Klubem RKS Olimpia. Cichociemny z II wojny światowej - rozumiał moje obawy, i zgadzał się z nimi.

Jacek dysponował lokalem a którym mógł zorganizować zebranie, i zorganizował spotkanie, na które zaprosił mecenasa Władysława Siła-Nowickiego. W ramach dyskusji mecenas powiedział mniej więcej tak: „Widzę, że sprawy w środowisku idą w złym kierunku. Życzyłbym wam, abyście nie dali się sprowokować. Więc zacznijcie prowadzić dialog na argumenty w prasie podziemnej. Dialog dla wspólnego dobra, prawdy i wzajemnego poszanowania. A nie niszczyli jeden drugiego, może i błędzącego człowieka w komunie. Oby agenci bolszewicy wami nie rozgrywali paskudnej gry i nie wyzwalali w was najniższych instynktów, razem z dzieleniem Narodu”.

Obaj, przedstawili sporo przekonujących powodów, że trzeba cierpliwie czekać, bo komuna sama runie, a wszelkie akcje zbrojne żadnego pożytku Polsce nie przyniosą. Działania tego typu mogą jedynie uruchomić krwawą rewolucję, na którą liczą i na nią czekają komuniści, nie tylko w kraju.

W toku dalszej dyskusji razem, przedstawili szereg mocnych argumentów aby wybić z głowy kolegom pomysły zbrojnej działalności przeciwko WRON. Uznając wszelkiego rodzaju odwet zbrojny jako nieodpowiedzialna prowokacja. Dzięki temu plany zostały spokojnie zażegnane.

Poza tym emocjonującym dla mnie wydarzeniem życie toczyło się dalej od kolejki do kolejki, w zatroskaniu, co przyniesie jutro - a tego nikt z nas nie był w stanie przewidzieć. Mimo, że z prasy reżimowej też można było sporo się dowiedzieć - jeśli umiało się czytać między wierszami, to więcej o nastrojach społecznych z całego obozu socjalistycznego i Zachodu dowiadywaliśmy się jednak z prasy podziemnej, tj. „Tygodnika Wojennego” itp. a także z nasłuchu stacji radiowych na Zachodzie.

Wracając do wspomnień związanych z „Tygodnikiem Wojennym”. Udało mi się za pośrednictwem Krzyska umieścić kilka artykułów pod pseudoni-

mem Żuk. Teksty dotyczyły aktualnych nastrojów społecznych z bliskiego mi otoczenia. Składałem także różne propozycje skutecznej i elastycznej taktyki i strategii walki z WRON-ą podczas organizowanych manifestacji na ulicach Warszawy. Ukazywały się w tygodniku przed ulicznymi protestami. Udało mi się zdobyć i przekazać do redakcji „Tygodnika Wojennego” i prasy podziemnej kilka dokumentów, oryginalnych świadectw kompromitujących szuje popierające władzę. Ludzi którzy z własnej i nieprzymuszonej woli współpracowali z juntą wojskową WRON. Przedstawiciele różnego typu instytucji i organizacji z dzielnicy Warszawa Wola. Działacze różnego szczebla i poziomu aparatu Pezetpeeru, funkcyjnych administracji państwowej, sekretarzy podstawowych organizacji partyjnych i komisarzy wojskowych. Nazwali się bezinteresownymi społecznikami (sku...), donosili (kapowali) do partii, władzy stanu wojennego, milicji i ubecji o tym, że ktoś łamanie zaostrome przepisy prawa stanu wojennego. Nadawali sobie prawo ludzi władzy i patriotów narodowych których obowiązkiem jest donoszenie do ubecji. Donosili na osoby najbliższe, rodziny, środowiska pracy, współpracowników, towarzyszy partyjnych, na wszystkich którzy wyrażali poglądy odmienne od oficjalnego obowiązującego stanowiska WRON.

Donosiciele byli szczególnie groźni dla młodych kolporterów prasy podziemnej, młodzieży rozrzucającej ulotki i organizatorów ruchu oporu społecznego. Z ich woli nadgorliwości, często pomówień i plotek wielu młodych – aktywnych aresztowano i przetrzymywano w areszcie. Bardzo wielu z nich otrzymywało wyroki z artykułu 123 i 128 par.1 kk., mówiącego o karze za podjęcie przygotowań zmierzających do obalenia przemocą ustroju PRL-u - w sądach wojskowych i cywilnych kara od 2 do 4 lat.

Groźni byli też donosiciele działający w Komisjach Weryfikacyjnych w zakładach pracy i instytucjach. Oceniali pracownika co do jego lojalności wobec władzy stanu wojennego. Siali strach i panikę nawet wśród swoich towarzyszy którym groziła nie tylko utrata pracy. Donosy te często skutkowały utratą wolności osobistej, czyli aresztowaniem (zwykle na 48 godz.), szczególnie wtedy gdy donos był bezpośrednio do resortów siłowych – milicji czy ubecji.

Walka z podłymi mętami nie była trudna – poza rzetelnym rozpoznaniem takiej jednostki wystarczyło wydrukować nazwisko donosiciela czy esbeka

w prasie podziemnej. Publiczne ujawnienie nazwiska donosiciela skutkowało natychmiastowym zaprzestaniem działalności w Komisji Weryfikacyjnej. Gość jego zapal i padała jego aktywność w „honorowej” służbie dla ojczyzny i junty wojskowej. Często znikał z pracy na wiele tygodni spędzonych na zwolnieniu lekarskim. O nowych chętnych było coraz trudniej. Władza traciła pomocników i wiarygodność. W ten prosty sposób powoli hamowany był wzrost represji wobec społeczeństwa.

Władza wojskowa traciła wpływy i poparcie nie tylko społeczeństwa ale i środowiska partyjnego. Osobiście znam takiego jednego który był bardzo aktywny w swojej komisji weryfikacyjnej. Oddany władzy stanu wojennego ale po podaniu w gazecie jego nazwiska i nazwy Komisji w której działał natychmiast się z niej wycofał. Zaczął chodzić na msze do kościoła Stanisława Kostki w Warszawie a parszywa komisja się rozpadła.

Donosy do prasy podziemnej były dla mnie bardzo ważne mimo że brzydziłem się nimi. Do dziś wywołują we mnie niesmak. Niemniej w pierwszych dniach i miesiącach stanu wojennego były bardzo skuteczne a przez to władzy stanu wojennego (WRON) gwałtownie zaczęło ubywać różnej maści aktywnych donosicieli. Komisarze wojskowi tracili grunt pod nogami i rznęli głupa a WRON-a traciła kontrolę nad ludźmi i ludzkimi umysłami.

Z przykrością muszę stwierdzić, że na początku stanu wojennego Komisje Weryfikacyjne do gnojenia ludzi rozwijały się znakomicie i rosły w siłę. Koniecznym było aby temu zjawisku ostro się sprzeciwić. Udało się drobnym krokami tego dokonać.

Jakby było mało nieszczęść w drugiej dekadzie stycznia Polskę nawiedziła powódź ogromnych rozmiarów, ewakuowano tysiące ludzi. Wiele osób odniosło rany. Ile zginęło? Nie wiadomo – cenzura nie pozwoliła na informowanie. Straty finansowe około 4 miliardów złotych.

Od połowy stycznia, chwyliwym zwyczajem, władza zaczęła rozpuszczać wieści o przygotowywanych podwyżkach cen. Pojawiły się pogłoski, że WRON obawiała się wprowadzenia podwyżek bo mogą doprowadzić do sprzeciwu społecznego i demonstracji. Niektórzy członkowie podziemia „Solidarności” dali się wciągnąć w te pułapkę jak to junta wojskowa się wacha. Natychmiast wezwali do oporu społecznego, potępiając kolaborantów, zaczęli, rozprowadza-

jąc wieści, że robotnicy nadal noszą znaczki „Solidarności” i pracują w zwolnionym tempie na znak sabotażu.

W połowie stycznia ukazał się „Biuletyn Solidarności”. W nim parę listów biskupów z protestami i wezwaniem rządu do dialogu. Żądając zniesienia stanu wojennego w kraju który powoduje napięcia społeczne w Polsce i spowodować może wojnę domową.

Głos Ameryki donosił, że wielu towarzyszy z PZPR oddaje legitymacje np. Po 30 latach przynależności Tadeusz Łomnicki, dyrektor teatru w Warszawie. Kazimierz Kutz, odmówił współpracy. Aktorzy nawoływali do bojkotu występów w Polskim Radio i TV jako instytucjach zakłamanych. W Sejmie Jaruzelski zapowiedział, że stan wojenny będzie zniesiony do końca lutego i, że do tej pory z obozów internowania i więzień zwolnionych będzie około 2 tys. osób.

Z radością powitałem 31 stycznia 1982 roku i zapowiedziany przez prezydenta Reagana program TV pt. „Żeby Polska była Polską”. Program sprzeciwu przeciwko represjom wobec społeczeństwa polskiego. „Oświadczył, że jako były działacz związkowy czuje się specjalnie związany z Solidarnością w walce o prawa wolnościowe, godność ludzi pracy i prawa obywatelskie w Polsce”. To było miłe i radosne w trudnych chwilach stanu wojennego tym bardziej, że stanowisko to poparł papież.

Naród otrzymał w łeb 1 lutego 1982 roku gdy weszły w życie podwyżki cen artykułów żywnościowych, przemysłowych z obiecaną pseudo rekompensatą. Była to najwyższa podwyżka cen w PRL po II wojnie światowej – sięgała na niektóre artykuły 400%. Społeczeństwo przyjęło decyzję ze spokojem, istotnych protestów nie było. Ludzie ironiczne żartowali, że o tyle się zmieni, że od rana do wieczora będzie się stać w kolejkach po droższe produkty. Dzielni i ważni działacze solidarnościowi siedzieli cicho. Tylko młodzi radykałowie gdzieś niegdzie wrzeszczeli i protestowali ale propaganda junty wojskowej skutecznie ich zagłuszyła. Jasne stawało się, że zamach stanu Jaruzelskiego był środkiem do odwrócenia koła historii które na krótko wzięli w swoje ręce robotnicy i naród. Trzeba przyznać, że swój cel osiągnął, zamach stanu mu się udał. Jednak w konsekwencji poniósł sromotną klęskę polityczną a Polska odzyskała w 1989 roku niepodległość.

Tymczasem terror w kraju trwał nasilając się do sporych rozmiarów. Mło-

dzież jednak walczyła dzielnie, kolportowała coraz więcej prasy podziemnej i coraz częściej rozrzucała ulotki. Robiło to spore wrażenie na społeczeństwie i władzy. Na początku lutego w Gdańsku zaczęły pojawiać się na ulicach napisy: „Zima wasza, wiosna nasza”. W prasie podziemnej pojawił się tekst Jacka Kuronia „Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia”. Wzywał on aby kierownictwo podziemia przygotowywało społeczeństwo polskie do najdalej idących ustępstw i zawarciu kompromisu z władzą z równoczesnym uderzeniem na ośrodki władzy i informacji w całym kraju. Twierdził, że rządzący muszą wiedzieć, że na inicjatywę zawarcia kompromisu ze społeczeństwem pozostał im ściśle określony czas. Nie było to wezwanie do zbrojnego powstania czy rewolucji, jak powszechnie uważano, ale był to polityczny szantaż mający na celu zmuszenie władz PRL do zawarcia kompromisu z wybraną opozycją. Zdaniem Kuronia w powstałej sytuacji gospodarczej kraju należało wprowadzić do samorządów działaczy „Solidarności” z dużym autorytetem w środowisku ale tylko umiarkowanych. Uważał, że młodzi radykalni działacze nie potrafią działać pozytywnie. Są świetni w walce i nadają się do kolportażu, druku, wyrażania protestu i organizacji masowych strajków, lecz do działalności w strukturach legalnych władzy (samorządach) nie nadają się. W odpowiedzi na tego typu propozycje reżim wojskowy zwiększył środki bezpieczeństwa. Na ulicach Warszawy, Gdańska i innych miast zaczęło pojawiać się coraz więcej patroli milicji i wojska. Polska Agencja Prasowa, strasząc, coraz częściej podawała wieści o aresztowaniach kolporterów i likwidacji nielegalnych drukarni. Karano mandatami karnymi za nieprzestrzeganie godziny policyjnej. Dotknęło to podobno ponad sto pięćdziesiąt tysięcy obywateli. Pojawiały się informacje (szantaż) o wspólnych manewrach oddziałów polskich i radzieckich wojsk w województwie wrocławskim. Urban w prasie i telewizji reżimowej podawał rewelacyjne liczby aresztowań siejąc strach w społeczeństwie, że np. w Zielonej Górze Sąd Wojskowy skazał 2 kobiety i 2 mężczyzn na kary pozbawienia wolności po 3 i 4 lata za kolportaż ulotek antyrządowych. W województwie koszalińskim sąd skazał księdza na 3,5 roku więzienia za zniesławienie Jaruzelskiego w czasie kazania. Na początku marca 1982 roku władze PRL podały informację, że internowani działacze „Solidarności” i ich rodziny mogą na stałe wyjechać za granicę jeżeli do 15 marca złożą podania o paszport.

Media podawały też wieści budujące, np. o tym, że 18 marynarzy wybrało wolność prosząc o azyl polityczny w Panamie, że ambasador Polski Spasowski także wybrał wolność w USA. Informowały, że w Organizacji Narodów Zjednoczonych postawiono wniosek o zbadanie sprawy ogłoszenia stanu wojennego w Polsce. Były też przykre, że setki dziennikarzy traci pracę za przynależność do „Solidarności”, a Urban ogłasza, że „rząd się sam wyżywi”.

W atmosferze powszechnego strachu wojenki i polityki jako człowiek postanowiłem się rozerwać i zrelaksować nie tylko idąc na wystawę malarstwa, ale zorganizować sobie huczne imieniny. Mimo, że na co dzień przeżywałem stres i wiele niebezpiecznych przygód z działalnością w podziemiu. Np. było mi wstyd odmówić udzielenia pomocy uczniom i wychowankom w składaniu do przechowania; ulotek, prasy w pomieszczeniu na zapleczu sali gimnastycznej. Do tego sami dorobili sobie klucze do wejścia i prowadziła osobna droga w miarę bezpieczna.

Aby zapewnić sobie pełnię szczęścia, podczas imienin, zaplanowałem wszystko dokładnie. Poprosiłem sąsiada o recepturę na zacier do pędzenia bimbru z kukurydzy. Recepturę otrzymałem ale miałem problem z kupnem kukurydzy, więc kupiłem groch. Z niego zrobiłem zacier zgodnie z zaleceniami. Tak powstała płynna grochówka - bimberek. W tym czasie przeżywałem okres doskonalenia się w pracy konspiracyjnej. Zwracałem uwagę kolegom w pracy, że się ociągają ze zbieraniem składek dla podziemia, a nawet to, jak się ubierają. To ich strasznie drażniło. Mimo niesnasek Stasio Kubiaszczyk załatwił mi ćwiartkę świniaka. Kumple z warsztatów w drodze tajnych usług z niedużej chłopskiej bańki na mleko zrobili aparaturę do pędzenia bimbru. Akcja pędzenia bimbru odbyła się nocą przy blasku księżyca i bez kłopotów. Bimberek wyszedł bardzo dobry. Zabarwiłem go herbatką z ziołami pod smak winiaku i księżycówka okazała się znakomita. Posiadając jadło i napitek w spokoju ducha zaprosiłem na imieniny sporą gromadkę ludzi. Z pracy też aby trochę oczyścić atmosferę wokół siebie. Do mieszkania 36 metrów kwadratowych, 19 marca przybyło ponad dwadzieścia osób. Zapraszając gości miałem stracha co będzie gdy wyda się moje oszustwo alkoholowe, że piją wodę swojskiej produkcji.

Biesiadnicy podczas imprezki okazali się dyskretni i taktowni. Na początku nie rozmawiali przy stole o tym co piją. Być może tajemnica alkoholowa nie

wydałaby się a sprawa nie wyszłaby spod dywanu gdybym od biesiadników w prezencie nie dostał nalewek zrobionych na bimberku. Skoro dostałem, to i sprawa wyszła na jaw przy stole podczas rozmów. Otrzymanych napojów rozweselających starczyło mi do Wielkanocy i na kilka następnych miesięcy. Konkretnie do wakacji.

W kraju rutynowo szalał terror, ale z różnych źródeł co dzień dowiadywałem się przykrych wiadomości. Były i dobre, choć rzadko np., że na prima aprilis 2 pilotów uprowadziło samolot AN-2. Wraz z rodzinami wylądowali w Austrii prosząc o azyl. Albo gigantyczny absurd Ministra Finansów, który podał wiadomość obarczającą „Solidarność” za wzrost zadłużenia krajowego z powodu nawoływania robotników do strajków. Z Wrocławia dotarła wiadomość, że uprowadzono samolot do Berlina Zachodniego. Porywacze razem z 8 pasażerami poprosili o azyl w Niemieckiej Republice Federalnej. Obserwowałem też desant wojsk brytyjskich na Falklandy – Malwiny pod wodzą premier Anglii, Margaret Thatcher. Najważniejsza była wiadomość ostatniego dnia kwietnia kiedy to podziemne radio Solidarność w Warszawie wezwało do organizowania spotkań i odrębnych pochodów 1-majowych po zamawianych mszach do św. Józefa cieśli.

1 maja 1982 roku na Starym Mieście w Warszawie uczestniczyłem we mszy świętej w Katedrze św. Jana. Po mszy razem z innymi uczestnikami udałem się w zorganizowanym pochodzie 1-majowym „Solidarności” w stronę Placu Zamkowego a następnie w kierunku Miodowej. Liczne tłumy manifestantów wznosiły okrzyki „Uwolnić Lecha – zamknąć Wojciecha”, „Niech żyje Solidarność”. Śpiewano także pieśni patriotyczne i hymn „Jeszcze Polska nie zginęła”. Trzeba przyznać, że manifestacja była budująca i udana. Było radośnie, wesoło i zabawnie gdy pomieszały i poplątały się pochody - „Solidarności” z pochodem państwowym. Idąc za ciosem 2 maja radio Solidarność ponownie nadało program wzywający członków „Solidarności” do organizowania niezależnych obchodów święta 3 Maja. Wezwanie było bardzo skuteczne. Obchody 3 Maja były fantastyczne. Po uformowaniu się wielotysięcznego pochodu który skierował się w stronę siedziby Prymasa Polski, śpiewając pieśni narodowe, wznosząc okrzyki „Niech żyje Papież”, „Niech żyje Ks. Prymas Glemp” oraz okrzyki żądające uwolnienia Lecha Wałęsy. Tym razem milicja w stalowych hełmach

nie popuściła i ostro zareagowała. Brutalnie rozpędzano ludzi przy pomocy petard, gazu łzawiącego i amatek wodnych. Doszło do kilkudniowych walk ulicznych. Wiele osób pobito i aresztowano. Wieczorem dowiedziałem się, że podobne manifestacje odbyły się w Gdańsku i innych miastach Polski. Ludzie protestowali przeciwko stanowi wojennemu, doszło do walk na ulicach. Z tego powodu w Warszawie zawieszono czasowo łączność telefoniczną.

Dodatkową atrakcją były ulotki „Solidarności” które nadleciały z wyspy Bornholm – wzywające do „zwolnionej pracy” i oporu społecznego wobec brutalności reżimu. Mimo upływu 5 miesięcy od wprowadzenia stanu wojennego rząd nie podjął rokowań ze społeczeństwem w celu zawarcia porozumienia. Odrzucił dokument Rady Społecznej Kościoła Katolickiego. Podziemna „Solidarność” zachęcona udanymi protestami majowymi wezwwała do organizowania protestu 13 maja, a radio Solidarność do 15-minutowego strajku w całym kraju. Zaczęło robić się gorąco i było gorąco. Prymas Polski ks. Józef Glemp po raz pierwszy poparł rząd i przestrzegł „Solidarność” przed używaniem przemocy i wciągania młodzieży do spraw politycznych.

Przyznać trzeba, że Prymas miał trochę racji, bo sam doświadczyłem kłopotów z wychowankiem, którego namierzyła ubecja. Władza poprzez Kuratorium naciskała na dyrekcję szkoły aby ta jak najszybciej usunęła go ze szkoły. Dyrekcja, co prawda, nie stawiała oporu ale też za bardzo się nie spieszyła z usunięciem. Na zasadzie psychoterapii uznała, że najlepiej byłoby gdyby w tej sprawie podjął decyzję wychowawca. Jako wychowawca nie sprzeciwiałem się dyrekcji lecz stanowczo domagałem się przed dokonaniem skreślenia wydania polecenia na piśmie. Tak przedłużyłem sprawę w czasie. Podobnie postąpiła Rada Pedagogiczna nie zanegowała możliwości skreślenia ucznia ale w piśmie do Kuratorium poprosiła o przedstawienie przez Kuratorium dowodów na piśmie. Władzom szkolnym sprawiało wiele kłopotów wydawanie poleceń na piśmie ale w końcu pod naciskiem ubecji musiały to zrobić. Nim do tego w końcu doszło a dowody winy dotarły do szkoły uczeń odebrał już świadectwo ukończenia szkoły i o to chodziło.

W tej historii z usunięciem wychowanka najdziwniejsze było to, że w następnym roku spotkałem go na manifestacji majowej w szeregach ZOMO. Nieomal by mnie spałował. Rozpoznał mnie jednak i przeprowadził przez

kordon na tyły ulicy Bednarskiej. Za domami na ławce w krótkiej rozmowie dowiedziałem się od niego, że na drugi dzień po ukończeniu szkoły dostał wezwanie stawienia się przed Wojskową Komisję Poborową gdzie dostał do wyboru: Karna Kompania WP albo ZOMO. Wybrał ZOMO bo uznał, że tu będzie mu lepiej a w wojsku dostałby zdrowo w d... Niewiele miałem mu do powiedzenia, poza tym, że skoro wybrał ZOMO, to byłoby dobrze aby zachowywał się jak człowiek. Na co otrzymałem słowo honoru, że gdy skończy się okres służby wojskowej to nie zostanie w ZOMO ani jednej godziny dłużej.

Pod koniec 1982 roku z bibułą pojawił się u mnie działacz podziemia, były uczeń – wychowanek Andrzej Fedorowicz. Znałem go z tego, że w walce z komuną był twardzielem o hardej duszy bojownika. Andrzej jako młodzieniec po nafaszerowaniu się w bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego wiadomościami o Feliksie Dzierżyńskim, z emocji i ze złości postanowił sam wymierzyć mu sprawiedliwość. Późnym wieczorem z siekierką w rękach rzucił się na pomnik Feliksa na placu przed warszawskim ratuszem. Chciał obciąć mu głowę i napisy na cokole. Miał pecha, zgarnęli go tajniacy. Niczego nie zdążył zniszczyć. Po wydarzeniu przyszło wezwanie do szkoły i wicedyrektor J. Janiszewski wezwał mnie jako wychowawcę i poprosił o napisanie poręczenia, bo inaczej władza – Milicja Obywatelska go nie wypuści. Szybko napisałem poręczenie – gwarancję, że nic takiego się więcej nie powtórzy. Z moim oświadczeniem dyrektor Janiszewski pojechał do Pałacu Mostowskich i wrócił do szkoły z Andrzejem.

Andrzej już na pierwszym spotkaniu zaprosił mnie do współpracy, nie mówiąc do jakiej. Od razu pomyślałem sobie, że z Andrzejem trochę z WRON-ą poharcujemy więc nie odmówiłem. Jego działalność była mi znana z innych źródeł. Wiedziałem, że wydaje i rozprowadza znaczki poczty podziemnej o tematyce patriotycznej. W większości własnej twórczości. Wiedziałem, że produkuje ulotki. Kieruje grupami młodych ludzi z ruchu oporu społecznego organizujących protesty i akcje z rozdawaniem oraz rozrzucaniem ulotek po mieście. Wiedziałem, że współpracuje z Jankiem Strękowskim przy wydawaniu „Tygodnika Wojennego”. Domyślałem się więc, że nasza współpraca dotyczyć będzie kolportażu prasy.

W ten sposób na stałe zostałem wciągnięty do grup oporu społecznego – kolportując prasę, druki ulotne, organizując manifestacje i protesty. Od tego

momentu razem przez kilka lat robiliśmy na szkodę władzy różne fikołki z różnymi przygodami. Oczywiście na szkodę władzy. Zależało nam bardzo aby pokazać WRON, że z nami opozycjonistami, mimo, że jest nas niewielu to nie jest tak źle. Władza wiedziała, a może nie, że będziemy im sypać piasek w oczy i w tryby maszyny komunistycznej tak długo jak się tylko da. To się stawało coraz skuteczniejsze i nie ukrywam sprawiało mi sporą satysfakcję i radość.

Z wielkim uznaniem muszę przyznać, że takich twardych działaczy podziemia jak Andrzej, Janek czy Teoś, nie było wielu. Cały czas chodziła mi myśl o maszynie drukarskiej. Stale przypominałem sobie trochę jak przez mgłę, że w szkole była taka maszyna. W rozmowach z kolegami nauczycielami, znajomymi, mimochodem, wspominałem o tej maszynie, chcąc wysondować czy może ktoś coś wie na ten temat. Dość niespodziewanie dotarła do mnie informacja, że w piwnicach szkoły leży rozebrana na części maszyna drukarska. Natychmiast sprawdziłem w administracji szkoły z Agnieszką Bitel arkusze spisowe i dokumenty majątkowe. Okazało się, że jest maszyna i dawno spisana. Przystąpiłem do działania. Załatwiłem od kolegów z warsztatów szkolnych aktualne zaświadczenie wywozu złomu ze szkoły. Po jego otrzymaniu przekazałem go Agnieszce aby dołączyła do ksiąg spisowych tak na wszelki wypadek. Poprosiłem ją aby wydała polecenie uporządkowania piwnicy konserwatorowi Stasiowi Krukowi. Prosząc, aby wydała polecenie - konserwatorowi Stasiowi uporządkowanie piwnicy. Po uzgodnieniu ze mną, co należy wyrzucić ze sprzętu sportowego itd..

W między czasie poprosiłem Andrzeja o ekspertyzę czy ten złom – maszyna drukarska do czegoś się nadaje. Po wspólnych oględzinach doszliśmy do wniosku, że będzie trochę roboty przy naprawie ale powinna działać, mimo, że trochę przestarzała. W ramach wydanego zarządzenia o porządkowaniu piwnicy konserwatorzy, Kruk i Kubiaszczyk maszynę złożyli i bez rozgłosu przenieśli na zaplecze sali gimnastycznej. Miejsca nie budzącego większego zainteresowania. przylegało do warsztatów szkolnych i drogi wywozu. Przed wścibskimi, czeski offset został przykryty starymi materacami gimnastycznymi. Tak – złom, częściowo naprawiona maszyna nie czekała długo na transport do drukarni „Tygodnika Wojennego”, gdzie też miał być drukowany „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, do wydawania którego przymierzał się Andrzej Fedorowicz.

Andrzej dość szybko zorganizował miejsce i transport z Zespołu Szkół im. Michała Konarskiego przy ulicy Okopowej na Stare Miasto. Zabranie urządzenia było o tyle ułatwione, że pomieszczenie z ukrytym sprzętem miało osobne wyjście ze szkoły na zewnątrz – z tyłu sali gimnastycznej. Cała akcja transportu maszyny do znajdującej się w piwnicy na Podzamczu u Zbigniewa Maliszewskiego przy ul. Bugaj 15/17 nie trwała długo ale obfitowała w wydarzenia komediowo-dramatyczne.

Komedia rozpoczęła się od tego, że maszyna była pioruńsko ciężka a trzeba było ją przenieść 10 metrów i umieścić na pace samochodu. Kierowca podjechał Nyską prawie pod same drzwi ale we trójkę nie sposób było jej podnieść. W tej sytuacji nie mieliśmy wyjścia musieliśmy szukać ludzi dysponujących urządzeniem podnośnym aby maszynę umieścić na samochodzie. Do tego trzeba było zdjąć drzwi wyjściowe żeby maszyna zmieściła się między framugami.

Powstał problem. Nerwowo zacząłem szukać pomocy. W portierni szkolnej zastałem pełniącego dyżur Stasia Kruka. Niewiele myśląc powiedziałem – Stasiu, poszukaj pomocnika z podnośnikiem do przeniesienia złomu. Ponagłając dodałem, że muszę pozbyć się tego złomu z zaplecza sali gimnastycznej i akurat trafił się samochód. Chłopina nie odmówił. Po 15 minutach przyszedł z pomocnikiem i sprzętem. Przyszedł z nimi też zaprzyjaźniony ze mną wicedyrektor Janek Gądko który akurat miał dyżur i pilnował szkoły przed wrogimi elementami społecznymi. Miałem szczęście bo gdyby trafił się kto inny to nie wiadomo jak by się to skończyło.

W tej niezręcznej sytuacji aby uniknąć zadawania zbędnych pytań natychmiast poprosiłem Janka żeby zdjął drzwi i zaniósł je do szatni uczniowskiej bo nie ma czasu na gadanie. Wicedyrektor bez pytania o cokolwiek zdjął pośpiesznie drzwi i poszedł tylko ze zdenerwowania zamiast zanieść je do szatni uczniowskiej wyrzucił drzwi na składzik rupieci szkolnych przy warsztatach który znajdował się po drodze do szatni uczniowskiej.

Energicznie z okrzykiem „razem !”, z Andrzejem i trzema chłopami – przy pomocy podnośnika – błyskawicznie umieściliśmy maszynę drukarską na samochodzie. Cała operacja nie trwała trzech minut. Gdy maszyna znalazła się na samochodzie Andrzej poprosił kierowcę aby wyjechał za bramę i zaczekał na parkingu przed szkołą. Aby nie przedłużać akcji udałem się do szatni po

drzwi. Po drodze podziękowałem Stasiowi i powiedziałem, że o wynagrodzeniu pogadamy jutro. Wszedłem do szatni, a tu drzwi nie ma! Zacząłem nerwowo szukać wicedyrektora Janka, bo okazało się, że w gabinecie go nie ma. Biegam po szkole, warsztatach szkolnych szukam go bez skutku. Jak się okazało Janka w szkole już nie było. Sytuacja stała się idiotyczna. Nerwowym krokiem chodzę po całym parterze, zaglądam we wszystkie kąty szukając tych przeklętych drzwi. Przypadek sprawił, że Stasio Kubiaszczyk, przyniósł drzwi na salę gimnastyczną. Zrobił mi awanturę, że nie pilnuję uczniów a ci wyrzucili drzwi na skład rupieci szkolnych. Biorąc od niego drzwi z pokorą przeprosiłem Stasia za kłopot. Zamknęliśmy szkołę i odjechaliśmy z ulgą w kierunku Starego Miasta. Na ulicy Bugaj maszynę trzeba było przenieść na miejsce przeznaczenia w piwnicy Zbyszka. Czynność ta sprawiła nam wiele trudności. Ale, jakoś się udało i sprzęt okazał się szczególnie dobry do drukowania znaczków pocztowych. Z rozwojem sieci kolportażu „Przeglądu Wydawnictw Agencyjnych” znacznie poprawił się nakład PWA i innych pism ulotnych.

Dla mnie ta akcja zakończyła się nieprzyjemnie, wyrwałem sobie ramię z barku. Na drugi dzień udałem się do Szpitalu Reumatologicznym na ul. Spartańskiej w Warszawie, do znajomej Basi Dobrowolskiej i opowiedziałem co się stało. W 15 minut zorganizowała mi konsultacje z chirurgami. Po oględzinach i prześwietleniu barku chirurdzy zaproponowali mi wszczęcie procedury stałego inwalidztwa. Propozycja kompletnie mnie zaskoczyła. Nie spodobała mi się i jej nie przyjąłem. Poprosiłem o skuteczne leczenie abym mógł być w miarę sprawny bo chcę jeszcze trochę sobie powalczyć z komuchami. To lekarzom konsultantom tak się spodobało, że otrzymałem istic królewską obsługę w leczeniu i rehabilitacji. Przez kilka tygodni byłem na zwolnieniu lekarskim i rehabilitacji, łącznie z laserem i krioterapią – zabiegach niedostępnymi w tym czasie dla zwykłego śmiertelnika. Po dwóch latach leczenia i różnych zabiegów odzyskałem w miarę pełną sprawność barku ale kłopoty zdrowotne z tego powodu zostały – będę je miał pewnie do końca życia.

Dla zdobyć środki finansowe na wydawanie prasy drugiego obiegu sprzedawałem różnego rodzaju znaczki – najczęściej poczty podziemnej „Solidarność” i różne „bibeloty” patriotyczne, przeważnie produkcji i twórczości Andrzeja

Fedorowicza. Przynosił on również wykonane przez inne firmy podziemne na które byli nabywcy.

„Przegląd Wydawnictw Agencyjnych” i inne rzeczy ukazujące się w drugim obiegu rozprowadzałem w wielu środowiskach również w tych do których docierałem z „Tygodnikiem Wojennym”. Poszerzając krąg o nauczycieli warszawskiej oświaty na Woli, administrację szkolną, wykładowców wyższych uczelni, pracowników i trenerów stowarzyszeń i instytucji Kultury Fizycznej a nawet o środowiska robotnicze dzielnicy warszawskiej Woli.

Nabywców prasy było coraz więcej i bardzo mnie męczył problem małych nakładów. Przy okazji trzeba przyznać, że pismo „PWA” było dobrą i lubianą gazetą podziemną. Miało jedną poważną wadę – było go mało.

W 1984 roku przeżyłem wiele przygód związanych z nadawaniem i organizacją audycji radiowych programu II Radia Solidarność. Pomagałem Andrzejowi przy jego założeniu i uruchomieniu redakcji. Z jego polecenia zajmowałem się sprawami zabezpieczenia sprzętu, miejsc - lokalu do nagrywania audycji radiowych, oraz przechowywania archiwum itd.

Nagrania rozpoczęliśmy na ul. Elekcyjnej u znajomej księgowej z internatu szkolnego. Po pierwszym spotkaniu dzieci mojej znajomej zrobiły karczemną awanturę w domu. Prerażona poprosiła mnie abym jak najszybciej zabrał sprzęt bo może być wpadka. W tej sytuacji bez pytań czy dywagacji zawiadamiając Andrzeja zabrałem urządzenie do siebie. Uznaliśmy, że redakcję II Programu Radia Solidarność przeniesiemy do mieszkania na Batorego 29 m. 91 w Warszawie, o czym Andrzej miał zawiadomić członków zespołu.

Dla mnie był to spory kłopot bo mieszkalem z małoletnią córką do której przychodzili koledzy i koleżanki. Nie bardzo chciałem aby córka o mojej działalności cokolwiek wiedziała, stanąłem więc przed problemem prawie, że nie do rozwiązania, bo mieszkanie do nagrań musiało być wolne i to dość szybko.

Jednak problem okazał się nie tak straszny bo od paru miesięcy byłem po rozwodzie. Była żona mieszkała u swojej mamy i chodziło o to aby zgodziły się przyjąć córkę do siebie. Podjąłem konkretną rozmowę wpierrw z teściową – osobą samotną, potem z żoną Barbarą. Bez większych oporów i problemów, doszliśmy do porozumienia, że córka zamieszka u nich. Teraz po uzgodnieniach z nimi, pozostało mi przekonać córkę do zamieszkania u babci i mamy.

Na początku nie było szło mi łatwo. Ale gdy sprężyłem się w przekonywaniu – córka zbyt mocno nie oponowała i udało się w miarę szybko zorganizować przeprowadzę.

W ciągu tygodnia ruszyliśmy z nagraniami w moim mieszkaniu. Jeszcze po pierwszym nagraniu audycji u znajomej poznałem dwie urocze i delikatne panie – jedna w brązowym kapeluszu. Maja Dużewska i Ela Wasilewska oczarowały mnie swoją urodą. Mimo podeszłego wieku byłem gotowy natychmiast udać się z nimi nawet do piekła. Później po nich dołączył Andrzej Wiśniewski. Przez kilka miesięcy mogliśmy nagrywać spokojnie audycje radiowe, paląc mnóstwo papierosów. Nagrywaniem audycji i wszystkimi sprawami technicznymi zajmowała się drobniutka Zosia Sikora, matka dwojga małych dzieci. Potem do składu redakcji dołączyli jeszcze koledzy Majki Dłużewskiej i Andrzeja Wiśniewskiego, aktorzy Janusz Leśniewski i Staś Biczysko. Odbывало się to tak, że Majka przynosiła gotowe scenariusze audycji - rozpisane na głosy lektorów- i staraliśmy się jak najszybciej nagrać audycje i rozchodzili się pojedynczo lub parami. Następnie przychodził Andrzej Fedorowicz zabierał gotową kasetkę żeby przekazać ją emiterom. Nagraliśmy prawie 40 audycji emitowanych na falach radiowych w różnych dzielnicach Warszawy.

Nagraliśmy prawie 40 audycji emitowanych na falach radiowych w różnych dzielnicach Warszawy. Bawiło mnie to, że władza ludowa razem z bezpieką uważały, że nadajemy nielegalnie, a my, że legalnie. Warszawiacy początkowo słuchali audycji z zainteresowaniem. Ludzie wykonywali nasze prośby aby gasić światła i ponownie je zapalać na zakończenie nadawania audycji. To było miłe i zachęcało do dalszych akcji. Niestety z czasem zainteresowanie zmalało. Mimo to audycje radiowe nadawaliśmy nadal choćby dla ubecji bo ta musiała donosić w raportach do władzy i Komitetu Centralnego PZPR, że ciągle nadajemy a nam o to chodziło.

Bardzo ciekawą przygodę przeżyłem z organizowaniem środków finansowych na działalność radia. Znajoma Danusia Gostwicka miała koleżankę ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim mieszkającą w Szwecji Marię Borkowską. Osobą wpływową w Polsce Szwedzkiej – która pomagała Lechowi Wałęsie w przystąpieniu Związku „Solidarność” do Międzynarodowej Federacji Wolnych Związków Zawodowych w Brukseli. Na tej podstawie wnioskowałem,

że może i nam również pomóc. Po kilku rozmowach przekonałem Danusią, że powinna zaprosić Marię do odwiedzin jej i kraju w stanie wojennym. Tak się stało. Maria przyjechała do Polski i zatrzymała się u państwa Gostwickich, gdzie doszło do naszego spotkania.

Maria po krótkiej ale konkretnej rozmowie z nami, umówiła się na spotkanie bez świątków z Andrzejem. Bardzo spodobała się jej nasza praca i zabawy z ubecją, z radiem, a nawet z wydawnictwem. Maria po powrocie do Szwecji załatwiła dla nas forszę ale ambasada Szwecji w Warszawie zażądała odbioru pieniędzy przez zaufanego przedstawiciela „Solidarności” wybranego na I Krajowym Zjeździe Delegatów. W naszych szeregach nie było takich i kasa przeszła nam koło nosa. Wiem natomiast od Danusi, że pieniądze pobrał Bronisław G., ale my ich od niego nie otrzymaliśmy. Zawiadomiłem o tym Danusię a ona panią Marię. Jak sprawy potoczyły się dalej powiedzieć trudno. Przestałem się tym interesować bo mogłem tylko narobić sobie i innym kłopotów. Tego typu interwencje w działalności podziemia nie wchodziły w rachubę, przynajmniej u mnie.

Wielką zasługą Andrzeja Fedorowicza było to, że bezkarnie od strony ubecji przebiegały nam prace z prasą podziemną i radiem. Andrzej do przesady przestrzegał zasady rozproszenia grup działania 3 i 4-osobowych. Bez kontaktu między sobą dbał o to skrupulatnie. Przynosiło to dobre efekty. Myślę, że przestrzeganie tych zasad sprawiało, że ubecja miała spore kłopoty z likwidacją redakcji II Programu Radia Solidarność i Redakcji „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych”. Mimo sporej wiedzy o nas. SB miała problemy z doliczeniem się ilu nas jest. Aresztowanie jednego albo dwóch działaczy podziemia prasowego czy radiowego nie wchodziło prawdopodobnie u nich w rachubę gdyż to nie rozwiązywało im sprawy. Z doświadczenia wiedzieli, że na miejsce jednego zatrzymanego – aresztowanego pojawi się następny nowy człowiek a nawet kilku i problem pozostawał nadal. To zmuszało ich do dodatkowej pracy i wysiłku więc ograniczali się do tych których znali licząc, że może w ten sposób namierzą wszystkich i w końcu nas zgarną. Nie udało się to bezpiecze przez wiele lat. Nie udało im się także sparaliżować spotkań redakcyjnych prawdopodobnie z jeszcze innych przyczyn i powodów. Jestem przekonany, że mieli swoje wtyki w redakcjach. U nas jednak jeśli czasami coś się wydarzyło nietypowego wtedy

spotkania i pracę redakcji organizowaliśmy z opóźnieniem w innych lokalach. W tego typu robocie miła i bezpieczna atmosfera nie może trwać bez końca. Po kilku potknięciach w składzie redakcji Ela zanotowała drobną wpadkę. Na osiedlu Batorego „duszki” zaczęły coś węszyć. W związku z tym trzeba było znaleźć szybko dla redakcji nowe miejsce. Przenieśliśmy ją na ul. Saską do znajomego członka Sekcji Kultury Fizycznej Ludomira Nietkowskiego, jednego z wielu moich dobrych kolporterów prasy podziemnej który brał wszystko co było i zawsze było mu za mało. U Lutka nagraliśmy kilkanaście audycji pod redakcją Janka Strękowskiego który zastąpił Maję Dużewską która też zaczęła mieć kłopoty. Decyzja Andrzeja Fedorowicza okazała się bardzo słuszna ponieważ jeszcze w tym samym tygodniu złożyli mi wizytę ludzie z administracji osiedla pod pretekstem przeglądu balkonów. Nie znałem ich. Miałem wizytę jako jedyny lokator na osiedlu o czym dowiedziałem się od znajomego z Rady Bloku, Pokuszana – także kolportera PWA.

Podczas nagrywania audycji na ul. Saskiej zdarzył nam się nieprawdopodobny przypadek. Janek przyszedł z młodą lektorkę na próbę i na nagrania. Tą jedną nagraną audycję radiową puściliśmy akurat na osiedlu na którym mieszkali jej rodzice. Co gorsze, usłyszeli ją jej rodzice i zrobili awanturę. Została spalona. Trzeba było szukać następnej lektorki ale akurat z tym problemu nie było. Miałem na podorędziu starszą panią chętną do tego typu pomocy – Danusię. Z nią nagraliśmy kilku audycji. Zbliżały się wakacje i musiałem zawiesić działalność. Zabawa w kolportera i radiowca mocno nadwyrężała moje finanse. W związku z tym wakacje musiałem wykorzystać na poprawę kondycji finansowej, czyli dorabiać sobie na prowadzonych dla dzieci i młodzieży obozach i koloniach.

Janek Strękowski na okres wakacji zabrał radio na Bielany i tak straciłem z nimi bezpośredni kontakt. Myślę, że zorganizowani byliśmy poprawnie wg wymogów amatorskiej konspiracji ale na ubecji robiliśmy prawdopodobnie wrażenie. Oni przypuszczali, że jest nas setki a działało parę osób które można by było policzyć na palcach obu rąk. Przez te kilka lat nagraliśmy ponad 120 audycji nadawanych wielokrotnie. Nagrywaliśmy także audycje dla Solidarności Walczącej. Nasze radio działało do czasu obrad okrągłego stołu. Dopiero po obradach decyzją Związku Solidarność nas wykukano. Wpierw naszą działal-

ność zawieszono. Potem związek podpisał umowę z II Programem Polskiego Radia „Solidarność”, na koniec wymazano nas z pamięci – prawie, że na zawsze.

Należy przyznać, że mieliśmy sporo szczęścia bo esbecy w latach 1987/88 zorientowawszy się w sytuacji w kraju, obozie socjalistycznym i na świecie, szukali miejsca dla siebie poza urzędem i prawie, że przestali się nami interesować. Tym bardziej, że nie wiedzieli co kombinuje KiszczaK z waleśiarzami. To też prawie, że przestali zwracać sobie głowę entuzjastami niezależnego radia – Robinsonami w Warszawie.

Zresztą jak wcześniej wspomniałem, bezpieka z opozycją bawiła się w „kotka i myszkę”. Rozbijała spotkania opozycjonistów, łapała osoby które rozdawały ulotki, likwidowała nielegalne drukarnie, zakładała podsłuchy, ustalała kto z kim się spotyka. Ale te działania Służby Bezpieczeństwa dawały marne efekty. W sumie tylko ilościowe a nie jakościowe które by spowodowały likwidację podziemia. To prawda, że opozycji słabej i skłóconej, co do której miała małe i błędne rozeznanie. Poza tym pod koniec osiemnastych trochę sobie odpuszczali zajmując się swoimi sprawami osobistymi i swoją przyszłością. Wiedza SB o ludziach z czołówki „Solidarności” była duża i szczegółowa ale o osobach z trzeciego, czwartego szeregu była żadna albo pełna błędów informacyjnych. To prawda, że mieli prawie wszystkie informacje o tych ludziach na świeczniku którzy byli jej potrzebni do działania. Mogła w każdej chwili tą wiedzę wykorzystać (i wykorzystała po odzyskaniu niepodległości w 1989 roku). Ale, nie bardzo rozumiała zachodzące procesy geopolityczne. Do tego wierchuszka reżymu z KiszczaKiem na czele zaczęła skrycie pertraktować z kościołem. Spotykać się z niektórymi działaczami „Solidarności”. Do tego wiedzieli, że Polska gospodarka znajdowała się na granicy załamania i w znacznie gorszym stanie niż przed stanem wojennym. Sankcje ekonomiczne i brak reform doprowadziły do galopującej inflacji. Przedsiębiorstwa państwowe marnowały ludzką pracę surowce i materiały. W sieci sklepów państwowych brakowało towarów. Nadchodził krach w obozie realnego socjalizmu, ustroju opartego na monopolu władzy partii komunistycznej. W pałacu ambasady Związku Sowieckiego w Warszawie namiestnik Moskwy rozpoczął rozmowy z tzw. opozycją demokratyczną: A. Michnikiem, J. Onyszkiewiczem i innymi przedstawicielami

opozycji solidarnościowej z udziałem doradców politycznych „Solidarności” - wątpliwej jakości. Esbecy zajęci byli szukaniem własnego miejsca i wpływów na przyszłość w gospodarce i pracy cywilnej.

W nowej sytuacji pod koniec lat osiemdziesiątych w kraju pojawiły się kolejne strajki. Organizowane były przez nowe grupy opozycyjne nowego pokolenia, przechwytywane jednak przez rutyniarzy starej opozycji schowanej pod sztandarami „Solidarności”. Także poparcie Kościoła powszechnego dla tych ożywczych działań społecznych hamowane było przez hierarchów kościelnych.

Huta Stalowa Wola rozpoczęła strajk 21 kwietnia 1988 roku. W maju dołączyli robotnicy ze Stoczni Gdańskiej na czele z Wałęsą i Mazowieckim. Donosiliśmy w „Przeglądzie Wiadomości Agencyjnych” o tym, że władze reżymu bez trudu spacyfikowały strajki między 5 a 10 maja ale informacje dotarły do niewielu ludzi. 15 sierpnia protesty wybuchły na nowo. Strajk rozpoczęli górnicy w kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju z moim przyjacielem Alojzym P. na czele. Strajki górnicze objęły szereg kopalni a 22 sierpnia dotarły ponownie na wybrzeże do Gdańska, do Stoczni Lenina, Północnej, Remontowej, Wiśły i Raduni. W wyniku rozprzestrzeniającej się w kraju ruchawki władze Peerelu zostały zmuszone do negocjacji. W sierpniu pokazano w telewizji Czesława Kiszczaka który zaproponował podjęcie rozmów i za sprawą Stelmachowskiego strajki zakończyły się następnego dnia. We wrześniu 1988 roku doszło na salonach władzy do spotkania – Kiszczaka, Wałęsy, Stelmachowskiego, ks. Orszulika i Stanisława Cioska. W prasie drugiego obiegu nie pisano wiele na ten temat. Przykro było patrzeć, że komuchy dyktują warunki starej opozycji solidarnościowej obawiającej się, że przy stole rozmów może zająć ich miejsce zbuntowane młode pokolenie o rewolucyjnym nastawieniu.

Moim zdaniem należało z władzą rozmawiać lecz nie przyjmować istotnych zobowiązań bo oni nigdy zawartych umów nie dotrzymywali. Należało spokojnie poczekać bo proces rozkładu i rozpadu obozu socjalistycznego i ZSSR postępował w szybkim tempie. Wyczuwało się nadchodzącą falę dziejowych zmian geopolitycznych. Wolność przyszłaby tak czy inaczej i wystarczyło do niej być dobrze przygotowanym.

Debata Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem szefem OPZZ w telewizji 30 listopada 1988 roku poprawiła nieco warunki rozmów Solidarności z rzą-

dem. Jednak wszyscy wiedzieli, że pierwsze skrzypce w negocjacjach grają komuchy i hierarchowie kościoła. Główni gracze strony solidarnościowej; Stelmachowski, Adam Michnik, Jacek Kuroń, Geremek itp.. z Lechem Wałęsą na czele bojąc się utraty wpływów i widząc możliwości dorwania się do władzy szła na zbyt daleki kompromis podczas obrad w Warszawie, Wilanowie i Magdalence a na koniec przy paradnym okrągłym stole. Przyjęli więc daleko idące zobowiązania dotrzymania umów bez względu na przyszłą sytuację polityczną w obozie socjalistycznym Europy Środkowo – Wschodniej i świecie.

W lutym 1989 roku będąc na obozie narciarskim podczas ferii zimowych w Bukowinie Tatrzańskiej z przerażeniem słuchałem doniesień o obradach okrągłego stołu. Źle mi to wszystko pachniało i miałem spore wątpliwości co do efektów rozmów prowadzonych w Wilanowie i Magdalence. Obrady okrągłego stołu miały symbolizować propagandową równość i dobrą wolę stron do osiągnięcia kompromisu. W Henrykowie stolarze zrobili okrągły mebel przy którym spotkano się dwa razy na rozpoczęciu i na zakończenie. Pokazano kilka osób wybranych ze stron rządowej, kościoła i zmanipulowanej opozycyjnej.

Obrady zakończono porozumieniem 5 kwietnia 1989 roku wzorując się na reformach wyborczych przeprowadzonych wyborów w Związku Radzieckim w marcu 1989 roku. Uzgodniono szereg zmian ustrojowych korzystnych dla komuchów, kościoła i opozycji polityczno-solidarnościowej. Mniej dla społeczeństwa. Przyjęto wolność dla powoływania i działania różnych partii politycznych, związków zawodowych i wolność słowa. Postanowiono, że odbędą się częściowo wolne wybory do Sejmu, Senatu i prezydenckie, na zasadach demokratycznego wyboru do władz. Przyjęto system wolnego rynku i zrównanie własności państwowej z prywatną. W porównaniu z dotychczasowym ustrojem państwa były to zmiany rewelacyjne, dokonane w sposób bezkrwawy i pokojowy co bardzo odpowiadało społeczeństwu. To porozumienie umożliwiało wygranie wyborów przez opozycję z „Solidarności” w dniu 4 czerwca 1989 roku i przejęcie częściowo władzy politycznej jednak pozbawionej realnej władzy w gospodarce. Polska stała się suwerennym krajem. Demokratycznym o gospodarce rynkowej z bardzo zachwianą równowagą społeczną. Znalazła się pod rządami premiera Tadeusza Mazowieckiego i pierwszego rządu niekomunistycznego.

Moje mieszkanie przy ul. Batorego 29 m. 91 w Warszawie było stałą siedzibą obu redakcji „Przeglądu Wydawnictw Agencyjnych i II Programu Radia „Solidarność” które działały w nim do 1990 roku. Po obradach okrągłego stołu w 1989 roku stało się oficjalnym miejscem redakcji.

Smutne jest to, że wszystkich działaczy podziemia, których było tyle co kot napłakał. A jednak jedna z lepszych redakcji i grup działania podziemia antykomunistycznego nie zyskała uznania nowej władzy – solidaruchów. Odmówiono jej udziału w prywatyzacji RSW Prasa Ruch i wszelkiej pomocy. Podobnie jak Konfederacji Polski Niepodległej.

Redakcja działała jeszcze na półobrotach paręnaście miesięcy, ale w nowych warunkach musiała upaść. To przykre, że prawie przez dekadę stanu wojennego w podziemnej działalności walczyła garstka entuzjastów ratując honor narodowej „Solidarności” – od grudnia 1981 roku do 1989 roku – i po obradach okrągłego stołowych zostali bezceremonialnie odrzuceni.

Po porozumieniach okrągłego stołu ludzie którzy organizowali struktury podziemia, manifestacje i protesty w stanie wojennym stali się „naiwnymi” idealistami (idiotami), inicjując akcje oporu społecznego. W rezultacie (zdrady?) mamy ogromne szambo rozlanego bagna wokół Związku „Solidarność” znajdującego się obecnie w rozsypce. Unoszący się fetor po latach dociera do ludzi i wyborców niszcząc ich moralnie pod względem postawy obywatelskiej i społecznej. Oby się to odwróciło. Polsce niezbędna jest odbudowa tradycyjnej wspólnoty narodowej, dobra wspólnego jako wartości.

KULTURA NN

O „KRÓLU” SZCZEPANA TWARDOCHA PRAWDZIWY KONIEC DWUDZIESTOLECIA

Niepodległe państwo z międzywojnia stanowi fundament i mit polskiej tożsamości. Najzdolniejszy prozaik młodszego pokolenia Szczepan Twardoch mierzy się z nim odważnie i w sposób, który nie pozostawia obojętnym. „Król” to jedna z ważniejszych powieści, jakie po 1989 r. napisano po polsku.

Chociaż rzecz dzieje się w 1937 r, a dbałość o realia zawstydzi niejednego monografistę, to nawet nie jest powieść historyczna, co utrudnia pryncypialne oceny. Po prostu ciekawa historia...

Twardoch, wprowadzony już w uwodzeniu czytelniczek prasy kobiecej, zwiódł nawet część krytyków, którzy potraktowali jego książkę jak kryminał, wystrzegając się omawiania fabuły. Chociaż kto zabił, dowiadujemy się już w pierwszym epizodzie, a suspensy, jakich autor nam nie szczędzi nie wydają się głównym walorem, bo Twardoch nie zamierza odbierać chleba twórcom retro-kryminałów ze znakomitym Markiem Krajewskim – wskrzeszającym przedwojenny Wrocław - na czele.

Bohater z ringu, nie z papieru

Historia żydowskiego pięściarza, bohatera wojny z 1920 roku, zarabiającego później w czasach pokoju jako egzekutor warszawskiej mafii, może się wydać wydumana. Nieprawda: znawca sportu w dawnej Warszawie Robert Gawkowski wspomina o przedwojennym bokserze klubu Makabi Julianie Neudingu typie „o wyjątkowo nieczystym życiorysie”, który już po wojnie jako „czło-

wiek wojskowej bezpieki” pomagał komunistom wmontować w realia nowego ustroju stołeczną Legię [1]. Trafiały się więc podobne biografie. Zaś krytykom, którzy w ekspresyjnych opisach walk i treningów dopatrzili się u Twardocha gejowskich fascynacji ciałem męskim - obok tradycyjnego porzekadła „głodnemu chleb na myśli” można zadedykować pytanie, czy podobnych doszukają się u Ernesta Hemingwaya, pierwszego babiarza wśród literatów amerykańskich, który tak chętnie czynił bokserów swoimi bohaterami. Podobnie jak nasz Józef Hen, którego „Bokser i śmierć” – inspirowana autentycznymi zdarzeniami opowieść o pięściarzu, który w oświęcimskim obozie dla kaprysu SS-manów musi sparować z nimi w ringu i ocala ludzką godność - pozostaje jednym z najbardziej przejmujących arcydzieł polskiej literatury.

„Król” nie jest powieścią o sportowcach, skoro na kilkuset stronach znajdujemy opis raptem jednej ringowej walki, jednego bokserskiego treningu i jednej – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – odnowy biologicznej, czyli odświeżania się po pięściarskim starciu. Podobnie Twardoch nie podaje nam powieści kryminalnej, historycznej ani lotrzykowskiej – jednak umiejętnie igrając konwencjami każdej z nich pokazuje, jak doskonale je zna.

Wydrwiony niedawno niemiłosiernie przez internautów za przyjęcie roli ambasadora Mercedesa w Polsce, autor, rocznik 1979, udowadnia, że jako pisarz potrafi wszystko – rzeczywiście niczym samochód z fabryki w Stuttgarcie.

Mankamentem polskiej literatury okazuje się dziś brak pełnokrwistego bohatera. Pomimo rzemieślniczej zręczności Jakuba Żulczyka trudno się przejąć opisywanymi przezeń perypetiami dilerów narkotyków („Ślepnąc od świateł”) czy zbuntowanej gospodyni domowej przed 40 zaczynającej w innym mieście nowe życie jako barmanka („Instytut”). Jeszcze mniej nas obchodzi prowincjonalny studenciak-prekariusz z „Niehalo” Ignacego Karpowicza, a już zupełnie nic - dziadek z „Podkrzywdzia” Andrzeja Muszyńskiego. Na ich tle zdemoralizowany bokser-kombatant Jakub Szapiro z „Króla” jawi się jako postać niezmiernie wyrazista i warta zainteresowania, podobnie jak Konstanty Willemann ze wcześniejszej „Morfiny”, która jego twórcy zapewniła miejsce wśród literackich celebrytów. Jednak „Król” nie jest opowieścią o Polakach i Żydach, podobnie jak „Morfina” nie uogólnia losów polskich Niemców ani „Drach” Ślązaków. Po prostu najnowsza powieść Twardocha dzieje się na Na-

lewkach i ich przecnicach, ale też w kawiarniach Krakowskiego Przedmieścia i zaułkach „aryjskiego” Grochowa, w redakcjach brukowców i rządowych gabinetach, w zamtuzie i na bazarze. Dbłość o realia imponuje. Wysferzony bandzior Szapiro w swoim eleganckim mieszkaniu w zasiedlonej przez pluto-krację kamienicy czytuje synom przed snem nie byle jaką „książkę” ale „Szatana z siódmej klasy” Kornela Makuszyńskiego, który rzeczywiście ukazał się świeżo w opisywanym 1937 roku. Garnitur idzie obstalować nie zwyczajnie „u krawca”, ale u renomowanego Zaremby, który nadskakuje klientom niemal tak samo jak współczesny nam publicysta o tym samym nazwisku politykom partii rządzącej. Gdy mowa o zamierzonym wyjeździe bohaterów do Palestyny, niczym przy planowaniu współczesnego *last minute* ze szczegółami dowiadujemy się jakie połączenia i międzyrządowania wchodzi w grę. Bokserowi-mafioso nie przystoi jeździć banalnym „samochodem”, tylko buickiem opisanym z precyzją godnym niemieckiej edycji „Auto-Motor und Sport”, a przy okazji dowiemy się również czym się porusza i ile zarabia prezydent stolicy Stefan Starzyński. Chwała *researcherom*, ale i pisarzowi, który potrafi z ich mrówczego trudu skorzystać...

Jeśli ktoś się spodziewa, że fotograficznie odtworzona codzienność Warszawy z 1937 r. zapowiada podobny obiektywizm spojrzenia na Polskę międzywojenną – zawiedzie się. Autor zresztą wcale nam tego nie obiecuje. I bardzo dobrze. Przypomina się żart rysunkowy w „Tygodniku Solidarność” z 1981 r. Chłop przy zaprzęgniętym do pług koniu frasuje się: „Żeby tylko nie mówili, że jak orzę, to uprawiam politykę rolną...” Wiele można Twardochowi zarzucić, na pewno narcyzm i celebryckie pozy, ale nie to, żeby zamiast pisać – uprawiał politykę historyczną. W czasach, które przeżywamy, autor taki jak Szczepan Twardoch potrzebny jest więc polskiej kulturze w równym stopniu, co Robert Lewandowski narodowej reprezentacji piłkarskiej. Nie tylko ze względu na warsztatowe umiejętności. Gdy Jarosław Marek Rymkiewicz kleci wiernopoddańczy wiersz o Jarosławie Kaczyńskim, aż proszący się o zestawienie z podobną odą Jarosława Iwaszkiewicza do Bolesława Bieruta z najsmutniejszego okresu – Szczepan Twardoch nie daje się zwariować i po prostu opowiada nam ciekawe historie. Publicznie przy tym deklaruje, że Polska go nie obchodzi. Nie musi. Nas – tak. Ważne, że obchodzi go literatura. Nas też.

Dlaczego pisarz wysiada z mercedesa

Jeśli uznaliście już Państwo autora „Morfiny” za twórcę mieszczańskiego – za groszorbstwo u Mercedesa i wywiady w „Twoim Stylu”, za gładkie bajania o tym, że jak już myśli, że zabraknie na rachunki to zawsze akurat przychodzi przelew z honorarium, za miejsca na półkach z bestsellerami Empiku – poznajcie teraz... skandalistę Szczepana Twardocha. Bo przecież dla pozbawionych przez 123 lata państwowości Polaków, po okupacji hitlerowskiej i kałużowej „byłej ojczyźnie” jaką stanowił PRL – Dwudziestolecie międzywojenne wciąż oznacza wcielenie mitu. Sen złoty. Rozbrajanie Niemców 11 listopada, zwycięstwo na polach bitwy warszawskiej nad bolszewikami, budowa Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, złote medale olimpijskie Haliny Kopackiej i Janusza Kusocińskiego, do tego Skamander wielkich poetów i sceniczny kunszt Eugeniusza Bodo, potańcówki w Dolinie Szwajcarskiej i pogodny gwar Kercelaka niezmiennie przemawiają do wyobraźni zbiorowej i tworzą obraz prawdziwej *belle époque*. Współczesnych polityków zwykliśmy słusznie krytykować za brak wizji i odpowiedzialności za dobro wspólne, jaką przejawiali Józef Piłsudski i Ignacy Daszyński, Ignacy Paderewski i Wincenty Witos. Wszystko to niby znajdujemy w „Królu” Twardocha, ale już tylko w smutnej, schyłkowej formie. Mamy jednak rok 1937. Za chwilę dokona się katastrofa, o czym my już wiemy, zaś bohaterowie „Króla” – jeszcze nie. Co najwyżej gwarzą o wojnie w odległej Hiszpanii.

Wybór scenerii nie wydaje się egzotyczny, bo zapewne wielu z nas to, co wyprawiają Polacy po śmierci swojego duchowego autorytetu Jana Pawła II może przypominać czas, kiedy Niepodległa pozbawiona została geniuszu jej twórcy – Józefa Piłsudskiego. Pewnie dlatego Twardoch wybrał rok 1937, a nie epokę Merowingów za tło swojej opowieści. Smutnej i pesymistycznej.

Warszawa Twardocha nie przypomina bowiem Paryża północy. Prędzej już Chicago z wcześniejszych o parę lat czasów prohibicji. Wśród prominentnych gangsterów, terroryzujących „dzielnicę północną” (ówczesny eufemizm oznacza kwartały ulic, zamieszkałe przez ludność żydowską) znajdują się byli niepodległościowi konspiratorzy i bohaterowie wojenni. Wciąż przez sentyment lub z wyrachowania ochraniają demonstracje PPS-u i Bundu. W razie kłopo-

tów mogą liczyć na pobłażliwość dawnych kolegów, teraz w sferach rządowych. Ci ostatni zajmują się głównie walkami wewnętrznymi. Zdemoralizowani i pozbawieni busoli po śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego snują rojenia o puczu, o silnej władzy. Na uniwersytecie i po ulicach szaleją bojówkarze z ONR, wymuszający getto ławkowe na kolegach ze studiów lub pastwiący się nad żydowską biedotą. Nawet Bereza Kartuska, przez lata odmieniana z lubością przez komunistyczną propagandę jako symbol nieprawości sanacji, powraca u Twardocha jako fakt historyczny: miejsce wstrętnych praktyk podłych ludzi. Znow można powiedzieć: wszystko to prawda. Z jakiejś przyczyny przecież 35-milionowe państwo we wrześniu 1939 r zdruzgotane zostało przez najeźdźców, a dowództwo uciekało szosą na Zaleszczyki równie szybko jak po dzieścioleciach Macierewicz ze Smoleńska... Wszak nie pokonano nas dlatego, że byliśmy aniołami, choć można się pocieszać że mocarstwowa Francja w rok później nie przetrwała dłużej. Wszystko to prawda, rzecz w rozkładzie akcentów. Ale też w formacie tej literatury, kalibrze – powiedzmy, skoro o mocnych ludziach mowa. Gdyby Twardoch był Wildsteinem albo Gadzinowskim, jego prowokacyjnym spojrzeniem nie warto by sobie zaprzętać głowy. Ocierający się o genialność autor „Wiecznego Grunwaldu” po prostu nas do refleksji zmusza. Na jego i nasze szczęście – nie czyni tego samotnie.

Dwie książki, jeden patriotyzm

Nie jest jednak źle z polską prozą, skoro tylko w ostatnich kilkunastu miesiącach dostaliśmy do ręki dwie ważne książki, rysujące obraz czasu tuż przed wielką katastrofą. Polska późnych lat 30. sugestywnie obecna jest bowiem nie tylko u Twardocha, ale również w ambitnym debiucie Jerzego Woźniaka „Mazur” [2]. Ta druga powieść dzieje się głównie poza stolicą: w Prusach Wschodnich i na polsko-niemieckim pograniczu. Podobnie jak u Twardocha – wybuch wojny nie kończy jej narracji. Zbieżności dostrzegam wiele. Obaj autorzy odrzucają klasyczną formułę powieści historycznej. U Woźniaka zastępuje ją ryzykowne, ale artystycznie opłacalne połączenie romansu z intrygą szpiegowską, u Twardocha – hybryda opowieści sensacyjnej i obyczajowej. U obu w epizodach występuje ostatni premier II RP Felicjan Sławoj-Składkowski.

Dzieli za to autorów sposób widzenia upadającego państwa polskiego: w „Mazurze” urzędnicy i oficerowie wywiadu są dzielni i kompetentni, w „Królu” policjant czy dygnitarz biernie czeka na rozkazy i cieszy się upokorzeniem kolegi zza sąsiedniego biurka.

Czytając Twardocha, można się dziwić, jakim sposobem takie państwo jak II RP przetrwało aż dwie dekady. Po lekturze Woźniaka nie rozumiemy z kolei, jak to się stało, że w ogóle upadło. Prawda leży być może pośrodku. A zachęcając do lektury najnowszych książek osadzonych w realiach sprzed 1939 r, warto też przypomnieć wielkich pisarzy Dwudziestolecia: i fakt, że Juliusz Kaden-Bandrowski i Tadeusz Dołęga-Mostowicz również nie zgadzali się w ocenie II Rzeczypospolitej w czasach, gdy jeszcze trwała. Józef Mackiewicz napisał kiedyś, że jedynie prawda jest ciekawa. A ona zwykle rodzi się w polemice, w dialogu, w uroku wielogłosowości. Poszukać jej możemy tylko sami, nie zrobi tego za nas żaden instytut, na który płacimy podatki. W odróżnieniu od tych ostatnich – pieniądze wydane na książki Twardocha i Woźniaka przynajmniej nie okażą się zmarnowane.

[1] Piotr Wesołowicz. Adolf Dymśa grał na Polonii. „Gazeta Wyborcza” Magazyn Stołeczny z 4 listopada 2016, s. 15

[2] Jerzy Woźniak. Mazur. Akces, Warszawa 2015

Łukasz Perzyna

Szczepan Twardoch. Król. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016

INSTYTUT HISTORYCZNY NN IM. ANDRZEJA OSTOJA-OWSIANEGO

jest

organizacją pożytku publicznego

**Nasze działania nie byłyby możliwe
bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców**

Aby przekazać

1 %

wystarczy numer KRS – 0000331920

SZANOWNI PAŃSTWO!

Wśród wielu organizacji społecznych realizujących misję użyteczności publicznej, które zasługują na wsparcie, szczególne miejsce zajmują te, które nie stawiają sobie celów doraźnych, ale inwestują swoją pracę i zaangażowanie wolontariuszy w przyszłość Polski i Polaków. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja-Owsianego, głosząc za Adamem Skwarczyńskim, że „żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w głębię życia jego organizm...”, upatruje swoją misję w pracy organicznej na rzecz polskiej tożsamości i polskiej wspólnoty narodowej, przywołując i utrwalając pamięć o zdarzeniach, ludziach i miejscach związanych z historią Polski. Jest nas już wielu, którzy uważają, że warto bezinteresownie angażować się na rzecz spraw wspólnych, oddawać swój czas i swoją pracę. Dziś chcemy zaproponować Państwu włączenie się w sukces naszego stowarzyszenia przez udział w akcji 1% dla Instytutu. Choć nie wymaga to wielkiego wysiłku, to ma to dla nas ogromne znaczenie, potwierdzając celowość prowadzonej przez nas działalności.

Środki, które wpłyną do Instytutu w ramach akcji 1% zostaną w całości przeznaczone na działalność wydawniczą i edukacyjną!

REGON – 100794445

NIP – 7252015134

Konto:

PKO Bank Polski

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

**Książka opisuje akcje odbicie Jana Narodziaka.
Do nabycia w dobrych księgarniach.**

